

PIERWSZE
POLSKIE
WYDANIE

WILKIE
COLLINS
CÓRKA IZEBEL

mg



WILKIE
COLLINS
CÓRKA IZEBEL

A decorative graphic consisting of several elegant, swirling lines that originate from the right side of the word 'COLLINS' and extend downwards and to the left, framing the title.

przekład
Magdalena Hume



Część I

Rozdział 1

Moje wspomnienia w związku ze sprawą Córki Izebel zaczynają się w dniu, w którym śmierć opomniała się o dwóch cudzoziemców z dwóch różnych krajów.

Obaj dżentelmeni byli na swój sposób ważnymi postaciami i żaden nie miał pojęcia o istnieniu drugiego.

Pan Ephraim Wagner, z zawodu kupiec (wcześniej zamieszkały we Frankfurcie nad Menem), zmarł w Londynie trzeciego września 1828 roku.

Doktor Fontaine – słynący za życia z odkryć na polu chemii eksperymentalnej – zmarł w Würzburgu, także trzeciego września 1828 roku.

Zarówno kupiec, jak i doktor pozostawili w żałobie żony. Wdowa po kupcu (rodowita Angielka) była bezdzietna. Pochodząca z południowych Niemiec wdowa po doktorze dochowała się córki.

W owych odległych czasach (piszę te słowa w roku 1878, z perspektywy półwiecza) byłem młodym pracownikiem biura pana Wagnera. Jako siostrzeniec jego żony, prywatnie często gościłem pod dachem starszego dżentelmena, który w swojej łaskawości traktował mnie niczym jednego z domowników. Stałem się naocznym świadkiem opisanych tutaj wydarzeń i rękę za wiarygodność tej relacji. Jak wszyscy ludzie w podeszłym wieku, wypadki z okresu młodości pamiętam dużo wyraźniej od tych sprzed zaledwie dwóch czy trzech lat.

*

Chociaż poczciwy pan Wagner nie domagał od wielu miesięcy, lekarze twierdzili, że nie trzeba obawiać się o jego życie. On jednak, pokazując, jak bardzo się mylą, pozwolił sobie umrzeć właśnie wtedy, kiedy wszyscy zgodnie zapowiadali jego powrót do zdrowia. W chwili, w której na jego żonę spadło owo nieszczęście, znajdowałem się w podróży służbowej do naszej filii we Frankfurcie nad Menem kierowanej przez współników pana Wagnera. Dzień mojego powrotu do londyńskiego biura przypadł nazajutrz po pogrzebie. Na ten sam dzień wyznaczono odczytanie ostatniej woli zmarłego. Pan Wagner, powinienem tutaj dodać, był naturalizowanym obywatelem Wielkiej Brytanii i jego testament został sporządzony przez angielskiego prawnika.

Wystarczy, że wspomnę w tym miejscu treść czwartego, piątego i szóstego paragrafu owego dokumentu.

W paragrafie czwartym testator podawał do wiadomości, że cały swój

majątek, zarówno ruchomy, jak i nieruchomy, zostawia żonie. W piątym dawał jeszcze jeden dowód bezgranicznego zaufania do niej, ustanawiając ją jedyną wykonawczynią swojej ostatniej woli.

Szósty i ostatni paragraf zaczynał się tymi oto słowami:

Podczas mojej długiej choroby droga małżonka pełniła funkcję sekretarza i pełnomocnika i zdążyła tak dogłębnie poznać właściwe dla mnie metody kierowania firmą, że próżno byłoby teraz szukać osoby odpowiedniejszej od niej. Mianując ją niniejszym swoim jedynym następcą i przyznając jej wszelkie związane z tym uprawnienia i przywileje, nie tylko daję świadectwo swojego bezwzględного zaufania i szczerzej wdzięczności dla niej, ale działam również w najlepiej pojętym interesie firmy.

Spojrzelśmy z radcą prawnym na moją ciotkę, która zapadła się w fotelu, kryjąc twarz w chusteczce. Postanowiliśmy poczekać z szacunkiem, aż opanuje emocje i będzie w stanie zakomunikować nam swoje życzenia. Zawierający się w ostatnich słowach testamentu dowód miłości i czci, którymi darzył ją zmarły mąż, poruszył ją do głębi. Dopiero kiedy potok łez przyniósł ulgę jej duszy, uświadomiła sobie naszą obecność.

– Za kilka dni będę spokojniejsza – rzekła. – Proszę przyjść do mnie pod koniec tygodnia. Będę miała obu panom coś ważnego do zakomunikowania.

Radca prawny zaryzykował pytanie:

– Coś w związku z testamentem?

Ciotka pokręciła głową.

– Coś w związku z ostatnimi życzeniami mojego męża – odparła.

Ukloniwszy się nam na pożegnanie, skierowała się do wyjścia.

Radca prawny odprowadził jej postać poważnym, pełnym zwątpienia wzrokiem.

– Moje długie doświadczenie zawodowe – powiedział, odwracając się do mnie – udzieliło mi wielu cennych lekcji. Dzięki pańskiej ciotce przypomniałem sobie właśnie jedną z nich.

– Mogę zapytać jaką, sir?

– Jak najbardziej. – Chwycił mnie za ramię i dopiero, kiedy znaleźliśmy się poza domem, wyjaśnił, jaką lekcję miał na myśli. – Zawsze należy podchodzić z nieufnością do ostatnich życzeń człowieka leżącego na łożu śmierci, chyba że zakomunikował je wcześniej swojemu prawnikowi i zawarł w testamencie.

Ów pogląd wydał mi się w tamtej chwili nieco niestosowny. Skąd mogłem wiedzieć, że przyszłe wydarzenia z życia ciotki całkowicie potwierdzą jego słuszność? Gdyby zechciała zostawić plany i zamysły męża takimi, jakimi on je zostawiał w chwili śmierci, i gdyby nigdy nie zdecydowała się na ową pochopną podróż do Frankfurtu... Lecz jaki sens jest zastanawiać się teraz nad tym, co mogłoby lub nie mogłoby się wydarzyć? Miałem przecież pisać o wypadkach,

które istotnie miały miejsce. Wróćmy zatem do rzeczy...

Rozdział 2

Zgodnie z zapowiedzią wdowa oczekiwała nas pod koniec tygodnia.

Z powierzchowności była drobną kobietą o niezwykle kształtnej sylwetce, czystej, bladej cerze, szerokim, niskim czole i wielkich, szarych oczach, w których jaśniało światło inteligencji. Poślubiwszy znacznie starszego od siebie człowieka, po wielu latach małżeńskiego życia nadal odznaczała się wybitną urodą. Nigdy jednak nie sprawiała wrażenia świadomej swoich zalet zewnętrznych – czy też nadmiernie dumnej z niezwykle talentów, które bezsprzecznie posiadała. Na co dzień była niezwykle łagodną i skromną osobą. Jednak jeśli sytuacja tego wymagała, natychmiast budziły się drzemiące w niej pokłady stanowczości. W całym życiu nie spotkałem drugiej kobiety, która w obliczu konieczności potrafiłaby wykazać tyle charakteru co ona.

Nie tracąc czasu na wstępne wyjaśnienia, od razu przeszła do sedna. Na jej obliczu wyraźnie widać było ślady nieprzespanej i pełnej łez nocy, jednak nieboga ani myślała się nad sobą rozczulać. Kiedy wspomniała nazwisko zmarłego męża, uczyniła to – nie licząc nieznacznego drżenia słyszalnego w jej głosie – z opanowaniem, które jednocześnie chwyciło za serce i budziło podziw.

– Jak obaj panowie wiedzą – zaczęła – pan Wagner był niezależnie myślącym człowiekiem i w pojmowaniu swoich powinności wobec ubogich i cierpiących wykraczał poza ramy tego, co tradycyjnie narzuca nam w tej kwestii otaczający świat. Przez miłość i szacunek dla jego pamięci zamierzam (z Bożą pomocą) przekuć jego poglądy w czyn.

Radca prawny okazał pewne zdenerwowanie.

– Czy ma pani na myśli, madame, poglądy polityczne pana Wagnera? – zapytał.

Pięćdziesiąt lat temu polityczne zapatrywania mojego dawnego chlebobdawcy uchodziły za iście rewolucyjne. Współcześnie – odkąd przy ogólnej aprobachie narodu parlament wprowadził zbieżne z nimi reformy – pan Wagner byłby nazywany „umiarkowanym liberałem” i uważany za rozważnego, rozumnego człowieka kroczącego z duchem postępu.

– Nie interesuje mnie polityka – odpowiedziała moja ciotka. – Chcę przede wszystkim pomówić z panami o tym, jak mój mąż zapatrywał się na kwestię zatrudnienia kobiet.

W tym miejscu ponownie muszę nadmienić, że po upływie półwiecza herezje głoszone przez mojego chlebobdawcę w roku 1828 są teraz, w roku 1878, powszechnie obowiązującymi zasadami. Widząc problem ze swojej niezależnej perspektywy, pan Wagner trwał na stanowisku, że wiele z miejsc pracy zarezerwowanych tradycyjnie dla mężczyzn można by z powodzeniem udostępnić

godnym ich, kompetentnym kobietom. Dla człowieka jego charakteru dostrzeżenie niesprawiedliwości oznaczało konieczność bezzwłocznego podjęcia działań zmierzających do jej naprawienia. Rozbudowując w owym czasie londyńską firmę, postanowił równomiernie rozdzielić nowo powstałe etaty pomiędzy mężczyzn i kobiety. Zgorszenie, jakie wywołał w mieście tym śmiałym posunięciem, pamiętają po dziś dzień wszyscy moi rówieśnicy. Jednak mimo skandalu zuchwały eksperyment mojego pryncypała przyniósł bardzo pomyślne rezultaty.

– Gdyby mój mąż nadal żył – ciągnęła ciotka – dopilnowałby, żeby za przykładem londyńskiej siedziby poszła też placówka we Frankfurcie. Nasze interesy tam również mają się coraz lepiej i przymierzamy się do zwiększenia liczby pracowników biurowych. Jak tylko poczuję się na siłach, udam się do Frankfurtu, żeby zapewnić niemieckim kobietom te same możliwości, które mój mąż zdążył już stworzyć kobietom w Londynie. Wszelkie wskazówki na temat najlepszego sposobu przeprowadzenia tego rodzaju reformy znajdę w pozostawionych przez niego zapiskach. Zastanawiam się, Davidzie – dodała, odwracając się do mnie – czy nie posłać cię do naszych frankfurckich wspólników, panów Kellera i Engelmana, z instrukcjami, by do czasu mojego przyjazdu zachowali w biurze kilka wolnych stanowisk – tutaj zawiesiła głowę, spoglądając na radcę prawnego. – Ma pan jakieś zastrzeżenia do mojego pomysłu? – zapytała.

– Mam pewne obawy – odrzekł ostrożnie dżentelmen.

– Jakie obawy?

– W Londynie, madame, świętej pamięci pan Wagner mógł łatwo sprawdzić przeszłość kobiety, którą przyjmował do pracy w swoim biurze. W obcym mieście, jakim jest dla pani Frankfurt, trudniej będzie uchronić się przed niebezpieczeństwem... – urwał w poszukiwaniu słów, które odpowiednio trafnie i delikatnie wyraziłyby to, co chciał powiedzieć.

Ciotka nie okazała zbyt wielkiej wyrozumiałości wobec jego zakłopotania.

– Proszę się nie bać mówić otwarcie, sir – rzekła dość chłodno. – Przed jakim niebezpieczeństwem będzie mi się trudniej uchronić?

– Jest pani wielkoduszną osobą, madame, a ludzi wielkodusznych łatwo oszukać. Boję się, że jakaś zdemoralizowana kobieta albo, co gorsza, kobieta...

Znów nie dokończył zdania. Tym razem przerwało mu pukanie do drzwi.

Kiedy w progu ukazał się kierownik naszego biura, ciotka uniosła dłoń.

– Wybacz pan, panie Hartrey, za chwilę będę do pańskiej dyspozycji. – Odwracając się do radcy prawnego, jeszcze raz zapytała: – Jakie kobiety mogą próbować mnie oszukać?

– Kobiety być może skądinąd zasługujące na pani dobroć, ale pozostające pod wpływem złych ludzi – odpowiedział radca prawny. – Te same, którym (o ile znam pani wrażliwość na niedolę bliźniego) najbardziej pragnęłaby pani pomóc i które, kierowane zgubnym podszeptem jakichś krewnych czy znajomych,

mogłyby stać się dla pani źródłem niekończących się problemów i trosk.

Ciotka nic nie odpowiedziała. Obiekcje przedstawione przez radcę prawnego wyraźnie ją zirytowały. Zwracając się do pana Hartreya, nieco szorstko zapytała, jaka sprawa go sprowadza.

Naczelnik biura był metodycznym dżentelmenem starej daty. Najpierw pospiesznie przeprosił za najście, a potem pokazał list, z którym przyszedł.

– Kiedy będzie pani mogła poświęcić trochę uwagi sprawom służbowym, madame, proszę łaskawie przeczytać ten list. Tymczasem chciałbym zapytać, czy wybaczy mi pani to, że zamiast przeszkadzać jej w pierwszych chwilach żałoby po śmierci mojego drogiego, zacnego chlebodawcy pozwoliłem sobie działać w biurze wedle własnego uznania.

Mimo ceremonialności jego słów w tonie głosu pobrzmiwało autentyczne wzruszenie. Ciotka wyciągnęła do kierownika dłoń, którą ten ucałował ze łzami w oczach.

– Jestem pewna, że wszystkie podjęte przez pana decyzje były właściwe – powiedziała serdecznie. – Od kogo ten list?

– Od pana Kellera z Frankfurtu, madame.

Ciotka natychmiast wzięła list z jego rąk i pogрузzyła się w lekturze. Ponieważ w istotny sposób zaważył on na późniejszych wydarzeniach, przytoczę w tym miejscu jego dokładną treść.

(Poufne i do rąk własnych)

Drogi Panie Hartrey,

nie śmiałbym zakłócać spokoju pani Wagner w pierwszych dniach po tym, jak spadło na nią wiadome nieszczęście. Stąd też, znajdując się pod presją pilnej potrzeby, pozwalam sobie zwrócić się do Pana jako osoby zarządzającej teraz naszym biurem w Londynie.

Fritz, mój jedyny syn, który kończy właśnie pobierać nauki na uczelni w Würzburgu, zapalał uczuciem (co przykro mi pisać) do pewnej młodej kobiety, córki zmarłego w ostatnim czasie profesora z tamtejszego uniwersytetu. Chociaż wierzę, że to przyzwoita, godna szacunku dziewczyna, ojciec zostawił ją niestety bez grosza przy duszy, a nawet gorzej: umarł w długach. Na domiar złego jej matka nie cieszy się w mieście zbyt dobrą opinią. Mówi się, między innymi, że to głównie jej rozrzutność doprowadziła męża do katastrofy finansowej. Wobec takich okoliczności chciałbym położyć definitywny kres owej znajomości, dopóki sprzyja temu przerwa w kontaktach między zakochanymi spowodowana niedawną śmiercią profesora. Fritz porzucił plan poświęcenia się karierze medycznej i przystał na propozycję przejścia po mnie rodzinnego interesu. Postanowiłem wysłać go do Londynu, żeby tam, w głównej siedzibie firmy, przyswoił trochę wiedzy handlowej.

Mój syn to dobry, posłuszny chłopak i podporządkował się, chociaż niechętnie, moim życzeniom. Powinien zjawić się u Państwa w kilka dni po

dotarciu tego listu. Proszę wyświadczyć mi tę uprzejmość i znaleźć dla niego jakieś biurowe zajęcie oraz nie spuszczać z niego oka, dopóki nie skontaktuję się bezpośrednio z panią Wagner – której przesyłam tymczasem wyrazy najszczerzego współczucia.

Ciotka oddała list kierownikowi.

– Czy ten młodzieniec już przyjechał? – zapytała.

– Zjawił się wczoraj, madame.

– I znalazł pan dla niego jakieś zatrudnienie?

– Pozwoliłem sobie przydzielić go do naszego działu korespondencyjnego – odpowiedział kierownik. – Na razie będzie asystował przy tworzeniu kopii listów, a noclegi (dopóki nie zarządzi pani inaczej) ma zapewnione w moim domu. Mam nadzieję, że postąpiłem właściwie?

– Spisał się pan znakomicie, panie Hartrey. Ja jednak odciążę pana od części odpowiedzialności. Żałoba nie zwalnia mnie bynajmniej z obowiązków wobec współnika męża. Osobiście porozmawiam z tym młodym człowiekiem. Proszę przyprowadzić go tutaj dziś wieczorem po godzinach pracy. I proszę się jeszcze z nami nie rozstawać; chciałabym przedyskutować z panami pewną bardzo ważną dla mnie kwestię związaną z działalnością mojego męża.

Pan Hartrey wrócił na swoje krzesło. Po chwili wahania ciotka zadała pytanie, które wszystkich nas trzech wprawiło w zdumienie.

Rozdział 3

– Mój mąż związany był z wieloma instytucjami dobroczynnymi – zaczęła wdowa. – Czy nie mylę się, sądząc, że był też jednym z członków zarządu szpitala w Bethlehem?

Usłyszawszy nazwę słynnego zakładu dla obłąkanych – znanego powszechnie przez londyńczyków jako „Bedlam” – radca prawny gwałtownie drgnął i wymienił spojrzenia z kierownikiem biura.

Pan Hartrey z wyraźnym ociąganiem odpowiedział:

– Nie myli się pani, madame – po czym zamilkł.

Odważniejszy od niego radca prawny dorzucił od siebie kilka słów przestrogi.

– Pozwolę sobie zasugerować, że współpracy świętej pamięci pana Wagnera ze szpitalem towarzyszyły pewne nieprzyjemne okoliczności, w które lepiej byłoby się nie zagłębiać – rzekł. – Pan Hartrey potwierdzi, że zgłoszony przez pana Wagnera pomysł zreformowania metod leczenia tamtejszych pacjentów...

– Był pomysłem miłosiernego człowieka – wtrąciła ciotka – brzydzącego się wszelkimi formami okrucieństwa i uważającego tortury zadawane chorym na umyśle nieszczęśnikom przy pomocy bata i łańcuchów za gwałt na człowieczeństwie. Całkowicie się z nim zgadzałam. I chociaż jestem tylko kobietą, nie pozwolę, by sprawa upadła. W najbliższy poniedziałek rano wybieram się do tego szpitala i chciałam dzisiaj poprosić, żeby dotrzymał mi pan towarzystwa.

– W jakim charakterze miałbym zaszczyt pani towarzyszyć? – zapytał radca prawny najchłodniej, jak tylko umiał.

– W charakterze zawodowym – odparła ciotka. – Niewykluczone, że przedstawię zarządowi pewną propozycję i żeby zrobić to w należytej formie, będę potrzebowała odwołać się do pańskiego doświadczenia.

Radca prawny najwyraźniej nie był przekonany.

– Proszę pozwolić, że zadam jeszcze jedno pytanie – drażył temat. – Czy pani wizyta w zakładzie podyktowana jest chęcią zadośćuczynienia jakimkolwiek życzeniu wyrażonemu przez świętej pamięci pana Wagnera?

– Absolutnie nie! Mój mąż unikał poruszania przy mnie tego smutnego tematu. Jak pan przed chwilą słyszał, nie miałam nawet pewności, czy należał do zarządu szpitala. Przez jego usta nigdy nie przeszło słowo dotyczące jakiegokolwiek okoliczności z jego życia, która mogłaby mnie zaniepokoić albo przygnębić. – Jej głos załamał się, kiedy oddawała swojemu mężowi ów tkliwy hołd. Odzyskawszy panowanie nad sobą, ciągnęła dalej: – Ale w noc poprzedzającą śmierć, kiedy jego umysł błąkał się na granicy jawy i snu, usłyszałam, jak mówi do siebie o czymś, co koniecznie powinien zrobić, jeśli dane mu będzie wyzdrowieć. Od tamtego czasu

zdążyłam przejrzeć jego osobisty dziennik, w którym znalazłam zapiski wyjaśniające to, czego nie byłam w stanie do końca pojąć, czuwając przy jego łożu. Wiem ponad wszelką wątpliwość, że z powodu nieprzejednanego oporu innych członków zarządu postanowił na własną odpowiedzialność i własny koszt zbadać, jaki skutek w leczeniu obłąkanych odniesie zastosowanie dobrego słowa i cierpliwości. W szpitalu w Bethlehem przebywa teraz pewien nieszczęśnik – znaleziony na ulicy samotny włóczęga – którego mój zacny mąż wybrał do pierwszego humanitarnego eksperymentu i którego miał nadzieję ocalić od dożywotnich cierpień za sprawą wstawiennictwa pewnej ważnej osoby z dworu królewskiego. Wiedzą już panowie, że plany i życzenia mojego zmarłego męża są dla mnie świętością. Mam zamiar zobaczyć się z tym skutym łańcuchami biedakiem i jeżeli moje kobiece sumienie mi tak nakaże, bez względu na wszystko dokończę dzieło miłosierdzia rozpoczęte przez mojego męża i zwrócę mu wolność.

Usłyszawszy tę śmiałą deklarację, wszyscy trzej – co wstyd przyznać w obecnych, oświeconych czasach – zaprotestowaliśmy. Delikatny z reguły pan Hartrey wyraził swój sprzeciw niemal tak samo głośno i dobitnie co radca prawny – i mnie też daleko było do powściągliwości. Być może na nasze usprawiedliwienie mógłbym przytoczyć tutaj fakt, że pięćdziesiąt lat temu nawet niektóre z najwyższych autorytetów wykazałyby się zapewne na naszym miejscu podobnym uprzedzeniem i ignorancją. Nasze protesty jednak nie tylko ciotki nie zraziły, ale wręcz pogłębiły jej determinację.

– Nie będę pana dłużej zatrzymywała – rzekła do radcy prawnego. – Daję panu resztę dnia na podjęcie decyzji. Jeśli nie zgodzi się pan mi towarzyszyć, pojedę sama. A jeśli postanowi pan jednak przyjąć propozycję, proszę przesłać mi wiadomość do końca dnia.

Na tym zakończyło się nasze spotkanie.

Wczesnym wieczorem zjawił się młody pan Keller, który od razu, jak tylko został nam przedstawiony, wzbudził we mnie i ciotce wielką sympatię. Był to przystojny młodzieniec o jasnych włosach, rumianej cerze i bezpośrednim, przyjemnym sposobie bycia – nieco zasmucony i przygaszony, niewątpliwie wskutek przymusowej rozłąki z ukochaną z Würzburga. Ciotka, z typową dla siebie troskliwą uprzejmością, zaproponowała, żeby przeniósł się z domu pana Hartreya do nas i zamieszkał w pokoju sąsiadującym z moim.

– Mój siostrzeniec David mówi po niemiecku i pomoże się panu u nas zadomowić.

Po tych słowach nasza łaskawa pani zostawiła nas samych.

Fritz ciągnął rozmowę z typową dla niemieckich studentów swobodą i pewnością siebie.

– Pańska znajomość mojego języka z pewnością okaże się dalece łączącym nas ogniwem – zaczął. – Przyzwyczajam się czytać i pisać po angielsku, ale mówię słabo.

Czy oprócz tego mamy jeszcze jakąś wspólną cechę? Być może tak jak ja jest pan palaczem?

Nauczyłem się palić dzięki nieodżałowanemu panu Wagnerowi. W odpowiedzi na pytanie, które zadał nowy znajomy, poczęstowałem go cygarem.

– Kolejne łączące nas ogniwo! – zawołał Fritz. – Od tej chwili będziemy musieli być przyjaciółmi. Podaj mi dłoń!

Uścisnęliśmy się. Fritz zapalił cygaro, popatrzył na mnie z uwagą, odwrócił znów wzrok, po czym z ciężkim westchnieniem wypuścił z ust pierwszy kłęb dymu.

– Ciekawy jestem, czy łączy nas coś jeszcze? – rzekł w zamyśleniu. – Czy jesteś jednym z tych drętwych Anglików? Powiedz mi, Davidzie, mój nowy przyjacielu, czy jako najniezwyklejszy z nieszczęśliwych mogę rozmawiać z tobą swobodnie?

– Najswobodniej jak tylko pan zechce – odrzekłem.

On wciąż się wahał.

– Potrzebuję dobrej zachęty – stwierdził. – Mów mi po imieniu. Powiedz do mnie: „Fritz”.

Spełniłem jego życzenie. On przysunął się do mnie bliżej na swoim krześle i położył serdecznie dłoń na moim ramieniu. Począłem się zastanawiać, czy owa zachęta z mojej strony nie była zbyt pochopna.

– Czy jesteś zakochany, Davidzie? – zadał owo pytanie tak beznamiętnie, jakby pytał o godzinę.

Byłem na tyle młody, że się zaczerwieniłem. Fritz uznał mój rumieniec za wystarczającą odpowiedź.

– Z każdą kolejną minutą spędzoną w twoim towarzystwie – zawołał z zapalem – lubię cię coraz bardziej i coraz wyraźniej widzę pokrewieństwo naszych dusz! A więc jesteś zakochany. Mam do ciebie jeszcze jedno pytanie: czy coś stoi na przeszkodzie twojej miłości?

Otóż stało. Moja ukochana była dla mnie zbyt stara i zbyt uboga – i, jak czas pokazał, nasza znajomość nie miała żadnej przyszłości. Przyznałem, że istnieją pewne utrudnienia, ale z typowo angielską powściągliwością powstrzymałem się przed wtajemniczeniem go w szczegóły.

Ta odpowiedź w zupełności wystarczyła Fritzowi.

– Dobry Boże! – wykrzyknął. – Nasze losy idealnie siebie przypominają! Obaj jesteśmy absolutnymi pechowcami. Davidzie, nie dam rady już dłużej ze sobą walczyć; bezwzględnie muszę cię uściskać!

Wzbraniałem się, jak mogłem, ale Fritz był ode mnie silniejszy. Prawie mnie udusił swoimi długimi ramionami, drapiąc przy okazji mój policzek szczeciniastym wąsem. W pierwszym niekontrolowanym odruchu oburzenia zacisnąłem dłoń w pięść. Młody pan Keller nawet nie podejrzewał, jak niewiele dzieliło moją

angielską rękę i jego niemiecką głowę od nawiązania bliskiej, bolesnej znajomości. Cóż, różne nacje – różne obyczaje. Teraz, pisząc o tym, tylko się uśmiecham.

Fritz siadł z powrotem na swoim miejscu.

– Moje serce jest już spokojne i mogę je teraz przed tobą otworzyć – powiedział. – Nie słyszałeś jeszcze nigdy, przyjacielu, tak ciekawej historii miłosnej jak moja. To najśłodsza dziewczyna pod słońcem: ciemnowłosa, szczupła, pełna wdzięku, zachwycająca i ledwie osiemnastoletnia. Przypuszczam, że stanowi wierną kopię swojej owdowiałej matki z czasów jej młodości. Ma na imię Minna i jest jedyną córką madame Fontaine. Madame Fontaine to imponująca istota, isticie rzymska matrona, a przy tym ofiara zazdrości i wielu plotek. Dasz wiarę? Pewni nikkzemnicy z Würzburga – (jej mąż był profesorem chemii na tamtejszym uniwersytecie) – pewni nikkzemnicy, powiadam, lżą matkę mojej Minny przezwiskiem „Izebel”, a samą Minnę nazywają „Córka Izebel”![1] Pojedykowałem się już z trzema kolegami z uczelni w odwecie za tę zniewagę. Niestety, Davidzie, jest jeszcze ktoś, kto nie pozostał obojętny na te wstrętne pomówienia! To ktoś dla mnie święty, mój własny rodzic! Czy to nie okropne? Mój poczciwy ojciec w tej jedynej kwestii zachował się niczym prawdziwy despota: oświadczył, że nigdy nie poślubię „Córki Izebel” i nadużywając rodzicielskiego autorytetu, nakazał mi wyjechać do obcego kraju, siedzieć na stołku i przepisywać listy. Ha! Jak mało mnie zna! Należę do Minny, a Minna należy do mnie. Duszą i ciałem, teraz i na wieczność, tworzymy jedność. Widzisz moje łzy? Czy moje łzy nie mówią same za siebie? Nieskrępowany płacz przynosi sercu ulgę. Opowiada o tym pewna niemiecka pieśń. Jak tylko się uspokoję, zaśpiewam ci ją. Muzyka to doskonały pocieszyciel; muzyka sprzyja miłości. Opowiada o tym inna niemiecka pieśń. – Gwałtownie otarł oczy i wstał, najwyraźniej tknięty nową myślą. – Tutaj jest tak nudno – zauważył. – Nie nawykłem do spędzania wieczorów w domu. Czy w Londynie są jakieś miejsca, w których można posłuchać muzyki? Pomóż mi na parę godzin zapomnieć o Minnie. Zaprowadź mnie tam, gdzie gra muzyka.

Nasłuchawszy się już dosyć jego egzaltowanych wynurzeń, byłem ze swojej strony żądny jakiegokolwiek odmiany. Pomogłem mu zatem zapomnieć o Minnie, zabierając go na koncert promenadowy w ogrodach Vauxhall. Fritz doszedł do wniosku, że naszym angielskim orkiestrom brakuje wyrafinowania i animuszu. Okazał natomiast należyte uznanie naszemu angielskiemu butelkowanemu piwu. W drodze powrotnej z ogrodów zaśpiewał mi ową niemiecką pieśń o przynoszącym sercu ulgę nieskrępowanym płaczom – z takim uczuciem i werwą, że z pewnością obudziliśmy każdą śpiącą lżejszym snem osobę w okolicy.

Wszedłszy do swojej sypialni, znalazłem na toalecie otwarty list zaadresowany do mojej ciotki. Radca prawny informował w nim, że postanowił jej towarzyszyć podczas wizyty w zakładzie dla obłąkanych, ale nie obiecywał

żadnych dalszych ustępstw. Zostawiając list do mojego wglądu, ciotka dopisała w poprzek kartki ołówkiem: „Jeśli masz ochotę, Davidzie, możesz do nas dołączyć”.

Poczułem, jak wzbiera we mnie ciekawość – i, czego nie muszę chyba dodawać, od razu zdecydowałem się wziąć udział w wyprawie do Bedlam.

[1] Izebel – pogańska królowa Izraela; biblijny symbol kobiecego zła, chciwości, rozwiązłości i okrucieństwa.

Rozdział 4

W wyznaczony poniedziałek byliśmy gotowi do drogi.

Trudno mi powiedzieć, czy to przez brak zaufania do własnych, samodzielnych decyzji, czy z chęci zapewnienia ryzykownemu przedsięwzięciu jak największej liczby świadków – tak czy inaczej, pierwszym podjętym tego dnia przez ciotkę krokiem było skierowanie do pana Hartreya i Fritza Kellera tego samego zaproszenia, które skierowała wcześniej do radcy prawnego i do mnie.

Obaj panowie odmówili. Kierownik biura usprawiedliwił się obowiązkami służbowymi: jako że poniedziałek był dniem poświęconym korespondencji zagranicznej, nie mógł sobie pozwolić na opuszczenie stanowiska. Fritz nie próbował nawet szukać wymówek i z typową dla siebie prostolinijnością wyznał szczerze:

– Panicznie boję się szaleńców. Napawają mnie taką grozą i przygnębieniem, że sam niemal popadam w obłąd. Proszę nie wymagać ode mnie, żebym pani towarzyszył. I – och, droga pani! – proszę samej też tam nie jechać!

Ciotka uśmiechnęła się smutno, po czym ruszyła do wyjścia.

Byliśmy zaopatrzeni w specjalne, pisemne zezwolenie na wstęp do szpitala, zobowiązujące naczelnika do oddania się do naszej pełnej dyspozycji. Naczelnik przywitał ciotkę z najwyższą uprzejmością i zaproponował oprowadzenie nas po całym budynku, a potem wspólny lunch w jego prywatnym mieszkaniu.

– Przy następnej okazji z przyjemnością skorzystam z pańskiej łaskawości – odpowiedziała ciotka. – Dzisiaj jednak chcę się tylko zobaczyć z jednym z nieszczęśników przebywających w tym zakładzie.

– Tylko z jednym? – zapytał naczelnik. – Zapewne chodzi pani o któregoś z naszych ważniejszych pacjentów?

– Przeciwnie – odparła ciotka. – Chodzi mi o pewnego osamotnionego biedaczynę, którego przywieziono z ulicy i który, jak mnie poinformowano, znany jest tutaj jedynie pod przezwiskiem „Słomiany Jack”.

Naczelnik spojrział na nią z wyrazem absolutnego zdumienia.

– Na litość boską, madame! – wykrzyknął. – Zdaje sobie pani sprawę, że Słomiany Jack jest jednym z najniebezpieczniejszych wariatów przebywających w tym zakładzie?

– Słyszałam, że za takiego tutaj uchodzi – przyznała cicho ciotka.

– I mimo to chce się pani z nim spotkać?

– Tylko w tym celu tutaj przyjechałam.

Naczelnik popatrzył najpierw na radcę prawnego, a potem na mnie, niemo prosząc, żebyśmy wyjaśnili mu, jeśli to możliwe, owo niepojęte pragnienie zobaczenia się ze Słomianym Jackiem. Radca prawny przemówił za nas dwóch.

Przypomniat naczelnikowi o niezwykłych poglądach świętej pamięci pana Wagnera na kwestię leczenia obłąkanych i o jego szczególnym zainteresowaniu tym konkretnym przypadkiem.

– I wdowa po panu Wagnerze podziela to zainteresowanie, tak jak wszystkie inne poglądy swojego męża – dodała ciotka.

Na te słowa naczelnik zgiął się w pokornym ukłonie, zaprzestając dalszych dyskusji.

– Proszę wybaczyć, jeśli zajmie to kilka minut – powiedział i pociągnął za dzwonek.

W drzwiach pojawił się służący.

– Czy Yarcombe i Foss pełnią teraz dyżur w południowym skrzydle? – zapytał naczelnik.

– Tak, sir.

– Proszę natychmiast przysłać tutaj jednego z nich.

Po kilku minutach wyczekiwania usłyszeliśmy za drzwiami czyjś gardłowy, gruby głos.

– Obecny, sir!

Naczelnik grzecznie podsunął ciotce swoje ramię.

– Proszę pozwolić, że zaprowadzę panią do Słomianego Jacka – powiedział tonem, przez który przebijała się nutka wesołej ironii.

Opuściliśmy pomieszczenie. Radca prawny i ja szliśmy tuż za ciotką i jej towarzyszem. Nasz niewielki pochód zamykał człowiek, którego minęliśmy na wycieraczce pod drzwiami. Niezależnie od tego, czy nazywał się Yarcombe, czy Foss, był to zwalisty, patrzący spode łba, ohydnie brzydki osobnik.

– Jeden z naszych asystentów – naczelnik wyjaśnił ciotce. – Niewykluczone, madame, że będziemy potrzebowali jeszcze drugiego, żeby pani spotkanie ze Słomianym Jackiem przebiegło bez zakłóceń.

Wspiąwszy się po schodach oddzielonych od niższego piętra masywnymi, zamykanymi na klucz drzwiami, przeszliśmy przez kilka ponurych, kamiennych korytarzy, których strzegły kolejne drzwi. Z obydwu stron dochodziły nas – czasem z większej, czasem z mniejszej odległości – krzyki wściekłości i bólu pomieszane z jeszcze okropniejszym, wyjąłym śmiechem. Przystąpiliśmy przez ostatnie, jeszcze masywniejsze od poprzednich drzwi, które odcięły nas od tamtych przerażających hałasów, i znaleźliśmy się w niewielkim, kolistym pomieszczeniu. Tutaj naczelnik przystanął i przez chwilę nasłuchiwał. Wokół panowała martwa cisza.

Skinąwszy na asystenta, naczelnik wskazał na kute, dębowe drzwi i polecił:

– Zajrzyjcie do środka.

Człowiek otworzył niewielki lufcik w drzwiach i zajrzał do środka przez zabezpieczające go kraty.

– Śpi czy nie śpi? – zapytał naczelnik.

– Nie śpi, sir.

– Pracuje?

– Tak, sir.

Naczelnik odwrócił się do mojej ciotki.

– Szczęście pani dopisuje, madame: będzie miała pani okazję poznać jego spokojniejsze oblicze. Umila sobie czas wyplataniem kapeluszy, koszyków i mat stołowych ze słomy. Całkiem zgrabnie mu to wychodzi i stąd jego przydomek. Nadał mu je jeden z naszych dochodzących lekarzy, człowiek o wielkim poczuciu humoru. Czy otworzyć drzwi?

Ciotka bardzo pobladła. Nie sposób było nie zauważyć, że walczy z silnym zdenerwowaniem.

– Proszę dać mi chwilę – powiedziała. – Muszę się uspokoić, zanim się z nim spotkam. – Przysiadłszy na kamiennej ławeczce, zapytała: – Co pan wie na temat tego nieszczęśnika? Nie pytam ze zwykłej ciekawości, mam ważniejsze powody. Jest młody czy stary?

– Sądząc po uzębieniu – odrzekł naczelnik, zupełnie jak gdyby mówił o koniu – to z pewnością młody człowiek, ale o bardzo zniszczonej skórze i przedwcześnie posiwiały. Z tego, co zdołaliśmy wywnioskować z jego słów (czasem nachodzi go ochota, żeby coś o sobie powiedzieć), owe osobliwe anomalie w jego fizyczności są wynikiem pewnego przypadkowego zatrucia, które ledwo przeżył. Jednak jak i gdzie doszło do owego wypadku, tego nie potrafi albo nie chce nam wyjaśnić. Wiemy o nim tylko tyle, że nie ma żadnych przyjaciół czy rodziny. Mówi po angielsku, ale z dziwnym akcentem, więc podejrzewamy, że może być cudzoziemcem. Proszę zrozumieć, madame, że trzymamy go tutaj jedynie z dobrego serca. To instytucja pod patronatem królewskim i zasadniczo trafiają do nas pacjenci wyższego urodzenia. Słomianego Jacka spotkało jednak niebywałe szczęście. Nie mając dość rozumu, jak sądzę, żeby zachować należyłą ostrożność na ulicy, został potrącony, całkiem niedaleko stąd, przez powóz pewnej ważnej osobistości, której nazwisko dyskretnie pominę. Mimo że nie doznał cięższych obrażeń, owa osobistość (powiem tylko tyle, że to pewna wysoko postawiona dama) tak bardzo przejęła się wypadkiem, że od razu go tutaj przywiozła i wymogła na nas, byśmy go przyjęli. Ach, pani Wagner, wielkoduszność tej możnej pani w pełni odpowiada jej wysokiej godności! Od czasu do czasu Jej Wysokość dowiaduje się o zdrowie wariata, który miał szczęście wpaść pod kopyta jej konia. Nigdy jednak nie wtajemniczamy jej w to, ile kłopotów i wydatków nam on przysparza. Musieliśmy wystarać się dla niego o odpowiednio mocne kajdany i jeśli się nie mylę – dodał naczelnik, odwracając się do swojego asystenta – nie dalej jak tydzień temu potrzebny był nowy bat.

Asystent sięgnął do głębokiej kieszeni swojego płaszcza i wyjął z niej

okropny, upleciony z wielu rzemieni bat. Zademonstrował owo narzędzie tortur z wyraźną dumą i satysfakcją.

– Właśnie tym przywołujemy go do porządku, moja pani – wyjaśnił wesoło.
– Proszę wziąć go do ręki.

Ciotka zerwała się na równe nogi. Była tak oburzona, że niechybnie smagnęłaby okrutnika jego batem przez kark, gdyby naczelnik w porę nie odepchnął go bezceremonialnie na bok.

– Gorliwy sługa – skwitował to zajście, uśmiechając się przyjemnie. – Proszę mu wybaczyć.

Ciotka wskazała palcem na drzwi.

– Proszę je otworzyć – poleciła. – Każdy widok będzie lepszy od widoku tego potwora!

Stanowczość jej głosu wyraźnie zaskoczyła naczelnika. Na widok bata obudziła się w niej ta strona charakteru, o której istnieniu nie miał pojęcia. Bładość ustąpiła z twarzy, drżenie opuściło ciało, spojrzenie wspaniałych, szarych oczu było jasne i pewne.

– Ten barbarzyńca rozpalił krew w jej żyłach – szepnął w moje ucho radca prawny, oglądając się na asystenta. – Teraz nic już jej nie powstrzyma, Davidzie. Teraz dopnie swego...

Rozdział 5

Naczelnik własnoręcznie otworzył drzwi celi.

Znaleźliśmy się w wąskim, strzelistym pomieszczeniu więziennym przypominającym wnętrze wieży. Po jednej stronie, wysoko, w ponurym, kamiennym murze, widniał zakratowany otwór, przez który przenikało do środka powietrze i światło dnia. Wariat, którego spotkało „niebывale szczęście”, jak to określił naczelnik, siedział na podłodze pośród wiązek słomy w jednym z kątów celi. Promienie słońca padały ukośnie z owego wysokiego okna na jego przedwcześ-nie posiwiałe włosy, wydobywając z półmroku osobliwą, żółtawą bladość twarzy i młodzieńczą symetrię zwinnych, zajętych pracą dłoni. Ciężki łańcuch, którym przykuto go do ściany, był nie tylko okręcony wokół talii więźnia – pętał mu także nogi między kolanem i kostką. Jego długość, jak obliczyłem w duchu, umożliwiała wykonanie kilku niezgrabnych ruchów w promieniu pięciu lub sześciu stóp. Nad jego głową wisiał – gotowy do użycia w razie konieczności – krótszy łańcuch przeznaczony najprawdopodobniej do krępowania rąk w nadgarstkach. O ile pozycja, w której siedział, nie tworzyła złudnego wrażenia, wydawał się być niewielkiego wzrostu. Podarte odzienie ledwo zakrywało wychudłe ciało. W minionych, pomyślniejszych czasach musiał być zgrabnym, małym człowieczkiem; jego stopy i kostki cechowały się tą samą kształtną delikatnością co ręce. Był tak pochłonięty swoim zajęciem, że najwyraźniej nie usłyszał odgłosów rozmowy prowadzonej pod celą. Podniósł wzrok dopiero, kiedy asystent (który na znak naczelnika wszedł za nami do środka) zamknął za sobą z łoskotem drzwi.

Zobaczyliśmy teraz jego duże, brązowe oczy o apatycznym, cierpliwym wyrazie, ostre kontury wymizerowanego oblicza i nerwowy zarys delikatnych ust. Przez moment przyglądał się z łagodną, dziecięcą ciekawością twarzom gości. Wreszcie dostrzegł asystenta wciąż stojącego za nami z batem w ręku.

W jednej chwili wyraz twarzy szaleńca całkowicie się zmienił. W jego oczach zaiskrzyła wściekła nienawiść; jego wargi rozchyliły się gwałtownie i obnażyły zęby przywodzące na myśl zęby dzikiej bestii. Ciotka, widząc, w jakim kierunku padło jego spojrzenie, przesunęła się, żeby zasłonić nienawistną, uzbrojoną w bat postać i skupić jego uwagę na sobie.

Wyraz oblicza nieszczęśnika jeszcze raz przeraźliwie szybko się zmienił. Wzrok złagodniał, usta wygięły się nieznacznie w smutnym, drżącym uśmiechu. Upuszczając na podłogę wiązkę plecionej słomy, uniósł ręce w geście podziwu.

– Jaka śliczna dama! – szepnął. – Och, jaka śliczna dama!

Spróbował wysunąć się spod ściany na tyle, na ile pozwoliłaby mu długość krępującego go łańcucha, ale zaraz, na znak naczelnika, zatrzymał się i westchnął

gorzko.

– Za nic w świecie nie wyrządziłbym jej krzywdy – powiedział. – Proszę mi wybaczyć, waszmość pani, jeśli ją przestraszyłem.

Głos miał nadzwyczaj delikatny, ale jego akcent brzmiał nieco dziwnie – i w sposobie, w jaki przemówił do ciotki, zwracając się do niej per „waszmość pani”, była być może jakaś cudzoziemska ceremonialność. Przeciętny Anglik powiedziałby raczej „madame”.

Wraz z pozostałymi dżentelmenami trzymałem się na bezpieczny dystans od jego łańcucha. Ciotka – dając się ponieść, jak przystało na typową kobietę, odruchowi współczucia i lekceważąc niebezpieczeństwo – ruszyła ku niemu. Naczelnik chwycił ją za ramię, zatrzymując w pół kroku.

– Proszę uważać – powiedział. – Nie zna go pani tak dobrze jak my.

Żrenice Jacka zwróciły się ku naczelnikowi, powoli się rozszerzając. Jego wargi znów poczęły się rozchyłać i już wydawało mi się, że zaraz zobaczę na jego twarzy tamten przeraźliwy, dziki wyraz – lecz przeliczyłem się. W chwili kolejnego napadu wściekłości nieszczęśnik pokazał, że jeżeli tylko zechce, przy odpowiednim wysiłku woli potrafi nad sobą zapanować. Biorąc w ręce przykuwający go do ściany łańcuch, ścisnął go z taką spazmatyczną energią, że omal nie wyszły mu na wierzch przez skórę kości palców. Jego głowa opadła na pierś, wychudłe ciało zatrzęsło się od stóp do głów. Wszystko trwało ledwie krótki moment. Kiedy znów podniósł wzrok na ciotkę, jego apatyczne, brązowe oczy zamglone były łzami. Ciotka natychmiast wyrwała się przytrzymującemu ją za ramię naczelnikowi i zanim ktokolwiek z nas zdążył zareagować, już stała nad Słomianym Jackiem i tkliwie kładła na jego głowie jedną ze swoich zgrabnych, białych dłoni.

– Jaką masz rozpaloną głowę, biedny Jacku! – rzekła bezpośrednio. – Czy chłód mojej dłoni przynosi ulgę?

Jack, nadal kurczowo ściskając w rękach swój łańcuch, odpowiedział niczym nieśmiałe dziecko:

– Przynosi, waszmość pani. Dziękuję.

Ciotka podniosła z podłogi mały słomkowy kapelusz, nad którym pracował, kiedy weszliśmy do celi.

– Piękna robota, Jacku – odezwała się znowu. – Opowiedz mi, jak to się stało, że zacząłeś wypłacać te cudenka ze słomy.

Słomiany Jack spojrzał na nią w nagłym przypiływie pewności siebie. Jej zainteresowanie kapeluszem pochlebilo mu.

– Swego czasu moje ręce były najbardziej szaloną częścią mojej osoby. Zwracały się przeciwko mnie, rwąc włosy z głowy i szarpiąc ciało. Anioł, którego zobaczyłem we śnie, podpowiedział mi, jak nad nimi zapanować. Rzekł do mnie: „Pozwól im pleść słomę”. Więc cały dzień plotę. Nocą też bym plótł, gdyby tylko

dali mi lampę. Noce są tutaj okropne, przerażające... Nocą dręczy mnie zimne powietrze, osaczają mnie głębokie ciemności. Powiedzieć waszmość pani, co jest największym błogosławieństwem na tym świecie? Światło! Światło!! Światło!!!

Kiedy jego przybierający stopniowo na sile głos przeszedł niemal we wrzask, Jack ścisnął rękoma mocniej swój łańcuch i natychmiast się uciszył.

– Już się uspokoiłem, sir – powiedział, zanim naczelnik zdążył go upomnieć.

Ciotka dodała na jego obronę:

– Jack obiecał mnie nie niepokoić i jestem pewna, że dotrzyma słowa. Czy nie miałaś nigdy, nieszczęśniku, rodziców albo przyjaciół, którzy byliby dla ciebie dobrzy? – zwróciła się znów do niego.

Słomiany Jack podniósł na nią oczy.

– Nie, dopóki nie poznałem waszmość pani. – Gdy wypowiadał te słowa, w jego przepełnionym wdzięcznością spojrzeniu pojawił się błysk inteligencji. – Proszę zapytać mnie jeszcze o coś innego – poprosił – a zobaczy waszmość pani, z jakim spokojem jej odpowiem.

– Czy to prawda, Jacku, że pewnego razu przez przypadek czymś się zatruliś i że prawie cię to zabiło?

– Tak!

– Gdzie to było?

– Daleko stąd, w innym kraju. W dużym laboratorium doktora. Za czasów, gdy byłem służącym doktora.

– O jakim doktorze mówisz?

Jack przyłożył sobie rękę do czoła.

– Proszę mnie nie popędzać – rzekł. – Kiedy próbuję sobie za dużo naraz przypomnieć, zaczyna mnie boleć głowa. Najpierw skończę wyplatać kapelusz. Chcę go podarować waszmość pani, kiedy będzie gotowy. Waszmość pani nie wie, jak zwinnie posługuję się palcami. Proszę popatrzeć i przekonać się na własne oczy!

Począł pracować nad kapeluszem, z zadowoleniem demonstrując ciotce swoje umiejętności. Pechowcem, który nadał rzeczom gorszy bieg, był radca prawny. Przyglądając się dotąd wszystkiemu biernie, zacny dżentelmen najwyraźniej doszedł do wniosku, że powaga jego profesji obliguje go do odegrania w sprawie bardziej prominentnej roli.

– Przyda się tutaj moje zawodowe doświadczenie – powiedział. – Zastosuję wobec niego taktykę, jakiej używa się przy przesłuchiowaniu niesprzyjających świadków drugiej strony. Zobaczycie, że w ten sposób na pewno coś z niego wyciągniemy. Jacku!

Niesprzyjający świadek wciąż nieugięte pracował nad swoim kapeluszem. Radca prawny (trzymając się dobrze poza zasięgiem łańcucha) podniósł głos:

– Halo! – zawołał. – Chyba nie jesteście głusi, co?

Jack podniósł na niego wzrok, w którym zapaliły się figlarne ogniki. Człowiek pokorniejszy wziąłby sobie owo ostrzeżenie do serca i nie próbował już niczego mówić. Radca prawny jednak nie ustępował.

– Dobry człowieku! Możemy chyba trochę pogawędzić? Jak się naprawdę nazywacie, bo przecież nie Słomiany Jack?

– Możecie się do mnie zwracać tak, jak się wam podoba – odparł Jack. – A wy jak się nazywacie?

– Ależ to żadna odpowiedź! Musieliście mieć jakąś matkę i ojca.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

– Gdzie się urodziliście?

– W rynsztoku.

– Jak przeżyliście dzieciństwo?

– Nieraz dzięki trzepnięciu w ucho.

– A innymi razy?

– Innymi razy dzięki kopniakowi. Nie odzywajcie się już do mnie i pozwólcie mi skończyć mój kapelusz.

Skonsternowany radca prawny na koniec spróbował jeszcze przekupstwa. Wyciągając w górę jednego szylinga, zapytał:

– Widzicie to?

– Nie. Widzę tylko mój kapelusz.

Te słowa położyły kres przesłuchaniu. Radca prawny spojrzał na naczelnika i powiedział:

– Beznadziejny przypadek, sir.

Naczelnik spojrzał na radcę prawnego i powiedział:

– Zupełnie beznadziejny.

Jack skończył wypłacać kapelusz i wręczył go ciotce.

– Podoba się waszmość pani teraz, kiedy jest już gotowy? – zapytał.

– Bardzo – odrzekła. – Wkrótce przewiążę go wstążką i będę go nosić, myśląc o tobie. – Wyciągnęła kapelusz do naczelnika, mówiąc: – Proszę popatrzeć. W całym tym skomplikowanym splocie nie widać nigdzie żadnego defektu. Nieszczęsny Jack ma na tyle sprawny umysł, by wykonać tak misterną i wymagającą głębokiej koncentracji robotę. Mimo to uważa go pan za nieuleczalny przypadek?

Naczelnik zbył jej pytanie machnięciem ręki.

– Czysto mechaniczna czynność – stwierdził. – To nic nie znaczy.

Jack trącił ciotkę, mówiąc:

– Chciałbym coś szepnąć waszmość pani.

Ciotka pochyliła się ku niemu i nadstawiła ucha. Na jej twarzy zaraz pojawił się uśmiech.

Po tym, jak opuściliśmy mury zakładu, zapytałem, co jej wówczas

powiedział. Jack podobno tak oto wyraził się o głównym administratorze szpitala w Bethlehem: „Proszę go nie słuchać, waszmość pani. Biedak jest niespełna rozumu. A do tego niski: nie więcej niż sześć cali wyższy ode mnie!”.

To jednak nie oznaczało jeszcze końca spotkania ciotki z wrogiem Jacka.

– Przepraszam, że przysparzam panu kłopotu, sir – odezwała się znowu – ale przed odjazdem chciałabym zamienić z panem słowo na osobności. Czy mógłby mi pan poświęcić jeszcze kilka minut?

Uprzejmy naczelnik oświadczył, że jest do jej usług. Ciotka odwróciła się, żeby pożegnać się z Jackiem. Nagłe odkrycie, że miała go za chwilę opuścić, wstrząsnęło nieszczęśnikiem i zupełnie stracił panowanie nad sobą.

– Proszę ze mną zostać! – zawołał, chwytając się jej oburącz. – Och, niech waszmość pani się zlituje i zostanie ze mną!

Ciotka zachowała przytomność umysłu i nie pozwoliła żadnemu z nas się wtrącić. Nie odsuwając się – nie usiłując nawet wyśliznąć się z jego uchwytu – przemówiła do niego cicho:

– Dzisiaj już się pożegnamy – powiedziała. – Dotrzymałeś obietnicy, Jacku: byłeś grzeczny i spokojny. Teraz muszę na pewien czas cię opuścić. Pozwól mi odejść.

Nieustępliwie pokręcił głową, nie zwalniając uścisku.

– Spójrz na mnie – ciągnęła ciotka bez cienia strachu. – Chcę ci coś powiedzieć. Nie jesteś już sam jak palec na tym świecie, Jacku. Masz we mnie przyjaciółkę. Spójrz na mnie.

Czysty, stanowczy ton jej głosu odniósł pożądany skutek. Jack podniósł głowę i popatrzył ciotce w oczy.

– A teraz pozwól mi odejść, tak jak prosiłam.

Puściwszy jej dłoń, nieszczęśnik rzucił się z powrotem do swojego kąta i wybuchnął płaczem.

– Nigdy jej już nie zobaczę – załkał pod nosem. – Nigdy, nigdy, nigdy więcej!

– Zobaczysz mnie jutro – powiedziała ciotka.

Zerknął na nią przez łzy, po czym, ogarnięty nową falą nieufności, znowu gwałtownie odwrócił głowę.

– Tylko tak mówi – mruknął do siebie. – Tylko tak mówi, żeby mnie uspokoić.

– Zobaczysz mnie jutro – powtórzyła ciotka. – Obiecuję.

Jack umilkł, ale nadal nie był przekonany. Przeczolągawszy się do końca długości swojego łańcucha, legł niczym pies u stóp ciotki. Ta po chwili zastanowienia wpadła na pomysł, jak sprawić, by jej uwierzył.

– Czy mogę zostawić ci coś na przechowanie do naszego następnego spotkania?

To pytanie spłynęło na niego niczym objawienie. Podniósł głowę i począł w napięciu wpatrywać się w ciotkę. Wtedy ona wręczyła mu swoją małą, ozdobną torebkę, w której nosiła chusteczkę, portmonetkę i buteleczkę soli trzeźwiących.

– Powierzam ją tylko twojej opiece, Jacku. Oddasz mi tę torebkę, kiedy spotkamy się jutro.

Te proste słowa nie tylko pomogły mu się pogodzić z perspektywą rozstania, ale też delikatnie pochlebiły jego dumie.

– Jutro zastanie pani swoją torebkę w strzępach – wyszeptał naczelnik, kiedy asystent otwierał dla nas drzwi.

– Proszę wybaczyć, sir – odparła moja ciotka – ale uważam, że nie ma powodu do takich obaw.

Zanim drzwi celi zostały za nami zamknięte, zdążyliśmy jeszcze tylko zobaczyć, jak nieszczęsny Jack tuli torebkę ciotki w ramionach, obsypując ją pocałunkami.

Rozdział 6

Po powrocie znalazłem Fritza Kellera palącego fajkę w otoczonym murem ogrodzie na tyłach domu.

Być może warto tutaj wspomnieć, że w owym czasie kupcy miejscy tego bardziej staroświeckiego gatunku wciąż mieli zwyczaj mieszkać przy swoich biurach. Na siedzibę firmy świętej pamięci pana Wagnera składały się dwa przestronne, sąsiadujące ze sobą budynki połączone wewnętrznym przejściem. Jeden z owych budynków przeznaczono na biura i magazyny. W drugim (tym ze wspomnianym ogrodem na tyłach) mieściły się prywatne apartamenty.

Fritz, wyszedłszy mi na spotkanie, raptownie przystanął, a jego oblicze stężało.

– Coś się wydarzyło – powiedział. – Widzę to po twojej twarzy! Czy tamten wariat miał z tym coś wspólnego?

– Tak. Chcesz, żebym ci wszystko opowiedział, Fritz?

– Za nic w świecie. Nie mam ochoty słuchać żadnych przerażających historii. Wolę pozostawić osobę tego wariata swojej wyobraźni. Porozmawiajmy o czymś innym.

– Za kilka tygodni prawdopodobnie się z nim spotkasz, Fritz.

– Chyba nie chcesz przez to powiedzieć, że pojawi się w tym domu?

– Obawiam się, że wszystko na to wskazuje.

Fritz spojrział na mnie wzrokiem człowieka, którego poraził piorun.

– Takich przytłaczających informacji nie powinno się przekazywać bliźniemu, gdy ten stoi – stwierdził w typowym dla siebie, fantazyjnym stylu. – Usiądźmy.

Poprowadził mnie do altany znajdującej się na końcu ogrodu. Tam na drewnianym stole czekała butelka tak cenionego przez mojego towarzysza angielskiego piwa oraz dwie szklanki.

– Przeczuwałem, że będziemy potrzebowali pocieszenia tego rodzaju – powiedział Fritz. – Napełnij swoją szklankę, Davidzie, i od razu, dopóki w butelce nie widać dna, wyrzuc z siebie to, co najgorsze.

Najpierw wyrzuciłem z siebie najlepsze – to znaczy opowiedziałem mu wszystko, o czym pisałem na poprzednich stronach. Fritz wysłuchał mojej relacji z głębokim zainteresowaniem. Bardzo przejął się dolą Słomianego Jacka, ale ani trochę nie podzielał wiary, jaką pokładała w nim ciotka.

– Jest mi go niezmiernie żal – zauważył. – Jednak trzeba pamiętać, że Jack to tłący się wulkan. A tłące się wulkany zgodnie z zasadami prawa naturalnego od czasu do czasu wybuchają. Jedyłą nadzieję widzę w panu naczelniku. Chyba nie napuści na nas tego szaleńca, przekazując koniec jego łańcucha i całą

odpowiedzialność za niego twojej ciotce? Co mu powiedziała po tym, jak rozstaliście się z Jackiem, podczas owej dyskretnej rozmowy w pokoju gościnnym? Chwileczkę, przyjacielu. Zanim zaczniesz... – Fritz począł po omacku szukać czegoś pod ławeczką, na której obaj siedzieliśmy. – Przeczuwałem, że być może będziemy potrzebowali drugiej butelki. Oto i ona! Napełnij swoją szklanę i wejdźmy z powrotem w nasze indywidualne role: ty tego, który przyprawia o silny wstrząs moralny, a ja tego, który go doznaje. Uważam, Davidzie, że smakowita zawartość drugiej butelki orzeźwia jeszcze bardziej niż zawartość pierwszej. A więc? Co powiedziała twoja ciotka?

Powiedziała tak dużo, że nie byłbym w stanie mu wszystkiego powtórzyć. Ujmując rzecz jak najogólniej, ciotka, zobaczywszy bat, łańcuch i pacjenta, zdecydowała się przeprowadzić ryzykowny eksperyment przygotowywany przez jej męża przed śmiercią! Zamierzała wystarać się o zwolnienie Słomianego Jacka ze szpitala przy pomocy wstawiennictwa tej samej ważnej osobistości, dzięki której uprzednio został wbrew przepisom do niego przyjęty – i do której mogłaby dotrzeć przez pewnego urzędnika współpracującego z jej mężem w ostatnich dniach jego życia. Wytyczywszy sobie tego rodzaju plan, ciotka poprosiła radcę prawnego, żeby pomógł jej uczynić pierwszy krok ku jego realizacji i sporządził oficjalne pismo do zarządu zakładu przedstawiające jej życzenia i intencje.

– A co na to radca prawny? – zapytał Fritz, gdy dotarłem w swojej opowieści do tego punktu.

– Radca prawny odmówił, Fritz. Powiedział jej: „Nawet ze strony mężczyzny podejmowanie takiego ryzyka byłoby niewybaczalnym błędem. Nie sądzę, by jakiegokolwiek innej kobiecie w Anglii przyszło do głowy coś takiego”. Użył dokładnie tych słów.

– Jak je przyjęła twoja ciotka?

– Nie zrobiły na niej najmniejszego wrażenia. Przeprosiła za marnowanie jego cennego czasu i pożegnała się z nim. „Jeżeli nikt nie zechce mi pomóc – rzekła do siebie – będę musiała poradzić sobie sama”. Potem odwróciła się do mnie. „Widziałeś finezyjne efekty pracy rąk biednego Jacka – powiedziała. – Widziałeś, jak przez wzgląd na moją obecność pohamował w sobie wzbierający wybuch wściekłości. Co więcej, przy tej jednej okazji, kiedy stracił panowanie nad sobą, widziałeś, jak szybko uspokoił się pod wpływem łagodnej, serdecznej perswazji. Umiałbyś, Davidzie, skazać takiego człowieka na życie na łańcuchu i pod batem?” Co mogłem na to odrzec? Ciotka była na tyle taktowna, że nie domagała się ode mnie odpowiedzi. Poprosiła tylko, żebym się zastanowił. Od tamtej chwili cały czas o tym myślę i z każdą kolejną minutą coraz bardziej boję się konsekwencji sprowadzenia tego szaleńca do domu.

Fritz zadrżał na samo wyobrażenie takiej możliwości.

– W dniu, w którym Jack pojawi się w tym domu, ja z niego zniknę –

oświadczył. Nagle uderzyło go, że planowany przez ciotkę eksperyment może też przynieść nieprzyjemne konsekwencje towarzyskie. – Co pomyślą znajomi pani Wagner? – zafrasował się. – Nie będą chcieli jej odwiedzać. Dojdą do wniosku, że sama oszalała.

– Dlaczego się tym martwicie, drodzy panowie? Ja sama nie dbam o to, co myślą o mnie moi znajomi.

Zerwaliśmy się obaj w zakłopotaniu na równe nogi. W otwartych drzwiach altany stał nie kto inny, jak moja ciotka z listem w ręku.

– Jakież wieści do ciebie z Niemiec, Fritz. Dopiero co przyniesiono.

Wręczywszy mu list, zostawiła nas samych.

Popatrzyliśmy po sobie, nie będą ukrywał, z głębokim wstydem. Fritz nerwowo obejrzał kopertę i zaraz rozpoznał charakter pisma, którym była zaadresowana.

– Od mojego ojca! – oznajmił.

Po otwarciu koperty z jej wnętrza wypadł osobny list. Podniósłszy go z podłogi, Fritz pobladł. Pieczęć była nienaruszona, a stempel pocztowy wskazywał, że list nadano w Würzburgu.

Rozdział 7

Fritz trzymał w dłoni list z Würzburga i zwlekał z jego otwarciem.

– To nie od Minny – powiedział. – Nieznany mi charakter pisma. Być może ojciec wie coś na ten temat.

Zajrzał do listu od swojego ojca, a gdy skończył czytać, podał mi go bez słowa.

Pan Keller pisał, co następuje:

List, który załączam, dotarł do mnie, jak sam zauważysz, za pośrednictwem poczty – a wraz z nim prośba, bym przekazał go Tobie. W relacji z moim synem obowiązują mnie te same zasady kodeksu honorowego, co w relacji z każdym innym dżentelmenem. Przesyłam Ci ten list dokładnie w takim stanie, w jakim go otrzymałem. Niemniej nie mógł ujść mojej uwadze fakt, że stempel pocztowy pochodzi z miasta, w którym wciąż mieszkają wdowa Fontaine i jej córka. Zatem oświadczam, że jeśli nadawcą listu okaże się Minna albo jej matka, kategorycznie zabraniam Ci podejmować się jakiegokolwiek korespondencji z nimi. Dopóki żyję, nie dopuszczę, by moja rodzina spowinowaciła się z ich rodziną przez małżeństwo. Zrozum, najdroższy Synu, że piszę te słowa z głębi swojego ojcowskiego, kochającego serca i kieruję się wyłącznie pragnieniem Twojego dobra.

Podczas gdy byłem zajęty lekturą powyższego listu, Fritz otworzył ten z Würzburga.

– Ależ jest długi... – zauważył, przewracając gęsto zapisane kartki i szukając podpisu.

– A więc? – zapytałem.

– Hm... To anonim... – odparł Fritz. – Podpis brzmi: „Twój Tajemniczy Przyjaciół”.

– Być może kryje się za nim panna Minna albo jej matka? – podsunąłem.

Fritz przerzucił kartki, wracając do pierwszej strony i uniósł ku mnie poczerwieniałą z gniewu twarz.

– Kolejna porcja ohydnych oszczerstw! Kolejna porcja kłamstw na temat matki Minny! – wybuchnął. – Podejdz tutaj, Davidzie, bo co dwie pary oczu, to nie jedna... Jak myślisz? Ten charakter pisma należy do kobiety czy mężczyzny?

Autor tak starannie się kamuflował, że nie sposób było odpowiedzieć na to pytanie. Dysponując kopią owego listu (jak również kopiami całej reszty korespondencji powiązanej z opisywanymi tutaj wydarzeniami), z powodów, które za chwilę staną się oczywiste, dokładnie przytoczę teraz jego treść – nie pomijając nawet ordynarnie poufałego zwrotu powitalnego umieszczonego na początku.

Drogi Poczciwco,

pewien czas temu wyświadczyłeś mi drobną przysługę. Nieważne jaką.

Nieważne, kim jestem. Ważne, że zamierzam Ci się teraz odwdziżyć. Niech to wystarczy za wyjaśnienie.

Jesteś zakochany w Córce Izebel. Tylko się nie denerwuj! Wiem, że w Twoich oczach Izebel to ofiara wielkiej niesprawiedliwości. Wiem, że byłeś na tyle nierozsądny, by stoczyć w Würzburgu niejedną pojedynkę w obronie jej honoru.

Wystarczy Ci, że jest oddaną matką i że jej Bogu ducha winna córka kocha ją całym sercem. Nie odmawiam jej matczynego instynktu, ale czy sam matczyne instynkt rozgrzesza kobietę ze wszystkiego? Pomyśl, Fritz, każda kotka go ma – co nie przeszkadza jej drapać pazurami! A jeśli chodzi o nieszczęsną, prostolinijną Minnę niedostrzegającą u innych wad – niepotrafiącą rozpoznać zła nawet wtedy, kiedy ma je tuż przed sobą – czy ta dziewczyna może być wiarygodnym świadkiem w kwestii charakteru wdowy? Ech!

Nie wpadaj w złość i nie drzyj tego listu na strzepy – nie wspomnę już słowem o Minnie.

Doszły jednak do mojej wiadomości pewne okoliczności wskazujące niezbitcie na przestępcze działania jej matki. Przedstawię je tutaj wprost – ze szczerego szacunku dla Twojej osoby i w głębokiej nadziei, że w ten sposób otworzę Ci oczy na prawdę.

Cofnijmy się do dnia śmierci profesora Fontaine'a w jego apartamentach na terenie uniwersytetu w Würzburgu – to jest do dnia trzeciego września bieżącego roku – tysiąc osiemset dwudziestego ósmego.

Jak Ci wiadomo, nieszczęśnik zmarł na tyfus, zostawiając po sobie długi, których przyczyną nie była jego własna rozrzutność. Przeżywszy wszystkich swoich krewnych, nie miał żadnych majątkowych nadziei względem nikogo – toteż zamiast sporządzić przed śmiercią testament spadkowy, mógł tylko przedstawić na piśmie swoje ostatnie życzenia.

Na kartach owego dokumentu tonem pokornej prośby powierzał swoją żonę i dziecko opiece krewnych wdowy. Przechodząc w następnej kolejności do tematu własnej osoby, polecił, żeby przy organizacji pogrzebu kierowano się bezwzględną oszczędnością i nie narażano uniwersytetu na większe koszty niż było to absolutnie konieczne. Na koniec mianował jednego ze swoich kolegów profesorów wykonawcą swojej ostatniej woli w zakresie rozdysponowania tej części wyposażenia laboratorium, która stanowiła jego prywatne mienie.

Instrukcje pozostawione przez niego owemu wykonawcy mają tak zasadnicze znaczenie dla sprawy, że czuję się w obowiązku przytoczyć je tutaj słowo w słowo.

Oto, jak się zaczynały:

„Niniejszym powierzam mojemu drogiemu przyjacielowi i wieloletniemu współpracownikowi z uniwersytetu, profesorowi Steinowi (przebywającemu obecnie służbowo w Monachium), zadanie uporządkowania po mojej śmierci spraw związanych z zawartością laboratorium. Wszystkie narzędzia chemiczne, które

służyły mi w toku prac badawczych i które stanowią moją prywatną własność, znajdują się na długim, drewnianym stole stojącym pomiędzy dwoma oknami. Proszę, żeby w pierwszym rzędzie zostały zaoferowane mojemu następcy, a jeśli ten nie zdecyduje się ich zakupić – odesłane do monachijskiego producenta, który wyprzeda je pojedynczo. Wszystkie meble w laboratorium, zarówno te ruchome, jak i nieruchome, należą w całości do uniwersytetu. Nie dotyczy to jednak zawartości żelaznego sejfów wbudowanego w południową ścianę pomieszczenia.

Proszę, żeby w kwestii owej zawartości – stanowiącej moją prywatną własność – wykonawca woli i pełnomocnik zastosował się ściśle do poniższych instrukcji:

(1) Profesor Stein otworzy sejf w obecności kompetentnego świadka.

(2) Świadek sporządzi pod dyktando profesora Steina dokładny spis przedmiotów znajdujących się w sejfie. Będą to: fiołki z lekami, blaszane kasetki z proszkami i mały kuferek apteczny z sześcioma przegródkami, w każdej mieści się opatrzona etykietą buteleczka wypełniona płynnym preparatem.

(3) Po sporządzeniu pełnej listy profesor Stein własnoręcznie opróżni nad laboratoryjnym zlewem każdą fiołkę, każdą kasetkę i każdą buteleczkę z kufierka aptecznego. Ze szczególną starannością zniszczy też wszystkie etykiety. Następnie podpisze się pod listą, odnotowując, że zadanie zostało wykonane – co potwierdzi także swoim podpisem towarzyszący mu świadek. Tak uwierzytelniony dokument ma zostać na koniec zdeponowany u sekretarza uniwersytetu.

Celem przyświecającym powyższym instrukcjom jest zapobieżenie ewentualnemu nieszczęściu, do którego mogłoby dojść po mojej śmierci w przypadku nieumiejętnego obejścia się z którymś z preparatów chemicznych.

Prawie każdy z nich jest substancją trującą. Wyjawiwszy to tutaj, pragnę od razu dodać na swoje usprawiedliwienie, że wszystkie prace badawcze prowadziłem tylko i wyłącznie z myślą o przysłużeniu się ludzkości.

Po pierwsze, zależało mi na rozbudowaniu listy trucizn mających zastosowanie w lecznictwie. Po drugie, szukałem antidotów na zabójcze właściwości owych trucizn – antidotów, które (w przypadku przestępstwa albo nieszczęśliwego wypadku) mogłyby stanowić ratunek dla życia.

Gdyby dane mi było pisać te słowa kilka lat później, moje badania byłyby ukończone i ich rezultaty mogłyby zostać przedstawione środowisku medycznemu przez mojego następcę. Los zdecydował jednak, że nie da mi czasu na przetestowanie teorii w praktyce (nie licząc jednego wypadku, kiedy to szczęśliwie zdołałem ocalić od śmierci pewną ofiarę zatrucia) i zyskanie pewności, że podzielenie się moimi odkryciami ze światem nauki przyniesie rodzajowi ludzkiemu pożądane korzyści.

W tej sytuacji zmuszony jestem wznieść się ponad osobiste ambicje i dać pierwszeństwo zasadzie «przede wszystkim nie szkodzić». Drzę na samą myśl

o konsekwencjach, jakie mogłyby zostać spowodowane, gdyby którykolwiek z moich preparatów – zwłaszcza któryś z kufereka aptecznego – trafił w ręce kogoś niekompetentnego albo niegodziwego. Ubolewam jedynie nad tym, że nie mam dość sił, by podźwignąć się z łóżka i samodzielnie dokonać koniecznego dzieła zniszczenia. Będzie musiał mnie w tym zastąpić mój przyjaciel i wykonawca ostatniej woli.

Klucz od drzwi laboratorium oraz klucz od sejfu zostaną dzisiaj umieszczone (w obecności lekarza jako świadka) w małym, drewnianym pudełku, a to (na oczach tego samego świadka) zaplombowane moją własną pieczęcią. Tak zabezpieczone pudełko będę trzymał pod poduszką, by oddać je osobiście profesorowi Steinowi – o ile dożyję jego powrotu z Monachium.

Jeżeli wykonawca testamentu nie zdąży wrócić przed moją śmiercią, zapieczętowanym pudełkiem z kluczami zaopiekuje się moja ukochana żona – jedyna osoba na tym świecie, której ufam bezwarunkowo. Żona przekaże je profesorowi Steinowi zaraz po jego powrocie do Würzburga – razem z niniejszymi instrukcjami, które zostaną dołączone do kluczy”.

Oto jak brzmiały owe instrukcje, drogi Fritzu! Nie stanowi to już dla nikogo żadnej tajemnicy. Profesor Stein czuł się w obowiązku upublicznić je w sądzie z powodu wydarzeń, do których doszło po śmierci doktora Fontaine’a. Owe wydarzenia dotyczą również Ciebie i nie zakończę tego listu, dopóki o wszystkim się nie dowiesz.

Profesor Stein wrócił z Monachium zbyt późno, żeby odebrać pudełko z kluczami bezpośrednio z rąk swojego przyjaciela i współpracownika. Zostało mu ono przekazane przez wdowę Fontaine – tak jak życzył tego sobie jej świętej pamięci mąż.

Profesor złamał pieczęć, przeczytał instrukcje i jeszcze tego samego dnia wykonał je punkt po punkcie.

Na oczach towarzyszącego mu w charakterze świadka sekretarza uniwersytetu otworzył drzwi laboratorium. Planując zająć się sprzedażą przedmiotów pozostawionych na stole w późniejszym terminie, od razu zabrał się do sporządzenia listy pojemników, których zawartość miał zniszczyć. Otworzywszy sejf, zastał je w takim stanie, jakiego mógł się spodziewać po przeczytaniu instrukcji: pokrywająca je gruba warstwa kurzu świadczyła o tym, że od dawna nikt ich nie dotykał. Jak tylko lista była gotowa, profesor własnoręcznie opróżnił po kolei każdą fiolkę i kasetkę.

Kiedy jednak przyszła kolej na kuferek apteczny, tego w sejfie nie znaleziono. Gruntowne przeszukanie laboratorium (na wypadek gdyby w instrukcje wkradł się jakiś błąd) nie przyniosło żadnego rezultatu: apteczki nigdzie nie było.

Bezwzględnie zwrócono się z pytaniami do wdowy Fontaine. Czy wiedziała, co się stało z kuferekiem? Nie, nie była nawet świadoma istnienia takiego

przedmiotu. Czy zadbała o to, żeby do zaplombowanego pudełka nie miał dostępu nikt niepowołany? Oczywiście! Trzymała je zamknięte w szufladzie, a klucz od szuflady w kieszeni.

Sprawdzono zamek szuflady, zamki w drzwiach laboratorium i zamek od sejfów, ale nie znaleziono śladów świadczących o tym, że ktoś przy nich manipulował. Wszyscy dobrze zorientowani pracownicy uniwersytetu na pytanie, czy istnieją zapasowe kopie kluczy, odpowiedzieli przecząco. Przesłuchany lekarz stwierdził, że doktor Fontaine w odstępie czasu pomiędzy napisaniem instrukcji a swoją śmiercią nie byłby fizycznie zdolny podnieść się z łóżka i odwiedzić swojego laboratorium.

Podczas gdy owe czynności wyjaśniające były w toku, starszy asystent doktora Fontaine'a otrzymał pozwolenie na przebadanie pod mikroskopem laku zabezpieczającego pudełko z kluczami.

Dokładne oględziny i przeprowadzona w następnej kolejności analiza chemiczna dowiodły, że do zabezpieczenia pudełka użyto dwóch różnych rodzajów laku (na pierwszy rzut oka tego samego, czerwonego koloru) – na spodzie znajdowała się warstwa jednego rodzaju, którą pokrywała nieregularnie warstwa innego. Płynął z tego prosty wniosek, że lak doktora został najpierw roztopiony celem otwarcia pudełka, a następnie zalany nowym lakiem – tak żeby wykonawca woli doktora niczego nie podejrzewał. Zgodnie z zeznaniem lekarza doktor Fontaine użył do zabezpieczenia pudełka tylko jednej laski laku. Samą pieczęć znaleziono w posiadaniu jego żony – leżała na porcelanowej tacce, gdzie wdowa zwykła odkładać na noc biżuterię.

W tej sprawie w dalszym ciągu toczy się sądowe dochodzenie, jednak nie będę zanudzać Cię kolejnymi szczegółami.

Rzecz jasna, wdowa Fontaine czeka na wyniki śledztwa niczym uosobienie spokoju i niewinności. Rzecz jasna, nie tylko zgodziła się, by przeszukano jej mieszkanie, ale nawet sama to zaproponowała. Rzecz jasna, nie znaleziono u niej ani czerwonego laku, ani kufierka aptecznego. Rzecz jasna, w odstępie czasu pomiędzy śmiercią doktora i powrotem profesora Steina z Monachium jakiś niezidentyfikowany złodziej z jakiegoś niezrozumiałego powodu odpieczętował pudełko, przeczytał instrukcje i ukradł niebezpieczną apteczkę. Tak brzmi linia obrony przyjęta przez podejrzaną. Jeżeli wydaje Ci się wiarygodna, pisanie tego listu było z mojej strony daremnym trudem. Jeśli jednak jesteś rozsądnym młodzieńcem (a za takiego Cię uważam), zastosujesz się do mojej rady. Nie musisz żałować Minnie swojego współczucia, ale poszukaj sobie innej kandydatki na żonę – takiej, której matka będzie kobietą o nieposzlakowanej opinii. I podziękuj losowi za dwóch życzliwych doradców, jakich masz w osobie swojego czcigodnego ojca oraz we mnie –

Twój Tajemniczy Przyjaciel

Rozdział 8

– Założę się o każdą sumę – powiedział Fritz, kiedy skończył czytać – że autorem tego nikczemnego listu jest kobieta.

– Dlaczego tak uważasz?

– Dlatego, że do tej pory osobami rozpowszechniającymi w Würzburgu fałszywe plotki na temat biednej madame Fontaine zawsze okazywały się kobiety. Matka Minny wzbudza w nich zazdrość i nienawiść, bo przewyższa je pod każdym względem: jest urodziwa, elegancka, zawsze doskonale ubrana i przejawia wszelkie możliwe talenty. To gwiazda, prawdziwa gwiazda, powiadam, świecąca jasnym światłem pośród zbiorowiska domowych kocmołuchów. Czy przypisywanie jej winy, podczas gdy nie istnieje nawet gram dowodu przeciwko niej, nie jest haniebne? Sprzeniewierzenie się zaufaniu męża, złamanie pieczęci, kradzież trucizny... jak można posądzać o to wszystko tę bezbronną niewiastę!? Och, moja biedna, kochana Minna! Jakże musi być jej ciężko! Nie odziedziczyła przecież po matce siły ducha... Popędzę do Würzburga jak na skrzydłach, żeby ją pocieszyć. Ojciec niech mówi, co chce, nie mogę pozostawić dwóch prześladowanych kobiet bez żadnego wsparcia. A jeśli sąd rozstrzygnie sprawę na niekorzyść wdowy? Skąd mam wiedzieć, czy nie ogłoszono już werdyktu? Ta niepewność jest nie do wytrzymania! Uważasz, że powinienem słuchać się ojca, kiedy ten nie postępuje ani sprawiedliwie, ani racjonalnie?

– Spokojnie, Fritz, spokojnie!

– Powiadam ci, Davidzie, mogę przytoczyć niezbite dowody na poparcie swoich racji. Posłuchaj tylko! Mój ojciec nigdy nawet nie spotkał matki Minny, ale bezkrytycznie wierzy w plotki, które krążą na jej temat. Twierdzi, że jeżeli jakaś kobieta spotyka się z ogólną niechęcią i nieufnością sąsiadów, to musi po temu istnieć ważny powód. Przysięgam na swój honor: tylko i wyłącznie na tej podstawie zabrania mi żenić się z Minną. Czy to mądre potępiać kogokolwiek, nie wysłuchawszy uprzednio, co ta osoba ma do powiedzenia na swoją obronę? Dopiero teraz czuję, jak bardzo brakuje mi własnej, drogiej matki! Gdyby żyła, wpłynęłaby na ojca i pomogłaby mu zrozumieć, że powinien się wstydzić swoich drobnomieszczańskich uprzedzeń. Kręci mi się w głowie, kiedy myślę o tym, jak rozpaczliwa jest moja sytuacja. Jeżeli pojedę do Würzburga, ojciec już nigdy się do mnie nie odezwie. Jeżeli zostanę tutaj, chyba poderżnę sobie gardło.

Na dnie drugiej butelki zostało jeszcze trochę piwa. Fritz przelał sobie ową pozostałość do szklanki z ponurym zamiarem pochłonięcia jej do ostatniej kropli.

Wykorzystując chwilę milczenia, poradziłem mu, żeby wziął pod rozwagę, jak wielką cnotą jest cierpliwość. Przypomniałem, że nowiny z Würzburga może pozyskać w naszym najbliższym sąsiedztwie, przeglądając plik niemieckich gazet

udostępnianych w pobliskiej zagranicznej kawiarni. Żeby wzmocnić jeszcze ową sugestię, dodałem, że w najbliższym czasie ciotka najpewniej wyśle mnie do Frankfurtu z poleceniami służbowymi dla pana Kellera, i zaproponowałem, że postaram się wówczas zasięgnąć po cichu języka i być może nawet zawieźć jakąś wiadomość do Würzburga – jeżeli tylko Fritz zgodzi się cierpliwie poczekać na pojawienie się sprzyjających temu okoliczności.

Ledwie skończyłem przemawiać Fritzowi do rozsądku, kiedy moja uwaga została skierowana ku jeszcze poważniejszej i pilniejszej kwestii przywrócenia wolności Słomianemu Jackowi. Ciotka przesłała mi wiadomość, że pragnie się ze mną zobaczyć.

Zastałem ją siedzącą przy sekretarzyku w towarzystwie kierownika biura rozpartego nad biurkiem po przeciwległej stronie pomieszczenia.

Pan Hartrey równie stanowczo jak radca prawny sprzeciwiał się jakiegokolwiek ingerencji ze strony ciotki w kwestię leczenia obłąkanych. Swój obowiązek posłuszeństwa wobec pracodawcy przedkładał jednak ponad wszelkie inne względy i rad nierad robił wszystko, czego od niego wymagano. W tamtej chwili pracował pod okiem ciotki nad roboczymi wersjami koniecznych pism i wniosków. Ciotka wezwała mnie, żeby zapytać, czy nie zechciałbym ich przepisać na czysto – na obecnym etapie wołała bowiem nie wtajemniczać w swoje plany żadnego innego pracownika biura. Biorąc przykład z pana Hartreya, przemogłem swoje osobiste opory i podporządkowałem się jej życzeniom.

Nazajutrz ciotka złożyła nieszczęsnemu Słomianemu Jackowi obiecaną wizytę.

Torebka, którą powierzyła była mu na przechowanie, została jej zwrócona w nienaruszonym stanie. Ciotka zobaczyła w tym, rzecz jasna, zachętę do trwania w swoich ryzykownych zamiarach. Szalony Jack nie tylko pojmował, czym jest zobowiązanie, ale udowodnił także, że potrafi takowego dotrzymać. Naczelnik uśmiechnął się i powiedział na swój delikatnie ironiczny sposób:

– Nigdy nie twierdziłem, że Jackowi brakuje przebiegłości, madame.

Począwszy od tego dnia, działania ciotki mające na celu doprowadzenie do realizacji jej karkołomnego planu nabierały coraz większego rozpędu.

Zwróciwszy się najpierw do pewnego wysoko postawionego na dworze królewskim znajomego swojego nieżyjącego męża, ciotka znów spotkała się z łatwym do przewidzenia brakiem zrozumienia. Na próżno tłumaczyła, że jej eksperyment miałby się ograniczać do jednego wzbudzającego ogromne współczucie przypadku – to jest do osoby Słomianego Jacka – i że ewentualne dalsze prace nad wprowadzeniem w życie humanitarnego projektu świętej pamięci pana Wagnera zamierzała pozostawić ludziom lepiej przygotowanym do radzenia sobie ze związanymi z tym zagrożeniami i trudnościami. Jedynym ustępstwem, jakie udało jej się wynegocjować, była zgoda na kolejne spotkanie – tym razem

w towarzystwie dżentelmena, którego opinia powinna mieć dla niej kluczowe znaczenie. Człowiek ten należał do grona nadwornych lekarzy i słynął w swoim środowisku zawodowym z liberalnych poglądów. Pani Wagner dla własnego dobra powinna wysłuchać tego, co miałby do powiedzenia, a potem zastosować się do jego bezinteresownych rad.

Ciotka stawiała się na owo drugie spotkanie wyposażona w dodatkowy argument w postaci dziennika, który zawierał niedokończone zapiski jej męża na temat roli zastosowania moralnego wpływu w terapii chorych umysłowo osób.

Zgodnie z jej przewidywaniami zaproszony lekarz był bardziej skory oddać się lekturze notatek niż słuchać jej własnych nieporadnych wyjaśnień. Odkrywczość i zdroworozsądkowość idei popieranых przez pana Wagnera zrobiły na nim silne wrażenie, co od razu otwarcie przyznał. Lecz podobnie jak inni sprzeciwił się pomysłowi, żeby za wcielenie w życie choćby pierwiastka proponowanych reform brała się kobieta. Ciotka, poirytowana faktem, że napotyka na opór kolejnej osoby, straciła cierpliwość – i wyraziwszy niechęć wobec rad lekarza, poczęła zaciekle bronić swojego punktu widzenia. Dyskusja osiągnęła właśnie swoje apogeum, kiedy drzwi pokoju nagle się otworzyły i do środka weszła jakaś odziana w strój spacerowy dama. Obaj dżentelmeni zerwali się na równe nogi, szepcząc do ciotki gorączkowo: „księżna!”.

Była to owa „wysoko postawiona osobistość”, o której wspominał wcześniej naczelnik szpitala w Bethlehem, przez dyskrecję nie precyzując, że chodzi o jedną z córek króla Jerzego III. Księżna, udając się w towarzystwie dwóch innych dam do ogrodów pałacowych, usłyszała zza mijanych drzwi podniesione głosy i przezwisko Słomiany Jack wymówione wyraźnie przez jakąś kobietę. Odziedziczywszy po swoim znakomitym ojcu niezwykle silny instynkt ciekawości, Jej Wysokość postanowiła od razu wejść do środka i bez żadnych ceremonii przyłączyć się do rozmowy.

– O co się spieracie? – zapytała księżna. – I kim jest ta dama?

Pani Wagner, po tym, jak została uroczyście przedstawiona, postarała się jak najpełniej wykorzystać niepowtarzalną szansę, którą zesłał jej los. Księżna słuchała jej wyjaśnień najpierw ze zdziwieniem, potem z wielkim zainteresowaniem, a na końcu przyznała ciotce rację. Oto na tle monotonii dworskiego życia zarysowała się przed nią perspektywa romantycznej przygody, w której ona, córka samego króla, mogła mieć swój mały udział. Jej Wysokość przytoczyła postaci Boudiki, królowej Elżbiety i Joanny d’Arc jako kobiet dorównujących mężczyznom na ich własnym polu – i pogratulowała pani Wagner podobnego heroizmu.

– Wspaniała z pani istota – rzekła księżna. – Obiecuję, że pomogę, jak tylko będę umiała. Proszę przyjść do moich apartamentów jutro o tej porze i proszę przekazać biednemu Jackowi, że o nim nie zapomniałam.

Wszystkie formalne trudności, które mogliby czynić w sprawie przywrócenia

wolności Słomianemu Jackowi rozmaici prawnicy, lekarze i urzędnicy, łatwo było unieważnić, zdając się nie tylko na siłę królewskiego autorytetu, lecz również – co pomysłowo zasugerowała sama księżna – powołując się na literę prawa.

– To bardzo proste, moja droga – rzekła Jej Wysokość do ciotki. – Powiedziano mi, że gdy uparłam się, żeby przyjęto Jacka do szpitala, złamano dla mnie przepisy. Pani świętej pamięci mąż, którego testamentu jest pani jedynym wykonawcą, należał do zarządu. Jako pełnomocnik swojego męża może pani poskarżyć się na pogwałcenie przepisów i zażądać zwolnienia Jacka, który przecież zajmuje miejsce jakiemuś lepiej wykształconemu i lepiej urodzonemu pacjentowi. Och, mniejsza o mnie! Przepraszę za swój brak szacunku wobec przepisów i na dowód szczerości wyrażę zgodę na wypisanie Jacka ze szpitala, biorąc na siebie cały ciężar odpowiedzialności za zapewnienie mu bytu. Oto prosta droga do rozwiązania problemu. Proszę z niej skorzystać, a Jack znajdzie się u pani tak szybko, jak będzie sobie pani tego życzyła.

Trzy tygodnie później nic już nie stało na przeszkodzie, żeby – jak to określił nasz zaprzyjaźniony radca prawny – „ten groźny szaleniec zamordował panią Wagner i spalił do cna jej dom”.

Jak dokładnie został przeprowadzony ryzykowny eksperyment ciotki i w jakich aspektach poszedł po jej myśli, a w jakich zawiódł – tego niestety nie mogę już tutaj opisać jako bezpośredni świadek. Ową jakże interesującą część historii uzupełni na którejś z następnych stron swoim własnym głosem sam Jack. W międzyczasie, nie chcąc łamać chronologii zdarzeń, muszę wrócić do okoliczności, które przyczyniły się do mojego wyjazdu z Londynu.

Podczas gdy pani Wagner wciąż pozostawała w ścisłych kontaktach z dworem, dotarł do niej list od pana Kellera, który donosił o konieczności zwiększenia liczby urzędników we frankfurckiej placówce naszej firmy. Pośród natłoku innych zajęć ciotka znalazła czas, żeby wyposażyć mnie w instrukcje przygotowujące jej niemieckich współpracowników do zatrudnienia kobiet w ich biurze – o której to kwestii wspomniała już podczas naszej rozmowy z radcą prawnym po odczytaniu testamentu.

– Sprawa kobiet nie może ucierpieć tylko dlatego, że jestem teraz zaangażowana w ratowanie nieszczęsnego Jacka – rzekła do mnie. – Natychmiast jedź do Frankfurtu, Davidzie. Napisałam krótko do swoich współpracowników, żeby szykowali się na rychłe zmiany w administracji biura i na razie wstrzymali się ze zwiększaniem liczby personelu. Dobrze orientując się w moich planach, resztę będziesz mógł im sam wyjaśnić. Ruszaj w drogę najszybciej, jak to możliwe, i pamiętaj, żeby stanowczo odmówić Fritzowi, jeżeli ten zaproponuje ci swoje towarzystwo. Nie wolno mu opuszczać Londynu bez pozwolenia ojca.

Fritz, jak tylko usłyszał, dokąd się wybieram, istotnie zaproponował, że pojedzie ze mną. A muszę przyznać, że okoliczności w pełni go usprawiedliwiały.

Przeglądając poprzedniego wieczoru w kawiarni niemieckie gazety, natrafiliśmy na wieści, które wielce przygnębiły mojego wrażliwego przyjaciela.

Władzom mającym wydać werdykt w sprawie złamanej pieczęci i zaginionego kuferka aptecznego nie udało się uzyskać jednomyślności i tym samym dochodzenie nie przyniosło żadnego rozstrzygnięcia. Ów brak zgody wśród sędziów bezsprzecznie musiał położyć się cieniem na reputacji wdowy Fontaine. Nie udowodniono jej winy, ale też nie oczyszczono z zarzutów. Pragnąc zapewne uciec przed niezręcznością, z jaką musiałyby się od tej pory wiązać jej kontakty z sąsiadami, wdowa wraz z córką wyjechały z Würzburga. Na końcu prasowego artykułu wspomniano, że wyjazd nastąpił po cichu i że aktualne miejsce pobytu dam pozostaje nieznane.

Gdyby nie ta ostatnia informacja, Fritz niechybnie uparłby się, by towarzyszyć mi w podróży. Teraz jednak, nie wiedząc nawet, w którym kierunku powinien skierować swoje kroki, zgodził się pozostawić sprawę odnalezienia ewentualnego niemieckiego tropu matki i córki mnie, a samemu porozglądać się na miejscu po rozmaitych hotelach dla cudzoziemców – na wypadek gdyby damy postanowiły schronić się w Londynie.

Już następnego ranka wyruszyłem do Frankfurtu.

Opuszczając wybrzeża Anglii, byłem w doskonałym nastroju. Miałem jeszcze w sobie owo naturalne dla młodego wieku upodobanie do zmian i przygód. Na dodatek rozpierała mnie duma z faktu, że ciotka przydzieliła mi rolę oficjalnego przedstawiciela – i niemal z taką samą dumą myślałem o zaufaniu, którym obdarzył mnie mój nowy przyjaciel Fritz. Los nie mógłby wybrać spośród ludzi równie niewinnego narzędzia zguby, jakim tak naprawdę stałem się podczas tamtej feralnej podróży.

Dzień był już ciemny, kiedy po wielu dłużących się chwilach spędzonych w staromodnych środkach lokomocji dotarłem wreszcie do Frankfurtu. Przyszłość, która malowała się przede mną w sposób niejasny, gdy wsiadałem do dyliżansu pocztowego, teraz była jeszcze ciemniejsza.

Rozdział 9

Skończyłem właśnie podawać odpowiednie informacje bagażowemu, który miał zawieźć mój kufer podróżny do domu pana Kellera, kiedy z tyłu dobiegł mnie kobiecy głos pytający o to, jak dojść do biura, skąd można odebrać listy wysłane na *poste restante*, czyli na pocztę, gdzie przechowuje się listy, dopóki nie zgłosi się po nie sam adresat.

Głos był zachwycająco świeży i uroczy i pobrzmiwała w nim nuta smutku, co czyniło go jeszcze bardziej interesującym. Zrobiłem to, co zrobiłaby większość młodzieńców na moim miejscu: natychmiast obejrzałem się za siebie.

Tak! Stojąca za mną osoba w każdym calu odpowiadała oczekiwaniom, które rozbudził we mnie jej głos. Była to bardzo młoda, skromna i dystygowana dziewczyna – nieco blada i zatroskana, biedactwo, jak gdyby życie zdążyło już pokazać jej swoje smutniejsze strony.

Jej twarz ożywiały oczy o łagodnym, czułym wejrzeniu. Sylwetkę miała drobną i gibką, a suknię z najskromniejszego materiału – ale tak starannie skrojoną i gustowną, że gdyby nie czysty, południowoniemiecki akcent, który wyraźnie usłyszałem w zadanym przez nią pytaniu, zwątpiłbym w to, czy dziewczyna jest Niemką. Konduktor dyliżansu pocztowego, którym przyjechałem na miejsce, udzielił jej uprzejmych i klarownych wyjaśnień. O tej porze jednak stary dziedziniec przed pocztą roił się od podróżnych szykujących się do odjazdu, witających się z bliskimi i wysyłających listy. Dziewczyna, najwidoczniej nieprzyzwyczajona do tłumów, sprawiała wrażenie zdenerwowanej i zdezorientowanej. Uczyniwszy kilka kroków w kierunku, który wskazał jej konduktor, przystanęła pośród potracających ją ludzi, niepewna, co robić dalej.

Gdybym trzymał się ściśle swoich obowiązków służbowych, od razu ruszyłbym ku miejscu zamieszkania pana Kellera. Zamiast tego posłuchałem instynktu i zaproponowałem młodej damie pomoc. Proszę winić za to nie mnie, lecz odwieczne prawa natury i nieprzepartą siłę międzyplciowego przyciągania.

– Słyszałem, jak pytała pani o pocztę – powiedziałem. – Pozwoli pani, że pokażę jej drogę?

Spojrzała na mnie z wahaniem. Poczulem, że niewykluczone, iż jako mężczyzna płacę w tej chwili podwójną cenę: za swoją młodość i być może również za swoją nadgorliwość.

– Proszę wybaczyć moją śmiałość – przeprosiłem. – Żadnej młodej damie nie byłoby przyjemnie błąkać się samej po tak zatłoczonym miejscu. Chciałbym tylko wiedzieć, czy nie mógłbym się na coś pani przydać.

Znów na mnie spojrzała i najwyraźniej zmieniła zdanie na mój temat.

– To bardzo uprzejme z pańskiej strony, sir. Będę panu wdzięczna za pomoc.

– Czy mogę ofiarować pani swoje ramię?

Odmówiła, ale w doskonale przyjaznym duchu.

– Dziękuję, sir. Jeśli pan pozwoli, po prostu pójdę za panem.

Począłem przeciskać się przez tłum, torując drogę idącej w ślad za mną uroczej nieznajomej. Gdy dotarliśmy do poczty, odsunąłem się na bok, żeby sama mogła wyjaśnić, jaka sprawa ją sprowadza. Nasłuchiwałem, czy nie przedstawi się swoim nazwiskiem. Nie, podała jedynie pracownikowi poczty paszport i zapytała, czy na jego posiadacza nie czeka list. List został znaleziony, lecz nie wydano go od razu. O ile dobrze zrozumiałem, nie uiszczono pełnej opłaty pocztowej, wobec czego obecna należność równała się podwójnej zwyczajowej stawce. Młoda dama sięgnęła do kieszeni sukni i za chwilę z jej ust dobył się okrzyk trwogi.

– Och! – zawołała. – Zgubiłam portmonetkę! A to tak ważny list!

Natychmiast uznałem, że jej kieszeń musiała stać się celem jakiegoś grasującego pośród tłumu złodzieja. Pracownik poczty wyraził podobne przypuszczenie, po czym zerknął na zegar.

– Jeśli będzie chciała panienka wrócić po list jeszcze dzisiaj, wskazany jest pośpiech – powiedział. – Za dziesięć minut zamykamy.

Młoda dama splotła dłonie w geście rozpacz.

– W dziesięć minut nie zdążę nawet dojść do domu – odrzekła.

Od razu zaproponowałem, że pożyczę jej pieniądze.

– To tak znikoma kwota – zauważyłem – że niedorzecznością byłoby robić z tego jakąś wielką rzecz.

Miotając się w zakłopotaniu pomiędzy chęcią odebrania listu i niechęcią popełnienia niestosowności, jaką jawiło jej się być może skorzystanie z mojej propozycji, przedstawiała sobą, biedactwo, widok budzący litość.

– Jest pan wobec mnie bardzo łaskawy – powiedziała okrutnie zmieszana. – Obawiam się jednak, że pożyczanie pieniędzy od nieznajomego byłoby z mojej strony niewłaściwe, niezależnie od znikomości sumy. Zresztą, nawet gdybym się ośmieliła, jak mogłabym...

Urwała, patrząc na mnie nieśmiało i już nie dokończyła.

– Jak mogłaby mi pani zwrócić pieniądze? – podsunąłem.

– Właśnie, sir.

– Och, nie warto sobie zawracać tym głowy. Proszę dać je po prostu pierwszemu potrzebującemu, którego spotka pani jutro.

Powiedziałem to z nadzieją, że w ten sposób przekonam ją do przyjęcia pożyczki – jednak skutek okazał się odwrotny do zamierzonego. Natychmiast zrobiła krok do tyłu.

– Nie, tak nie mogłabym – rzekła ta nieśmiała i niezwykle zasadnicza dziewczyna. – Pozwoliłabym sobie skorzystać z pańskiej uprzejmości tylko, gdybym... – znów urwała.

Pracownik poczty ponownie zerknął na zegar.

– Proszę się na coś zdecydować, panienko, zanim będzie za późno.

Obawa przed zaprzepaszczeniem ostatniej tego dnia szansy na odebranie listu nakazała jej wreszcie mówić otwarcie.

– Czy byłby pan tak łaskawy, sir, i podał mi adres, na jaki powinnam odesłać pieniądze, kiedy wrócę do domu?

Odpowiedziałem dopiero po tym, jak zapłaciłem za list.

– Proszę posłużyć się adresem domu niejakiego pana Kellera przy...

Zanim zdążyłem wypowiedzieć nazwę ulicy, blade oblicze dziewczyny gwałtownie się zarumieniło.

– Och! – zawołała żywo. – Pan zna pana Kellera?

Po raz pierwszy pojawiło się we mnie przecucie, z kim mam do czynienia.

– Tak – odparłem. – Jak również jego syna Fritza.

Zadrżała, a jej twarz w jednej chwili z powrotem pobladła. Gdy odwróciła ode mnie swój zboląły, pełen upokorzenia wzrok, miałem już całkowitą pewność. Uroczą nieznajoma była ukochaną Fritza – i zarazem Córką Izebel.

Z szacunku dla młodej damy nie próbowałem taić przed nią, jakiego odkrycia właśnie dokonałem, i od razu rzekłem do niej:

– Czy mam zaszczyt z panną Minną Fontaine?

Popatrzyła na mnie w zdumieniu przyprawionym pewną dozą nieufności.

– Skąd mnie pan zna? – zapytała.

– Już wyjaśniam, panno Minno. Nazywam się David Glenney i jestem siostrzeńcem pani Wagner z Londynu. Fritz gości obecnie w jej domu i tak się składa, że wiele mi o pani mówił.

Oblicze biednej dziewczyny, jeszcze moment temu blade i zgnębione, teraz zajaśniało radością.

– Och! To Fritz o mnie nie zapomniał? – wykrzyknęła panna Fontaine prostolinijnie.

Mimo że od tamtej chwili minął tak długi czas, wciąż pamiętam wyraz jej ślicznych ciemnych oczu wpatrujących się z przejęciem w moją twarz, kiedy zapewniałem ją, że Fritz nadal jest jej oddany i że myśli o niej całymi dniami i nocami. Wszelka jej dotychczasowa nieśmiałość zniknęła bez śladu.

– Jakie słowa mogłyby wyrazić moją wdzięczność dla anioła, który znów nas do siebie zbliżył? – wykrzyknęła, entuzjastycznie ujmując moją dłoń. – Doprawdy, panie Davidzie, gdybyśmy nie znajdowali się na ulicy, chyba padłabym przed panem na kolana! Dzięki panu jestem teraz najszczęśliwszą dziewczyną pod słońcem... – jej głos nagle się załamał. Opuściwszy na twarz woalkę, odezwała się znowu: – Proszę się nie przejmować moimi łzami. To z radości.

Czy powinienem tutaj zdradzić, co się działo w mojej własnej duszy? Otóż na moment zapomniałem o swojej ówczesnej drobnej miłostce z Anglii –

i pozazdrościłem Fritzowi z całego serca.

Jako że przypadkowi przechodnie zaczęli przystawać i przyglądać się nam, ofiarowałem Minnie swoje ramię i zaproponowałem, że odprowadzę ją do domu.

– Byłoby mi bardzo przyjemnie – odrzekła z serdeczną wylewnością, która mnie oczarowała – ale przecież jest pan oczekiwany w domu pana Kellera. To tam musi się pan najpierw udać.

– Czy w takim razie mógłbym odwiedzić panią jutro? – nie dawałem za wygraną. – I tym samym oszczędzić pani kłopotu odsyłania pieniędzy na adres pana Kellera?

Uniosła woalkę i uśmiechnęła się do mnie promiennie przez łyzy.

– Tak – powiedziała. – Proszę przyjść jutro, przedstawię pana mojej matce. Och! Kochana mama będzie tak rada pana poznać, kiedy opowiem jej, co zaszło! Podła egoistka ze mnie. Nie niosłam ciężaru swojego żalu i niepewności tak dzielnie, jak powinnam. Po wyjeździe Fritza uprzykrzyłam jej życie swoim przygnębieniem. Ale teraz to już przeszłość. Po tysiącuroc panu dziękuję. Nasz adres podany jest na tym bileciku. Nie, nie, doprawdy musimy się na dzisiaj pożegnać. Moja matka czeka na swój list, a pan Keller na pewno zastanawia się, gdzie się pan podziewa.

Serdecznie uściśnęła moją dłoń i odeszła.

Ruszając samotnie w kierunku miejsca zamieszkania pana Kellera, byłem nieco zły na siebie. Pojawiła się we mnie obawa, że mówiąc o Fritzu, powiedziałem więcej, niż należało i że być może roznieciłem w dziewczynie nadzieje, które nigdy nie będą mogły się spełnić. Począłem ze strachem myśleć o przyszłości. Minna mogła jeszcze pożałować tego, że kiedykolwiek mnie spotkała.

Pan Keller powitał mnie z iście niemiecką gościnnością. On i jego wspólnik, pan Engelman, mieszkali razem – wdowiec i stary kawaler – nad rzeką przy ulicy Main w wiekowym budynku, który służył im jednocześnie za dom i biuro.

Ci dwaj starsi dżentelmeni nie mogliby się bardziej od siebie różnić. Pan Keller był wysoki, szczupły i energiczny, dokonaniai wykraczał poza ramy uprawianego przez siebie zawodu i potrafił (kiedy nie ponosiły go za bardzo emocje) mądrze i przekonująco dyskutować na każdy ciekawiający go temat. Pan Engelman był niski i gruby, poświęcał się pracy tylko w godzinach urzędowania biura, w całym swoim życiu nie przeczytał ani jednej książki, a swoje zainteresowania ograniczał do uprawiania ogrodu i palenia tytoniu. „Wszystko, czego potrzebuję w wolnym czasie – zwykł mawiać – to moje kwiaty, moja fajka i święty spokój”.

Pomimo tak wielkiej różnicy charakterów dwaj wspólnicy darzyli się nawzajem najszczerzym szacunkiem. Pan Engelman uważał pana Kellera za

najlepiej wykształconego i najznakomitszego człowieka w całych Niemczech. Pan Keller z równym przekonaniem twierdził, że pan Engelman to wcielenie anielskiej łagodności i istny wzór bezpretensjonalności i zdrowego rozsądku. Pan Engelman słuchał uczonych przemów pana Kellera z bezgranicznym i prostodusznym podziwem. Pan Keller – choć nie znosił tytoniu pod żadną postacią i w najmniejszym stopniu nie interesował się hodowlą roślin – przymykał oko na dym buchający z fajki pana Engelmana i spędzał godziny w jego ogrodzie, mimo iż nie znał nazw większości rosnących w nim kwiatów. Wciąż istnieją tacy ludzie i w Niemczech, i w Anglii – lecz, zaiste, im dłużej żyję, tym rzadziej znajduję ich wokół siebie.

Para starych przyjaciół i współników czekała na mnie ze swoją wczesną – wedle niemieckiego zwyczaju – kolacją przy stole udekorowanym kwiatami z ogrodu pana Engelmana. Ten ostatni, kiedy wszedłem do pokoju, wręczył mi różę wyciągniętą z wazonu.

– Zostawił pan drogą panią Wagner w dobrym zdrowiu? – zapytał.

– Jak się miewa mój Fritz? – chciał wiedzieć pan Keller.

Bardzo zadowolilo ich to, co usłyszeli ode mnie w odpowiedzi i kolacja upłynęła nam w miłej atmosferze. Jednak gdy uprzątnięto ze stołu i pan Engelman zapalił fajkę, a ja, dla towarzystwa, cygaro, pan Keller zadał nieuchronne pytanie:

– A teraz proszę nam powiedzieć, Davidzie: pańska wizyta ma charakter służbowy czy prywatny?

Nie pozostawało mi nic innego, jak zgodnie z otrzymanymi instrukcjami poinformować ich o planowanej inwazji doborowej armii urzędniczek płci pięknej na ich biuro. Efekt, jaki wywołała moja zapowiedź, doskonale ukazywał ogromną rozbieżność między charakterami dwóch współników. Spokojny pan Engelman odsunął od ust fajkę i spojrzał na pana Kellera w bezsilnym milczeniu. Porywczy pan Keller uderzył pięścią w blat stołu i skierował na pana Engelmana spojrzenie pełne furii.

– Co powiedziałem zaraz po tym, jak doszła nas wiadomość, że wdowa po panu Wagnerze stała się głównym współnikiem firmy? Ile przytoczyłem cytatów filozoficznych traktujących o umysłowych i fizycznych niedostatkach kobiet? Czyż nie zacząłem od starożytnych Egipcjan i nie skończyłem na doktorze Bernastrokiusie, naszym sąsiedzie z pobliskiej ulicy?

Nieszczęsny pan Engelman wyglądał na przestraszonego.

– Nie złość się, drogi przyjacielu – poprosił cicho.

– Nie złość się? – powtórzył pan Keller w jeszcze większym niż dotychczas wzburzeniu. – Nedorzecznosc! Drogi Engelmanie, w całym swoim życiu nie byłeś w większym błędzie! Ja się cieszę! Stało się dokładnie to, czego się spodziewałem; dokładnie to, co przewidziałem. Odłóż tę fajkę! Potrafię znieść doprawdy wiele, ale w chwilach takich jak ta dym tytoniowy przerasta moje możliwości. Chociaż raz

wznieść się ponad tę swoją wrodzoną indolencję. Wysił pamięć. Przypomnij sobie słowa, które wypowiedziałem, kiedy dowiedzieliśmy się, że naszym głównym współnikiem jest teraz kobieta.

– Z naszego pierwszego spotkania pamiętam, że to bardzo urodziwa kobieta – zauważył pan Engelman.

– Phi! – parsknął pan Keller.

– Nie chciałem cię urazić – rzekł pan Engelman. – Przyjmij, proszę, jedną z moich róż na zgodę.

– Czy zamilkiesz w końcu i pozwolisz mi mówić?

– Drogi Kellerze, zawsze bardzo rad słucham tego, co masz do powiedzenia! Napelniasz moją biedną głowę wiedzą, a gdy ta z czasem się z niej ulotni, znów ponawiasz wysiłek. Cóż za godna podziwu wytrwałość! Jeżeli jeszcze trochę pożyję, dzięki tobie niechybnie stanę się prawdziwym mędrcom. Pozwól, że włożę ci tę różyczkę do butonierki. I mam nadzieję, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, bym wrócił do palenia fajki.

Zrezygnowany pan Keller machnął ręką na swojego współnika i zwrócił się do mnie.

– Ty mnie posłuchaj, Davidzie – rzekł, po czym potokiem uczonych słów przelał w moje biedne uszy całe swoje oburzenie.

Pan Engelman, spowity kłębam tytoniowego dymu, rozkoszował się w milczeniu uspokajającym działaniem fajki, podczas gdy ja, nieszczęsny, przytakiwałem biernie panu Kellerowi we właściwych miejscach jego długiej tyrady. Dziś już nie umiałbym przytoczyć jej dokładnej treści. Ogólnie rzecz biorąc, pan Keller dał wyraz swojemu przekonaniu, że duchowa konstrukcja kobiety zawiera w sobie dwa nienaprawialne defekty: zgubną skłonność do małpiego naśladownictwa oraz iście dziecięcą nadgorliwość. Powoławszy się w tej kwestii na rozliczne autorytety, pan Keller stwierdził następnie, całkiem logicznie, że moja ciotka jest kobietą – i że jako taka siłą rzeczy będzie brała sobie za wzór nawet najbardziej nieprzemysłane i mylne opinie swojego męża i próbowała „ulepszać dobre”.

– Przepowiadałem, Davidzie, że fatalne w skutkach zakłócenie porządku pracy naszej firmy jest tylko kwestią czasu. I proszę bardzo: te nedorzeczne instrukcje pani Wagner są dowodem na to, że miałem rację!

Przed udaniem się tego wieczoru na spoczynek dwaj współnicy powzięli dwa postanowienia. Pan Keller postanowił wystosować pisemną skargę do mojej ciotki, a pan Engelman postanowił, że z samego rana pokaże mi swój ogród.

Rozdział 10

Nazajutrz po południu, podczas gdy moi dwaj dobrzy przyjaciele byli wciąż zajęci sprawami służbowymi, wyszedłem po kryjomu z domu, żeby złożyć obiecaną wizytę Minnie i jej matce.

Doprawdy nie sposób było nie zauważyć, że życie ich nie rozpieszczało. Mieszkanie dam znajdowało się w taniej dzielnicy lewobrzeżnego Frankfurtu – i mimo że wszystko w nim lśniło czystością, a skromne meble rozstawiono z wyczuciem, nawet najzręczniejsze zabiegi nie zdołałyby zatuszować obskurności salonu, do którego zostałem wprowadzony. Pomyślałem, jak rozgoryczony byłby Fritz, gdyby mógł ujrzeć swoją uroczą Minnę w tak niegodnym jej miejscu.

Sfatygowane drzwi otworzyły się i do środka weszła (w towarzystwie córki) wspomniana w anonimowym liście Izebel.

W każdej nacji można spotkać pewien interesujący typ kobiety – kobiety, która bez względu na to, w jakiej przestrzeni by się nie znalazła, wypełnia ją tak kompletnie, jak aktor wypełnia przestrzeń sceny. Wdowa Fontaine była właśnie jedną z takich kobiet. Kiedy miękkim krokiem wślizgnęła się do niewielkiego, nędznego salonu, jego wnętrze jak gdyby rozmyło się w powietrzu – i nawet postać ślicznej Minny częściowo zbladła w zestawieniu z osobą matki. A jednak w jej sposobie bycia nie było bynajmniej nic natarczywego i zewnętrznie madame Fontaine też nie wyróżniała się niczym specjalnym. Była w najlepszym wypadku średniego wzrostu i figurę miała zaokrągloną, jak każda kobieta zbliżająca się do czterdziestego roku życia. Silne wrażenie, które wywierała na innych, można by po części przypisać, jak sądzę, kociej gracji, z jaką się poruszała, władcemu spokojowi emanującemu z jej oblicza i nieopisanie urzekającym manierom. Jej ciemne oczy – których nigdy, o ile dobrze pamiętam, nie otwierała szeroko – spoglądały na mnie spod ciężkich powiek. Wrogowie dopatrywali się w ich osobliwym wyrazie zwierzęcej zmysłowości. Ja ze swojej strony widziałem w nich zawsze – nie licząc chwil, kiedy skierowane były na jej córkę – coś w rodzaju ukradkowego okrucieństwa. Zmysłowość uzewnętrznia się najczęściej nadmiernym wykształceniem dolnej części twarzy. Tymczasem wargi madame Fontaine były cienkie, a jej podbródek bardzo mały. Pośród jej gęstych, czarnych włosów mieniły się już pierwsze pasma siwizny, jej cerze brakowało zdrowego rumieńca – lecz pomimo owych mankamentów przy pierwszym spotkaniu wydała mi się piękna, rzekłbym nawet: olśniewająco piękna. I chociaż miała na sobie tylko skromne, wdowie szaty, bez wahania uznałem ją za najlepiej odzianą kobietę, jaką kiedykolwiek widziałem.

Minna spróbowała uroczyście przedstawić mnie swojej matce, ale ta w rozbawieniu odsunęła ją na bok i wyciągnęła do mnie swoje długie, białe, mocne

ręce – z taką serdecznością, jak gdyby znała mnie od lat.

– Zazwyczaj muszę dobrze kogoś poznać, zanim zaliczę tę osobę do grona swoich przyjaciół – powiedziała madame Fontaine. – Pan, panie Davidzie, po owej wielkiej uprzejmości, którą wyświadczyłeś mojej córce, jest moim przyjacielem już przy pierwszym spotkaniu.

Chyba tak dokładnie brzmiały jej słowa. Żałuję tylko, że nie jestem w stanie adekwatnie oddać na papierze czarowności głosu, którym zostały wypowiedziane.

Mimo wszystko nie czułem się w jej towarzystwie swobodnie, nie przyciągała mnie ku sobie tą samą nieodpartą siłą, którą wabiła mnie jej córka. Niewzruszone spojrzenie jej ciemnych, przymrużonych oczu zdawało się wwiercać w moją duszę i przenikać wszystkie moje tajemnice. Skłamałbym jednak, gdybym napisał, że wzbudzała we mnie nieufność i niechęć. Nieufność i niechęć przynajmniej do pewnego stopnia chroniłyby mnie przed władzą, którą z pewnością nade mną zdobyła. W czym tkwiło źródło owej władzy – w jej spojrzeniu, sposobie bycia czy, używając popularnego ostatnio pojęcia, w jakimś bijącym od niej niewidzialnym „magnetyzmie” – tego nie potrafię powiedzieć. Jednego jestem pewien: udało jej się niepostrzeżenie podporządkować moją wolę swojej woli do tego stopnia, że już wkrótce na najbardziej podstępne pytania odpowiadałem tak szczerze, jak gdybym zaiste rozmawiał z bliskim i zaufanym przyjacielem.

– To pańska pierwsza wizyta we Frankfurcie, panie Davidzie? – zaczęła.

– O nie, madame! Byłem we Frankfurcie już dwukrotnie.

– Ach, doprawdy? I przy obu okazjach gościł pana w swoim domu pan Keller?

– Zgadza się.

Z niejasnych przyczyn owa krótkka, bądź co bądź, odpowiedź z mojej strony sprawiła, że wdowa bardzo się ożywiła.

– Wobec tego musi pan pozostawać z nim w zażyłych stosunkach – stwierdziła. – Być może na tyle zażyłych, że mógłby go pan poprosić o przysługę albo przedstawić mu kogoś znajomego?

Podjąłem daremną próbę zachowania ostrożności.

– Na tyle zażyłych, na ile to możliwe między młodym pracownikiem firmy i jej współwłaścicielem – odpowiedziałem.

– Pracownikiem firmy? – powtórzyła. – Myślałam, że mieszka pan w Londynie ze swoją ciotką.

W tym miejscu Minna po raz pierwszy wtrąciła się do rozmowy.

– Zapomniała mama, że firmę prowadzi trzech wspólników. Napis na szyldzie nad drzwiami przy ulicy Main brzmi przecież: „Wagner, Keller i Engelman”. Fritz mówił mi kiedyś, że tutejsze biuro to tylko mała filia – i że główną siedzibą firmy jest biuro pana Wagnera w Londynie. Chyba się nie mylę,

panie Davidzie?

– Nie myli się pani, panno Minno. W Londynie nie mamy jednak tak wspaniałego ogrodu jak tutejszy ogród pana Engelmana. Proszę przyjąć ode mnie bukiet kwiatów, których narwałem za pozwoleniem starszego dżentelmena.

Miałem nadzieję, że wręczenie owego podarku pomoże mi skierować rozmowę na ciekawsze tory. Lecz podczas gdy Minna zajęta była podziwianiem kwiatów, wdowa dalej ciągnęła swoje przesłuchanie.

– Zatem pracuje pan u pana Wagnera? – zapytała.

– Pracowałem u pana Wagnera. Pan Wagner nie żyje.

– Ach! Kto więc kieruje teraz tak wielką firmą?

Z nie do końca dla mnie samego zrozumiałych powodów nie miałem ochoty opowiadać jej o sprawach ciotki. Jednak oczy ma-dame Fontaine wpatrywały się we mnie ze stanowczą dociekliwością, którą poczułem się zmuszony zaspokoić. Kiedy pojęła, że wdowa po panu Wagnerze jest teraz najważniejszą osobą w firmie, ogarnęła ją wręcz nienasycona żądza wyciągnięcia ze mnie wszystkiego, czego mogła się dowiedzieć na jej temat. Minnę również poczęła rozsadzać ciekawość, chociaż zgoła innego rodzaju. Dom mojej ciotki był miejscem, do którego okrutny pan Keller wygnał jej ukochanego. Matka i córka zadawały kolejne pytania w takim tempie, że nawet gdybym bardzo chciał, nie umiałbym ich wszystkich sobie przypomnieć. Jedynie ostatnie z nich odcisnęło się na zawsze w mojej pamięci – wskutek niezwyklej reakcji, jaką wywołała moja odpowiedź.

– Pańska ciotka musi, rzecz jasna, żywo interesować się poczynaniami swoich tutejszych wspólników. Czy istnieje szansa, panie Davidzie, że pewnego dnia osobiście zawita do Frankfurtu?

– Wiele wskazuje na to, madame, że ciotka przyjedzie służbowo do Frankfurtu jeszcze przed końcem tego roku.

Usłyszawszy to, wdowa powoli obejrzała się na córkę. Zrozumienie, co miało znaczyć owo spojrzenie z jej strony, najwyraźniej przysporzyło Minnie tyle samo kłopotu co mnie. Madame Fontaine z powrotem się do mnie odwróciła i rzekła przepraszająco:

– Proszę mi wybaczyć, panie Davidzie. Zapomniałam dopilnować pewnego drobnego obowiązku domowego. – Przeszła przez pokój do małego stolika, na którym leżały przybory do pisania, skreśliła kilka zdań na kartce i nie składając jej, podała ją Minnie: – Zanieś to, kochana, naszej dobrej znajomej z dołu. I może zaparzyłabyś herbatę, kiedy będziesz w kuchni? Zostanie pan, żeby napić się z nami, panie Davidzie? Herbata to jedyny zbytek, na jaki możemy sobie pozwolić, i zawsze parzymy ją same.

W pierwszej chwili poczułem zastanawiać się nad pretekstem, który pozwoliłby mi odrzucić zaproszenie. W aurze tajemniczości otaczającej obowiązki domowe madame Fontaine było coś, co nie do końca przypadło mi do gustu.

Jednak Minna nalegała:

– Niechże pan jeszcze z nami zostanie – poprosiła w swój niewinny, prostolinijny sposób. – Mamy tutaj tak niewiele przyjemności...

Być może nawet zdołałbym się oprzeć Minnie, lecz jej matka dosłownie zatrzymała mnie siłą. Przysiadłszy z miną cesarzowej na niewielkiej, obdartej sofie w kącie pomieszczenia, skinęła na mnie, żebym do niej dołączył, po czym położyła ciężko swoją chłodną dłoń na mojej. Jej wymowny dotyk przepełnił mnie przedziwnym uczuciem niepokoju – na wpół przyjemnym, na wpół bolesnym. Doprawdy nie wiem, jak to określić, więc napiszę jedynie, że uległem i że zostaliśmy w pokoju sami.

– Chcę wyjawić panu całą prawdę – powiedziała madame Fontaine, jak tylko Minna zniknęła za drzwiami – ale mogę to zrobić jedynie pod nieobecność córki. Chyba domyślił się pan, że jesteśmy bardzo ubogie?

Jej dłoń ścisnęła delikatnie moją. Próbując zachować się możliwie najtaktowniej, odrzekłem:

– Przykro mi to mówić, ale nietrudno dojść do takiego wniosku.

– Kiedy wczoraj tak łaskawie pomógł pan Minnie odebrać list na poczcie – ciągnęła – niechcący stał się pan pośrednikiem w sprawie, która przysporzyła mi rozczarowania: kolejnego rozczarowania po wszystkich innych, które spotkały mnie do tej pory. Przyjechałam tutaj, żeby przedstawić swoją sytuację pewnym zamożnym krewnym z tego miasta. Po tym, jak odmówili mi pomocy, postanowiłam napisać do innych krewnych z Brukseli. Wczorajszy list był odpowiedzią na mój. Kolejna odmowa i rozczarowanie! Właścicielka tego domu to poszkodowana przez los nieszczęśnica, której należy się moje pełne współczucie. Ona także boryka się z ubóstwem. Okrucieństwem z mojej strony byłoby jej nie płacić. Jeszcze wczoraj uznałam za swój obowiązek, jakkolwiek przykry, dać jej tygodniowe wypowiedzenie najmu. Przed chwilą napisałam, żeby odwołać owo wypowiedzenie. Dostrzegłam promyk nadziei na lepszą przyszłość – i pan, panie Davidzie, jest dobrym duchem, który mi go wskazał.

Jej słowa niepomierne mnie zaskoczyły.

– Jak to? – zapytałem.

Poklepała mnie po ręce, żartobliwie udając poirytowanie.

– Proszę uzbroić się w cierpliwość – odrzekła. – Wkrótce wszystkiego się pan dowie. Gdybym musiała martwić się tylko o siebie, byłabym spokojniejsza. Mogłabym już jutro najać się jako gosposia. Tak! Wychowywałam się w świecie zbytków i wytworności, a wychodząc za mąż, popełniłam mezalians – lecz mimo to potrafiłabym odnaleźć się w roli służącej, nie skarżąc się na swoją dolę i nie tracąc do siebie szacunku. Przeciwności losu to najlepszy nauczyciel w życiu, Davidzie. Czy mogę ci mówić na ty? Gdybyś usłyszał o jakiejś wolnej posadzie gospodyni, dałbyś mi znać?

Nie umiałem odgadnąć, czy żartuje, czy mówi poważnie.

– Ale muszę mieć na uwadze córkę – ciągnęła, nie czekając odpowiedzi – która na dodatek oddała serce synowi pana Kellera. Gdybyśmy miały z Minną tylko siebie nawzajem, wspólnymi siłami zdołałybyśmy zarobić na chleb i mogłybyśmy bez strachu patrzeć w przyszłość. Jednak w stosunkowo spokojny bieg naszego dotychczasowego życia wtargnął niedawno ktoś trzeci: młody mężczyzna, który począł rywalizować ze mną o względy mojej córki i któremu, co gorsza, zabroniono się z nią żenić! Czy to dziwne, że czuję się zniechęcona i bezsilna? Och, wcale nie przesadzam! Dobrze znam charakter Minny. Jest zdecydowanie zbyt wrażliwa, zbyt delikatna na brutalny świat, w którym żyje. Kiedy kogoś kocha, to całym sercem i duszą. Odkąd rozdzielono ją z Fritzem, widzę, jak powoli, dzień po dniu, marnieje i gaśnie. Dzięki tobie, Davidzie, na chwilę odżyła w niej nadzieja, lecz to niczego nie zmienia w jej perspektywach na przyszłość. Jeżeli straci Fritza, umrze ze zgryzoty. Mój Boże! Ją jedną kocham na tym świecie i zaiste nie wiem, jak jej pomóc, nie wiem, gdzie szukać dla niej ratunku!

Po raz pierwszy usłyszałem w jej głosie prawdziwe emocje. Odwróciła się ode mnie i w dzikim geście rozpaczy ukryła twarz w dłoniach. Szczerze poruszony, spróbowałem ją pocieszyć.

– Przynajmniej może być pani pewna jednej rzeczy – powiedziałem. – Serce Fritza w całości należy do pani córki. Fritz pozostanie jej oddany, niezależnie od przeszkód, jakie pojawią się na ich drodze.

– W to nie wątpię – odrzekła ze smutkiem. – Nie mogę niczego zarzucić wybrankowi mojej córki. Fritz to dobry chłopak, jak mówisz. Ale zapominasz o jego ojcu. Osobiście gardzę panem Kellerem. – Zwróciła na mnie oczy, z których, poprzez łzy, biła niewypowiedziana odraza. – To człowiek wsłuchujący się w każde kłamstwo, które zechcą powtarzać plotkarze na temat bezradnej kobiety, odmawiający jej prawa do obrony (pisałam do niego, ale nie otrzymałam żadnej odpowiedzi), zabraniający swojemu synowi poślubić moją córkę (dlatego że jesteśmy biedne, rzecz jasna) i wykorzystujący zasłyszane ataki na moją reputację jako usprawiedliwienie dla okrutnego postępowania. Czy można szanować kogoś takiego? A jednak od tego nikczemnika zależą szczęście i dalszy los mojego dziecka! Dla dobra Minny, chcąc nie chcąc, muszę schować godność do kieszeni i próbować się bronić. Muszę znaleźć sposób, żeby do niego dotrzeć, wyperswadować mu jego tchórzliwe uprzedzenia i zdobyć jego przychylność. Jak sprawić, żeby zechciał mnie wysłuchać? Rozumiem, że ty, Davidzie, nie możesz dla mnie nic zrobić w tej kwestii. Ale i tak spadłeś mi niczym anioł z nieba i niech ci Bóg za to błogosławi!

Przyłożyła sobie moją dłoń do ust. Domyślając się, co za chwilę usłyszę, spróbowałem się wtrącić. Nie dała mi jednak dojść do głosu. Płonący w niej

entuzjazm wylał się z jej ust kolejnym potokiem słów.

– Tak, mój ty najlepszy przyjacielu, mój ty najmądrzejszy doradco – ciągnęła. – Podsunąłeś mi pomysł poszukania wsparcia u osoby, której autorytet jest niepodważalny. Twoja znakomita ciotka to najważniejsza osoba w firmie; pan Keller będzie musiał liczyć się ze zdaniem swojej uroczej zwierzchniczki. Oto mój promyk nadziei. Stawiając wszystko na tę kartę, sprzedam ostatnie kosztowności i poczekam na przyjazd pani Wagner do Frankfurtu. Ty drżysz, Davidzie! Czego się obawiasz? Myślisz, że byłabym zdolna nadużyć uprzejmości twojej ciotki, błagać ją o wyświadczenie mi przysług, które naraziłyby ją być może na poważny kłopot? Pani Wagner już na pewno wie od Fritza, w jakiej sytuacji się znajdujemy. Wystarczy, że zobaczy się z Minną; ja ze swojej strony nie będę się narzucała. Moja córka wyjaśni wszystko za mnie, moja córka poprosi w moim imieniu o spotkanie z panem Kellerem i możliwość odparcia stawianych mi zarzutów. Powiedz szczerze: czy licząc na to, że twoja ciotka przekona ojca Fritza do zobaczenia się ze mną, liczę na zbyt wiele?

Wszystko to brzmiało całkiem rozsądnie, ale mimo to miałem obawy.

Gdy wychodziłem z domu, pan Keller pracował prężnie nad pisemnym protestem przeciwko zatrudnieniu w biurze kobiet, który miał zostać wysłany do ciotki jeszcze tego samego dnia. Znając ich oboje, brałem pod uwagę, że listowny spór między nimi może przerodzić się w niechęć do osobistego kontaktu. Gdyby pan Keller okazał się nieustępliwy, pani Wagner niechybnie chciałaby mu pokazać, że sama także potrafi trwać przy swoim. W takich okolicznościach madame Fontaine nie miałyby do kogo skierować się z prośbą o wsparcie – i przyszłość nieszczęsnej Minny stanęłaby pod jeszcze większym znakiem zapytania.

Tak to wyglądało z jednego punktu widzenia. Jednak muszę przyznać, że nasunęło mi się również inne spostrzeżenie. Coś w zachowaniu madame Fontaine zdawało się sugerować, że nie zamierzała być tak powściągliwa w swoich wymaganiach względem mojej ciotki, jak twierdziła. Począłem sobie wyrzucać, że odpowiadając na jej pytania, nie zachowałem należytej ostrożności i nie potrafiłem się zdecydować, jak powinienem odnieść się teraz do jej ostatnich słów. Moją gonitwę myśli przerwał zbawienny głos Minny wołającej z korytarza:

– Mam zajęte obie ręce; proszę, niech ktoś mi otworzy!

Podbiegłem do drzwi. Wdowa przyłożyła sobie palec do ust i wyszeptwała:

– Pamiętaj, Davidzie: ani słowa Minnie. Rozumiemy się, prawda?

– Tak, oczywiście – odrzekłem. I do końca wieczora temat już nie powrócił.

Uroczą Minna wniosła na tacy podwieczorek, ze szczególnym entuzjazmem polecając mojej uwadze ciasto, które własnoręcznie upiekła tego dnia.

– Potrafię gotować – oznajmiła. – Potrafię też szyc. I jeżeli Fritz, żeniąc się ze mną, będzie biedny, potrafię zaoszczędzić mu kosztów związanych z zatrudnieniem służącej.

Rozmowa, którą prowadziliśmy w trakcie posiłku, miała zbyt trywialny charakter, by warto było ją tutaj przytaczać. Pamiętam z niej zresztą tylko to, że była przyjemna. W dalszej części wieczoru Minna zaśpiewała specjalnie dla mnie. Kiedy całkiem niedawno znów usłyszałem dźwięki jednej z wykonanych przez nią wtedy prostych, niemieckich pieśni, do moich oczu napłynęły łzy.

Księżyc wzeszedł wcześniej tamtej nocy. Zerknąwszy na zegarek, stwierdziłem, że pora się pożegnać. Minna stała przy oknie, wpatrując się z zachwytem w niebo.

– Grzechem byłoby przesiedzieć taki piękny wieczór w domu – uznała. – Odprowadźmy pana Davida chociaż do mostu, mam, żebyśmy mogły zobaczyć rzekę w świetle księżyca!

Jej matka zgodziła się i całą trójką ruszyliśmy do wyjścia.

Dotarłszy do mostu, przystanęliśmy, żeby nacieszyć oczy widokiem. Na niebie jednak gromadziły się już chmury i księżyc pokazywał się zza nich tylko sporadycznie. Madame Fontaine stwierdziła, że czuje deszcz w powietrzu i chwyciła córkę pod ramię, zbierając się do odejścia. Gdy zaproponowałem, że odprowadzę je z powrotem pod drzwi ich domu, obydwie stanowczo zaprotestowały. Nie chciały mnie już dłużej zatrzymywać, ale poprosiły, żebym niebawem złożył im kolejną wizytę.

W chwili, w której mówiliśmy sobie dobranoc, kapryśne światło księżyca znów wylało się jaskrawą falą zza chmur. Jednocześnie pojawił się obok nas na chodniku korpulentny, starszy dżentelmen palący fajkę. Przechodząc niespiesznym krokiem obok, rozpoznał mnie i przystanął gwałtownie. Był to pan Engelman.

– Dobrej nocy, Davidzie – powiedziała wdowa.

Księżyc rozświetlał całą jej postać, gdy podawała mi swoją dłoń na pożegnanie. Stojącą za nią Minnę spowijał mrok. Moment później damy zostawiły nas samych.

Pan Engelman nie odrywał wzroku od sunącej gładko przed siebie wdowy, dopóki jej sylwetka nie zniknęła po drugiej stronie mostu. Kładąc w wielkim przejęciu rękę na moim ramieniu, zapytał:

– Davidzie, kim jest ta zachwycająca istota?

Uśmiechnąłem się szelmowsko.

– Którą z tych dwóch dam ma pan na myśli?

– Tę we wdowim czepku, rzecz jasna!

– Spodobała się panu wdowa, sir?

– Czy mi się spodobała? – powtórzył pan Engelman. – Popatrz na to, Davidzie! – zawołał, pokazując mi długą, porcelanową główkę swojej fajki. – Drogi chłopcze, dokonała sztuki, która nie udała się jeszcze dotąd żadnej innej kobiecie. Sprawiała, że moja fajka zgasła!

Rozdział 11

Pomysł, że pomiędzy urokiem roztaczanym przez madame Fon-taine i zgaśnięciem fajki pana Engelmana mogłaby istnieć jakakolwiek zależność przyczynowo-skutkowa, wydał mi się tak nedorzeczny, że wybuchnąłem śmiechem. Mój stary przyjaciel spojrział na mnie z zaskoczeniem.

– Co jest zabawnego w tym, że zapomniałem o swojej fajce? – zapytał poważnie. – Cała moja uwaga, Davidzie, skupiona była na tej wspaniałej kobiecie, odkąd tylko padł na nią mój wzrok. Nawet w tej chwili mam przed sobą jej obraz: obraz anioła w świetle księżyca. Czyżbym po raz pierwszy w życiu stał się sentymentalny? Nie zdziwiłbym się. Doprawdy nie wiem, co mi się stało. Być może ty jako młodzieniec będziesz wiedział. Czyżbym, jak to powiadają, zakochał się? – Zanim zdążyłem odpowiedzieć na to niezwykle pytanie, ujął mnie poufale pod ramię. – Ani słowa naszemu przyjacielowi, Kellerowi! – zawołał w nagłym przyplýwie niepokoju. – Keller to przezacny człowiek, ale nie ma w sobie za grosz litości dla grzeszników. Słuchaj, Davidzie, czy nie mógłbyś mnie jej przedstawić?

Wciąż ogarnięty obawą, czy podczas rozmowy z wdową nie pozwoliłem sobie na zbytnią wylewność, nie miałem teraz ochoty popełnić takiego samego błędu w rozmowie z panem Engelmanem.

– Nie poważyłbym się tego zrobić – odrzekłem. – Zamieszkała tutaj, żeby uciec od ludzi.

– Ale chyba możesz przynajmniej wyjawić mi jej nazwisko – nie dawał za wygraną pan Engelman. – Tak samo jak wyjawileś je Kellerowi?

– Ależ nie zrobiłem niczego podobnego. Mam ważne powody po temu, żeby w ogóle nie wspominać o tej damie w obecności pana Kellera.

– Hm, daję ci słowo honoru, Davidzie, że dochowam tajemnicy. Dalejże! Chcę tylko podarować jej trochę kwiatów z mojego ogrodu. Chyba nie miałyby nic przeciwko temu? Bądź tak dobry i powiedz mi, na czyj adres przesłać bukiet.

Przypuszczam, że popełniłem błąd – zaiste, wiedząc teraz, co nastąpiło później, mam absolutną pewność, że popełniłem błąd. Ale nie zdawałem sobie sprawy z powagi sytuacji na tyle, by stawać panu Engelmanowi na drodze w kwestii bukietu kwiatów. Kiedy wypowiedziałem nazwisko wdowy, drgnął gwałtownie.

– To matka dziewczyny, którą chciał poślubić Fritz?! – wykrzyknął.

– Nie kto inny. Trudno odmówić Fritzowi dobrego gustu, prawda? Nie uważa pan, że panna Minna to prawdziwa piękność?

– Nie umiałbym powiedzieć, Davidzie. Stałem jak zaczarowany i nie miałem oczu dla nikogo innego poza jej matką. Myślisz, że madame Fontaine mnie dostrzegła?

– O tak, widziałem, jak na pana spojrziała.

– Zwróć się w tę stronę, Davidzie. Światło księżycy sprawia, że wydajesz się młodszy. Czy tak samo jest w moim przypadku? Gdybyś miał odgadnąć mój wiek, ile dałbyś mi lat dzisiejszego wieczoru? Pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt?

– Coś pomiędzy jednym i drugim, sir.

(Zbliżał się do siedemdziesiątki, ale kto byłby na tyle okrutny, żeby mu o tym w tamtej chwili przypominać?)

Moja odpowiedź tak podniosła starszego dżentelmena na duchu, że od razu odważył się poruszyć kwestię nieżyjącego męża madame Fontaine.

– Była do niego bardzo przywiązana, Davidzie? Jakim był człowiekiem?

Poinformowałem go, że nigdy nie spotkałem profesora Fontaine, po czym, pragnąc zmienić temat, zapytałem, czy w domu przy ulicy Main minęła już pora kolacji.

– Drogi chłopcze, już pół godziny temu uprzątnięto ze stołu. Przekonałem jednak naszą zgorzkniałą, starą gospozię, żeby odłożyła coś ciepłego dla ciebie. Nie zastaniesz dzisiaj Kellera w zbyt życzliwym nastroju, Davidzie. Najpierw napsuł sobie krwi, pisząc list do twojej ciotki, a potem zdenerwował się na twoją nieobecność. „Traktuje nasz dom jak hotel; nie pozwolę nikomu tak nas lekceważyć!” – dokładnie takich słów użył, mówiąc o tobie. Biedak był bardzo rozeźlony, więc zostawiłem go samego i wybrałem się na spacer po moście. I tam spotkałem swoje przeznaczenie... – dodał nieszczęsny pan Engelman ze smutkiem, jakiego nigdy jeszcze nie słyszałem w jego głosie.

W domu czekało mnie dość chłodne powitanie.

– Bez ogródek napisałem twojej ciotce, co myślę – oświadczył pan Keller. – Poczta zwrotną zostaniesz zapewne wezwany z powrotem do Londynu. Do tego czasu jednak, za każdym razem, gdy postanowisz spędzić wieczór poza domem, bądź tak łaskaw i poinformuj kogoś ze służby o swoich zamiarach.

Jako następna napadła na mnie zrzędliva, stara gospodyni (zwana przez domowników Matką Barbarą). Ciskając na stół półmisek, który specjalnie dla mnie trzymała na piecu, oznajmiła:

– Zrobiłam to tylko ten jeden raz. Jeżeli znów spóźnicie się na kolację, będziecie jedli razem z psem.

Nazajutrz napisałem najpierw do ciotki, a potem do Fritza, wiedząc, z jaką niecierpliwością ten ostatni musi wyczekiwać wieści ode mnie.

Gdyby dowiedział się o wszystkim, co zaszło, zapewne zjawiłby się we Frankfurcie tak szybko, jak zdołałyby go ponieść pokłady statków i końskie kopyta. Dlatego też napisałem mu jedynie, że wpadłem na trop Minny i jej matki i że wedle wszelkich oznak jak na razie nie istnieją powody, żeby w ogóle należało się o nie martwić. Dodałem również, że gdyby nawiązanie korespondencji z ukochaną miało podnieść go na duchu, być może znalazłbym sposób na

potajemne doręczenie listu.

Nie da się ukryć, że czyniąc ową sugestię, równocześnie zachęcałem swojego przyjaciela do zlekceważenia wyraźnych nakazów, jakie nałożył na niego ojciec. Nie miałem jednak innego wyjścia. Biorąc pod uwagę usposobienie Fritza, nie dało się go zatrzymać w Londynie bez pójścia na jakieś praktyczne ustępstwo, które pohamowałyby narastające w nim pod moją nieobecność zniecierpliwienie. Stąd też w celu utrzymania pokoju między ojcem i synem oraz, co przyznaję uczciwie, z chęci wyjścia naprzeciw życzeniom ślicznej i ujmującej Minny zgodziłem się – zgodnie z jezuicką zasadą głoszącą, że cel uświęca środki – pośredniczyć w korespondencji.

Dopóki drażliwa kwestia zatrudnienia kobiet pozostawała nierozstrzygnięta między panem Kellerem i moją ciotką, byłem w pełni panem swojego czasu. Wysławszy listy, udałem się z wizytą do mieszkania wdowy.

Po tym, jak uszczęśliwiłem Minnę wiadomością, że wkrótce będzie mogła spodziewać się listu od Fritza, zauważyłem na stole starą, porcelanową wazę do ponczu wypełnioną po brzegi bujnym kwieciem. Komuś, kto znał pana Engelmana równie dobrze jak ja, ów widok musiał dać doprawdy do myślenia. Wyglądało na to, że ten, który na co dzień nie pozwalał nikomu na zerwanie choćby jednego kwiatka, teraz własnoręcznie dokonał poważnych spustoszeń w swoim wspaniałym ogrodzie.

– Jakie piękne kwiaty! – zawołałem, ostrożnie badając grunt. – Nawet pan Engelman mógłby pozazdrościć paniom takiego bukietu.

Wdowa przymrużyła jeszcze mocniej niż zazwyczaj oczy, nie kryjąc pogardy dla mojej naiwności.

– Naprawdę sądzisz, że ktokolwiek zdołałby mnie zwieść? – zapytała drwiąco. – Pan Engelman oprócz kwiatów przesłał mi również liścik pełen pochlebstw. A ja – dodała, zerkając na leżącą na gzymisie kominka kopertę – już napisałam stosowne podziękowania. Niedorzecznością byłoby przesadne certowanie się z tym niegroźnym staruszkim, którego spotkaliśmy na moście. Jakież on gruby! I jaką wspaniałą fajkę nosi ze sobą, niemal tak grubą jak on sam!

Biedny pan Engelman! Mówiła o nim z taką pogardą, że poczułem, iż muszę się za nim w jakiś sposób ująć.

– Widział panią ledwie przez moment – rzekłem – ale to mu wystarczyło, żeby stać się pani wielkim wielbicielem...

– Doprawdy? – Podziw pana Engelmana był jej tak obojętny, że z trudem zdobyła się na tę zdawkową odpowiedź. Od razu zmieniła temat: – Więc napisałeś do Fritza? A czy wysłałeś także list do swojej ciotki?

– Owszem, tą samą pocztą.

– Miał głównie służbowy charakter, jak mniemam? Czy wielkim nietaktem byłoby, gdybym zapytała, czy przemyciłeś też słówko o mnie i nadziejach, jakie

wiązę z przyjazdem pani Wagner do Frankfurtu?

Uznałem to za dobrą okazję do delikatnego zwrócenia jej uwagi, że ona i jej córka powinny nieco poskromić swoje „nadzieje”.

– Doszedłem do wniosku, że lepiej będzie nie poruszać tego tematu – odparłem. – Przynajmniej na razie. Pani Wagner i pan Keller toczą obecnie poważny spór w pewnej kwestii związanej z prowadzeniem działalności tutejszego biura. Użyłem słowa „poważny”, bowiem oboje wydają się równie nieustępliwi w swoich poglądach. Pan Keller wysłał wczoraj do ciotki list, który, obawiam się, może być początkiem wymiany ostrej korespondencji.

To, co usłyszała, wyraźnie ją zaniepokoiło. Przysuwając się do mnie gwałtownie na swoim krześle, zapytała:

– Sądzisz, że ten listowny spór opóźni wyjazd twojej ciotki z Londynu?

– Wprost przeciwnie. Moja ciotka jest osobą o bardzo silnym charakterze, więc niewykluczone, że zjawi się tutaj wcześniej, niż pierwotnie planowała. Obawiam się jednak, że nie w głowie jej będzie prosić pana Kellera o jakiegokolwiek przysługi czy wtrącać się w jego osobiste sprawy. Jeżeli ciotka postanowi wykorzystać swoją pozycję w firmie i zmusi pana Kellera do tego, żeby podporządkował się kobiecie, jakikolwiek przyjacielski dialog między nimi będzie niemożliwy.

Wdowa odchyliła się do tyłu na swoim krześle.

– Rozumiem – powiedziała cicho.

Podczas gdy oboje zajęci byliśmy rozmową, Minna podeszła do okna, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Teraz nagle odwróciła się, oznajmiając:

– Mamo, synek naszej gospodyni właśnie wyszedł na dwór. Mam zastukać w szybę i go przywołać?

Wdowa z trudem otrząsnęła się z zamyślenia.

– Po co, kochana? – zapytała półprzyciennie.

Minna wskazała na gzyms nad kominkiem.

– Żeby wyprawić go z listem mamy do pana Engelmana.

Madame Fontaine przez moment w milczeniu wpatrywała się w list, po czym odrzekła:

– Nie, moja droga, nie zatrzymuj chłopca. Teraz to już nie ma znaczenia.

Następnie przemówiła znów do mnie, przybierając z powrotem swój wcześniejszy ton głosu.

– Na swoje szczęście jestem optymistką. Nigdy nie tracę nadziei na pomyślny obrót spraw i teraz (rozumiejąc, że wszystko, co tu padło, powiedziałeś w dobrej wierze) też nie zamierzam jej tracić. Minno, skarbie, David i ja mamy już dość nudnych tematów. Proszę, zagraj nam coś.

Gdy jej córka posłusznie podnosiła klapę pianina, wdowa zerknęła na bukiet kwiatów.

– Lubisz kwiaty, Davidzie? – zapytała. – Znasz się na nich? Ja w swojej ignorancji zachwygam się ich ślicznymi kolorami i rozkoszną wonią, lecz nie ponadto. To było takie miłe ze strony twojego przyjaciela, pana Engelmana. Czy on również uczestniczy w jakiś sposób w owym godnym ubolewania sporze pomiędzy twoją ciotką i panem Kellerem?

Co miała oznaczać ta jej niespodziewana uwaga na temat pana Engelmana? I dlaczego nie zdecydowała się wysłać listu, który do niego napisała, kiedy pojawiła się po temu okazja w postaci chłopca?

Zaprzątnięty nowymi wątpliwościami, popełniłem wielką nieroztropność. Odpowiedziałem wdowie bardzo lakonicznie, co obudziło jej czujność. Zaznaczywszy, że żaden ze współników z niczego mi się nie zwierzał, ograniczyłem się tylko do wyrażenia przypuszczenia, że pan Engelman chyba podziela przekonania pana Kellera. W tamtej chwili madame Fontaine przejrzała mnie na wylot i już więcej nie próbowała poruszać tematu pana Engelmana. Mnie zaś ogarnął nastrój, w którym nawet śpiew Minny wydał mi się pozbawiony uroku. Poczulem wielką ulgę, kiedy korzystając z jakiejś wymówki, zdołałem wreszcie opuścić ich dom.

W drodze powrotnej na ulicę Main, gdy byłem już w stanie jasno myśleć, moje wątpliwości poczęły przekształcać się w głęboką podejrzliwość. Madame Fontaine – po tym, co ode mnie usłyszała – zapewne wyzbyła się nadziei na wstawiennictwo mojej ciotki w kwestii kluczowego dla niej spotkania z panem Kellerem. Czyżby postanowiła sprawdzić, ile swoim wpływem mógłby zdziałać dla jej sprawy jego współnik? Czy teraz, jak zniknąłem z pola widzenia, zamierzała zniszczyć swój grzecznościowy liścik ze zdawkowym podziękowaniem za kwiaty i napisać do pana Engelmana na nowo, zapraszając go do złożenia wizyty? I czy potem, jak już spełniłby swoje zadanie, zamierzała się go bezceremonialnie pozbyć?

Tego rodzaju pytania dręczyły mnie po powrocie do domu. Kiedy kilka godzin później spotkaliśmy się przy kolacji, moje najgorsze obawy potwierdziły się. Nieszczęsny pan Engelman miał na sobie wyjątkowo eleganckie odzienie i wydawał się być w nadzwyczaj radosnym nastroju. Pan Keller zapytał go drwiąco, czy będzie się żenił – na co jego współnik, odurzony własnym szczęściem, nieopatrznie odpowiedział mu żartem nawiązującym do drażliwej sprawy zatrudnienia kobiet.

– Któż może wiedzieć, co się wydarzy, kiedy w naszym biurze pojawią się młode urzędniczki! – zawołał wesoło.

Pan Keller tak się rozgniewał, że do końca posiłku nie odezwał się ani słowem.

Wymknąwszy się potem z jadalni za panem Engelmanem, zauważyłem:

– Wybiera się pan do madame Fontaine.

Starszy dżentelmen uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Zamierzam złożyć jej po prostu krótką wieczorną wizytę, Davidzie. Ha! Nie tylko wam, młodzieńcom, wolno korzystać z życia. – Przycisnął sobie dłoń do piersi na wysokości wewnętrznej kieszeni surduta. – Napisała taki rozkoszny list – rzekł. – Trzymam go tutaj, przy sercu. O nie, uczucia kobiety to rzecz święta! Nie pozwolę ci go zobaczyć.

Już miałem wyjawić mu całą prawdę, lecz w porę powstrzymała mnie myśl o Minnie. Pragnienie oszczędzenia panu Engelmanowi przykrości bezpośrednio kolidowało z pragnieniem dopomożenia Fritzowi w kwestii urzeczywistnienia jego małżeńskich planów. Zresztą, czy jakiegokolwiek moje słowo mogłoby wpłynąć na tego omamionego starszego człowieka przeżywającego właśnie pierwsze uniesienia zakochania? Postanowiłem, że dopóki nie wiem, jak sytuacja się rozwinie, udzielę mu tylko ogólnego ostrzeżenia.

– Proszę pozwolić, że coś panu po cichu doradzę, sir – powiedziałem. – Nawet najpiękniejsze kobiety mają swoje wady. Madame Fontaine wyda się panu szalenie czarująca, ale proszę nie dawać pochopnie wiary we wszystko, co pan od niej usłyszy.

Pan Engelman nie próbował ukrywać, że moje słowa bezgranicznie mu pochlebiły.

– Och, Davidzie, Davidzie! – zawołał. – Czyżbyś już był o mnie zazdrosny?

Włożył na głowę kapelusz (lekko na bakier), wesoło machnął laską i skierował się do wyjścia.

Po raz pierwszy, odkąd go znałem, wyszedł z domu bez fajki – i, co gorsza, zdawał się za nią w ogóle nie tęsknić.

Rozdział 12

Minęły dwa dni, w trakcie których dostrzegłem w panu Engelmanie kolejną zmianę.

Stał się nagle poważny i małowówny. Czy popełnił jakieś głupstwo, którego wyjście na jaw przyniosłoby mu upokorzenie? A może wdowa przestrzegła go, żeby z niczego mi się pochopnie nie zwierzał? Tak czy inaczej, nie wspomniał ani słowem o tym, jak madame Fontaine go przyjęła, a kiedy wybierał się do niej z kolejną wizytą, wymknął się z domu ukradkiem. Nie chcąc wpaść na niego przez przypadek i, jeśli mam być szczerzy, z niejakim niepokojem patrząc w przyszłość, trzymałem się z dala od Minny i jej matki i czekałem na rozwój wydarzeń.

Trzeci dzień przyniósł nową okoliczność. Otrzymałem krótki liścik od Minny, która pisała:

*Drogi Panie Davidzie,
gdyby chciał Pan zobaczyć się z Mamą i mną, proszę zostać dziś wieczorem w domu. Pan Engelman obiecał łaskawie, że po godzinach pracy oprowadzi nas po swojej starej, uroczej rezydencji.*

W owej chęci pochwalenia się przed damami „swoją starą, uroczą rezydencją” nie było niczego nadzwyczajnego. Dom stanowił jeden z wielu malowniczych przykładów historycznej architektury mieszkalnej, z której słynie Frankfurt, i bywał wielokrotnie rysowany przez artystów z całego świata. Jednocześnie nie uszło mojej uwadze, że wizyta wdowy miała nastąpić tego samego wieczoru, na który pan Keller zaplanował spotkanie z kilkorgiem swoich znajomych w innej części miasta. Niemniej mógł to być zwykły zbieg okoliczności.

Kiedy zbliżała się umówiona pora przybycia dam, pan Engelman spojrzął na mnie z zakłopotaniem.

– Nie wychodzisz dziś wieczorem, Davidzie? – zapytał.

– Czyżby moja obecność w domu w czymś panu przeszkadzała, sir? – zażartowałem.

– Och, nie!

– W takim razie chyba zostanę.

Nic na to nie powiedział, tylko począł chodzić ze znękanym wyrazem twarzy wte i wewte po pokoju. Gdy zadźwięczał dzwonek u drzwi wejściowych, przystanął i znów na mnie spojrzął.

– Jacyś goście?

Nie mógł pominąć mojego pytania milczeniem.

– Moje znajome, Davidzie. Przyszły obejrzeć dom.

Byłem już tak zirytowany jego uporczywą tajemniczością, że postanowiłem mu pokazać, jak się mówi otwarcie.

– Madame Fontaine i jej córka? – zapytałem.

Odwrócił się szybko, żeby odpowiedzieć, ale zaraz zawahał się. W tym samym momencie pochmurna stara gospodyni otworzyła drzwi, wpuszczając do środka dwie elegancko odziane damy, którym nie szczędziła podejrzliwych spojrzeń z ukosa.

Gdybym miał w tej kwestii cokolwiek do powiedzenia, przez wzgląd na pana Engelmana z pewnością nie zdecydowałbym się uczestniczyć w oprowadzaniu jego gości po domu. Jednak Minna od razu ujęła mnie pod ramię i nie pozostało mi nic innego, jak ruszyć śladem starszego dżentelmena i jej matki, którzy zdążyli już opuścić pomieszczenie.

Minna przemówiła do mnie z taką poufałością, jak gdybym był jej rodzonym bratem.

– Wie pan – wyszeptała – ten miły, starszy dżentelmen i moja matka są już jak starzy przyjaciele. Mama na ogół nieufnie traktuje nieznanomych. Czy to nie dziwne? Zachęcała go nawet, by zabierał ze sobą fajkę, gdy przychodzi do nas w odwiedzinach! Pan Engelman siedzi w kłębach dymu, patrząc na mamę z zachwytem – a mama mówi i mówi. Proszę do nas niedługo wpaść! Nie mam nikogo, z kim mogłabym porozmawiać o Fritzu. Mama i pan Engelman poświęcają mi mniej więcej tyle uwagi, ile poświęciliby być może małemu salonowemu pieskowi...

Podczas gdy wchodziliśmy z parteru na pierwsze piętro, madame Fontaine demonstrowała swój podziw dla domu kolejnymi rosnącymi w siłę wybuchami uniesienia. Siedemnastowieczna architektura mieszkalna zdawała się być tylko jedną z szeregu rozmaitych dziedzin, w których miała szerokie rozeznanie. Inną okazała się sztuka malowania akwarelą.

– Sama nie najgorzej rysuję – usłyszałem jej słowa skierowane do pana Engelmana – i wielką przyjemność sprawiłoby mi sporządzenie szkiców tych pięknych, starych wnętrz. Stanowiłyby dla mnie miłą pamiątkę po wyjeździe z Frankfurtu. Ale nie śmiałabym się narzucać... Nie potrzebują panowie w tym swoim starokawalerskim rajach rozemocjonowanych dam biegających ze szkicownikami. Mam nadzieję, że nie zakłócamy spokoju panu Kellerowi. Czy jest w domu?

– Nie, wyszedł – odrzekł pan Engelman, na co tryskający dotąd z ust madame Fontaine potok słów nagle się wyczerpał.

Wdowa nie przerywała milczenia przez całą drogę na drugie piętro. W tej części domu mieściły się sypialnie. Moja nie wyróżniała się niczym szczególnym, ale w pokojach zajmowanych przez panów Kellera i Engelmana stały najwspanialsze w całym domu okazy rzeźbionych mebli.

Zapadał już zmrok, co skłoniło pana Engelmana do zapalenia światła w swojej sypialni. Wdowa wzięła od niego jedną ze świec i poczęła zręcznie

opromieniać rozmaite znajdujące się wokół przedmioty. Chociaż wciąż była nieco przygaszona, nie omieszkała się wykazać znajomością sztuki snycerskiej, zwracając szczególną uwagę na dwa najefektowniejsze meble w pomieszczeniu: szafę na ubrania i toaletkę.

– Mój nieszczęsny mąż miał słabość do rzeźbionego drewna – wyjaśniła skromnie – i wszystkiego, co wiem na ten temat, dowiedziałam się od niego. Drogi panie Engelman, pańska sypialnia jest niczym z obrazka. Cóż za cudowne kolory! Prostota i wspaniałość w jednym! Czy moglibyśmy... – urwała, starając się stworzyć pozory szlachetnego zakłopotania. Jej głos zstąpił na niższe, delikatniejsze tony: – Sądzi pan, że wybaczone by nam, gdybyśmy zajrzeli do sypialni pana Kellera?

Ostatnie słowa wymówiła w taki sposób, jak gdyby „sypialnia pana Kellera” była świątynią dostępną tylko dla garstki wybrańców. Kiedy z przejściem zapytała o jej umiejscowienie, ruszyłem przez korytarz i bez większych ceregieli otworzyłem drzwi. Madame Fontaine spojrzała na mnie tak, jakbym dopuścił się świętokradztwa.

Idący za nami ze świecą pan Engelman zapalił wiekową, mosiężną lampę, która zwisała ze środka sufitu.

– Mój uczony współnik – wyjaśnił – dużo czyta i lubi mieć jasno w sypialni. Kiedy płomień lampy się wydłuży, zobaczy pani w pełnej okazałości kominek. Jego potężny gzyms uchodzi za najdoskonalsze dzieło tego gatunku we Frankfurcie.

Wdowa stanęła naprzeciw kominka, splatając dłonie w niemym uniesieniu. Kiedy odzyskała wreszcie mowę, objęła Minnę ramieniem.

– Wytlumaczę ci, kochana, jak należy patrzeć na ten majstersztyk – powiedziała, po czym wygłosiła zgrabną przemowę na temat artystycznych walorów rzeźbionego gzymsu. – Och, gdybym tylko mogła choć pobieżnie go sobie naszkicować! – rzuciła na zakończenie. – Ale nie, nie wolno prosić o tak wiele... – Przyjrzała się wszystkim wypełniającym pokój przedmiotom z drobiazgową uwagą. Nie pominęła nawet zwykłego małego stolika nocnego przy łóżku. – Czy to pana Kellera? – zapytała z nabożnym zaciekawieniem, wskazując na stojące na stoliku dzbanek i szklankę. – Sądzi pan, że mogłabym skosztować zawartości?

Pan Engelman roześmiał się.

– To tylko woda jęczmienna, droga madame – powiedział. – Nasza leciwa gospodyni choruje na reumatyzm i stara się oszczędzać sobie wycieczek po schodach. Kiedy przygotowuje sypialnię na wieczór, od razu przynosi ze sobą pełny dzbanek, dzięki czemu nie musi przychodzić już drugi raz.

– Posmakuj, Minno – powiedziała wdowa, podając szklankę córce. – Jaka orzeźwiająca! Jaka czysta!

Znajdujący się u jej drugiego boku pan Engelman począł szeptać do jej ucha. Stałem tuż za nimi i chcąc nie chcąc dosłyszałem jego słowa.

– Zrobię się zazdrosny – rzekł. – Nie zwróciła pani uwagi na to, co ja piję przed snem. A piję piwo.

Wdowa odpowiedziała mu spojrzeniem, które wyrwało z jego piersi westchnienie radości. Biedny pan Engelman!

Minna bezwiednie przerwała tę niemą miłosną scenę.

Przyglądając się wiszącym wokół obrazom, poprosiła o objaśnienia, z którymi tym razem pospieszył tylko pan Engelman. To, że malowidła nie zdołały pobudzić artystycznego zmysłu jej matki, wydało mi się nieco dziwne. Zamiast dołączyć do córki w drugiej części pokoju, wdowa wciąż stała przy nocnym stoliku, nie odrywając zamyślnego wzroku od dzbanka z wodą jęczmienną. Naraz drgnęła i odwróciwszy się szybko, zauważyła, że ją obserwuję. Być może było to tylko złudzenie wywołane przez światło lampy, ale wydało mi się, że dostrzegłem w jej przymrużonych oczach błysk gniewu – tak intensywny, że aż struchlałem. Zanim zdążyłem rozstrzygnąć, czy to, co zobaczyłem, było przywidzeniem czy rzeczywistością, madame Fontaine na powrót stała się sobą.

– Czujesz zaskoczenie, Davidzie? – zapytała, używając najłagodniejszego tonu. – Zastanawiasz się, dlaczego nie patrzę na obrazy? Przyjacielu! Nie zawsze jestem w stanie zapanować nad smutnymi wspomnieniami. Czasem nachodzą moją duszę drogą najbliższych skojarzeń. Drogi pan Engelman mnie rozumie. On także niewątpliwie wie, co to cierpienie. Czy mogłabym na chwilkę tutaj przysiąść?

Opadłszy leniwie na fotel, zapatrzyła się w słynny gzyms kominka. Poza, którą przybrała, stanowiła ucieleśnienie gracji. Pan Engelman, pospiesznie zakończywszy swój wykład na temat obrazów, usadowił się obok wdowy i począł rozplýwać się nad urodą kominka.

– Artyści powiadają, że najlepiej prezentuje się w świetle lampy – zauważył.
– Za dnia ta szeroka ściana między oknami ogranicza dopływ promieni słonecznych.

Madame Fontaine uśmiechnęła się do niego aprobuszując.

– Przed chwilą dokładnie o tym pomyślałam – oznajmiła. – Wrażenie, które tworzy ta gra światła, jest iście doskonałe. Och, dlaczego nie zabrałam ze sobą szkicownika? Mogłabym pod nieobecność pana Kellera uwiecznić sobie na pamiątkę ten widok...

Wypowiadając ostatnie słowa, odwróciła się do mnie.

– Jeżeli nie zależy pani na kolorach – podsunąłem – to mamy w domu papier i ołówki.

Zegar na korytarzu wybił pełną godzinę.

Pan Engelman wstał z fotela, a na jego obliczu pojawił się nerwowy grymas. Swoim zachowaniem zdawał się sugerować, że nie zauważyliśmy upływu czasu

i że w każdej chwili mógł wrócić pan Keller. Taki sam wniosek najwyraźniej nasunął się Minnie. Wyglądało na to, że jedynie wdowę tym razem zawiodła spostrzegawczość. Madame Fontaine siedziała w swoim fotelu z takim spokojem, jak gdyby była u siebie w domu.

– Zastanawiam się, czy potrafiłabym się obejść bez kolorów – powiedziała jak gdyby nigdy nic. – Chyba mogłabym spróbować...

Podenerwowanie pana Engelmana przerodziło się w prawdziwy niepokój. Nie umknęło to uwadze nie tylko mojej, ale również Minny, która bezzwłocznie zareagowała.

– Obawiam się, proszę mamy, że za późno już dziś na rysowanie – rzekła. – Co, jeśli wróci pan Keller?

Madame Fontaine natychmiast podniosła się w zakłopotaniu z miejsca.

– Jak mogłam o tym nie pomyśleć!?! – wykrzyknęła. – Panie Engelman, mam nadzieję, że mi pan wybaczy. Byłam tak pochłonięta pięknem kominka... Dziękuję po tysiącokroć za pańską uprzejmość!

Nie przestając przeproszać i dziękować, ruszyła do wyjścia. Uspokojony pan Engelman spojrzął na nią tkliwie i ofiarował swoje ramię, żeby sprowadzić ją na dół.

Tym razem Minna i ja szliśmy przodem. Dotarłszy do pierwszego półpiętra, przystanęliśmy, żeby poczekać. Wdowa schodziła po schodach wyjątkowo niespiesznie, podziwiając balustradę. Kiedy wreszcie dołączyła do nas, jej uwagę przykuły drzwi pokojów pierwszego piętra. „Rzeczą niemożliwą – oświadczyła – byłoby przejść obok nich obojętnie”. Na parterze znów musieliśmy z Minną poczekać: w holu paliła się bowiem inna mosiężna lampa – kolejny zabytkowy przedmiot, którego nie można było minąć w pośpiechu.

– Nigdy dotąd nie widziałam, żeby mama zachowywała się tak dziwnie – szepnęła Minna. – Ktoś nieznający naszej sytuacji mógłby pomyśleć, że zależy jej na tym, żeby pan Keller przyłapał nas w swoim domu!

Miałem absolutną pewność (wiedząc, jakie nadzieje madame Fontaine wiązała z możliwością spotkania pana Kellera), że właśnie o to jej chodziło. Los, jak mówi przysłowie, sprzyja zuchwałym – i wdowa dostała tego dnia wymarzoną szansę.

Podczas gdy wciąż zajęta była podziwianiem lampy, w zamku zewnętrznych drzwi zazgrzytał klucz i po chwili do holu wszedł pan Keller.

Na widok dwóch nieznanomych dam natychmiast znieruchomiał i spojrzął pytająco na współnika. Panu Engelmanowi nie pozostało nic innego, jak udzielić jakiegoś wyjaśnienia. Czyniąc to, nie zdecydował się jednak przedstawić dam z nazwiska.

– Kellerze, to moje znajome, którym pokazywałem dom – powiedział zmieszany.

Pan Keller zdjął z głowy kapelusz i ukłonił się wdowie. Ta ze zdumiewającą – biorąc pod uwagę okoliczności – pewnością siebie dygnęła głęboko, posłała mu swój najbardziej przytulny uśmiech i uroczyście przedstawiła się.

– Nazywam się madame Fontaine, sir – powiedziała. – A to moja córka Minna.

Rozdział 13

Pan Keller w srogim milczeniu minął wdowę, omiatając ją wzrokiem, po czym przeszedł w głąb holu i zniknął za drzwiami pokoju na tyłach domu. Nawet gdyby miał ochotę spojrzeć na Minnę, nie udałooby mu się jej zobaczyć. Na jego widok nieszczęsna dziewczyna od razu schowała się za moimi plecami, rozpaczliwie drżąc ze strachu. Chwyciłem ją za dłoń, żeby dodać jej otuchy.

– Och, i jak tu mieć nadzieję, że taki człowiek da nam jakąkolwiek szansę? – wyszeptała.

Kiedy pan Keller przeszedł obok madame Fontaine, ta odwróciła się i patrzyła za nim, dopóki nie straciła go z oczu.

– Nie – mruknęła cicho pod nosem. – Nie uciekniesz mi tak łatwo.

Jak gdyby tknięta nagłym impulsem, ruszyła za nim przez długość holu do tych samych drzwi, które przed chwilą za sobą zamknął.

Zostając przy Minnie, nie byłem w stanie dojrzeć twarzy jej matki. Twarz pana Engelmana – wyciągającego błagalnie ręce do madame Fontaine, by spróbować ją zatrzymać – powiedziała mi, że dzikie uczucia skrywane przez tę kobietę gdzieś głęboko na dnie duszy w końcu wyrwały się na zewnątrz.

– Och, droga pani, droga pani! – zawołał ten prostolinijny staruszek. – Proszę nie rzucać takich spojrzeń! Keller po prostu łatwo wpada w złość, ale za chwilę mu przejdzie.

Nic nie odpowiadając i nawet na niego nie patrząc, wdowa uniosła dłoń i odsunęła go od siebie tak, jak gdyby miała do czynienia z natrętnym dzieckiem. Ruszywszy dalej pewnym, pełnym gracji krokiem, zbliżyła się do drzwi w drugim końcu holu i ostro zapukała.

– Kto tam? – dobiegł z pokoju głos pana Kellera.

– Madame Fontaine – odpowiedziała wdowa. – Chciałabym z panem zamienić słowo.

– Nie życzę sobie rozmawiać z żadną madame Fontaine.

– W takim razie, panie Keller, pozwolę sobie do pana napisać.

– Nie mam zamiaru czytać żadnych listów od pani.

– Proszę się dobrze zastanowić. Być może jutro rano, panie Keller, zmieni pan zdanie.

Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i z powrotem do nas dołączyła. Minna wyszła jej naprzeciw, żeby czule ucałować matkę.

– Wiem, że to wszystko z myślą o mnie – powiedziała z wdzięcznością. – Ale wstyd mi, że droga mama tak się poniża z mojego powodu. Przecież nie warto!

– Ależ warto – odparła zawzięcie madame Fontaine. – Nawet gdyby twojemu szczęściu zagrażało pięćdziesięciu takich panów Kellerów, moje dziecko,

usunęłabym z twojej drogi każdego z nich. Och, moja kochana, moja kochana!

Wraz z ostatnimi czułymi słowami jej głos, wcześniej po męsku stanowczy, załamał się i odmówił posłuszeństwa. Przyciągnąwszy do siebie Minnę – tę jedyną ziemską istotę, którą kochała – uściskała ją w niemym uniesieniu. Gdy z powrotem podniosła głowę, wydała mi się piękniejsza niż kiedykolwiek dotąd. Jej oczy były pełne łez, które zawsze uszlachetniają – łez miłości i żalu. Znając dalszy ciąg tej okropnej historii, mimo wszystko muszę oddać tutaj tej nieszczęsnej kobiecie sprawiedliwość. Nie była zepsuta do szpiku kości i Minna miała zawsze moc wznoszenia jej ponad jej własną niegodziwość. Kiedy oderwawszy się wreszcie od córki, wyciągnęła do pana Engelmana dłoń, ta drżała tak, jak gdyby należała do najbardziej bojaźliwej kobiety na ziemi.

– Dobranoc, drogi przyjacielu – rzekła do niego. – Przepraszam, że niechcący wywołałam to drobne zamieszanie.

Prostoduszny pan Engelman – po raz pierwszy w życiu tak zdezorientowany, przerażony i zmartwiony – otarł oczy chusteczką i ucałował dłoń wdowy, powiedział tonem rzewnej prośby:

– Pozwolą panie, że odprowadzę je dla bezpieczeństwa do domu!

– Nie dzisiaj – odmówiła wdowa.

Starszy dżentelmen próbował nieśmiało nalegać. Madame Fontaine, doskonale wiedząc, jak nakłonić go do uległości, posłała mu jedno z owych spojrzeń, które już zdążyły stać się solą jego życia.

Przytłoczony emocjami pan Engelman przysiadł na jednym z krzeseł w holu.

– Cudowna, wspaniała kobieta! – dosłyszałem jego szept.

Zaczynając żegnać się ze mną, wdowa nagle cofnęła dłoń, najwyraźniej uderzona jakimś nowym pomysłem.

– Chciałabym cię poprosić, Davidzie, o wyświadczenie mi pewnej uprzejmości – oznajmiła. – Czy miałbyś coś przeciwko temu, żeby towarzyszyć nam w drodze powrotnej?

Chwyciłem od razu kapelusz i oczywiście oddałem się do jej usług.

Pan Engelman, poderwawszy się na nogi, uniósł pulchne dłonie w geście milczącego, melancholijnego protestu.

– Proszę się nie niepokoić – powiedziała do niego madame Fontaine, uśmiechając się nieco pogardliwie. – David mnie nie kocha!

Zanim ruszyłem za nią do wyjścia, szepnąłem do pana Engelmana pocieszająco:

– Przecież mogłaby być moją matką, sir. Tak czy inaczej, tym razem powiedziała panu prawdę.

Przechodząc przez kolejne ulice i przez most, prawie nie rozmawialiśmy. Zasmucona i milcząca Minna rozmyślała o Fritzu, a jej matka, cokolwiek chciała mi powiedzieć, najwyraźniej zamierzała to zrobić na osobności. Kiedy dotarliśmy

na miejsce, madame Fontaine poprosiła, żebym zaczekał na nią w ich obskurnym salonie, udzielając mi łaskawego przyzwolenia na palenie.

– Powiedz Davidowi dobranoc – rzekła do córki. – Twoje biedne, małe serduszko musi dzisiaj bardzo boleć, więc mama ułoży cię do snu tak, jak wtedy, kiedy byłaś małą dziewczynką. Ach! Gdyby tylko tamte czasy mogły wrócić!

Po krótkiej nieobecności wdowa dołączyła do mnie. Promieniała teraz spokojem, uśmiechała się łagodnie i zdawało się, że już w ogóle nie pamięta niedawnego spotkania z panem Kellerem.

– Tak często słyszy się o rodzicach naprawiających swoje dzieci – powiedziała. – Osobiście wierzę, że równie często to dzieci naprawiają rodziców. Spędziłam kilka radosnych minut z Minną i (czy dasz wiarę?) już jestem skłonna wybaczyć panu Kellerowi jego bezduszość i napisać do niego pojednawczy list, który przecież będzie musiał odnieść jakiś skutek. To wszystko zasługa Minny, chociaż mój aniołek sam niczego się nawet nie domyśla! Jeżeli będziesz kiedyś miał własne dzieci, Davidzie, zrozumiesz mnie i pomyślisz o mnie ze współczuciem. Tymczasem zamiast marnować twój czas, powinnam od razu wyjawić ci, po co cię tutaj zaprosiłam. – Otworzyła sekretarzyk i wzięła do ręki pióro. – Czy zgodzisz się zanieść panu Kellerowi mój list, jeśli napiszę go w twojej obecności?

Zawahałem się. Mówiąc oględnie, jej prośba stawiała mnie w trudnym położeniu.

– Nie oczekuję, że osobiście przekażesz go panu Kellerowi – wyjaśniła. – Ale muszę (wymówiła to słowo ze szczególnym naciskiem) mieć absolutną pewność, że list do niego dotarł i że nic nie przeszkodziło mu go przeczytać. Gdybyś tylko zechciał położyć go na jego służbowym biurku... Tylko o to proszę. Pamiętaj, że to wszystko dla Minny, a nie dla mnie!

Przekonany tym ostatnim argumentem, zgodziłem się. Wdowa od razu podniosła się i dała mi znak, żebym siadł na jej miejscu przy sekretarzyku.

– Dużo szybciej będzie, jeśli ja podyktuję, a ty napiszesz list na brudno – rzekła. – Przywykłam do dyktowania korespondencji Minnie. Oczywiście będziesz mógł zobaczyć czystopis, zanim zostanie zapieczętowany.

Poczęła chodzić tam i z powrotem po pokoju z dłońmi splecionymi po napoleońsku za plecami. Po chwili namysłu podyktowała mi następujące słowa:

Sir,

doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że haniebne plotki krążące po Würzburgu uprzedziły Pana do mojej osoby. Owe plotki, o ile mi wiadomo, można streścić w trzech punktach.

Punkt pierwszy: Mój mąż umarł w długach spowodowanych moją rozrzutnością.

Punkt drugi: Moi szanowani sąsiedzi nie życzą sobie utrzymywać ze mną

stosunków.

Punkt trzeci: Podstępem skłoniłam Pańskiego syna Fritza do oświadczenia się mojej córce, gdyż dowiedziałam się, że jego ojciec jest człowiekiem majątnym.

Odnosząc się do pierwszego oszczerstwa, pragnę wyjaśnić, że rzeczony dług był efektem kosztownych eksperymentów chemicznych prowadzonych przez mojego świętej pamięci męża i że co do ostatniego pensa zaspokoiliam roszczenia wszystkich wierzycieli. Jeżeli zechce się Pan ze mną spotkać osobiście, chętnie podam Panu ich nazwiska.

Co się tyczy drugiego oszczerstwa, pozwolę sobie Pana poinformować, że kiedy zaraz po swoim zamążpójściu osiedliłam się w Würzburgu, zapraszały mnie do siebie wszystkie wielkie damy z tego miasta. Poznawszy w wystarczającym stopniu tamtejsze życie towarzyskie, z czasem, przyznaję, zaczęłam grzecznie odrzucać kolejne zaproszenia, całkowicie poświęcając się mężowi i małemu dziecku – a także osobistym studiom w zakresie literatury i sztuki, jeśli sprzyjała temu wolna chwila. Nie gustuję w jałowych pogaduszkach i plotkach ani też w nieodłącznie im towarzyszących robótkach ręcznych. I chociaż nie mam zwyczaju zaniedbywać obowiązków domowych, nie uważam ich – tak samo jak picia herbaty – za istotę życia kobiety. Niestety nie starczyło mi rozsądku, by kryć się z owymi przekonaniem – co nieuchronnie przysporzyło mi zagorzałych wrogów. Jeśli uzna Pan to wytłumaczenie za niezadowalające, proszę zgodzić się na spotkanie ze mną, a chętnie udzielę odpowiedzi na każde nurtujące Pana pytanie.

A propos trzeciego oszczerstwa, uprzejmie oświadczam, że nawet gdyby był Pan prawdziwym księciem, a nie zwykłym kupcem, robiłabym wszystko, co w mojej mocy, żeby odsunąć Pańskiego syna od mojej córki – z tego prostego powodu, że sama myśl o oddaniu jej jakiegokolwiek mężczyźnie przepelnia mnie wielkim żalem i niepokojem. Pogodziłam się z ich planami małżeńskimi dopiero wtedy, kiedy zrozumiałam, że tylko Pański syn jest w stanie dać mojemu biednemu dziecku szczęście. Właśnie z tego względu – i tylko z tego względu – piszę ten upokarzający dla mnie list. Pańskie pieniądze mnie nie interesują i gdyby wskutek jakiegoś nieprzewidzianego nieszczęścia jutro Pan zbankrutował, równie usilnie jak teraz przekonywałabym Pana do wyrażenia zgody na ślub naszych dzieci. Dopóki jestem zdrowa i zdolna do pracy, ubóstwo mi niestraszne. Nie zniosłabym jednak myśli, że zламаłam swojej córce życie, ponieważ pozwoliłam Panu wierzyć w pomówienia rozpowszechniane na mój temat. Po raz trzeci gorąco proszę, żeby zgodził się Pan ze mną spotkać i wysłuchać tego, co mam do powiedzenia na swoją obronę.

Urwawszy w tym miejscu, madame Fontaine zajrzała mi przez ramię.

– To wystarczy, jak sądzę – powiedziała. – Widzisz w moim liście coś niestosownego?

Jakże mógłbym zarzucić mu niestosowność? Chociaż nie brakowało mu stanowczości, od początku do końca utrzymany był w powściągliwym tonie.

Zwolniłem krzesło przy sekretarzyku, żeby wdowa mogła przepisać list na czysto. Nie zmieniając niczego w jego treści, madame Fontaine dodała jeszcze w charakterze postscriptum ten oto złowieszczy dopisek:

Zaklinam Pana, proszę nie doprowadzać mnie do ostateczności. Matka, która walczy o życie swojego dziecka – a z takim przypadkiem ma Pan do czynienia – to matka, która walczy o to, co jej się święcie należy. Żaden mądry człowiek nie próbowałby temu zaprzeczać.

– Sądzi pani, że to rozsądne dodawać na końcu takie słowa? – ośmieliłem się zapytać.

Obrzuciła mnie szybkim, czujnym spojrzeniem, jednak odpowiedziała dopiero po tym, jak zapieczętowała list i umieściła go w mojej dłoni.

– Dopisałam te słowa nie bez powodu – rzekła. – Niech tak zostanie.

Kiedy wróciłem do domu dość późną, jak na frankfurckie zwyczaje, porą, czekał na mnie, ku mojemu zaskoczeniu, pan Keller.

– Ucieliśmy sobie z moim współnikiem pogawędkę – zauważył – która pozostawiła w nas obu bolesny ślad (choć mam nadzieję, że nie na długo). Muszę poprosić cię teraz o przysługę i zastąpienie w pewnej sprawie pana Engelmana, któremu tutejsze zobowiązania nie pozwolą jutro wyjechać z Frankfurtu.

Ton jego głosu wyraźnie dawał do zrozumienia, że owe „tutejsze zobowiązania” to umówione spotkanie z madame Fontaine. Między starymi przyjaciółmi musiały paść przykre słowa na temat wdowy. Nawet człowiek tak pokojowo usposobiony jak pan Engelman nie mógłby nie poczuć się urażony zachowaniem pana Kellera w holu.

– Wykonanie zadania, które chciałem ci zlecić, nie powinno okazać się wielkim kłopotem – ciągnął starszy dżentelmen. – Pewien przedsiębiorca z Hanau wyraził wolę prowadzenia z nami interesów i trzeba sprawdzić przedstawione przez niego referencje u okolicznych prominentów. Niestety w biurze mamy obecnie takie urwanie głowy, że nie mogę udać się na miejsce osobiście ani też wysłać żadnego z naszych pracowników. Przygotowałem dla ciebie wszystkie konieczne instrukcje, a Hanau, jak wiesz, leży tuż pod Frankfurtem. Czy miałbyś coś przeciwko reprezentowaniu naszej firmy w tej sprawie?

Nie muszę chyba dodawać, że pochlebilo mi zaufanie, którym mnie obdarzono, i zapragnąłem jak najszybciej dowieść, że w pełni na nie zasługuję. Ustaliliśmy, że wyruszę z Frankfurtu następnego ranka pierwszym dostępnym środkiem lokomocji.

Po drodze na górę, zanim rozeszliśmy się do naszych sypialni, pan Keller zatrzymał mnie jeszcze na moment.

– Nie mam prawa wtrącać się do twoich wyborów towarzyskich – powiedział. – Żyję jednak wystarczająco długo, żeby móc posłużyć ci drobną radą.

Nie zaprzyjaźniaj się, Davidzie, zbyt pochopnie z kobietą, którą dziś wieczorem zastałem w tym domu.

Uścisnął serdecznie moją dłoń, po czym oddalił się. Pomyślałem o spoczywającym w mojej kieszeni liście madame Fontaine i ogarnęła mnie całkowita pewność, że żadna siła nie nakłoni zawziętego pana Kellera do przeczytania go.

Gdy wstałem nazajutrz wcześnie rano, jedynymi osobami krzątającymi się po domu byli służący. Niezauważony przez nikogo, położyłem list na biurku w prywatnym gabinecie pana Kellera. Zaraz potem wyruszyłem do Hanau.

Rozdział 14

Dzięki instrukcjom, w które zostałem zaopatrzone, zadanie nie było trudne. Miałem przedstawić się wskazanym osobom i pozyskać od nich określone informacje, a po powrocie przekazać je panu Kellerowi. Sprawa wymagała ode mnie jedynie staranności i rozwagi.

Pod koniec pierwszego dnia pracy gościnny kupiec, którego referencje polecono mi zweryfikować, nie pozwolił mi wrócić do hotelu, tłumacząc, że w jego domu specjalnie z myślą o mnie została przesunięta pora kolacji.

– Pozna pan jedynie moją rodzinę – przekonywał – oraz przebywającą u nas z wizytą kuzynkę mojej żony, niejaką Frau Meyer z Würzburga.

Przyjąłem zaproszenie, chociaż w głębi duszy, jak przystało na prawdziwego Anglika, nie miałem ochoty na spotkanie z grupą nieznanym i nie wiązałem też żadnych nadziei z osobą pochodzącej z Würzburga Frau Meyer. Byłem tak otumaniony albo tak pochłonięty sprawami służbowymi, że nawet po tym, jak przedstawiono mnie damom jako „zaczynającego przedstawiciela pana Kellera z Frankfurtu”, nie zwróciłem uwagi na szczególne zainteresowanie, które wzbudziłem we Frau Meyer. Była to tęga, rumiana starsza pani z gatunku tych ordynarnie błyskotliwych i pewnych siebie, a towarzyszyła jej córka, która, jak wszystko wskazywało, miała w przyszłości aż nazbyt wiernie ją przypominać. Ku mojej wielkiej uldze, zostałem posadzony przy stole między żoną kupca i jej najstarszym synem stanowiącymi w moim odczuciu dużo atrakcyjniejsze towarzystwo od Frau Meyer.

Po kolacji przeszliśmy wszyscy do innego pomieszczenia, gdzie podano kawę. Kupiec i jego syn – obaj z pasją oddający się w wolnym czasie muzykowaniu – zagraли sonatę na fortepian i skrzypce. Znajdowałem się właśnie w drugim końcu pokoju, podziwiając wiszące na ścianie wyśmienite reprodukcje rycin starych mistrzów, kiedy nagle wyrwał mnie z zamyślenia dobiegający z bliska głos.

– Jestem ciekawa, sir, czy zna pan syna pana Kellera?

Odwrociwszy się, zobaczyłem przed sobą Frau Meyer.

– Widział się pan z nim ostatnio? – zapytała, gdy potwierdziłem swoją znajomość z Fritzem. – Wie pan, gdzie teraz przebywa?

Odpowiedziałem na obydwa pytania i Frau Meyer sprawiała wrażenie w pełni usatysfakcjonowanej.

– Utnijmy sobie małą pogawędkę – zaproponowała, przysiadając i dając mi znak, żebym zajął miejsce w fotelu obok niej. – Żywo interesuję się losem Fritza – oznajmiła, zniżając głos tak, by nie dosłyszeli jej muzykujący po drugiej stronie pokoju gospodarze – ale odkąd wyjechał z Würzburga, nie miałam na jego temat

żadnych wieści. Lubię o nim rozmawiać; kiedyś, pewien czas temu, wyświadczył mi drobną przysługę. Podejrzewam, że wtajemniczył pana w swoje sprawy? Czy wyjawiał panu, dlaczego ojciec zmusił go do porzucenia studiów i wyjazdu z miasta?

Muszę przyznać, że tym razem odpowiedziałem w niejakim roztargnieniu. Moje myśli krążyły wokół uwagi, która spłynęła z ust starszej damy chwilę wcześniej. „Pewien czas temu wyświadczył mi drobną przysługę”. Czy nie spotkałem się ostatnio z podobnymi słowami? I dlaczego, jak tylko znów padły w mojej obecności, tak szybko sobie o nich przypomniałem?

– Ach, jak mądrze ojciec postąpił, rozdzielając go z tą kobietą i jej córką! – ciągnęła Frau Meyer. – Madame Fontaine umyślnie wpędziła tego nieszczęsnego chłopca w zaręczyny. Ale być może przyjaźni się pan z nią? Jeśli tak, odwołuję wszystko, co powiedziałam, i przepraszam.

– Zupełnie niepotrzebnie – odparłem.

– Nie przyjaźni się pan z madame Fontaine? – drążyła Frau Meyer.

Owo zuchwałe pytanie z jej strony przyniosło skutek odwrotny do zamierzonego. Poczulem się tak, jak gdyby przesłuchiwał mnie sąd i, ujmując to w nasz angielski, potoczny sposób, stanąłem okoniem. Madame Fontaine była, w dosłownym znaczeniu tego słowa, moją znajomą, ale z całą pewnością nie przyjaciółką. Przynajmniej ten jeden raz zachowałem się przezornie i odpowiedziałem przecząco.

Z przepastnej piersi mojej rozmówczyni wyrwało się westchnienie szczerzej ulgi.

– Ach! – zawołała Frau Meyer. – Więc teraz mogę mówić zupełnie otwarcie, a chodzi mi przecież o dobro Fritza. Jest pan, tak jak on, młodym człowiekiem i Fritz będzie bardziej skłonny słuchać pańskich rad. Proszę zrobić wszystko, co w pańskiej mocy, by pomóc jego ojcu na niego wpłynąć i wybić mu z głowy to fatalne zauroczenie. Powiadam panu, małżeństwo z tą dziewczyną doprowadziłoby go do zguby!

– Używa pani bardzo mocnych słów. Co ma pani do zarzucenia tej młodej damie?

– Ależ nic, to nieszkodliwe, nic nieznaczące stworzenie. To jej nikkczemna matka budzi mój sprzeciw.

– O ile mi wiadomo, Frau Meyer, panują w tej kwestii podzielone opinie. Zdaniem Fritza madame Fontaine czyniona jest wielka niesprawiedliwość. Zapewniał mnie na przykład, że próżno byłoby szukać na tym świecie bardziej kochającej matki od niej.

– Ba! I co niby z tego wynika? W naturze każdej kobiety zapisane jest kochać swoje dziecko, tak samo jak w jej naturze zapisane jest jeść, kiedy czuje się głód. Matczyny instynkt o niczym nie świadczy. Przecież ma go też każda kotka!...

Co z panem?

„Każda kotka ma matczyne instynkt”. Znów słowa, z którymi już kiedyś się spotkałem – i tym razem na tyle charakterystyczne, że natychmiast cofnąłem się pamięcią do właściwej chwili. Przypomniałem sobie anonim otrzymany przez Fritza i od razu poczułem pewność, że Frau Meyer, usiłując przekonać mnie do swojej racji, wygłosiła dwa argumenty, którymi już raz się posłużyła, usiłując przekonać do swojej racji Fritza. Uzmysłowiwszy sobie nagle, że siedzę twarzą w twarz z autorką anonimowego listu, gwałtownie drgnąłem w swoim fotelu.

Wytłumaczywszy czymś – nie pamiętam już czym – swoje zachowanie, pospiesznie nawiązałem do przerwanej rozmowy. Oto nadarzyła się sposobność pozyskania informacji, które mogły okazać się nieocenione dla Fritza (nie wspominając o dobrodusznym panie Engelmanie) i nie należało jej zmarnować. W dalszym ciągu podpierając się opiniami Fritza, powtórzyłem, co mi powiedział na temat zamiłowania mieszkańców Würzburga do plotek i powszechnej wśród kobiet zazdrości o wdzięki madame Fontaine. Frau Meyer roześmiała się z politowaniem.

– Biedny Fritz! – powiedziała. – To wspaniały młodzieniec, ale zbyt poczciwy i zbyt łatwo ulegający manipulacjom. Miałybyśmy wszystkie zazdrościć wdowie Fontaine? Niedorzeczność! Nie warto tego nawet komentować. Czas pokaże, kto ma rację, panie Davidzie. Wystarczy, że postaracie się z panem Kellerem utrzymać go z daleka od wdowy przez kilka kolejnych miesięcy, a łuski same spadną Fritzowi z oczu. Być może jeszcze wróci do nas z wolnym sercem i następnym razem, kiedy będzie szukał sobie żony, dokona mądrzejszego wyboru.

Gdy wypowiadała ostatnie słowa, jej wzrok powędrował ku córce znajdującej się po drugiej stronie pomieszczenia. Z wyrazu jej twarzy wyczytałem, że kiedyś, w bliżej nieokreślonej przeszłości, planowała uczynić Fritza swoim własnym zięciem i że jeszcze całkiem owego planu nie porzuciła. Madame Fontaine mogła być istotnie podstępna i niebezpieczną kobietą. Ale czy powinienem uznać za wiarygodnego świadka przeciwko niej tę napastliwą, starszą damę, tę pozbawioną skrupułów autorkę anonimowego listu?

– Jest pani niezwykle pewna swoich przepowiedni – pozwoliłem sobie zauważyć.

Czerwone oblicze Frau Meyer poczerwieniało jeszcze bardziej.

– Czy to znaczy, że mi pan nie wierzy? – zapytała.

– Ależ nie, madame. Chcę tylko powiedzieć, że wysuwa pani wobec wdowy po doktorze Fontaine bardzo poważne zarzuty, nie popierając ich jednak żadnymi konkretnymi faktami.

– Och! Chce pan konkretów, tak? Zaraz udowodnię, że wiem, co mówię. Czy Fritz, opowiadając panu o rozmaitych zaletach i dokonaniach madame Fontaine, wspomniał też, że spłaciła swoje długi? Proszę posłuchać, jak jej się to

udało, może dzięki temu zrozumie pan, młodzieńcze, że niczego nie zmyślam. Pańska cudowna wdowa, sir, to mistrzyni w sztuce uwodzenia starszych dżentelmenów, ci durnie zawsze się w niej zakochują! Jej ofiarą padł między innymi pewien staruszek z Würzburga (prawie osiemdziesięcioletni, pozwolę sobie zauważyć). Dziś rano dotarł do mnie list, z którego wynika, że dwa dni temu wspomniany staruszek został znaleziony martwy w łóżku i że jego jedynym spadkobiercą został jego bratanek. Po przejrzeniu dokumentów zmarłego wyszło na jaw, że to on spłacił wierzycieli wdowy, biorąc od niej weksel (ha, ha, ha! weksel od kobiety bez grosza przy duszy!) opiewający na wyłożoną przez niego kwotę. Stary nieszczęśnik niewątpliwie zniszczyłby ten świstek, gdyby wiedział, że jego koniec jest tak blisko. Wskutek nagłej śmierci weksel przeszedł w ręce jego spadkobiercy, który ponoć słynie z bezwzględności w kwestiach finansowych. Kiedy nastanie termin płatności weksla, ani chybi upomni się o swoje. Nie wiem, gdzie przebywa w tej chwili madame Fontaine, ale to bez znaczenia! Wcześniej czy później wdowa dowie się, co się stało, i albo odda pieniądze, albo skończy w więzieniu dla dłużników. Oto te konkrety, panie Davidzie, które sprawią, że Fritz w końcu przejrzy na oczy.

Z pokorą uznając zwycięstwo Frau Meyer nade mną, pobiegłem myślami ku Minnie. Jaka przygnębiająca perspektywa rysowała się przed tą niewinną, wrażliwą dziewczyną! Lecz nawet jeśli to, co przed chwilą usłyszałem, było prawdą, wciąż chyba istniała nadzieja, że madame Fontaine zdobędzie do wyznaczonego terminu potrzebne pieniądze? Podzieliłem się tą refleksją ze swoją rozmówczynią.

– Gdybym nie wiedziała, jak bezkompromisowym człowiekiem jest pan Keller – odpowiedziała – być może przyznałabym panu rację. Wdowie wystarczyłoby tylko wydać córkę za Fritza i jego ojciec byłby zmuszony wyłożyć pieniądze na spłatę rodzinnego długu. Pan Keller należy jednak do tych nielicznych dżentelmenów, których madame Fontaine nie potrafi owinąć sobie wokół palca. Jeśli kiedykolwiek będzie miał pan z nią do czynienia, proszę zachować ostrożność. Mogłaby uznać pański wpływ na Fritza za przeszkodę na swojej drodze i dać panu dobry powód do przypomnienia sobie o niewyjaśnionej do tej pory zagadce zaginionego kuferka z truciznami. Dobrze pan wie, co mam na myśli. Rozpisywała się o tym wszystkim niemiecka prasa.

Doszedłem do wniosku, że Frau Meyer przekroczyła granicę dobrego smaku.

– A pani dobrze wie, madame – odrzekłem ostro – że nie znaleziono przeciwko niej żadnych dowodów. Nie ma nic, co wskazywałoby na jej związek ze sprawą kradzieży kuferka aptecznego.

– Nie ma nawet cienia podejrzenia, panie Davidzie?

– Nawet cienia.

Powiedziawszy to, podniosłem się z fotela. Minna nadal była obecna w moich myślach i nie tylko nie chciałem, ale wręcz bałem się przekonać, co

jeszcze mógłbym usłyszeć od swojej rozmówczyni.

– Chwileczkę, panie Davidzie – rzekła Frau Meyer. – W którym z tutejszych hoteli się pan zatrzymał? Chciałabym przesłać panu jeszcze dziś wieczorem pewną rzecz do przeczytania.

Po tym, jak podałem jej nazwę hotelu, oboje dołączyliśmy do towarzystwa zebranego w drugim końcu pokoju. Niedługo później pożegnałem się ze wszystkimi.

Byłem przygnębiony. Nad przyszłością zdawała się ciążyć czarna chmura niepewności. Nawet perspektywa czekającego mnie nazajutrz powrotu do Frankfurtu poczęła budzić we mnie odrazę. Prawie z nadzieją pomyślałem, że być może przewidywania pana Kellera się sprawdzą i ciotka niebawem wezwie mnie z powrotem do Londynu.

Rozdział 15

Z rozmyślań wyrwało mnie pojawienie się służącego z zaadresowanym do mnie listem. W kopercie znalazłem fragment niemieckiej gazety i te oto słowa napisane przez Frau Meyer:

Jest Pan młodzieńcem albo o bardzo silnie rozwiniętym poczuciu sprawiedliwości, albo bardzo upartym. Tak czy inaczej, niczego Pan nie straci, czytając załączony przeze mnie wycinek z gazety. Nie jestem bynajmniej zwykłą, starą plotkarką, za jaką zdaje się Pan uważać. Chociaż w artykule przemilczano nazwiska, wszystko będzie dla Pana doskonale zrozumiałe. Proszę potem odesłać mi ten wycinek. Należy do naszego znakomitego gospodarza i pochodzi z jego zbioru prasowych ciekawostek.

Tak brzmiało wprowadzenie do lektury. Postaram się teraz przetłumaczyć wszystko z niemieckiego na angielski na tyle wiernie, jak to tylko możliwe.

We wstępie artykułu opatrzonego datą z września 1928 roku redakcja zawarła krótkie objaśnienie:

„Otrzymaliśmy niedawno – w ścisłym zaufaniu – fragmenty listów napisanych przez pewną damę do jej niegdysiejszej przyjaciółki. Fragmenty te są oznaczone datami, ponumerowane i przytoczone w niniejszym artykule dosłownie, jeśli nie liczyć koniecznego z oczywistych względów zabiegu utajnienia nazwisk, nazw miejscowości i dni miesiąca. Zestawienie ich z pewnym zajmującym obecnie uwagę opinii publicznej śledztwem może rzucić promień światła na wydarzenia, które dotychczas spowijała całkowita ciemność”.

Numer 1. 1809: Tak, najdroższa Julie, podjęłam to wielkie ryzyko. Nie dalej jak wczoraj poślubiłam doktora X. Za świadków mieliśmy jedynie przypadkowych wiernych, którzy przebywali właśnie w kościele.

Mój ojciec stwierdził, że wydając się za zwykłego medyka, przynoszę ujmę jego szlchetnemu rodowi i zabronił matce uczestniczyć w uroczystości. Biedna, poczciwa duszyczka! Zapytała mnie, czy kocham swojego doktora, i była bardzo rada, gdy odpowiedziałam, że tak. Odnosząc się do zastrzeżeń ojca, napiszę tylko, że mój mąż zapowiada się na wybitnego przedstawiciela swojej profesji. W jego kraju (wspominałam chyba w swoim poprzednim liście, że jest Francuzem?) władze nadają renomowanym lekarzom tytuły szlacheckie. Poruszę niebo i ziemię, moja droga, żeby mój mąż zrobił należyłą karierę. I kiedy już zostanie baronem... Zobaczymy, co wtedy powie mój ojciec!

Numer 2. 1810: Przeprowadziliśmy się, droga Julie, do tego okropnie nudnego niemieckiego miasta tylko dlatego, że tutejszy uniwersytet słynie ze swojego wydziału medycznego.

Mój mąż zapewnia mnie – z właściwą sobie słodyczą – że nie zawaha się

poświęcić żadnej z naszych życiowych wygod na rzecz pogłębienia swojej wiedzy zawodowej. Gdybyś mogła zobaczyć, jak noszą się damy w tej zapadłej dziurze, gdybyś mogła usłyszeć ich próżne rozmowy, uzalilibyś się nade mną. Mam tutaj tylko jedno pocieszenie, Julie: moją cudowną córeczkę – która jest istnym aniołkiem. Zastanawiam się, czy Ty także kochałaś swoje pierwsze dziecko tak mocno jak ja? I czy ty także całkowicie zapomniałaś o własnym mężu z chwilą, gdy po raz pierwszy włożono Ci Twój mały skarb w ramiona? Napisz mi, jak to było w Twoim przypadku.

Numer 3. 1811: Ledwo starcza mi opanowania, żeby utrzymać pióro w dłoni. Wiem jednak, że jeśli w jakiś sposób nie ulżę swojej duszy, zrobię coś szalonego.

Odkąd pisałam do Ciebie ostatni raz w zeszłym roku, udało mi się nakłonić męża do opuszczenia nienawistnego uniwersytetu. Ale zamiast wrócić do Paryża, wynajmając tam okazały dom i zacząć wspinać się, przy mojej pomocy, na szczyt hierarchii towarzyskiej, on uparł się dalej tułać po Niemczech i prowadzić dysputy z zaśniedziałymi, starymi lekarzami, których nazywa Książętami Nauki! Mogłabym z powodzeniem organizować wspaniałe przyjęcia i torować mężowi drogę do obiecujących znajomości z wpływowymi ludźmi, a tymczasem... Nie, doprawdy nie wolno mi o tym myśleć, bo doprowadzi mnie to do szaleństwa.

Sześć tygodni temu zapowiedziano na uniwersytecie coś w rodzaju kongresu medycznego i ogłoszono konkurs związany z jednym z tematów planowanej debaty. Doktor, jako że temat pokrywał się z jego zawodowymi zainteresowaniami, postanowił stanąć do walki o nagrodę – czego rezultatem był nasz ponowny przyjazd do tego okropnego, starego miasta i jego mieszkańców.

Mój mąż, rzecz jasna, powrócił do badań naukowych – a ja, rzecz jasna, znów znalazłam się między pozbawionymi gustu plotkarkami. Ale to jeszcze nie najgorsze. Do katedry tutejszego instytutu chemii dołączył, zaraz po naszym zeszłorocznym wyjeździe stąd, pewien nowy człowiek. Ten diabeł wcielony – tylko takie określenie do niego pasuje – omamił mojego słabego męża i według wszelkich znaków na niebie i ziemi zrujnował naszą przyszłość.

To mały, brudny, chudy jak śmierć Węgier o szponiastych dłoniach, oczach dzikiej bestii i najbardziej fałszywym uśmiešku, jaki zobaczysz na ludzkiej twarzy. Nikt nie wie, skąd się wziął. Pracownicy wydziału medycznego nazywają go najwybitniejszym chemikiem doświadczalnym na świecie. Jego pomysły zadziwiają nawet profesorów, a studenci nadali mu przydomek Nowego Paracelsusa[2].

Któregoś dnia ośmieliłam się go zapytać, czy uważa, że byłby w stanie wyprodukować złoto. Popatrzył na mnie z tym swoim ohydny uśmiechem i odrzekł: „Owszem. Diamenty również, gdybym miał na to czas i pieniądze”. Nie dość, że wierzy w istnienie kamienia filozoficznego[3], to jeszcze twierdzi, że jest bliski odkrycia jakiegoś wybuchowego związku chemicznego, którego niszczycielskie działanie położy kres wojnom. Zapowiada, że zlikwiduje czas

i przestrzeń przy użyciu elektryczności i że przekształci parę wodną w siłę napędową, dzięki której człowiek będzie mógł podróżować po całym globie z prędkością jednej mili na minutę.

Dlaczego zanudzam Cię tymi bredniami? Moja droga, ten chępliwy oszust całkowicie podporządkował sobie mojego męża i tak namieszał mu w głowie, że do reszty stracił wpływ na niego. Uważasz, że przesadzam? Posłuchaj do końca. Mój mąż już ani myśli stąd wyjeżdżać. Przestało mu nawet zależeć na konkursie. Odstąpił zupełnie od zamiaru praktykowania zawodu lekarza i postanowił poświęcić swoje życie chemii eksperymentalnej.

Oto jakiego człowieka poślubiłam zwiędziona obietnicą jego błyskotliwego awansu społecznego! Dla tego żalostnego stworzenia poświęciłam pozycję w świecie i na zawsze poważniłam się z własnym ojcem. Moja przyszłość to bycie żoną biednego profesora demonstrującego doświadczenia głupim studentom na uczelni. A znajomi z Paryża, którzy – z tego, co wiem – czekali, żeby wprowadzić go na sam dwór cesarski, będą teraz mogli zaproponować swoje usługi komuś innemu. Wszystkie moje nadzieje i plany runęły i żadne słowa nie wyrażą tego, co teraz czuję. Tylko ze względu na dziecko nie zdecydowałam się odejść od męża. Co się stało, odstać się nie może i odtąd będę musiała żyć w kłamstwie, udając szacunek i podziw dla człowieka, którym gardzę z całego serca.

Och, gdybym tylko miała prawo wyrzucić z siebie tę trawiącą mnie wściekłość! Przekleństwem naszej płci, Julie, jest bezradność. Z każdym dniem narasta we mnie przekonanie, że marnie skończę. Skąd możemy wiedzieć, ile zła drzemie w naszej naturze, dopóki nie nastąpi jakieś pechowe zdarzenie, które je w nas rozbudzi?

Nie! Za bardzo obnażam przed Tobą swoją znękaną duszę. Pozwól, że zakończę teraz ten list i pójdę pobawić się z córeczką.

Numer 4. 1812: Serdecznie gratuluję Ci, najdroższa, powrotu do Niemiec po przyjemnej wizycie w Stanach Zjednoczonych. Gratuluję Ci także dodatkowego źródła dochodów uzyskanego dzięki inwencji i przedsiębiorczości, którymi wykazał się na amerykańskiej ziemi Twój mąż. Ach, wybranko losu! Poślubiłaś człowieka z krwi i kości! Ja tymczasem poślubiłam maszynę.

Dlaczego pozostawiałam miłe listy słane przez Ciebie z Ameryki bez odpowiedzi? Moja Julie, nieustannie o Tobie myślałam, ale życie, które wiodę, powoli niszczy moje siły. Wielokrotnie chwytalam za pióro i wielokrotnie od razu je odkładałam, bojąc się zderzenia z prawdą o mnie samej i mojej egzystencji. Byłam zbyt nieszczęśliwa (i być może również zbyt dumna), by pisać Ci o tym, jaka ze mnie podła łotrzyca i jakie myśli nawiedzają czasem moją głowę podczas bezsennych nocy.

Przeczytawszy powyższe wyznanie, zapewne zastanawiasz się, dlaczego postanowiłam napisać do Ciebie teraz.

Otóż chyba dlatego, że chwilę temu udało mi się nareszcie – po długiej i ciężkiej walce – ugłaskać na jakiś czas wierzycieli, którzy grozili podaniem mnie do sądu. Owa walka wytrąciła mnie z apatii, obudziła ducha i sprawiła, że na nowo poczułam się sobą. Nie wystarczy mi już kochanie w milczeniu mojej najdroższej przyjaciółki – muszę się do niej odezwać i otworzyć przed nią serce.

„Och, jakie to smutne, że trapią ją długi!” Prawie słyszę, jak z głębokim westchnieniem wypowiadasz te słowa – ty, która od urodzenia nie musiałaś się nigdy martwić o pieniądze. Ciekawi Cię, ile mój mąż zarabia na uniwersytecie? Nie, nie przeleję tego na papier – na samą myśl o tym czuję, jak krew nabiega mi do twarzy.

Muszę jednak oddać temu człowiekowi sprawiedliwość. Moja Chodząca Mumia w końcu osiągnęła szczyt swoich ambicji – została profesorem chemii i niczego już jej w życiu nie brakuje. Moja droga, mój mąż jest teraz tak samo chudy i niemal tak samo brudny jak drań, który go zdeprawował.

Czy pamiętasz, jak pisałam Ci kiedyś o pewnym tajemniczym Węgrze, pracowniku tutejszego uniwersytetu? Kilka lat temu ów człowiek zakończył swój zagadkowy żywot równie zagadkową śmiercią samobójczą. Znalaziono go martwego w laboratorium, a na ścianie, pod którą leżał, widniały takie oto napisane kredą osobliwe słowa: „Dałem życiu uczciwą szansę, ale zrozumiałem wreszcie, że nie warto żyć i postanowiłem otruć się wynalezioną przez siebie trucizną. Swoje raporty naukowe i preparaty chemiczne zapisuję mojemu przyjacielowi, doktorowi X, a swoje ciało ofiarowuję w prezencie Wydziałowi Anatomii. Niech moje zwłoki przebadają zespół lekarzy i naukowców. Założę się, że nie uda im się wykryć nawet śladu substancji, która mnie zabiła”. Próbowali, Julie – ale niczego nie znaleźli. Jestem ciekawa, czy pośród rzeczy, które samobójca zapisał w spadku swojemu „przyjacielowi, doktorowi X”, była również receptura owej trucizny...

Dlaczego zamęczam Cię tymi przyprawiającymi o mdłości szczegółami? Ponieważ w niemałym stopniu odpowiadają za moje długi. Mój mąż cały swój wolny czas poświęca kontynuowaniu ohydnych eksperymentów zapoczątkowanych przez Węgry, a połowę sumy pieniędzy, którą do tej pory otrzymywałam rocznie na odzienie dla siebie i dziecka, pochłaniają koszty laboratoryjne.

Czy powinnam ograniczyć swoje wydatki do poziomu swoich niewielkich dochodów?

Jeśli uważasz, że tak, odpowiem Ci, że ludzka wytrzymałość ma swoje granice. Jestem w stanie znieść swój męczeński los, utratę najdroższych nadziei i złudzeń, wrogość podłych sąsiadów, wulgarną zazdrość innych kobiet i, co najważniejsze, doprowadzającą mnie do furii wyrozumiałość mojego męża, który nie obraża się nawet na najbardziej przykre słowa pod swoim adresem i który wciąż kocha mnie i wielbi tak, jakbyśmy pobrali się ledwie w zeszłym tygodniu.

Czego nie zniosę, to widoku mojej córki spacerującej po ogrodach pałacowych w ubranku ze zgrzebnego płótna, podczas gdy inne dzieci odziane są w jedwabie. Nie dbam o strojność własnych sukni, ale potrzebuję najlepszych z dostępnych tkanin. Czy kiedy pozdrawia mnie (wywodząca się z prostego ludu) żona wojskowego komendanta, która wyszła z domu w indyjskiej chuście i czepku z koronki brukselskiej, ja mam odklaniać się jej w wełnianej pelerynie i kapeluszu z sierści bobra? Nie! Prędzej pozwolę sobie odebrać życie niż godność. Mój mąż może upaść tak nisko, jak mu się podoba. Ja zawsze stałam ponad nim i to się nie zmieni!

Zatem narobiłam długów i wierzyciele mi grożą. Jakie to ma znaczenie? Zdołałam ich na jakiś czas obłaskawić, uiszczając drobną część należności i posyłając w ich stronę moc przymilnych uśmiechów.

Żałuję, że nie możesz zobaczyć mojej ślicznej Minny! To najcudowniejsze, najśłodsze dziecko pod słońcem – zawsze jest moją dumą i radością, a w godzinach próby wręcz moim ratunkiem. Niekiedy ogarnia mnie przemożna chęć podpalenia tego nienawistnego uniwersytetu wraz z jego starymi, zaśniedziałymi mieszkańcami. W takich chwilach wychodzę z Minną z domu, kupuję jej jakiś drobiazg i – widząc iskierki w jej oczach i rumieńce na jej policzkach, czując na skórze jej niewinne pocałunki – staję się znów na jakiś czas przyzwoitym człowiekiem. Wczoraj jej ojciec... nie, jeżeli zacznę o tym myśleć, dostanę białej gorączki. Napiszę więc tylko, że Minna jak zwykle mnie ocaliła. Poszliśmy razem do jubilera i kupiłam jej kolczyki z perłkami. Gdybyś tylko mogła usłyszeć jej anielski głosik, gdybyś tylko mogła zobaczyć, jak zareagowała na swoje odbicie w lustrze! Zastanawiam się, kiedy zapłacę za te kolczyki...

Ach, Julie! Gdybym była tak zamożna jak ty, nauczyłabym tubylców respektu. Te zuchwałe kobiety biłyby mi pokłony i bałyby się mnie. Oprócz własnego domu w mieście miałabym też posiadłość na wsi, gdzie mogłabym odetchnąć powietrzem wolnym od oparów substancji chemicznych profesora. Miałabym... Dobrze już, dobrze. Mniejsza o to, co bym miała.

A propos respektu, czy czytałaś w zeszłym roku doniesienia na temat egzekucji tej fenomenalnej morderczyni Anny Marii Zwanziger? Gdziekolwiek się nie ruszyła, pozostawiała za sobą stosy otrutych ofiar. Mogłoby się wydawać, że ta nieprawdopodobna kobieta żyła tylko po to, by uśmiercać bliźnich, a potem z nieustrasżonym sercem wyjść naprzeciw własnej śmierci. Jakie niezwykle były jej losy! I jaki niezwykle koniec ją spotkał!

Durni ludzie z Würzburga nie potrafią znaleźć wytłumaczenia dla niektórych z popełnionych przez nią morderstw i twierdzą, że musiała być obłąkana. Ja widzę to inaczej. Według mnie morderczyni rozsmakowała się w odurzającym poczuciu własnej potęgi. Wyobraź sobie zwykłą ludzką istotę (słabą kobietę, Julie!) wyposażoną w środek zdolny zadać śmierć każdemu, kto stanie jej na drodze –

doświadczającą przykrości ze strony napotkanych nieznajomych – patrząc na nich bez słowa i myśląc w duchu: „Wyznaczam ten dzień ostatnim dniem twojego życia”. Czy taki obraz sam w sobie nie stanowi wystarczającego wyjaśnienia dla tych z czynów Anny Marii Zwanziger, które pospolitym umysłem jawią się jako niepojęte?

Kilka dni temu zadałam to pytanie wspomnianemu komendantowi wojskowemu podczas naszej rozmowy na temat przebiegu jej procesu. Zanim jegomość zdążył otworzyć usta, odpowiedziała za niego jego ordynarna żona. „Madame Fontaine – rzekła ta złośnica – mój mąż i ja nie podzielamy pani sympatii dla trucicielek!” Potraktuj to jako próbkę poziomu manier prezentowanych przez damy z Würzburga – i pozwól, że w tym miejscu zakończę ten bezlitośnie długi list. Chyba przyznasz, moja droga, że kiedy już piszę, pochlebiam Ci swoją wiarą w Twoją anielską cierpliwość do mnie.

Na tym kończyły się zacytowane w gazecie fragmenty listów.

Tworząc obraz wypaczonego umysłu miotającego się między dobrem i złem i powoli przegrywającego z podstępny wpływem pokusy, fragmenty te musiały wzbudzić w każdym myślącym czytelniku smutne zaniepokojenie. Jednak wbrew sugestiom Frau Meyer nie dopatrzyłem się w nich niczego, co dowodziłoby, że pomiędzy bezecnością madame Fontaine i zaginięciem kuferka aptecznego jej męża istniał jakikolwiek związek.

Jednocześnie muszę przyznać, że to, co przeczytałem, faktycznie zaszczerpiło w mojej duszy nieokreśloną nieufność. Perspektywa powrotu do Frankfurtu i wznowienia kontaktów towarzyskich z wdową budziła we mnie teraz niejakie zakłopotanie – do tego zdecydowanie nasilił się we mnie niepokój w związku z możliwą reakcją pana Kellera na list od madame Fontaine. Gdy dodam, że moja braterska troska o Minnę jeszcze bardziej się pogłębiła, to będzie już wszystko na temat efektu, jaki wywarła na mnie lektura przysłanego przez Frau Meyer prasowego wycinka.

Nazajutrz wieczorem byłem z powrotem we Frankfurcie.

[2] Paracelsus (właśc. Phillippus Aureolus Theophrastus Bombastus von Hohenheim) – (1493-1541) szwajcarski alchemik, lekarz, filozof i astrolog; pionier toksykologii.

[3] Kamień filozoficzny – bezskutecznie poszukiwana przez średniowiecznych alchemików legendarna substancja zdolna rzekomo przemieniać metale nieszlachetne w złoto lub srebro.

Rozdział 16

Panowie Keller i Engelman czekali razem, żeby mnie powitać. Przejrzawszy pobieżnie pisemne sprawozdanie z moich poczynań w Hanau, nie szczędzili mi serdecznych pochwał, a atmosfera panująca w domu wydawała się jak najlepsza.

Jednak kiedy siedliśmy później do kolacji, ku swojemu zmartwieniu zauważyłem, że w relacji dwóch współników zaszła przykra zmiana. Chociaż na pozór byli wobec siebie równie uprzejmi jak zawsze, pewnego rodzaju brak swobody dający się odczuć w ich zachowaniu i wyraźny wysiłek, jaki obaj wkładali w podtrzymywanie wesołej rozmowy, wskazywały, że feralne spotkanie w holu z madame Fontaine zasiało złe ziarno. Po skończonym posiłku pan Keller oddalił się, żeby szczegółowo zapoznać się z moim sprawozdaniem.

Kiedy zostałem sam na sam z panem Engelmanem, ten zapalił fajkę i przemówił do mnie ze swoją dawną, serdeczną poufałością – jak za czasów, gdy nie znajdował się jeszcze pod przemożnym wpływem uroku spotkanej na moście wdowy.

– Drogi chłopcze, powiedz mi szczerze: zauważyłeś w Kellerze jakąś zmianę?

– Zauważyłem zmianę w was obu – odparłem. – Nie jesteście już tymi samymi serdecznymi kompanami co kiedyś.

Pan Engelman, wypuściwszy najpierw z ust kłęb dymu, wydał z siebie ciężkie westchnienie.

– Keller zrobił się taki przykry – rzekł. – Dobrze wiesz, że nigdy nie przeszkadzał mi jego porywczy charakter. Ale na stare lata stał się twardy jak gład. Czy wiesz, co zrobił z listem od drogiej madame Fontaine? Czy to nie jawna zniewaga, Davidzie? Po prostu go jej odesłał!

– Bez żadnego wyjaśnienia czy usprawiedliwienia? – zapytałem.

– Na kopercie napisał tylko: „Ostrzegalem, że nie przeczytam żadnego listu od Pani. Jak Pani widzi, jestem człowiekiem dotrzymującym słowa”. Jak można wysłać taką wiadomość nieszczęsnej matce, która chciała jedynie wstawić się za swoim dzieckiem? Widziałeś ten list. Moim zdaniem byłby w stanie skruszyć serce nawet najbezwzględniejszego człowieka. Podzieliłem się tym spostrzeżeniem z Kellerem, nie mogłem się powstrzymać.

– Chyba nie było to zbyt mądre, panie Engelman?

– Nie powiedziałem niczego, za co mógłby słusznie się na mnie obrazić. Zapytałem tylko: „Czyżbyś wiedział o jakimś podłym występku madame Fontaine, o którym nie wie nikt inny?”. Na co on odrzekł: „Wiem, jaką opinią cieszy się wśród mieszkańców Würzburga. I kilka wieczorów temu widziałem jej twarz. W zupełności mi to wystarczy, przyjacielu”. Po tych cierpkich słowach wyszedł

z pokoju. Jak można być tak do kogoś z góry uprzedzonym! Jakie to niegodne chrześcijanina! Już nigdy nie wspomnę przy nim o madame Fontaine. Kiedy ta okrutnie skrzywdzona kobieta zechce zaszczycić mnie kolejną wizytą, przyjmę ją w miejscu, w którym nie będą jej groziły zniewagi, w moim własnym domu.

– Chyba nie zamierza się pan wyprowadzić od pana Kellera? – zapytałem.

– Nie od razu. Poczekam, dopóki nie pojawi się tutaj twoja ciotka z jej nowoczesnymi pomysłami. Po jej przyjeździe w firmie niechybnie nastąpią zmiany i być może jedną z nich będzie moja przeprowadzka.

Wstał, żeby wyjść z pokoju, ale zatrzymał się w drzwiach.

– Może poszedłbyś, Davidzie, razem ze mną odwiedzić madame Fontaine? Ona tak pragnie się z tobą zobaczyć.

Jako że mnie samemu bynajmniej nie zależało na spotkaniu z wdową, począłem szukać wymówki. Pan Engelman nie pozwolił jednak wejść sobie w słowo.

– Urocza panna Minna okrutnie się nudzi, biedne dziecko – ciągnął. – Poza tobą nie ma we Frankfurcie żadnych przyjaciół w swoim wieku. Tyle razy pytała mnie, kiedy pan David wróci z Hanau...

Słyszając to, przestałem się opierać i wyszedłem z domu razem z panem Engelmanem.

Gdy zbliżyliśmy się do drzwi budynku, w którym mieszkała madame Fontaine, te otworzyły się od środka i wyszedł z nich jakiś nieznany nam człowiek. Dzięki przyzwoitemu odzieniu, które miał na sobie, mógłby ująć za dżentelmena – jednak niespójności widoczne w jego twarzy i sposobie bycia czyniły oszustwo niedoskonałym. Gdy mijaliśmy go na frontowych schodkach, obrzucił nas osobliwym, ukradkowym spojrzeniem. Przyszło mi na myśl, że być może to policyjny wywiadowca. Pan Engelman posądził go o zajmowanie jeszcze niższego miejsca na drabinie społecznej.

– Mam nadzieję, że nie ma pani długów, madame – rzekł do właścicielki domu, która otworzyła nieznajomemu drzwi. – Ten człowiek wygląda mi na komornika w przebraniu.

– Ależ nadażam z uiszczaniem wszystkich opłat, sir, chociaż nie jest łatwo – odparła kobieta. – Jeżeli chodzi o dżentelmena, który przed chwilą stąd wyszedł, to wiem na jego temat tyle samo, co panowie.

– Czy mogę zapytać, czego chciał?

– Dopytywał się, kiedy madame Fontaine zamierza zwolnić kwaterę. Powiedziałam mu, że lokatorka nie wyznaczyła jeszcze żadnego terminu.

– Czy wymienił madame Fontaine z nazwiska?

– Tak, sir.

– Skąd wiedział, że tu mieszka?

– Nie powiedział.

- I nie przyszło pani do głowy, żeby zapytać?
- Nie starczyło mi przytomności umysłu, sir. Zapytałam tylko, skąd wie, że przyjmuję pod swój dach lokatorów, a on na to: „Na razie to bez znaczenia. Za jakiś czas tu wrócę i wtedy powiem pani, kto mnie przysłał”. Potem otworzyłam mu drzwi, a resztę panowie już widzieli.
- Czy chciał się zobaczyć z madame Fontaine?
- Nie, sir.
- Dziwna sprawa! – powiedział pan Engelman, gdy wchodziliśmy na piętro.
- Myślisz, Davidzie, że powinniśmy jej o tym wspomnieć?

Nie widziałem takiej potrzeby. W samych pytaniach zadanych właścicielce domu przez nieznanego nie było niczego niezwykłego. Nie mieliśmy prawa niepokoić wdowy tylko dlatego, że zupełnie nieznaną nam osobą wzbudził w nas niczym nieuzasadnioną nieufność. Podzieliłem się tą myślą z panem Engelmanem, który przyznał mi rację.

W mieszkaniu madame Fontaine zdawała się panować atmosfera przygaszenia podobna do tej, która wcześniej zwróciła moją uwagę w domu przy ulicy Main. Minna sprawiała wrażenie wyczerpanej czekaniem na wytęskniony list od Fritza. Jej matka podała mi dłoń, smutno się uśmiechając. Gdy witała się z moim towarzyszem, w jej zachowaniu dostrzegłem pewną rezerwę. Po tym, co zaszło w trakcie jej wieczornej wizyty w domu współlokatorów, nie mogła już liczyć, że pan Engelman pomoże jej wystarać się o rozmowę z panem Kellerem. Czy teraz utrzymywała jedynie pozory na wypadek, gdyby w przyszłości potrzebowała jego wsparcia w jakiejś innej kwestii? Owa dostrzeżona przeze mnie drobna zmiana w jej zachowaniu najwyraźniej przeszła niezauważona przez samego pana Engelmana. Odwróciłem się do Minny. Wiedząc to, co wiedziałem, nie mogłem patrzeć, jak nieszczęsny staruszek składa wdowie kolejne dowody swojego oddania i podziwu.

Przywrócenie Minnie nadziei na przyszłość nie stanowiło nadmiernie trudnego zadania. Obliczyłem, że list od Fritza dotrze do niej za dwa, a w najgorszym wypadku za trzy dni. Dzięki tej radosnej przepowiedni niewinne oblicze dziewczyny natychmiast się rozpuściło i odżyło w niej zainteresowanie otaczającym światem. W chwili, w której jej matka dołączyła do nas, opowiadałem jej właśnie wszystko to, co mogłem bezpiecznie opowiedzieć o swojej wizycie w Hanau. Madame Fontaine wsłuchiwała się w moją banalną relację z taką samą uwagą, co jej córka – ku wyraźnemu zaskoczeniu pana Engelmana.

- Nie pojechał pan dalej poza Hanau? – zapytała wdowa.
- Nie.
- Czy na tej kolacji, na którą pana zaproszono, byli też jacyś inni goście?
- Tylko członkowie rodziny.
- Tak długo mieszkałam, Davidzie, w tym starym, nudnym Würzburgu, że

mimo woli wciąż jestem go na swój sposób ciekawa. Czy nikt nie wspomniał o nim w rozmowie? Nie słyzałeś żadnych wieści z tego miasta?

Odpowiedziałem na to pytanie równie ostrożnie jak na wszystkie poprzednie. Obawiam się, że Frau Meyer niestety udało się częściowo zmacić mój obiektywizm. W okresie sprzed podróży do Hanau zapewne złożyłbym indagacje wdowy na karb zwykłej ciekawości. Teraz jednak ogarnęło mnie przeczucie, że kieruje nią głównie podejrzliwość. Zanim madame Fontaine zdążyła zadać następne pytanie, pan Engelman postanowił sprowadzić rozmowę na temat bliższy jego sercu.

– Droga pani, opowiedziałem Davidowi, w jak nieludzki sposób pan Keller potraktował pani list.

– Proszę nie mówić: „nieludzki” – rzekła łagodnie madame Fontaine. – To wszystko moja wina. Wywołałam rozdźwięk pomiędzy panem i jego współnikiem i raz na zawsze zaprzepaciłam szansę poprawienia swojego wizerunku w oczach pana Kellera (jeśli kiedykolwiek taką miałam). A wszystko to przez pochopność, z jaką wyjawiałam swoje nazwisko. Gdybym nie kochała tak mocno swojej córeczki i gdybym nie wyczekiwała tak niecierpliwie pierwszej okazji wstawienia się za nią, nigdy nie popełniłabym tego fatalnego błędu.

Jak dotąd jej słowa brzmiały rozsądnie – i niewątpliwie stanowiły wiarygodne wyjaśnienie nieroztropnego zachowania. Gorsze wrażenie wywarło na mnie to, co powiedziała w następnej kolejności.

– Proszę, zrozum, Davidzie, że na nic się nie skarżę. Nie życzę panu Kellerowi źle. Gdyby los postawił go w sytuacji, w której potrzebowałby mojej pomocnej dłoni, z radością bym ją do niego wyciągnęła i zadośćuczyniła w ten sposób szkodom, które niechcący poczyniłam.

Przycisnęła do oczu chusteczkę. Pan Engelman przycisnął do swoich oczu swoją chusteczkę. Minna chwyciła matkę za rękę. Tylko ja siedziałem nieporuszony, nie znajdując w sobie ani krzty współczucia. Wszystkiemu winna była znów Frau Meyer! To przez nią stałem się tak gruboskórny!

– Poprosiłem naszą uroczą przyjaciółkę, żeby nie traciła jeszcze nadziei i nie opuszczała Frankfurtu – wyjaśnił pan Engelman łamiącym się głosem. – Trzeba nam pogodzić się z faktem, że sam na razie nie zdołam przemówić Kellerowi do rozsądku, ale byłbym zaszczycony, mogąc przedstawić sprawę madame Fontaine pani Wagner. Moja rada brzmi tak: proszę poczekać do przyjazdu pani Wagner i zdać się na moje zaangażowanie i moją pozycję w firmie. Nawet ktoś taki jak Keller będzie musiał się ugiąć, jeśli oboje jego współnicy razem wezwą go do sprawiedliwego potraktowania pokrzywdzonej kobiety!

Oczy wdowy wciąż pozostawały ukryte za chusteczką, ale widać było dolną część jej twarzy. Jeżeli wyraz jej ust mnie nie zmylił, ani trochę nie wierzyła w ziszczenie się przepowiedni pana Engelmana. Jakikolwiek miała powód po temu,

żeby – po wzgardzie, z jaką spotkało się jej nazbyt śmiałe wystąpienie do pana Kellera – pozostać we Frankfurcie, jak na razie tylko ona go znała.

Jeszcze tego samego wieczoru, po naszym powrocie do domu, miało miejsce pewne zdarzenie, które nasunęło mi podejrzenie, że madame Fontaine z niejasnych pobudek próbowała wkupić się w łaski jednego ze służących pana Kellera.

W skład naszej domowej służby wchodził: wspomniana już stara, chmurna gospodyni (kobieta całkowicie niedostępna), filigranowa podkuchenna (osoba zbyt mało ważna, by warto było zabiegać o jej względy) oraz lokaj Joseph (pełniący tradycyjne dla tego stanowiska obowiązki przy jadalnianym stole i przy drzwiach wejściowych). Ten ostatni był tępawym, przesadnie skupionym na swojej powierzchowności młodzieńcem – ale przyzwoicie spisywał się jako służący, co rekompensowało jego wady.

Gdy potrzebując jakiejś drobnej usługi, zadzwoniłem owego wieczoru na Josepha, zauważyłem, że luźne końce jego krawata łączy nowa, elegancka spinka ozdobiona zatopionym w srebrze kawałkiem malachitu.

– Ktoś wam ostatnio zrobił prezent czy jesteście tacy rozrzutni, że wydajecie pieniądze na biżuterię? – zapytałem.

Na twarzy Josepha wykwitł głupawy uśmieszek samozadowolenia.

– To prezent od madame Fontaine, sir, której prawie codziennie zanoszę kwiaty od pana Engelmana. Raz czy dwa załatwiałem dla niej jakąś drobną sprawę w mieście i spodobała jej się moja staranność. „Mam bardzo niewiele pieniędzy, panie Josephie – rzekła. – Proszę więc być tak łaskawym i przyjąć ode mnie ten drobiazg jako zapłatę za trud, na który pana naraziłam”. Powiedziawszy to, odpięła tę spinkę od swojego pięknego koronkowego kołnierzyka i włożyła mi ją w dłoń. Bardzo hojny gest z jej strony, nieprawdaż, sir?

– Zaiste hojny, Josephie, zwłaszcza że, jak mówicie, przysługi, które jej wyświadczaliście, nie przysporzyły wam wiele zachodu. Jesteście pewni, że madame Fontaine nie oczekuje od was czegoś więcej?

– Och, jestem absolutnie pewien, sir – odpowiedział, czerwieniąc się, po czym pospiesznie wyszedł z pokoju.

Czym Frau Meyer wytłumaczyłaby rumieńce na twarzy Josepha i hojność wdowy? Nie mając już ochoty łamać sobie głowy tym pytaniem, położyłem się spać.

Jeden z następnych dni przyniósł ze sobą dwa interesujące wydarzenia: premierowy występ wędrowniej trupy operowej, która zawitała właśnie do Frankfurtu, oraz dotarcie wieczorną pocztą z Londynu tak długo wyczekiwanych przez nas listów.

Dwaj współnicy (obaj zapaleni melomani) wynajmowali przez cały krótki sezon operowy łożę i z typową dla siebie łaskawością zaproponowali mi jedno z miejsc. Piliśmy wszyscy trzej kawę przed wyjściem do teatru, a przy stole

usługiwał nam Joseph, kiedy do salonu weszła stara, zreumatyzowana gospodyni. Przyniósłszy ze sobą listy, podała je mnie jako temu, który siedział najbliżej drzwi.

– Ależ, zacna istoto, dlaczego żeście wdrapywały się po schodach, skoro mogłyście zadzwonić na Josepha? – zapytał dobroduszny pan Engelman.

– Bo oprócz listów mam do moich panów jeszcze inną sprawę – odpowiedziała zrędliwym tonem Matka Barbara. – Prawda to, że wychodzicie dziś wieczorem wszyscy trzej do teatru?

Rozmawiając ze swoimi chlebodawcami, nigdy nie używała ogólnie przyjętych zwrotów grzecznościowych i zawsze zachowywała się wobec nich tak bezceremonialnie, jak gdyby była co najmniej ich rodzoną matką, a nie ledwie gospodynią.

– No więc – ciągnęła – córka ma kłopoty ze swoim niemowlęciem i potrzebuje moich rad. Ząbkowanie, konwulsje i tak dalej. Skoro wszyscy trzej wychodzicie na cały wieczór, będę tutaj zbędna, wystarczy, że przygotuję wcześniej sypialnię panów na noc. Chyba mogłabym wyjść do córki na godzinę albo dwie? Joseph tymczasem (z którego, jak Bóg mi świadkiem, na ogół jest marny pożytek) przypilnuje domu.

Pan Keller, odświeżając właśnie swoją wiedzę na temat opery granej tego wieczoru w teatrze (*Armidy* Glucka), skinął głową znad książeczki z librettem. Pan Engelman powiedział:

– Oczywiście, zacna kobieto. Przekażcie córce życzenia dobrego zdrowia dla jej dzieciątka.

Matka Barbara odburknęła coś pod nosem, po czym wyszła z pokoju, utykając.

Spojrzałem na listy. Dwa z nich były do mnie: od ciotki i Fritza. Trzeci, zaadresowany również ręką ciotki, był do pana Kellera. Starszy dżentelmen, jak tylko podałem mu jego list przez stół, wypuścił libretto *Armidy* z dłoni. W kopercie znajdowała się odpowiedź pani Wagner na jego protesty wobec pomysłu zatrudnienia w biurze kobiet.

Przez wzgląd na Minnę w pierwszej kolejności otworzyłem list od Fritza. W środku znalazłem załączoną przez niego wiadomość dla ukochanej. Wyszędłszy natychmiast z salonu, włożyłem ów wytęskniony przez dziewczynę liścik do świeżej koperty i poleciłem Josephowi udać się z nim do mieszkania wdowy – tak żeby zdążył wrócić przed wyjściem z domu Matki Barbary.

To, co Fritz pisał do mnie, bynajmniej mi się nie spodobało. Pod moją nieobecność nieznośnie nudził się w Londynie i Minna była mu potrzebna do szczęścia bardziej niż kiedykolwiek. Żądał, żebym przesłał mu obecny adres zamieszkania madame Fontaine i jej córki, i groził, że jeżeli tego nie zrobię, nie będzie mógł ręczyć za siebie i najprawdopodobniej „posłucha głosu swojego serca”, który nakazywał mu wyruszyć do Frankfurtu w poszukiwaniu ukochanej.

Ciotka pisała głównie na temat Słomianego Jacka.

Na wstępie informowała, że porządkując biblioteczkę swojego świętej pamięci męża, natknęła się na książkę, która w dobitny sposób odzwierciedlała jego poglądy na kwestię reform potrzebnych w systemie leczenia obłąkanych. Jej tytuł brzmiał: *Charakterystyka Zacisza – zakładu dla umysłowo chorych pod Yorkiem pod patronatem Towarzystwa Przyjaciół. Napisane przez Samuela Tuke'a*. Skontaktowawszy się z owym zakładem, ciotka otrzymała wprost bezcenną pomoc i teraz, myśląc o pożytku całej ludzkości, zamierzała przywieźć ze sobą książkę do Frankfurtu, żeby przetłumaczono ją na niemiecki.

Wielkoduszny eksperyment, któremu poddała nieszczęsnego Słomianego Jacka, zakończył się pełnym sukcesem – ale za cenę pewnej poważnej niedogodności. Dopóki ciotka znajdowała się w pobliżu i utrzymywała z Jackiem codzienny kontakt, próżno byłoby szukać na świecie wdzięczniejszego, serdeczniejszego i potulniejszego od niego człowieka i nawet pan Hartrey i radca prawny musieli przyznać, że ich początkowe nastawienie do jego sprawy było błędne. Jeżeli jednak ciotka oddalała się na dłużej z domu, stan umysłowy Jacka w widoczny sposób się pogarszał. Nieszczęśnik nie przejawiał bynajmniej żadnych agresywnych czy niebezpiecznych zachowań: kładł się jedynie na słomiance pod drzwiami jej pokoju, skąd nie ruszał się aż do jej powrotu, odmawiając jedzenia i picia i do nikogo się nie odzywając. Gdy wracała, słyszał jej kroki z oddali na długo, zanim ktokolwiek inny zdawał sobie sprawę, że zbliża się do domu – i dawał upust swojej radości krzykiem, który nieuchronnie nasuwał skojarzenia z Bedlam.

Na tym polegała owa jedyna niedogodność – i ciotka jak dotąd nie zdołała jeszcze wymyślić, jak w takiej sytuacji doprowadzić do skutku swój przyjazd do Frankfurtu, który wydawał się absolutną koniecznością w obliczu trudności czynionych przez pana Kellera. Oprócz tego, że nie wiedziała, co począć z Jackiem, stała jeszcze wobec drugiego problemu związanego z osobą Fritza. Skąd mogła mieć pewność, że chłopak pod jej nieobecność nie będzie próbował wymknąć się z Londynu? „Tak czy inaczej, znajdę jakieś rozwiązanie – zakończyła z typową dla siebie niezłomnością. – Nigdy się nie poddam i teraz też nie zamierzam tego robić”.

Kiedy był już czas wychodzić do teatru, wróciłem do salonu, w którym zastałem pana Kellera kipiącego gniewem oraz pana Engelmana palącego spokojnie, jak zwykle, swoją fajkę.

– Przeczytaj sobie! – wykrzyknął pan Keller, rzucając współnikowi przez stół list od mojej ciotki. – Nie zabierze ci to wiele czasu!

Wiadomość składała się dosłownie z trzech zdań:

Dotarł do mnie Pański list z pretensjami. Nie ma sensu, żeby dwoje ludzi o tak rozbieżnych poglądach sprzeczało się za pośrednictwem poczty. Odpowiem

Panu osobiście po swoim przyjeździe do Frankfurtu.

– Chodźmy posłuchać muzyki! – zawołał pan Keller. – Jak Bóg mi świadkiem, potrzebuję czegoś, co ukoi moje nerwy!

Pod koniec pierwszego aktu opery nowa przeciwność losu wyczerpała jego niewielkie pokłady cierpliwości. Wychodził z domu w takiej złości, że zapomniał zabrać ze sobą lornetkę teatralną, a będąc krótkowidzem, dotkliwie odczuł teraz jej brak. Nie trzeba dodawać, że natychmiast po nią poszedłem, żeby zdążyć wrócić przed rozpoczęciem drugiego aktu.

Zgodnie z instrukcjami pana Kellera miałem ją znaleźć na stole w jego sypialni.

Joseph, który otworzył mi drzwi, sprawiał wrażenie zmieszanego. Gdy ruszyłem schodami na górę, rzucił się za mną, próbując coś powiedzieć. Za bardzo się jednak spieszyłem, żeby zwrócić na niego uwagę.

Wbiegłem na drugie piętro, pokonując po dwa stopnie naraz, wpadłem do sypialni pana Kellera i stanąłem oko w oko... z madame Fontaine!

Rozdział 17

Wdowa była w pokoju sama i stała przy stoliku, na którym znajdował się nocny napój pana Kellera. Ogarnęło mnie takie zdumienie, że zastygłem w bezruchu i trwałem tak niczym głupiec, niemo wpatrując się w madame Fontaine.

Ona, jak sędzę, była równie zaskoczona i oszołomiona, z tą różnicą, że potrafiła to lepiej ukryć. Na chwilę – na jedną krótką chwilę – zaniemówiła. Zaraz jednak wyciągnęła lewą dłoń spod szala, którym była okryta, i wymachując szkicownikiem, zawołała:

– Złapałeś mnie na gorącym uczynku, Davidzie!

– Co pani tutaj robi? – zapytałem.

Wskazała szkicownikiem na słynny, rzeźbiony kominek.

– Dobrze wiesz, jak marzyłam, żeby narysować sobie to cudo – odpowiedziała. – Proszę, nie osądzaj zbyt surowo nieszczęsnej artystki, która postanowiła skorzystać ze sprzyjającej okazji.

– Jeżeli wolno mi zapytać, madame Fontaine, skąd wiedziała pani, że taka okazja się nadarzy?

– Dzięki tobie, mój przyjacielu – odparła z niezmaconym spokojem.

– Dzięki mnie? Co ma pani na myśli?

– Czy to nie ty, Davidzie, od razu pomyślałeś w swojej łaskawości o Minnie, kiedy przyniesiono ci pocztę? I czy to nie ty przysłałeś do nas służącego z przeznaczonym dla niej listem od Fritza?

Zanim zdołałem cokolwiek odpowiedzieć, z korytarza dobiegł płaczący głos Josepha drżącego o swoją posadę.

– Proszę wierzyć, sir, nie miałem złych zamiarów. Wspomniałem jedynie, że muszę szybko wracać pilnować domu (w którym została tylko podkuchenna), bo wszyscy panowie wyszli do teatru. Kiedy pani przyszła i pokazała mi swój szkicownik...

– Wystarczy już, przyjacielu – rzekła wdowa z typowym dla siebie opanowaniem i dała mu znak, żeby sobie poszedł. – Pan David jako mądry człowiek nie będzie przejmował się takimi drobnostkami. No już, Josephie, wracajcie na dół! – Odwróciwszy się do mnie, rzuciła mi spojrzenie pełne żartobliwego zaskoczenia. – Jaką masz poważną minę! – zawołała wesoło.

– Pani być może miałaby jeszcze poważniejszą, madame Fontaine, gdyby pan Keller sam wrócił się do domu po swoją lornetkę.

– Och! Zapomniał lornetki? Pomogę ci jej poszukać. Skończyłam już swój szkic i jestem do twoich usług. – Ubiegłszy mnie, wzięła lornetkę ze stołu i podała mi ją, nie przestając mówić: – To była doprawdy moja jedyna szansa. Nie mogłam

przecież liczyć na to, że pan Engelman zaprosi mnie tutaj ponownie po tym, co wydarzyło się ostatnim razem... Muszę ci wyznać, że za moją chęcią sporządzenia owego szkicu kryło się coś więcej niż podziw dla kominka. Dobrze wiesz, że ledwo wiążemy koniec z końcem. Właściciel sklepu z obrazami przy ulicy Zeil zgodził się na współpracę ze mną. Będzie mógł sprzedać mój rysunek jakiemuś angielskiemu turyście jako pamiątkę ze starego Frankfurtu. Nawet jeśli zyskam na tym ledwie kilka florenów, te pieniądze pozwolą mojej córce i mnie utrzymać się przez tydzień.

Wszystko to brzmiało bardzo prawdopodobnie i w innych okolicznościach (gdybym wcześniej nie spotkał Frau Meyer) być może dałbym wiarę tłumaczeniom wdowy. Teraz jednak zapytałem, czy mógłbym zobaczyć jej rysunek.

Madame Fontaine pokręciła głową i z powrotem przysłoniła szkicownik szalem.

– W tej chwili to niewiele więcej niż pierworys – wyjaśniła. – Cierpliwości. Kiedy naniosę już odpowiednie poprawki i obrazek będzie się nadawał do sprzedaży, z przyjemnością ci go pokażę. Nie splatasz mi figła, Davidzie, i nie wspomnisz żadnemu ze starszych dżentelmenów o tym akcie artystycznej inwazji, którego się dopuściłam? To już się nie powtórzy, dam ci moje słowo honoru. Weź również pod uwagę biednego Josepha... Chyba nie chciałbyś zniszczyć temu pocziwemu młodzieńcowi życia, pozbawiając go posady? Oczywiście, że nie! Rozstaniemy się jako doskonale rozumiejący się przyjaciele, prawda? Minna kazałaby mi przekazać ci swoje pozdrowienia i podziękowania, gdyby wiedziała, że się z tobą zobaczę. Dobranoc.

Zbiegła po schodach niczym beztroska, młoda dziewczyna, nucąc pod nosem jakąś melodię. Przez chwilę słyszałem, jak szepcze o czymś w holu z Josephem, potem dobiegł mnie odgłos zamykanych drzwi – i tak zakończyła się owa niespodziewana wizyta madame Fontaine w domu pana Kellera.

Po krótkim zastanowieniu uznałem, że najlepiej zrobię, jeśli udzielię Josephowi surowego upomnienia, ale przemilczę całe zajście – przynajmniej na razie – przed dwoma współnikami. Gdybym wspomniał, co się stało, niechybnie zainicjowałbym między starymi przyjaciółmi nowy spór na temat wdowy – nie mówiąc już o tym, że pan Keller najprawdopodobniej natychmiast wymówiłby Josephowi posadę. Jednak obok tych racjonalnych przemyśleń musiały pojawić się w mojej głowie także jakieś nieokreślone obawy. Inaczej bowiem dlaczego rozejrzałbym się tak uważnie po sypialni pana Kellera przed powrotem do teatru? Nie dopatrzyłem się niczego podejrzanego. W pokoju panował ten sam ład, co zawsze i wszystkie przedmioty zdawały się być na swoim miejscu – począwszy od brzytwy i pędzli do golenia leżących na toaletce po stojący jak zwykle na stoliku przy łóżku dzbanek z nocnym napojem z wody jęczmiennej.

W końcu wyszedłem z sypialni pana Kellera. Dlaczego jednak wciąż targał

mną niepokój? Dlaczego miałem w sobie tyle ordynarności, żeby na myśl o wdowie powiedzieć do siebie w duchu: „A niech ją diabli”? Dlaczego wspaniała opera Glucka wraz z każdą kolejną nutą zdawała się coraz bardziej tracić swój urok i melodyjność? Niech ci, którzy dobrze orientują się w tego rodzaju sprawach, zastanowią się nad moim położeniem i sami odpowiedzą sobie na owe pytania.

Kolacja przebiegła nam w radosnej atmosferze. Wyjście do teatru, wnosząc w monotonię życia dwóch współników miłą odmianę, podziało ożywczo na ich nastroje. Rzadko widywałem pana Kellera tak beztroskim i pogodnym. Jako człowiek z natury wstrzeźliwy, zachował jak zwykle umiar w jedzeniu i piciu i jako pierwszy z nas udał się na nocny spoczynek. Jednak dopóki był z nami, stanowił przednie, w najlepszym znaczeniu tego słowa, towarzystwo i cieszył się perspektywą następnej nocy operowej tak, jak chłopiec w wieku szkolnym cieszy się na nadchodzące wakacje.

Rozdział 18

Kiedy nazajutrz rano wszedłem do pokoju śniadaniowego, w środku nie było nikogo. Po raz pierwszy zdarzyło mi się nie zastać przy stole pana Kellera, który do tej pory w kwestii wczesnego wstawania z łóżka świecił swojemu wspólnikowi i mnie jasnym przykładem. Ledwie zdążyłem zauważyć jego nieobecność, gdy dołączył do mnie pan Engelman. Jego poważne, zatroskane oblicze powiedziało mi, że coś jest nie tak.

– Gdzie pan Keller? – zapytałem.

– W swoim łóżku, Davidzie.

– Mam nadzieję, że nie jest chory?

– Nie wiem, co mu dolega, drogi chłopcze. Mówi, że nie spał dobrze i że nie da rady wstać dzisiaj jak zwykle do pracy. Myślisz, że zaszkodziła mu wczorajsza duchota w teatrze?

– Może zaparzę mu krzepiącej, angielskiej herbaty w filiżance? – zaproponowałem.

– Tak, tak! I sam mu ją zanieś. Ciekaw jestem, co powiesz na jego widok.

Jak tylko zobaczyłem pana Kellera, ogarnął mnie wielki niepokój. Ten z natury energiczny, pełen życia człowiek pogrążony był teraz w stanie jakiejś przerażającej niemocy. Leżał w prawie zupełnym bezruchu, nie licząc sporadycznego drżenia jego spoczywających na kołdrze rąk. Dźwięk mojego głosu sprawił, że na moment otworzył oczy, by zaraz znowu je zamknąć – jak gdyby samo patrzenie na cokolwiek stanowiło wysiłek ponad jego siły.

Na moje pytanie, czy napije się herbaty, pokręcił słabo głową i powiedział rozdrażnionym szeptem:

– Zostaw mnie w spokoju!

Zerknąłem na nocny stolik. Zarówno dzbanek, w którym przynoszono mu wodę jęczmienną, jak i szklanka były całkiem puste.

– Dokuczało panu w nocy pragnienie?

Odpowiedział znów tym samym rozdrażnionym szeptem:

– Potworne!

– A teraz chce się panu pić? – zapytałem.

Na co on powtórzył swoje pierwsze słowa:

– Zostaw mnie w spokoju!

Po prostu leżał, niczego nie chcąc i o nic nie dbając. Jego twarz już była zmizerniała i blada, a przez jego bezsilne ręce wciąż przechodziło nieregularne drżenie.

Natychmiast posłaliśmy po doktora, który w przeszłości pomagał mu przy drobniejszych dolegliwościach.

Nieumiejętność przyznania się do niewiedzy to właściwość powszechnie spotykana wśród lekarzy na całym świecie. Nasz doktor także się nią odznaczał. Orzekł, że pacjent ma jedynie lekką gorączkę z dreszczami – lecz odnieśliśmy wraz z panem Engelmanem wrażenie, że powiedział to tylko po to, żeby coś powiedzieć, i że wcale nie był przekonany co do słuszności owej diagnozy. Wypisawszy receptę, obiecał wstąpić ponownie pod wieczór. Matka Barbara, nasza gospodyni, już zdążyła zainstalować się jako pielęgniarka. Rządząc zawsze despotycznie całym domem, teraz także nie zamierzała dzielić się z nikim władzą w pokoju chorego. I zagroziła, że odejdzie z posady, jeśli tylko jakaś obca kobieta spróbuje wtrącać się do opieki nad jej panem.

– Mój pan, kiedy choruje – powiedziała Matka Barbara – staje się moją własnością.

Oczywiście wysoce nieprawdopodobnym było, żeby kobieta w tak zaawansowanym wieku dała radę czuwać przy chorym nieprzerwanie dzień i noc. Dla świętego spokoju postanowiliśmy poczekać jedną dobę. Gdyby do następnego ranka stan pana Kellera nie uległ żadnej poprawie, miałem pójść do szpitala zapytać o wykwalifikowaną pielęgniarkę.

Pod wieczór okazało się, że nasze wątpliwości co do lekarza były słuszne. Dzentelmen potwierdził swoją niezdolność do postawienia pacjentowi właściwej diagnozy, przyprawdzając ze sobą przy okazji swojej drugiej wizyty kolegę po fachu, którego przedstawił jako doktora Dormanna i zarazem swojego konsultanta.

Nowy lekarz był od niego młodszy i zdecydowanie bardziej pewny siebie.

Najpierw poddał pacjenta niezwykle dokładnemu i długiemu badaniu, a potem począł zadawać nam drobiazgowo pytania dotyczące czasu ujawnienia się choroby, wcześniejszego stanu zdrowia pana Kellera, pierwszych zauważonych przez nas u niego symptomów, spożytych przez niego pokarmów i napojów itd. Następnie zażyczył sobie zobaczyć każdego z domowników mających dostęp do jego sypialni. Kiedy już uznał, że przyjrzał się wystarczająco dobrze gospodyni, lokajowi i podkuchennej wezwanym kolejno do pokoju, odesłał ich wszystkich z powrotem bez słowa wyjaśnienia. Na koniec wprawił swojego starszego kolegę w zdumienie, doradzając zastosowanie środka wymiotnego, ale za nic nie chcąc wyjawiać powodów, dla których ów zabieg jawił mu się jako konieczny.

– Jeżeli okaże się, że miałem rację, wszystko wytłumaczę. Jeżeli okaże się, że się myliłem, po prostu uznam swój błąd i wszelkie tłumaczenia będą zbędne. Proszę wyprosić wszystkich z pokoju, podać choremu emetyk i trzymać drzwi zamknięte na klucz, dopóki nie wrócę.

Udzieliwszy na pożegnanie owych wskazówek, pospiesznie opuścił dom.

– Co też mógł mieć na myśli? – zapytał pan Engelman.

Pozostawiony na posterunku starszy doktor dosłyszał jego słowa. Złapał mnie za ramię, gdy wychodziłem z pokoju za panem Engelmanem, i wyszeptał mi

do ucha:

– Trucizna! Proszę zachować to w tajemnicy. Właśnie to miał na myśli...

Wbiegłem do własnej sypialni i zarygłowałem drzwi. Na dźwięk słowa „trucizna” przypomniałem sobie potworną insynuację Frau Me-yer na temat zaginionego kufierka aptecznego doktora Fon-taine’a i natychmiast skojarzyłem ją z podejrzanym wtargnięciem madame Fon-taine do pokoju pana Kellera. Dobry Boże! Czy nie nakryłem jej, jak stała przy stoliku, na którym znajdował się dzbanek z nocnym napojem starszego dżentelmena? I czy nie słyszałem na własne uszy, jak doktor Dormann mruknął pod nosem: „A to pech!”, gdy powiedziano mu, że pacjent wypił do ostatniej kropli wodę jęczmienną i że dzbanek i szklanka zostały jak zwykle umyte? Przez kilka pierwszych chwil, jak sędzę, nie posiadałem się z przerażenia – tak okropne były wnioski, do których to wszystko zdawało się prowadzić. Miałem jednak w sobie jeszcze na tyle przytomności umysłu, by wiedzieć, że nie powinienem zbliżać się do pana Engelmana i zbyt pochopnie dzielić się z nim swoimi podejrzeniami.

Kiedy odzyskałem zdolność jasnego myślenia, poczułem wstyd wobec panicznego strachu, który mnie ogarnął.

Co takiego wdowa mogłaby zyskać na śmierci pana Kellera? Przecież skoro walczyła o szczęśliwą przyszłość dla swojej córki, powinno jej zależeć na czymś dokładnie przeciwnym – na tym, żeby starszy dżentelmen żył jak najdłużej i zdążył zrozumieć błędność swoich uprzedzeń i wyrazić zgodę na małżeństwo. Myśl, że mogłaby próbować go uśmiercić w celu uwolnienia Fritza spod ojcowskiego wpływu, wydawała się tak koszmarna, że wzbraniałem się przed dopuszczeniem jej do siebie tak kategorycznie, jak wzbraniałbym się przed świadomym narażeniem się na kompromitację. Doktor Dormann wyciągnął pochopne i błędne wnioski – tylko takie pocieszające wyjaśnienie przychodziło mi do głowy. W przypływie zniecierpliwienia otworzyłem znów drzwi sypialni i pospieszyłem sprawdzić, co ustalono.

Pod moją nieobecność przeprowadzony został eksperyment, po którym pan Keller zapadł w niespokojny sen. Doktor Dormann, chowając do torby przyniesiony z domu przyrząd laboratoryjny, wciąż nie chciał przyznać się otwarcie do swoich podejrzeń.

– To ciekawe, że każdą ziemską niewiadomą można sprowadzić z zasady do trzech pytań – rzekł. – Czy nie podaliśmy środka wymiotnego zbyt późno? Czy przeprowadzone przeze mnie testy były wystarczające? Czy nie popełniłem jakiegoś rażącego błędu? – W tym miejscu zwrócił się do swojego starszego kolegi: – Drogi doktorze, widzę, że czeka pan na konkretną odpowiedź. Nie musi pan wychodzić z pokoju, panie Engelman! Panu i pańskiemu młodemu angielskiemu przyjacielowi należy się prawda. Otóż widzę w pacjencie tajemniczą utratę sił witalnych, nie widzę natomiast objawów jakiegokolwiek znanej mi

choroby, którą mógłbym wskazać jako przyczynę. Mówiąc wprost: nie rozumiem, co dolega panu Kellerowi.

Być może przez zwykłą delikatność wciąż zdecydował się zachować swoje niepotwierdzone domysły dla siebie. Tak czy inaczej, najwyraźniej był człowiekiem brzydzącym się wszelkimi formami lekarskiej nieuczciwości. Starszy doktor spojrział na niego z grymasem dezaprobaty na twarzy, jak gdyby uznał jego szczere wyznanie za sprzeczne z niepisanymi prawami medycznej etykiety.

– Jeśli pozwolą mi panowie dalej zajmować się tym przypadkiem pod nadzorem mojego znakomitego kolegi – odezwał się znowu doktor Dormann – z przyjemnością przygotuję plan kuracji paliatywnej. Mój znakomity kolega wie, że zawsze jestem gotowy na nowe wyzwania.

Jego znakomity kolega skłonił się uroczyście, zerknął na zegarek i pospieszył z wizytą do kolejnego pacjenta. Doktor Dormann, sięgając po swój kapelusz, zatrzymał wzrok na Matce Barbarze śpiącej twardo w fotelu przy łóżku chorego.

– Jutro przyślę panom kompetentną pielęgniarkę – powiedział. – Nie, nie jedną z tych kobiet pracujących w szpitalu. Trzeba nam kogoś o szlachetniejszych uczuciach i delikatniejszych dłoniach. Tymczasem któryś z panów musi czuwać przy panu Kellerze przez całą noc. Jeżeli nie będę potrzebny wcześniej, zobaczymy się jutro rano.

Ofiarowałem się zostać na posterunku, obiecując panu Engelmanowi, że go zawołam, gdyby u chorego wystąpiły jakieś niepokojące objawy. Stara gospodyni, ocknąwszy się ze snu, próbowała rzecz jasna odesłać mnie do łóżka i zająć moje miejsce. Byłem jednak zbyt przejęty i zdenerwowany, by okazać wobec niej tę samą spolegliwość, co zwykle. Matka Barbara niespodziewanie trafiła na godnego siebie przeciwnika. W mniej przygnębiających okolicznościach sposób, w jaki rozstrzygnąłem spór – wypychając tę nieszczęsną kobietę, ku jej wielkiemu niezadowoleniu i niedowierzaniu, z pokoju, zamykając jej drzwi przed nosem i przekręcając klucz w zamku – mógłby się wydać wręcz komiczny.

Krótko potem zjawił się Joseph z wiadomością dla mnie. Pan Engelman informował, że jeżeli na pewno nie jest potrzebny w pokoju chorego, zamierza wyjść na chwilę z domu, by zaczerpnąć przed snem świeżego powietrza. Nie potrzebowałem jego pomocy, więc odesłałem Josepha na dół ze stosowną wiadomością.

Godzinę później zacny dżentelmen przyszedł zajrzeć do swojego starego przyjaciela i powiedzieć mi dobranoc. Po krótkim okresie pobudzenia chory uspokoił się i teraz znów drzemał pod wpływem przyjętego lekarstwa. Nawet przy całym moim zrozumieniu dla silnych emocji, jakie musiały wzbudzić w panu Engelmanie smutne wypadki minionego dnia, nie byłem w stanie pojąć jego dziwnego zachowania. Był dziwnie roztargniony i zmieszany, i wyglądał tak, jak

gdyby na sercu ciążył mu jakiś ciężar – ciężar, o którym nie śmiał mi powiedzieć i od którego nie potrafił się uwolnić.

– Powinniśmy poszukać kogoś, kto zna się na takich przypadłościach, Davidzie – rzekł, patrząc na spoczywającą bezsilnie na łóżku postać.

– Tylko gdzie? – zapytałem.

Pozostawiwszy moje pytanie bez odpowiedzi, pan Engelman życzył mi dobrej nocy i wyszedł z pokoju. Nie będzie w tym żadnej przesady, jeżeli napiszę, że siedziałem przez całą noc przy łóżku chorego jak na szpilkach, bijąc się z myślami. Przeprowadzony przez doktora Dormanna eksperyment nie zdołał dowieść ponad wszelką wątpliwość, że jego przypuszczenia były bezpodstawne. Czy w tym stanie rzeczy nie powinienem powiedzieć lekarzom, co zobaczyłem, kiedy wróciłem się z teatru po lornetkę pana Kellera? Im dłużej się nad tym zastanawiałem, z tym większą niechęcią myślałem o rzuceniu na być może niewinną matkę Minny straszliwego podejrzenia, które już na zawsze musiałyby położyć się cieniem na jej życiu. Czy miałem jakiś dowód na to, że kłamała w kwestii swojego szkicu i kominka? Nie, nie miałem. Więc jak mógłbym – jak śmiałbym – cokolwiek komukolwiek sugerować? W chwilach, w których chory nie potrzebował mojej uwagi i pomocy, skłaniałem się stanowczo ku wnioskowi, że powinienem trzymać język na wodzy. Ale wtedy, gdy musiałem podać mu następną porcję lekarstwa albo poprawić poduszki pod jego głową, kiedy otwierał swoje biedne, słabe oczy i patrzył na mnie niewidzącym wzrokiem – na nowo ogarniały mnie wątpliwości i z przerażeniem uświadamiałem sobie potworną konieczność przerwania milczenia.

Po tym, jak przez okno poczęły wpadać do pokoju pierwsze promienie nowego dnia, stało się jasne, że stan chorego się pogorszył: niemoc wzmogła, bladeść wynędzniałej twarzy pogłębiła, przerwy pomiędzy napadami drgawek stały się dużo krótsze. Poczulem, że kiedy doktor Dormann przyjdzie niebawem z następną wizytą, moim obowiązkiem będzie poinformować go – bez względu na wszystko – iż poza trojgiem służących, panem Engelmanem i mną jeszcze jedna osoba miała możliwość wejść do sypialni pana Kellera i z owej możliwości skorzystała.

Byłem tak wyczerpany niepokojem i bezsennością – i tak wyraźnie było to widać, jak sądzę – że poczciwy pan Engelman wymógł na mnie, żebym pozwolił mu się zastąpić i poszedł odpocząć. Położyłem się na łóżku, nie zamknawszy do końca drzwi sypialni – zamierzałem bowiem nasłuchiwać kroków doktora na schodach i rozmówić się z nim na osobności, kiedy będzie wychodził od pacjenta.

Gdybym był dwadzieścia lat starszy, być może zdołałbym wytrwać w owym zamiarze. Jednak u ludzi młodych sen jest nadrzędną potrzebą i litościwa natura pilnuje, żeby o nim nie zapominać.

Pamiętam, że czując ciężkość powiek, poderwałem się z łóżka i począłem

chodzić po pokoju, żeby nie zasnąć. Pamiętam, że jakiś czas później z czystego zmęczenia osunąłem się znów na łóżko – a potem był już tylko niebyt! Kiedy się ocknąłem i spojrzałem na zegarek, uświadomiłem sobie, że spałem co najmniej sześć godzin!

Rozczarowany sobą i przerażony tym, co mogło się wydarzyć w przeciągu tak długiego czasu, pospieszyłem na pół przytomnie do pokoju pana Kellera. Gdy zapukałem cicho do drzwi, z wnętrza dobiegł cichy, kobiecy głos:

– Proszę wejść!

Zamarłem z ręką na drzwiach, nie wiedząc, czy oszalałem, czy wciąż śnię. Przecież znałem ten głos...

– Proszę wejść! – usłyszałem jeszcze raz, wobec czego wszedłem.

Siedziała przy łóżku, uśmiechając się łagodnie i dotykając ust palcem wskazującym. Zobaczyłem ją tak wyraźnie, jak wszystkie znane mi przedmioty wypełniające pokój i leżącą w pościeli postać. Zobaczyłem... madame Fontaine!

– Mów szeptem – rzekła cicho. – Ma bardzo płytki sen i nie wolno nam go zbudzić.

Zbliżyłem się do łóżka i spojrzałem na chorego. Jego policzki pokrywał słaby rumieniec, na jego czole błyszczały kropelki wilgoci, jego ręce spoczywały na kołdrze tak spokojnie, jak ręce pogrążonego w błogim śnie dziecka. Obejrzałem się na madame Fontaine. Znów się uśmiechnęła, wyraźnie rozbawiona moim bezgranicznym zdumieniem.

– Teraz ja przy nim czuwam, Davidzie – powiedziała, spoglądając tkliwie na swojego podopiecznego. – Zejdź na dół, a pan Engelman ci wszystko wyjaśni. Tutaj nie możemy rozmawiać.

Delikatnie starła pot z jego czoła, ostrożnie sprawdziła palcami puls – po czym bezgłośnie odchyliła się na fotelu, nie odrywając od śpiącego zaniepokojonego wzroku. Stanowiła żywy obraz pielęgniarki, o której mówił doktor Dormann, kiedy ostatni raz go widziałem – pielęgniarki „o szlachetnych uczuciach i delikatnych dłoniach”. Gdyby zobaczył ją w tamtej chwili jakiś nieznajomy, niechybnie by sobie pomyślał: „Jaki ujmujący widok! Cóż za oddana żona!”.

Rozdział 19

– Zanim opowiem ci, co zawdzięczamy temu aniołowi z góry, masz tutaj szklaneczkę starego Marcobrunnera[4] i kawałek dziczyzny zapiekanej w cieście. Pijże swoje wino, drogi chłopcze, jesteś blady jak śmierć!

Rzekłszy to, pan Engelman zapalił fajkę i nie odzywał się, dopóki nie skończyłem się posilać.

– A teraz wróć pamięcią do poprzedniego wieczora – zaczął swoje wyjaśnienia. – Pamiętasz, że wyszedłem zaczerpnąć świeżego powietrza? Domyślasz się, co się za tym kryło?

Rzecz jasna, dobrze wiedziałem, że kryła się za tym wizyta u madame Fontaine.

– Masz rację, Davidzie. Obiecałem, że wstąpię do niej wcześniejszą porą, ale stanęła mi na przeszkodzie choroba nieszczęsnego Kellera. Madame Fontaine przysłała liścik, w którym pytała, czy nie stało się coś poważnego, skoro tym razem nie zdołałem przybyć na umówione spotkanie. Wyszedłem wieczorem z domu, żeby odpowiedzieć jej osobiście. Była na tyle przejęta i zasmucona wieściami na temat Kellera, by zapytać o objawy jego choroby. Kiedy je opisałem, ku mojemu zdumieniu bardzo się ożywiła. „Czy lekarze wiedzą, co mu dolega?” – dopytywała. Odrzekłem, że jeden z nich sprawiał wrażenie zdezorientowanego, a drugi otwarcie przyznał, że nie wie, co dolega pacjentowi. Słyszając to, madame Fontaine splotła dłonie i zawołała z żalem: „Och, gdyby tylko żył mój biedny mąż!”. Zapytałem naturalnie, co chciała przez to powiedzieć. Szkoda, Davidzie, że nie umiem przytoczyć dokładnie słów, którymi wszystko mi pięknie wyjaśniła. W każdym razie wynikało z nich, że swego czasu jakiś podwładny jej męża na uniwersytecie w Würzburgu uległ chorobie, której objawy łudząco przypominały objawy przypadłości pana Kellera. Lekarze w tamtym przypadku również byli bezradni. Jedynie doktor Fon-taine pojął istotę schorzenia i sporządził lekarstwo, które osobiście zaaplikował pacjentowi. Madame Fontaine pomagała w opiece nad chorym, podając mu, kiedy był w stanie jeść, zalecone przez jej męża pokarmy. Ludzie z uniwersytetu po dziś dzień wspominają tamto cudowne ozdrowienie.

W tym miejscu przerwałem panu Engelmanowi.

– Rzecz jasna zapytał ją pan o recepturę owego lekarstwa? – zadałem pytanie. – Teraz zacznam rozumieć...

– Nie, Davidzie, jeszcze niczego nie rozumiesz. Owszem, zapytałem ją o recepturę, ale takiej, o ile jej wiadomo, nigdzie nie ma. Jak powiedziałem, jej mąż sporządził to lekarstwo samodzielnie. Pamiętała jednak, że jego działanie przeszło jego oczekiwania i że zużył tylko jego część. Buteleczka z preparatem została być może w Würzburgu, chociaż mogła też leżeć w kufrze podróżnym jej męża, który

znalazła w jego sypialni i przywiozła ze sobą do Frankfurtu z zamiarem przejrzenia jego zawartości. „Dotąd jeszcze nie miałam serca go otworzyć – powiedziała – ale teraz przez wzgląd na pana Kellera przeszukam go przed pańskim odejściem”. Ta kobieta to prawdziwa chrześcijanka, Davidzie! Nawet po tym, jak nieszczęsny Keller ją potraktował, nie zamierzała odmówić mu pomocy i zachowała się tak, jak gdyby chodziło o jej najdroższego przyjaciela. Minna zaproponowała, że ją wyręczy. „Po co miałyby sobie mama przysparzać przykrości? – zapytała. – Wystarczy, że powie mi mama, jak wygląda buteleczka, a sama spróbuję ją znaleźć”. Ale nie! Madame Fontaine cieszyła się z możliwości spełnienia dobrego uczynku i była gotowa poświęcić dla niego nawet własne uczucia.

Ponownie wszedłem mu w słowo, nie mogąc się już doczekać finału historii.

– A więc znalazła buteleczkę? – zapytałem.

– Znalazła buteleczkę – potwierdził pan Engelman. – Mogę ci ją pokazać, jeśli chcesz. Sama poprosiła, żebym trzymał ją w bezpiecznym miejscu pod kluczem tak długo, jak będzie potrzebna w naszym domu.

Otworzył starą serwantkę i wyjął z niej osobliwą podłużną buteleczkę z ciemnoniebieskiego szkła kształtem nieprzypominającą żadnej z tych, które do tej pory widziałem. Zabezpieczona była szklanym korkiem owiniętym starannie – dla zapewnienia lepszej ochrony znajdującemu się wewnątrz płynowi, jak sędzę – skrawkiem wyprawionej skóry. Wzdłuż jednego z boków buteleczki biegł wąski pasek papieru oznaczony w równych odstępach nacięciami wskazującymi poszczególne dawki specyfiku. Nie było na niej żadnej etykiety, chociaż przyglądając się dokładnie powierzchni szkła, zauważyłem pewne ledwo widoczne zabrudzenia, które mogły być niezmytymi do końca plamami po kleju albo gumie arabskiej – co sugerowałoby, że w przeszłości przyklejono do niej jakąś etykietę, ale potem zdarto. Uniósłszy buteleczkę pod światło, stwierdziłem, że wciąż jest pełna prawie do połowy. Pan Engelman zabronił mi wyjmować korek, wyjaśniając, że z wyjątkiem chwil, w których zachodziła potrzeba zaaplikowania lekarstwa, wnętrze buteleczki należało cały czas chronić przed dostępem powietrza.

– Jeszcze tego samego wieczoru przyniosłem ją ze sobą do domu – opowiadał dalej. – Wyobraź sobie, w jakiej byłem rozterce, z jednej strony chcąc jak najszybciej pomóc nieszczęsnemu Kellerowi, a z drugiej obawiając się wziąć na siebie tak ogromną odpowiedzialność. Zawsze trzeźwo myśląca madame Fontaine powiedziała: „Lepiej niech pan poczeka i skonsultuje się z lekarzami”. Postawiła tylko jeden warunek (cóż za wspaniałomyślna z niej istota!) odnośnie do swojej osoby. „Jeżeli zapadnie decyzja o wypróbowaniu środka – rzekła – to proszę dać mu godziwą szansę i zatrudnić mnie w charakterze pielęgniarki. Rzeczą najwyższej wagi jest, żeby chory miał zapewnioną w trakcie kuracji należyłą opiekę. Wiem o tym dzięki mężowi i przez wzgląd na jego pamięć (i oczywiście przez wzgląd na samego pana Kellera) powinnam nad wszystkim czuwać”. Nie

trzeba chyba dodawać, że z radością przyjąłem jej propozycję pomocy. Tak minął wieczór. Następnego ranka – wkrótce po tym, jak zasnęłam – zjawili się nasi dwaj doktorzy. Będziesz mógł sobie wyobrazić, co pomyśleli na widok nieszczęsnego Kellera, kiedy ci powiem, że polecili mi natychmiast napisać do Fritza, wzywając go do przyjazdu do chorego ojca. W ostatniej chwili udało mi się złapać dzisiejszy dyliżans z pocztą specjalną. Nie miej mi tego za złe, Davidzie. Nie byłem absolutnie pewny nowego lekarstwa i każda minuta wydawała się na wagę złota. Pamiętając, ile czasu zajmuje listowi dotarcie do Londynu, chciałem wykorzystać pierwszą nadarżającą się okazję...

Bynajmniej nie miałem mu tego za złe i przyznałem, że na jego miejscu postąpiłbym tak samo. Umówiliśmy się, że wieczorną pocztą wyślę do Fritza drugi list z lepszymi wieściami – w nadziei, że zdąży go odebrać, zanim wyjedzie z Londynu.

– Po nadaniu listu – mówił dalej pan Engelman – poprosiłem naszych dwóch doktorów o chwilę rozmowy w moim prywatnym gabinecie. Tam, najprościej jak umiałem, powiedziałem im dokładnie to, co powiedziałem przed chwilą tobie. Doktor Dormann zachował się jak dżentelmen. Rzekł: „Chciałbym zobaczyć się z tą damą i zamienić z nią słowo, zanim podamy pacjentowi nowe lekarstwo”. Wiesz, jak zareagował jego kolega? Ten stary łotr ostentacyjnie opuścił nasz dom, odmawiając dalszego uczestniczenia w opiece nad pacjentem! I wiesz, Davidzie, kto poszedł za jego przykładem po tym, jak sprowadziłem do nas madame Fontaine? Druga stara łotrzyca: Matka Barbara!

Po swoich doświadczeniach z nadaną gospodynią z poprzedniego wieczoru bynajmniej nie byłem zdziwiony ostatnią informacją. Utrata autorytetu pielęgniarki na rzecz nie tylko obcej, ale też urodziwej kobiety stanowiła upokorzenie jeszcze większe od tego, przed którym Matka Barbara chciała się uchronić, grożąc nam wcześniej odejściem z domu.

– A więc – ciągnął pan Engelman – doktor Dormann zadał stosowne pytania, powąchał i posmakował lekarstwa i przy pełnej zgodzie madame Fontaine zabrał kilka jego kropeł do analizy chemicznej. Ta jednak na nic się zdała! Skład preparatu, nie licząc dwóch komponentów, pozostał dla pracowników laboratorium całkowitą zagadką! Tymczasem podaliśmy choremu pierwszą dawkę lekarstwa. Pół godziny temu zdecydowaliśmy się podać następną. Rezultat widziałeś na własne oczy. Madame Fontaine ocaliła Kellerowi życie, i to twoja zasługa, Davidzie. Gdyby nie ty, być może nigdy byśmy jej nie poznali...

W tym miejscu drzwi się otworzyły i przeżyłem drugie tego dnia zaskoczenie. Do środka weszła przyobleczona w fartuch kuchenny Minna, żeby zapytać, czy matka jeszcze na nią nie dzwoniła. Usłużna dziewczyna, ciesząc się niezmiernie z tego, że może się nam na coś przydać, przygotowywała właśnie w kuchni według wskazówek wdowy specjalne potrawy z jarzyn stanowiące część

opracowanej przez doktora Fontaine'a kuracji. Milszego zastępstwa zrędlivej gospodyni, która właśnie nas opuściła, nie moglibyśmy sobie wymarzyć!

A więc madame Fontaine wraz z Minną rozgościły się na dobre pod dachem domu pana Kellera! Jak miał przyjąć ów fakt Fritz? Jak miał zareagować pan Keller, kiedy już rozpoznałby opiekującą się nim pielęgniarzkę i dowiedział się, że tej samej osobie zawdzięcza życie?

„Wszystko dobre, co się dobrze kończy” – mówi popularne przysłowie. To jeszcze jednak nie był koniec.

[4] Marcobrunner – znana marka reńskiego wina.

Rozdział 20

Kiedy później tego wieczoru wracałem do sypialni, jakże dziękowałem łaskawemu losowi za to, że po całonocnym czuwaniu przy łóżku chorego zmógł mnie wbrew mojej woli ów sześciogodzinny sen!

Gdybym nie zasnął i zgodnie ze swoim postanowieniem opowiedział o swoich podejrzeniach doktorowi Dormannowi, ten niechybnie zakazałby podawać choremu lekarstwo, pan Keller by zmarł, a niewinna kobieta, która, jak się okazało, uratowała mu życie, zostałaby posądzona i być może nawet formalnie oskarżona o morderstwo. Myśl o tym wszystkim przyprawiała mnie o dreszcze.

Nazajutrz zaaplikowano choremu kolejne dawki cudownego lekarstwa i przygotowano mu zalecone przez doktora Fontaine'a odżywcze dania z produktów roślinnych. Dzień później stan pacjenta był już na tyle dobry, że korek ciemnoniebieskiej buteleczki został znów na stałe zabezpieczony skrawkiem wyprawionej skóry, chociaż preparatu starczyłoby jeszcze na blisko dwie dawki. Kiedy zapytałem, czy mógłbym ponownie rzucić okiem na lekarstwo, pan Engelman poinformował mnie, że wdowa uwolniła go od odpowiedzialności za buteleczkę, zabierając ją do swojego pokoju, gdzie trzymała ją pod kluczem.

Pod koniec tego samego dnia stało się to, co nieuchronne, i pan Keller – jako że czuł się już na tyle dobrze, by podnieść się z łóżka i siąść w swoim fotelu – dowiedział się, kim była owa dobra samarytanka, która ocaliła mu życie.

Za radą doktora Dormanna do sypialni chorego nie wchodził nikt, kto akurat nie był w niej bezwzględnie potrzebny. Jedynymi świadkami owej sceny, poza madame Fontaine i samym doktorem, byli pan Engelman oraz Minna. Pan Engelman przyglądał się wszystkiemu jako stary przyjaciel pana Kellera; Minna natomiast, za namową matki, miała swoją osobą delikatnie przygotować chorego na czekające go zaskoczenie. Z uwagi na te okoliczności przebieg zdarzenia znam tylko z relacji, którą zaraz po wyjściu z pokoju zdała mi Minna.

– Umówiliśmy się, że poczekam na dole na dzwonek z pokoju pana Kellera – powiedziała – i że sama zaniosę panu Kellerowi kolację, bez słowa kładąc na stole jego soczewicę w śmietanie.

– Dokładnie tak, jak zrobiłaby to służąca! – wtrąciłem.

Łagodnie usposobiona, prostolinijna Minna przyjęła moją mało błyskotliwą uwagę we właściwy sobie sposób.

– A dlaczego by nie? – zapytała rzeczowo. – Ojciec Fritza być może pewnego dnia będzie też i moim ojcem i rada jestem, gdy mogę mu służyć nawet najmniejszą pomocą. A więc kiedy weszłam do środka z tacą, siedział przy odsłoniętym oknie w umoszczonym poduszkami fotelu. Pan Engelman i doktor stali po jego bokach, a biedna mama czekała ukryta w głębi pokoju za łóżkiem,

poza zasięgiem jego wzroku. Podnosząc na mnie oczy, pan Keller zapytał: „Kto to? Czy to nasza nowa służąca?”, na co pan Engelman przytaknął. „Ładne dziewczę – rzekł pan Keller. – Ale jak Matka Barbara ją traktuje?” W tym miejscu pan Engelman powiedział mu, że gospodyni zwolniła się z posady, i wyjaśnił dlaczego. Pan Keller, jak tylko ochłonął z zaskoczenia, znów na mnie spojrzał. „A więc kto się mną zajmował w chorobie? – dopytywał. – Przecież chyba nie ta młoda dziewczyna?” „Nie, nie. Zajmowała się tobą jej matka” – odparł pan Engelman i spojrzał na doktora. Ten po raz pierwszy wtrącił się do rozmowy. „Nie tylko opiekowała się panem w chorobie, ale też zwyczajnie uratowała panu życie, co mogę poświadczyć jako lekarz. Proszę się nie emocjonować. Zaraz pan usłyszysz, jak tego dokonała” – rzekł. Po czym w dwie minuty opowiedział mu całą historię – w tak prostych i pięknych słowach, że słuchanie go było istną przyjemnością. Przemilczał tylko jedną kwestię: nazwisko mamy. „Kim jest ta dama?! – zawołał pan Keller. – Dlaczego nie pozwolicie mi jej podziękować? Dlaczego jej tutaj nie ma?” „Ta dama boi się do pana zbliżyć, sir – rzekł doktor. – Bowiem ma pan o niej bardzo złe zdanie”. „Jak mogę mieć złe zdanie o osobie, której nie znam? Kto rozpowszechnia na mój temat takie oszczerstwa?” Doktor dał znak panu Engelmanowi, żeby tym razem to on odpowiedział. „Proszę mówić otwarcie” – szepnął, pochylając się ku niemu za fotelem pana Kellera. Wobec czego pan Engelman rzekł: „Wybacz, drogi Kellerze, ale to nie oszczerstwa, tylko prawda. Całkiem niedawno – spróbuj sobie przypomnieć – otrzymałeś list od pewnej damy, ale go jej odesłałeś, ani myśląc go czytać. Wiesz, jak odpłaciła ci się za tę zniewagę? To właśnie ona jest tą szlachetną istotą, której zawdzięczasz życie”. Kiedy pan Engelman skończył mówić, doktor ruszył w głąb pokoju, po czym wrócił przed pana Kellera, prowadząc za sobą madame Fontaine.

Głos Minny załamał się. Ponieważ przerwała w kulminacyjnym punkcie historii, zapytałam niecierpliwie:

– Jak zareagował pan Keller?

– W pokoju zapanowała cisza – odrzekła Minna półgłosem. – Nie słyszałam niczego więcej poza tykaniem zegara...

– Ale chyba widziałaś, co się dzieje?

– Nie, Davidzie. Zalałam się łzami, nie mogłam się powstrzymać. Po chwili mama objęła mnie ramieniem i poprowadziła przed pana Kellera. Otarłszy oczy, znów go zobaczyłam. Siedział ze zwieszoną nisko głową i rękoma opuszczonymi bezsilnie z oparcia fotela – tak porażony wstydem i żalem do samego siebie, że przykro było na niego patrzeć. „I co teraz? – jęknął pod nosem. – Boże, dopomóż! Co teraz?” Mama odpowiedziała mu tak wdzięcznie i uroczo, jak tylko ona potrafi: „Teraz może pan ucałować tę biedną dziewczynę, sir. Ową nową służącą, która przyniosła panu kolację, jest moja córka Minna”. Pan Keller od razu podniósł na mnie wzrok i przyciągnął mnie do siebie. „Tylko w jeden sposób mogę odkupić

swoje grzechy, moja droga – rzekł, a potem ucałował mnie i wyszeptał: – Proszę posłać po Fritza”. Och, nie każ mi już dalej opowiadać, Davidzie, bo znowu się rozplączę. Jestem taka szczęśliwa!

Zamierzała od razu napisać do Fritza i wysłać list najbliższą, wieczorną pocztą, chociaż próbowałam ją przekonywać, żeby trochę z tym poczekała. Nie było jeszcze wtedy w użyciu telegrafów elektrycznych i byłem zdany tylko na swoją intuicję – a ta podpowiadała mi, że Fritz według wszelkiego prawdopodobieństwa wyruszył z Londynu natychmiast po otrzymaniu listu pana Engelmana zawiadamiającego o poważnym stanie zdrowia jego ojca. W takim przypadku wysłany przeze mnie krótko potem list z uspokajającymi wieściami leżałby teraz gdzieś w Londynie nieprzeczytany, a Fritz mógłby się pojawić we Frankfurcie (jeśli podróżował bez przystanku) już nazajutrz. Podzieliwszy się tym całkiem rozsądnym przemyśleniem z Minną, otrzymałem na wskroś kobiecą, absurdalną odpowiedź:

- Nie dbam o to, Davidzie. I tak napiszę do Fritza.
- Dlaczego?
- Bo lubię do niego pisać.
- Jak to? Bez względu na to, czy list do niego dotrze, czy nie?
- Bez względu na to, czy list do niego dotrze, czy nie, nie odmówię sobie tej przyjemności – odrzekła figlarnie. – To wszystko, czego mi trzeba.

Zapisała cztery kartki papieru listowego i uparła się, że sama dopilnuje ich wysłania.

Następnego ranka pan Keller zdołał – z pomocą pana Engelmana i moją – zejść na dół do salonu. Obaj byliśmy przy nim, kiedy do środka weszła madame Fontaine.

- A więc? – zapytał. – Przyniosła go pani ze sobą?
- Wdowa wręczyła mu zapieczętowaną kopertę, po czym odwróciła się do mnie.
- To list, który zostawiłeś wcześniej na biurku pana Kellera – wyjaśniła wesołym tonem. – Tym razem, Davidzie, sama go przyniosłam, na życzenie pana Kellera.

Ja na jej miejscu niewątpliwie już dawno podarłbym ów list na strzępy. To, że go zachowała – na wypadek, gdyby mógł się jej jeszcze kiedyś przydać – świadczyło albo o jej przesadnym optymizmie, albo o jej niezwyklej dalekowzroczności. Z jakiegoś tajemniczego, niepojętego dla mnie powodu poczułem, że zawiodłem się na niej. Rzecz jasna, od razu taktownie ruszyłem do wyjścia, a za mną podążył (również wiedziony taktem) pan Engelman. Pan Keller poprosił jednak, żebyśmy wrócili.

- Bądźcie tak łaskawi i zostańcie, dopóki nie skończę czytać – powiedział.
- Madame Fontaine wyglądała właśnie przez okno i niepodobna było

stwierdzić, co sądziła na temat naszej obecności w pokoju.

Pan Keller przeczytał gęsto zapisane strony z wyteżoną uwagą. Dotarłszy do końca, dał wdowie znak, żeby się do niego zbliżyła, po czym ujął jej dłoń.

– W obecności mojego współnika oraz Davida Glenneya, którego opiece powierzyła pani ten list, błagam panią o przebaczenie. Proszę mi wierzyć, madame Fontaine, mówię zupełnie szczerze: wstyd mi za siebie.

Madame Fontaine padła przed nim na kolana i poprosiła, żeby już nic więcej nie mówił. Pan Engelman patrzył na nią z bezmiernym podziwem. Być może winne temu było moje angielskie wychowanie, ale ów gest uniżenia w wykonaniu wdowy wydał mi się nieco zbyt teatralny. Jeżeli pan Keller miał w tej kwestii jakieś określone odczucia, to zachował je dla siebie. Poprosił tylko madame Fontaine, żeby wstała i siadła w fotelu obok.

– Stwierzenie, że wierzę w każde słowo napisane przez panią w tym liście – ciągnął dalej – nie jest niczym innym, jak aktem sprawiedliwości, na który zbyt długo kazałem pani czekać. Nie wiem jednak, czy dobrze zrozumiałem jeden fragment i chciałbym usłyszeć to z pani ust. Czy nie mylę się, wnioskując z tego, co pisze pani tutaj na temat wierzycieli pani męża, że jego długi (które po jego śmierci przeszły na panią) zostały spłacone?

– Co do ostatniego pensa! – odpowiedziała madame Fontaine bez chwili wahania. – Mogę pokazać panu kwity, sir, jeśli życzyłby pan sobie je zobaczyć.

– Nie, madame! Wystarczy mi tylko pani słowo. Należy się teraz pani mój pełny szacunek. Owe krzywdzące dla pani oszczerstwa, w które ku swojej hańbie uwierzyłem, nie zrobiłyby na mnie nigdy żadnego wrażenia, gdyby nie opierały się na przekonaniu, że zrujnowała pani męża własną rozrzutnością. Muszę przyznać, że od zawsze żywię niechęć i nieufność wobec ludzi zaciągających długi, których nie są w stanie spłacić. Beztroska, z jaką świat zdaje się traktować relację pomiędzy dłużnikiem i wierzycielem, budzi we mnie odrazę. Jeśli obiecałem komuś oddać pieniądze i nie dotrzymuję owej obietnicy, niczym nie różnię się od zwykłego kłamcy i oszusta. Takie zawsze było moje zdanie i nigdy go nie zmienię. – Złożywszy ową stanowczą deklarację, znów ujął dłoń wdowy. – Okazuje się, że łączy nas jeszcze jedna nić porozumienia – rzekł serdecznym tonem. – Oboje tak samo myślimy na ten temat.

Dobry Boże, jeśli Frau Meyer powiedziała mi prawdę, co miało stać się po tym, jak madame Fontaine odkryje, że jej weksel znajduje się w rękach nieznanego, który w wyznaczonym terminie nieuchronnie zażąda zapłaty? Próbowałem sobie wmówić, że Frau Meyer nie powiedziała mi prawdy. I być może by mi się to udało, gdyby nie wryty w mojej pamięci obraz podejrzenie wyglądającego człowieka, którego tak bardzo ciekawiło, czy madame Fontaine zamierzała wyprowadzić się ze swojego lokum...

Rozdział 21

Następnego dnia okazało się, że moje przewidywania dotyczące Fritza były trafne.

Gdy po krótkiej nieobecności w domu wróciłem na ulicę Main, drzwi wejściowe otworzyły się przede mną gwałtownie za sprawą Minny. Jeszcze zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, wyczytałem z wyrazu jej twarzy radosną nowinę. Już miałem pospieszyć z gratulacjami, kiedy do holu wpadł Fritz, podejmując jedną z kolejnych wylewnych prób wyściskania mnie. Tym razem udało mi się w porę umknąć przed jego otwartymi ramionami.

– Chcesz całować mnie – wykrzyknąłem – podczas gdy obok jest Minna?!

– Całowałem Minnę, dopóki obojgu nam nie zabrakło tchu w piersiach – odrzekł Fritz z absolutną powagą. – Widzę teraz w tobie coś na kształt zaworu bezpieczeństwa.

W tym miejscu wyczytałem z uroczej twarzyczki Minny, że sama widziała we mnie zupełnie co innego. Zanim taktownie się oddaliłem, zapytałem jeszcze tylko Fritza, czy nie miał jakichś wieści na temat mojej ciotki. Okazało się, że ta znajdowała się już w drodze do Frankfurtu, niespiesznie podążając za Fritzem.

– A gdzie Słomiany Jack? – zapytałem.

– Towarzyszy jej w podróży – odpowiedział Fritz.

Usłyszawszy tę ostatnią, niespodziewaną wiadomość, postanowiłem, że o szczegółowe wyjaśnienia poproszę przy bardziej sprzyjającej okazji, i nie przeszkadzałem już zakochanym do czasu kolacji.

Był to jeden z ostatnich pogodnych dni jesieni. Promienie słońca zachęciły mnie do wyjścia na spacer po ogrodzie pana Engelmana.

Ciąg zimozielonych zarośli oddzielał przydomowy trawnik od rabat kwiatowych położonych w głębi posesji. Podczas gdy znajdowałem się po jednej stronie owych zarośli, z drugiej dobiegły mnie głosy pana Kellera i madame Fontaine. Przypomniałem sobie, że doktor zalecił swojemu pacjentowi, by wczesnym popołudniem, w najcieplejszej porze dnia, wychodził zażyć nieco ruchu na świeżym powietrzu. Pod nieobecność pana Engelmana zajętego sprawami firmy panu Kellerowi towarzyszyła madame Fontaine.

Uznawszy, że lepiej będzie im nie przeszkadzać, kierowałem właśnie swoje kroki z powrotem w stronę domu – kiedy z ust wdowy padło moje imię. Nawet lepszym ode mnie zdarzało się ulegać pokusie i dopuszczać się postępków poniżej ich godności. Miałem w sobie tyle podłości, żeby zostać na miejscu i nadstawić ucha – i gorzko za tę ciekawość zapłaciłem, bowiem nie usłyszałem na swój temat niczego dobrego.

– Zaszczyc mnie pan, prosząc o rady, sir – rzekła madame Fontaine do pana

Kellera. – O młodym Davidzie Glenneyu mogę mówić zupełnie obiektywnie. Za kilka dni, jeśli nie będzie mnie już pan potrzebował, opuść ten dom...

Tutaj pan Keller wszedł jej w słowo.

– Proszę wybaczyć, madame Fontaine, ale nie pozwolę, żeby nas pani opuściła. Jak pani wiadomo, zostaliśmy bez gospodyni. Gdyby zgodziła się pani wypełnić tę lukę w naszym domu, przynajmniej na razie, wyświadczyłaby pani mnie i panu Engelmanowi wielką przysługę. Poza tym pani uroczą córkę wnosi w nasze dni tyle słońca! Co by powiedział Fritz, gdyby zabrała ją stąd pani zaraz po jego przyjeździe? Nie, nie! Pani i Minna musicie z nami pozostać.

– Jest pan dla mnie zbyt łaskawy, sir! Jednak zanim cokolwiek zdecydujemy w tej kwestii, być może powinnam najpierw zapytać pana Engelmana o jego zdanie?

Pan Keller roześmiał się i (co jeszcze bardziej niezwykle) pozwolił sobie na drobny żart.

– Droga madame, jeśli nie domyśla się pani jeszcze, jakie zdanie ma w tej sprawie pan Engelman, to musi być pani najmniej spostrzegawczą kobietą chodzącą po ziemi! Ależ proszę bardzo, może go pani oczywiście o to zapytać, jeżeli zależy pani na takiej formalności. Wróćmy jednak do tematu zatrudnienia Davida Glenneya w tutejszym biurze. W liście, który otrzymał od pani Wagner, ta nie wspomniała nic o swoim zamiarze wezwania go z powrotem do Londynu, tymczasem to, jak inteligentnie wywiązał się niedawno z pewnego powierzonego mu zadania, utwierdziło mnie w przekonaniu, że byłby dla nas wartościowym nabytkiem. Poza tym Fritz miałby w nim (do czasu ślubu) dobrego kompana.

– I z tym właśnie trudno mi się zgodzić – odrzekła madame Fontaine. – Moim zdaniem, sir, pan David w ogóle nie stanowi dobrego towarzystwa dla pańskiego syna. Młodzieniec o tak wspaniale bezpośrednim i bezpretensjonalnym sposobie bycia jak pan Fritz może bardzo stracić poprzez styczność z człowiekiem o tak osobliwym charakterze jak pan David.

– Czy mogę zapytać, madame Fontaine, czym się przejawia osobliwość jego charakteru?

– Postaram się to panu dobrze wytłumaczyć, sir. Wspomniał pan przed chwilą o jego inteligencji. Ja ze swej strony powiedziałabym, że jest zbyt inteligentny. I zauważyłam, że – jak na tak młodego człowieka – zdecydowanie zbyt łatwo przychodzi mu rzucanie podejrzeń na bliźnich. Czy wyrażam się wystarczająco jasno?

– Doskonale jasno. Proszę mówić dalej.

– Odnoszę wrażenie, panie Keller, że w naszym młodym przyjacielu jest coś przewrotnego. Lubi wszystko drobiazgowo analizować i doszukiwać się wszędzie drugiego dna. Ale proszę nie przywiązywać zbyt dużej wagi do moich słów! Niewykluczone, że przemawia przede mną tak powszechna wśród ludzi niechęć do

młodych ludzi zachowujących się jak starzy. Mimo to nie ukrywam: będąc na pańskim miejscu, nie starałabym się go tutaj zatrzymywać. Może przejdziemy kawałek dalej?

Madame Fontaine, jak sędzę, nie pomyliła się co do mnie. Przeglądając wcześniejsze rozdziały tej opowieści, natrafiam gdzieś na fragmenty zdające się potwierdzać jej ocenę mojej osoby. Nawet w tamtej chwili ją potwierdziłem. Jeszcze zanim wdowa znalazła się wraz z panem Kellerem poza zasięgiem mojego słuchu, począłem doszukiwać się w jej słowach „drugiego dna” i „drobiazgowo je analizować”.

Czy przewrotnością z mojej strony było powątpiewanie w bezinteresowność jej rad? Czy przewrotnością z mojej strony było podejrzenie jej o to, że w głębi duszy mi nie ufa i że z jakichś powodów wolałaby usunąć mnie sobie z drogi na bezpieczną odległość? Ale przecież była taką dobrą chrześcijanką! Przecież tak wspaniałomyślnie i ponad wszelką wątpliwość uratowała życie panu Kellerowi! Jak mog-łem posądzać tego rodzaju kobietę o samolubne motywy? Podłość nad podłościami! Nic mnie nie usprawiedliwiało.

Zawróciłem do domu, boleśnie świadomy tego, jak bardzo moja stara głowa ciąży moim młodym ramionom.

Kiedy spotkaliśmy się wszyscy przy kolacji, madame Fontaine była wobec mnie tak miła, że popadłem w stan milczącej skruchy. Na szczęście Fritz zdominował całą rozmowę, odwracając tym samym uwagę ogółu od mojej osoby. Jego doskonały nastrój, wygłaszane przez niego hałaśliwie niedorzeczności i jego brak poszanowania dla wszystkich prawnych formalności i procedur, które miałyby oddalić w czasie ślub, stanowiły zabawny kontrast dla powściągliwej uprzejmości, z jaką pan Engelman próbował uzmysłwić swojemu młodemu, beztroskiemu przyjacielowi powagę sprawy.

– Proszę mi nie mówić o zwyczajowym okresie oczekiwania i powinnościach pastora! – zawołał Fritz. – Proszę powiedzieć mi jedno: czy pastor pełni swoje powinności za darmo?

– Wszyscy musimy z czegoś żyć – tłumaczył pocziwy pan Engelman. – I nawet pastor musi płacić swojemu rzeźnikowi i piekarzowi.

– Ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie, drogi sir! Czy pastor udzieli Minnie i mnie ślubu za darmo?

– We wszystkich cywilizowanych krajach, Fritz, duchowni pobierają opłaty za odprawienie ceremonii ślubnej.

– Dobrze więc. Teraz proszę spróbować nadążyć za tokiem mojego rozumowania, panie Engelman! Jak sam pan przyznał, w całej tej sprawie wszystko rozbija się o pieniądze. Po zwyczajowym okresie oczekiwania pastor pobierze opłatę za to, że uczyni Minnę moją żoną.

W tym miejscu do rozmowy nieśmiało wtrąciła się Minna.

– Dlaczego zwyczajowy okres oczekiwania budzi w tobie taki sprzeciw, mój drogi?

– Powiem ci, mój aniele, kiedy będziemy już małżeństwem. Tymczasem, wracając do mojego toku rozumowania, proszę pamiętać, panie Engelman, że wszystko w tej sprawie rozbija się o pieniądze. Musimy zrobić tak, żeby pastorowi opłaciło się udzielić nam ślubu bez zwyczajowego okresu oczekiwania. Zaproponujmy mu dwakroć wyższe, trzykroć wyższe, dziesięciokroć wyższe honorarium. To jedynie kwestia odpowiedniej zachęty dla wielebnego. Mój ojciec jest zamożnym człowiekiem. Wystarczy, że papa wystawi czek *in blanco*, a ja już dopilnuję, żeby Minna jeszcze w tym tygodniu została panią Keller!

Tutaj ojciec – który dotąd jedynie przysłuchiwał się rozmowie w milczącym rozbawieniu – powstrzymał wreszcie potok niedorzeczności płynący z ust syna.

– Na wszystko jest odpowiedni czas, Fritz – rzekł. – Dość już się naśmiałyśmy. Z przykrością zauważyłem, że rozprawiając o swoim ślubie, słowem nie wspomniałeś o jedynej żyjącej krewnej twojego ojca, którą w tej sytuacji też wypadaloby wziąć pod uwagę.

Madame Fontaine odłożyła na stół nóż i widelec, chociaż bynajmniej nie skończyła jeszcze posiłku. Uwaga na temat „jedynej żyjącej krewnej” wyraźnie ją zaskoczyła. Dostrzegłszy to, pan Keller odwrócił się plecami do syna i swoje następne słowa skierował do niej:

– Miałem na myśli, madame Fontaine, moją starszą siostrę – wyjaśnił. – Z naszej dużej rodziny wśród żywych zostaliśmy już tylko ja i ona.

– Czy pańska siostra mieszka w tym mieście, sir? – zapytała wdowa.

– Nie. Wciąż mieszka tam, gdzie się urodziliśmy, w Monachium.

– Czy mogę jeszcze o coś zapytać, sir?

– Może pani pytać do woli, droga madame.

– Czy pańska siostra jest kobietą zamężną?

– Nie, nigdy nie wyszła za mąż.

– Bynajmniej nie z braku wielbicieli – zauważył szarmancko pan Engelman.

– Niezwykle imponująca dama. Błyskotliwa i obdarzona wieloma talentami. I dysponująca samodzielnie godnym pozazdrosczenia majątkiem.

Pan Keller zganił go łagodnie za tę ostatnią uwagę na temat pieniędzy.

– Mój poczciwy przyjacielu, madame Fontaine nie jest materialistką. Zamożność mojej siostry w żaden sposób nie wpłynie na relacje między paniami, kiedy poznają się (bo mam nadzieję, że się poznają) na ślubie Fritza.

W tym miejscu pozbawiony oglądy Fritz wtrącił się gwałtownie do rozmowy:

– Och, papo, miejcie dla nas trochę litości! Jeżeli papa każe nam czekać na ciotkę, nie pobierzemy się do końca życia!

– Fritz!

– Niech się papa nie gniewa, nie miałem na myśli niczego złego... tylko to, że ciotka cierpi na astmę i że w tym wieku nigdy nie zdecyduje się na długą podróż z Monachium do Frankfurtu. Moja sugestia jest taka: najpierw się pobierzemy, a potem odwiedzimy ją podczas naszego miesiąca miodowego.

Pan Keller, zbywając sugestię syna milczeniem, zwrócił się ponownie do madame Fontaine:

– Zamierzam za dzień lub dwa wysłać do niej wiadomość na temat szykującego się ślubu – wrócił do przerwane go wątku. – Siostra słyszała już o pani od pana Engelmana, który w swojej łaskawości napisał do niej niedawno, żeby uspokoić ją co do mojego stanu zdrowia.

– I żeby poinformować ją – wtrącił pan Engelman – czyjej ofiarności jej brat zawdzięcza życie.

Wdowa odebrała ów hołd, nie odrywając skromnie spuszczonego wzroku od swojego talerza. Jej falująca pod czarną suknią pierś zdradzała wewnętrzne poruszenie, które wrogowie z Würzburga być może przypisałiby odkryciu istnienia bogatej siostry w Monachium. Pan Keller ciągnął dalej:

– Jestem pewien, że jako kobieta zrozumie pani mój głęboki sentyment do ostatniej żyjącej krewnej. Obecność siostry na ślubie sprawiłaby mi niewypowiedzianą satysfakcję i radość. Wbrew temu, co powiedział przed chwilą mój syn (lubisz niestety, Fritz, pleść, co ci ślina na język przyniesie), wierzę, że nie będzie bronila się przed podróżą do Frankfurtu, jeśli tylko uwzględnimy stan jej zdrowia i nie będziemy jej zmuszać do pośpiechu. Nasi młodzi mają całe życie przed sobą, nasi młodzi mogą poczekać.

– Oczywiście, sir.

Wdowa udzieliła tej krótkiej odpowiedzi bardzo cichym głosem, w dalszym ciągu nie podnosząc wzroku znad swojego talerza. Nie sposób było stwierdzić, jakie wrażenie wywarła na niej perspektywa opóźnień mających z całą pewnością nastąpić w związku z nieubłaganym stanowiskiem pana Kellera w sprawie swojej siostry. Fritz na chwilę wprost zaniemógł. Zaraz jednak spojrzął na Minnę, zebrał się w sobie i zaszczycił swojego ojca kolejną sugestią.

– Już wiem! – wykrzyknął. – Dlaczego by w ogóle nie zaoszczędzić ciotce męczącej podróży? Wyruszymy wszyscy jutro do Bawarii i zorganizujemy ślub w Monachium!

– I zostawmy nasze interesy we Frankfurcie w najintensywniejszym okresie roku samym sobie! – dodał ironicznie jego ojciec. – Kiedy następnym razem otworzysz usta, Fritz, włóż w nie trochę jedzenia i picia... i na tym poprzestań.

Owe słowa zamknęły na tamtą chwilę temat ślubu.

Kiedy kolacja dobiegła końca, pan Keller udał się do swojego pokoju, żeby odpocząć. Fritz i jego ukochana wyszli razem do miasta w jednakowo bliskiej ich sercom sprawie, jaką był zakup zaręczynowego pierścienia dla Minny. Zostawszy

w jadalni z panem Engelmanem i wdową, poczułem, że swoją obecnością być może przeszkadzam im w swobodnej rozmowie, i oddaliłem się do biura. Chociaż nie należałem oficjalnie do zespołu urzędników, od mojego powrotu z Bingen pozwalano mi pomagać dorywczo w pracach. Dzięki temu miałem okazję nie tylko nauczyć się wielu nowych rzeczy na temat działalności firmy handlowej, ale też – przynajmniej w pewnym stopniu – odwdziaczyć się gospodarzom za gościnność.

Przebywałem w biurze od pół godziny, kiedy dotarły do nas z banku dokumenty wymagające podpisu któregoś ze współników.

Ponieważ pan Engelman jeszcze do nas nie dołączył, kierownik udał się z nimi, za moją sugestią, do jadalni, skąd zaraz wrócił wielce zaniepokojony.

– Proszę natychmiast pójść do jadalni! – rzekł do mnie. – Boję się, że panu Engelmanowi dolega coś poważnego.

– Chce pan powiedzieć, że się rozchorował? – zapytałem.

– Nie jestem pewien. Siedzi przy stole z twarzą ukrytą w ramionach. Kiedy wszedłem do środka, w ogóle nie zwrócił na mnie uwagi. Przykro mi to mówić, ale chyba płakał.

Płakał? Gdy widziałem go po raz ostatni, był w wyśmienitym nastroju i nie przestawał rzucać madame Fontaine czułych, pełnych zachwytu spojrzeń. Nie zadając już żadnych dalszych pytań, pobiegłem prosto do jadalni.

Pan Engelman był sam – i siedział przy stole w pozycji opisanej przez kierownika. Biedaczysko doprawdy gorzko płakał! Kładąc dłoń delikatnie na jego ramieniu, zapytałem ze współczuciem:

– Drogi panie Engelman, co pana tak bardzo przygnębiło?

Słyszając mój głos, podniósł głowę i gorliwie chwycił mnie za rękę.

– Zostań przez moment ze mną, Davidzie – poprosił. – Przed chwilą zadano mi śmiertelny cios.

Od razu siadłem przy nim.

– Proszę spróbować opowiedzieć mi, co się stało – mówiłem dalej. – Zostawiłem pana tutaj samego z madame Fontaine...

Z jego oczu nagle przestały płynąć łzy; jego dłoń zacisnęła się kurczowo na mojej.

– Nawet mi o niej nie wspominaj! – zawołał w przyływie złości. – Miałeś całkowitą rację, Davidzie. To fałszywa kobieta! – Jak tylko owe bezwzględne słowa spłynęły z jego ust, wyraźnie się ich przestraszył. Jego głos znów stracił na sile. – Och, co ja mówię! Nie mam prawa tak o niej mówić! Parszywiec ze mnie. Jak mogę tak znieważać tę najlepszą z kobiet! To wszystko moja wina, Davidzie, zachowałem się jak szaleniec, jak głupiec! Och, mój chłopcze, mój chłopcze! Dałbyś wiarę? Poprosiłem ją o rękę!

Rzecz jasna, nie potrzebowałem już dalszych wyjaśnień.

– Czy zachęciła pana do tego w jakiś sposób? – zapytałem tylko.

– Tak mi się wydawało, Davidzie. Pomyślałem, że powinienem skorzystać ze sprzyjającej okazji. Chciała się mnie poradzić. Rzekła do mnie: „Pan Keller zaproponował, żebym została w tym domu w charakterze gospodyni. Jeszcze nie dałam mu odpowiedzi. Najpierw muszę poznać pańskie zdanie w tej kwestii”. Usłyszawszy to, wyrwałem się z owymi pochopnymi słowami. Poprosiłem ją, żeby zgodziła się być czymś więcej niż tylko naszą gospodynią – poprosiłem ją, żeby zgodziła się być moją żoną. Natura poskaąpiła mi rozumu... – stwierdził ten nieszczęsny pocziwiec. – Każda moja próba zrobienia czegoś mądrego kończy się sromotną porażką. Madame Fontaine z początku była wobec mnie bardzo pobłażliwa. Odmówiła mi, ale bardzo delikatnie, tak jakby było jej mnie żal. Niczym ostatni głupiec nadużyłem jej uprzejmości. Nic na to nie poradzę, Davidzie, że straciłem dla niej głowę. Nalegałem, żeby mi wyjaśniła, skąd ta odmowa. Byłem na tyle szalony, że zapytałem, czy istnieje jakiś inny mężczyzna, którego wołałaby ode mnie. Och, powiedziała mi wtedy w gniewie tak wiele przykrych słów! A kiedy padłem przed nią na kolana, zawołała: „Wstawaj, stary głupcze!” – po czym wybuchnęła śmiechem i zostawiła mnie samego. Zabierz mnie gdzieś daleko stąd, Davidzie. Jeśli tu zostanę, nigdy tego nie przeboleję; za stary jestem, żeby mi się to udało. Nie chcę już jej nigdy widzieć, nie chcę już z nią nigdy rozmawiać. Zabierz mnie ze sobą do Anglii, Davidzie. Och! I nie mów nic Kellerowi!

Znów zaniósł się łzami. Doprawdy okropnie go było oglądać w takim stanie.

Począłem szukać jakichś słów pociechy, ale zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, drzwi jadalni cicho się otworzyły i ukazał się w nich nie kto inny, jak sama madame Fontaine.

Jej oczy spoglądały spod ciężkich powiek na pana Engelmana z politowaniem. Biedaczysko nie był jej już do niczego potrzebny. Po co miałyby w dalszym ciągu coś przed nim udawać?

– Ależ nie musi pan narażać się z mojego powodu na jakikolwiek trud, sir – powiedziała. – To moim obowiązkiem jest stąd odejść, i zrobię to.

Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się do wyjścia i zostawiła nas samych.

Rozdział 22

– Na litość boską, sir, proszę pozwolić mi odejść!

– W żadnym wypadku, madame Fontaine. Jeżeli nie chce pani tutaj zostać przez wzgląd na siebie samą, proszę zostać chociaż przez wzgląd na mnie.

Tak brzmiały słowa, którymi wymienili się na półpiętrze pan Keller i wdowa, kiedy nazajutrz rano otworzyłem drzwi swojej sypialni.

Pan Keller zbliżył się do mnie i zapytał:

– Czy coś ci wiadomo, Davidzie, na temat zniknięcia pana Engelmana?

– Zniknięcia? – powtórzyłem. – Spędziłem z nim cały wczorajszy wieczór i powiedzieliśmy sobie dobranoc w jego pokoju.

– Musiał wyjść z domu przed tym, jak służący wstali dziś rano – stwierdził pan Keller. – Przeczytaj to.

Z tymi słowy włożył w moją dłoń skrawek papieru zapisany ołówkiem.

Wybacz, drogi przyjacielu i wspólniku, że rozstaję się z Tobą bez pożegnania i zostawiam na Twoich barkach cały ciężar odpowiedzialności za firmę – w chwili, w której być może nie masz jeszcze dość sił, żeby mu podołać. Teraz w biurze i tak nie byłoby ze mnie żadnego pożytku. Podczas gdy piszę te słowa, w mojej biednej, słabej głowie szaleje pożar. Nie umiałbym spojrzeć w oczy madame Fontaine, nie umiałbym spojrzeć w oczy Tobie – muszę stąd uciec, zanim całkiem oszaleję. Nie próbuj mnie szukać. Jeśli odległość i zmiana otoczenia pomogą mi odzyskać równowagę, wróć. A jeśli nie... człowiekowi w moim wieku i w moim stanie ducha pozostanie już chyba tylko szykować się na śmierć. Bądź tak łaskaw i przekazaj madame Fontaine moje najszczerze przeprosiny. Żegnaj – i niech Ci Bóg błogosławi we wszystkim.

Bardzo się zasmuciłem. W tym, jak nieszczęsnemu panu Engelmanowi zawałił się nagle cały jego niewinny świat, było coś potwornego.

Madame Fontaine zachowała się pierwszorzędnie. Przysiadłszy na siedzisku we wnęce okna na półpiętrze, poczęła wykręcać ręce w geście rozpacz.

– Och! – zawołała. – Gdyby tylko poprosił mnie o cokolwiek innego! Zdobyłabym się dla niego na każde inne poświęcenie! Bóg mi świadkiem, w ogóle się tego nie spodziewałam, przecież nie dałam mu nawet najmniejszej zachęty. Moglibyśmy być tutaj wszyscy razem tacy szczęśliwi! Tymczasem okazuje się, że wyrzuciłam życie tego domu do góry nogami – ja, która dla dobra pana Kellera i pana Engelmana poszłabym nawet na sam koniec świata!

Głęboko poruszony pan Keller przysiadł obok madame Fontaine i powiedział:

– Ależ moja droga, nie ponosi pani najmniejszej winy za zaistniałą sytuację. Nawet mój nieszczęsny wspólnik o nic pani nie oskarża, tylko prosi panią

o wybaczenie. Jeżeli mamy jakąkolwiek szansę go odnaleźć, natychmiast zostaną wszczęte poszukiwania. Tymczasem proszę spróbować się uspokoić. Engelman prawdopodobnie mądrze postąpił, opuszczając nas na pewien czas. Wyleczy się być może ze swoich złudzeń i jeszcze wszystko będzie dobrze.

Nie mając ochoty już dłużej przysłuchiwać się ich rozmowie, zszedłem na dół. Przyznaję, że całym sercem stałem po stronie pana Engelmana – nawet jeśli był starym, grubym głupcem. Odniosłem wrażenie (to niechybnie kolejna sprawka mojej skłonności, by zachowywać się jak stary człowiek!), że pan Keller popadł z jednej skrajności w drugą. Z początku zachowywał się wobec wdowy w rażąco krzywdzący sposób – a teraz traktował ją z nieuzasadnioną pobłażliwością.

Przez kilka następnych dni w domu, mimo niewesołych okoliczności, panował spokój. Pan Keller napisał do swojej siostry z Monachium z prośbą o podanie najwcześniejszego terminu, w którym bez narażania się na zbyt wielkie niedogodności mogłaby pojawić się na ślubie jego syna. Madame Fontaine na stałe objęła obowiązki związane z prowadzeniem domu. Natomiast Fritzowi i Minnie czas wystarczająco wypełniało wzajemne towarzystwo. Zaczynał się dopiero nowy tydzień i podjęte przez nas poszukiwania nie zdążyły jeszcze przynieść żadnego rezultatu, kiedy dotarł do mnie list, w którym znalazłem utrzymane w ściśle poufny tonie wieści na temat naszego uciekiniera.

Jego autorem był żonaty, młodszy brat pana Engelmana, zamieszkały w Bingen nad Renem.

Piszę do Pana, drogi sir, na prośbę mojego brata, który – mimo że robimy z żoną wszystko, co w naszej mocy, żeby dodać mu otuchy – nie czuje się jeszcze na siłach napisać do Pana osobiście. Mój brat pragnie z całego serca podziękować za wsparcie, którego udzielił mu Pan w najtrudniejszym okresie jego życia, i liczy na to, że w swojej uprzejmości nie odmówi mu Pan od czasu do czasu najnowszych wieści na temat zdrowia pana Kellera i działalności firmy. Kierując swoją korespondencję na mój adres w Bingen – dopóki nie zapadną w tej kwestii inne ustalenia – proszę łaskawie zachować wszystkie podane przeze mnie informacje odnośnie do miejsca pobytu mojego brata tylko i wyłącznie dla siebie. Przy jego obecnym stanie ducha konieczność stawienia czoła pytaniom, napomnieniom i prośbom o powrót niechybnie przysporzyłaby mu zbyt wiele bólu.

Poza przyjściem owego smutnego listu miało miejsce tego dnia jeszcze jedno godne uwagi wydarzenie. Podczas gdy myślamy wciąż byłem przy nieszczęsnym panu Engelmanie, w biurze pojawił się Fritz z kapeluszem w ręku.

– Minnie nie dopisuje dzisiaj zbyt nastrój – powiedział. – Zamierzam zabrać ją na półgodzinny spacer po mieście. Mógłbyś nam towarzyszyć?

Owo zaproszenie bardzo mnie zaskoczyło.

– Czy Minna by sobie tego życzyła? – zapytałem.

Fritz, odpowiadając, zniżył głos tak, żeby nie dosłyszeli go pozostali

pracownicy biura.

– To Minna mnie do ciebie przysłała – odparł. – Niepokoi się o swoją matkę. Sam nic z tego nie rozumiem: chce poprosić cię o radę.

Ponieważ nie mogłem w tamtej chwili odejść od biurka, ustaliliśmy, że na spacer wyjdziemy dopiero po kolacji. W trakcie posiłku zauważyłem, że nastrój nie dopisywał nie tylko Minnie, ale również jej matce. Pan Keller i Fritz też prawdopodobnie dostrzegli ową zmianę w zachowaniu wdowy. Tym razem rozmowa przy stole nie kleiła się i poczułem wielką ulgę, kiedy znalazłem się wreszcie wraz z parą narzeczonych na tętniącej życiem ulicy.

Minna zwlekała z poruszeniem leżącego jej na sercu tematu i najwyraźniej potrzebowała zachęty z mojej strony. Byłem zmuszony otwarcie zapytać, czy ją i jej matkę spotkała jakaś przykrość.

– Doprawdy nie wiem, jak to powiedzieć – rzekła. – Bardzo się o nią martwię.

– Zacznij od samego początku – podsunął Fritz. – Powiedz mu, gdzie byliście wczoraj i co się wydarzyło.

Minna poszła za jego radą.

– Udałyśmy się wczoraj z mamą do wynajmowanego przez nas mieszkania – zaczęła. – Wcześniej, po tym, jak zapadła decyzja, że wprowadzimy się do domu pana Kellera, złożyłyśmy naszej gospodyni wypowiedzenie. Do wyznaczonego terminu zostało już niewiele czasu, a w pokojach zostawiłyśmy jeszcze parę naszych drobiazgów, które chciałyśmy zabrać. W rozmowie z właścicielką domu mama, zawsze życząca wszystkim jak najlepiej, wygłosiła słowa nadziei, że wkrótce znajdzie się na nasze miejsce jakiś nowy lokator. Na co ta zacna kobieta odparła: „Nie jestem pewna, madame, czy już się czasem nie znalazł?”. Czy to nie dziwne słowa?

– Na pewno zastanawiające. Jak je wyjaśniła gospodyni?

– Wyjaśnienie, którego udzieliła gospodyni, niczego nie rozwiązało – wtrącił Fritz. – Wygląda na to, że miała na myśli jakiegoś tajemniczego nieznajomego, który kiedyś już raz ją pytał, czy madame Fontaine zamierza zwolnić kwatery, i który wczoraj znów pojawił się u niej w tej samej sprawie. Ale to ty, Minno, opowiedz wszystko do końca.

Zanim Minna zdążyła cokolwiek dodać, już wiedziałem, że chodziło o podejrzenie wyglądającego osobnika, na którego natknęliśmy się swego czasu wraz z panem Engelmanem w drzwiach ich domu. Zapytałem, jak mężczyzna zareagował na wiadomość, że mieszkanie zostało zwolnione.

– Tutaj właśnie sprawa robi się podejrzana – zawołał Fritz. – Bądź bardzo dokładna, Minno, i niczego nie pomini.

Podpowiedzi Fritza zdawały się tylko peszyć Minnę, więc poprosiłem, żeby się nie odzywał.

– Czy chciał obejrzyć mieszkanie? – zapytałem, pomagając jej odnaleźć wątek.

– Nie.

– Czy mówił o swoim zamiarze wynajęcia mieszkania?

– Powiedział, że chciałby sobie zastrzec pierwszeństwo najmu do wieczora – odrzekła Minna. – A potem zapytał, czy madame Fontaine wyjechała z Frankfurtu. Jak tylko gospodyni odpowiedziała, że nie, już miał gotowe inne pytanie. Interesowało go, w jakiej części miasta mieszka teraz madame Fontaine.

– A ta głupia staruszka podała mu dokładny adres – przerwał jej znów Fritz.

– I obawiam się, że niechcący doprowadziła swoją bezmyślnością do jakiegoś nieszczęścia – dodała Minna. – Zauważyłam, że mama zadygotała i pobladała. Zapytała ją: „Kiedy to miało miejsce?” „Okolo pół godziny temu” – odpowiedziała gospodyni. „W którą stronę się skierował, wychodząc od pani? W stronę domu pana Kellera czy w przeciwną?” Gospodyni odparła: „W stronę domu pana Kellera”. Nie mówiąc już ani słowa, mama chwyciła mnie za ramię. „Powinniśmy już wracać” – stwierdziła i od razu ruszyliśmy z powrotem na ulicę Main.

– Oczywiście nie zdążyliście już zastać tego człowieka?

– Nie zdążyliśmy, Davidzie, ale wszystko nam opowiedziano. Mama zapytała Josepha, czy pod naszą nieobecność nie dzwonił do drzwi jakiś nieznajomy. Joseph odparł, że owszem, jakiś człowiek chciał wiedzieć, czy zastał w domu madame Fontaine. Kiedy usłyszał, że wyszła, powiedział: „Lepiej do niej napisz. Zatrzymała się chyba tutaj tylko na krótki czas?”. Niczego nieświadomy Joseph rzekł: „Och, ależ nie! Madame Fontaine to nowa gospodyni pana Kellera”. „I co dalej? – zapytała mama. – Jak zareagował na tę wiadomość?” „Nic nie mówiąc, natychmiast odwrócił się na pięcie i odszedł” – odparł Joseph.

– I na tym skończyła się rozmowa twojej matki z Josephem?

– Tak – potwierdziła Minna. – Ze mną mama nie chciała w ogóle rozmawiać. Kiedy próbowałam ją łagodnie pocieszyć, kazała mi być cicho. „Nie przeszkadzaj mi teraz – powiedziała ostro. – Muszę napisać list”.

– Widziałaś ten list?

– Och, nie! Ale byłam tak zmartwiona, że zajrzałam mamie przez ramię, gdy pisała adres na kopercie.

– Pamiętasz ten adres?

– Dostrzegłam tylko nazwę miejscowości: Würzburg.

– Teraz wiesz już tyle, co my – odezwał się znów Fritz. – Co o tym wszystkim myślisz, Davidzie? Co nam doradzasz?

Jakie miałem prawo cokolwiek im doradzać? Mogłem tylko po cichu snuć domysły. Ktoś obserwował poczynania madame Fontaine – prawdopodobnie z polecenia człowieka, który znajdował się w posiadaniu jej weksla. Rzecz jasna,

podzielenie się owym wnioskiem z dwojgiem moich przyjaciół nie wchodziło w rachubę. Zasugerowałem jedynie Minnie, żeby uzbroiła się w cierpliwość i dyskretnie milczała, dopóki jej matka sama nie poruszy tematu.

Oczywiście powściągliwość, z jaką odniosłem się do sprawy, nie przypadła do gustu moim młodym rozmówcom. Fritz otwarcie przyznał, że się na mnie zawiódł, a Minna odwróciła głowę, żeby ukryć wyraz niezadowolenia, który pojawił się na jej twarzy. Jako osoba obdarzona dobrym zmysłem obserwacji, domyśliła się z mojego zachowania, że coś ukrywam. Ani ona, ani Fritz nie zatrzymywali mnie, kiedy żegnałem się z nimi, żeby zdążyć wrócić na ulicę Main przed odjazdem wieczornej poczty. Jeszcze tego samego dnia przed opuszczeniem biura napisałem do pana Engelmana.

Cofając się myślą do owych niezapomnianych dni mojej młodości, przypominam sobie, że wraz ze zniknięciem pana Engelmana w nasze niewielkie grono domowników wkradł się dziwny nastrój złowieszczej melancholii. Miałem wrażenie, jakby łącząca nas wszystkich dotychczas nić porozumienia w pewien tajemniczy sposób rozluźniła się i rozpadła. Chociaż w dalszym ciągu żyliśmy w doskonale poprawnych stosunkach, narastała jakaś nieuchwytna, wzajemna nieufność. Pan Keller nie do końca wierzył madame Fontaine, gdy ta zapewniała go, że nieopuszczające jej od dłuższego czasu przygnębienie nie wynika z niczego więcej, jak tylko z dokuczającego jej bez przerwy bólu głowy. Fritza ogarnęło zwątpienie, czy pan Keller rzeczywiście pogodził się z tym, że jego syn wybrał sobie na żonę pannę bez posagu. Minna, zauważywszy we Fritzu większą skłonność do popadania w apatię i milczenie, poczęła się zastanawiać, czy teraz, kiedy już nic nie stało na przeszkodzie ich miłości, jest mu tak samo droga jak wówczas, gdy musieli zmagać się z przeciwnościami losu. No i wreszcie madame Fontaine miała wobec mnie swoje wątpliwości – a ja miałem swoje wątpliwości wobec madame Fontaine (mimo że uratowała życie panu Kellerowi!).

Któregoś ranka z tego haniebnego stanu odrętwienia i podejrzliwości wytrąciło nas radosne wydarzenie, jakim było przybycie pani Wagner – której towarzyszyli służąca, przewodnik oraz... Słomiany Jack.

Rozdział 23

Okoliczności zmusiły ciotkę do pokonania ostatniego odcinka podróży nocnym dylizanssem pocztowym. Wstąpiła do nas tylko po drodze do hotelu, w którym postanowiła się zatrzymać, gdyż nie chciała nadużywać gościnności swoich współników i narażać ich na kontakt z towarzyszącym jej niespełna rozumu Jackiem. Pan Keller nie chciał jednak nawet słyszeć o tym, żeby najważniejsza osoba w firmie tułała się po hotelach i płaciła za gościnę ich chciwym właścicielom. Cała część domu znajdująca się bezpośrednio nad pomieszczeniami biurowymi już została przygotowana na przyjazd pani Wagner. Od razu zdjęto bagaże z powozu i ciotka musiała przez grzeczność ustąpić.

Wszystkich tych szczegółów dowiedziałem się od Josepha po powrocie z porannej wizyty w jednym z naszych magazynów nad rzeką. Kiedy zapytałem, czy mógłbym przywitać się z ciotką, usłyszałem, że zdążyła oddalić się do swojego pokoju, żeby odpocząć po trudach siedmiogodzinnej nocnej podróży.

– A gdzie Słomiany Jack? – dociekałem dalej.

– Już pokazuje rogi, sir – odrzekł Joseph.

Z dolnych rejonów domu dobiegł mnie głos Fritza:

– Przyjdź tutaj, Davidzie! Koniecznie musisz to zobaczyć!

Od razu zszedłem na dół do pomieszczeń przeznaczonych dla służby. Tam, w kącie zimnego, kamiennego korytarza łączącego kuchnię ze schodami, ujrzałem Słomianego Jacka – przykucniętego tak samo, jak wówczas, gdy ostatni raz widziałem go w Bedlam, z tą różnicą, że teraz nie towarzyszył mu łańcuch ani wiązki słomy.

Wątpię, czy gdyby nie jego przedwcześnie posiwiałe włosy i osobliwa, żółtawa bladość jego cery, dałbym radę znów go rozpoznać. Sprawiał wrażenie tłustszego i szczęśliwszego, miał na sobie schludne, twarzowe odzienie – dopełnione kwiatkiem wystającym z butonierki i rozetkami zdobiącymi buty. Właściwie jeźeliby skupić się tylko na stroju, który wybrała dla niego jego pani, można by go wziąć za nadwornego pazia.

– Jest tutaj! – powiedział Fritz. – I nie zamierza się stąd ruszać, dopóki twoja ciotka się nie obudzi i po niego nie przyśle.

– Przeszkadza służącym w pracy, kręcąc im się pod nogami – dodał Joseph z najwyższą odrazą. – I marznie w tym zimnym kącie, podczas gdy mógłby sobie przyjemnie siedzieć w ciepłym kuchennym kominku!

Jack odniósł się do jego słów z ironicznym uznaniem:

– Znakomicie to ująłeś, Josephie! – zauważył. – Zbliź się, chcę coś ci powiedzieć. Widzisz tamten dzwonek? – wskazał na dziesiąty w rzędzie dzwonek wiszących wysoko na ścianie korytarza. – To podobno dzwonek sypialni mojej

pani. Racja, Josephie! Nie chcę nikomu zawadzać, ale to ja muszę być pierwszą osobą w tym domu, która usłyszy jej wezwanie. Jak moja pani zadzwoni, będziecie mieli mnie z głowy. Przeniosę się na wycieraczkę pod jej drzwiami, gdzie będę czekał, dopóki na mnie nie zagwiżdże. Teraz możesz odejść, Josephie.

Po chwili, gdy lokaj się oddalił, dodał:

– Biedny wariat... Dobry Boże! Tylu ich chodzi po tym świecie! – W tym miejscu Fritz wybuchnął śmiechem. – Obawiam się, że ty też jesteś jednym z nich – zauważył Jack, patrząc na niego wzrokiem pełnym niekłamanego współczucia.

– Pamiętasz mnie? – zapytał.

Jack nonszalancko skinął głową.

– O tak, moja pani często o tobie wspominała. Znam was obydwu. Ty jesteś David, a on to Fritz. No tak! No tak!

– Jak wam minęła podróż z Londynu? – zapytał.

Jack rozciągnął swoje zgrabne, drobne ręce, ziewając.

– Och, całkiem dobrze. Ale obylibyśmy się bez przewodnika i służącej. Przewodnik to istny drągal, a ja nie mam szacunku do wysokich ludzi. Sam mierzę pięć stóp i to jest właściwy wzrost dla przewodnika. Mógłbym przejąć jego obowiązki i zaoszczędzić mojej pani pieniędzy. Jej służąca to także wysoka osoba, do tego o niezdamnych palcach. Gdyby tylko moja pani mi pozwoliła, czesałbym ją znacznie lepiej od tej jej służącej. Szczerze mówiąc, chciałbym sam wszystko wokół niej robić. Nie zaznam prawdziwego szczęścia, dopóki moja pani nie uczyni mnie swoim jedynym sługą.

– No tak, mały człowieczku – powiedział Fritz, dobrodusznie demonstrując swoje zrozumienie. – Jesteś jej bardzo wdzięczny. Dobrze pamiętasz, co pani Wagner dla ciebie zrobiła.

– Dobrze pamiętam? – powtórzył Jack pogardliwie. – Jak się nie ma nic mądrego do powiedzenia, lepiej milczeć. – W tym miejscu zwrócił się do mnie: – Czy kiedykolwiek słyszałeś coś podobnego? Fritz uważa, że to niezwykle, że pamiętam dzień, w którym moja pani zabrała mnie z Bedlam!

– Ach, Jacku, to był dla ciebie wspaniały dzień, nieprawdaż?

– Wspaniały dzień? Och, dobry Boże! Gdzie znaleźć słowa, które potrafiłyby to wyrazić? – Zerwał się na nogi w nagłym przypływie porywających wspomnień. – Kiedy wyszliśmy z bramy, powitało nas słońce, tak ciepłe, złote i zachwycające, że prawie całkiem oszalałem z radości. Po moim ciele przepęzło jednocześnie czterdzieści tysięcy demonów (dokładnie je policzyłem!), małych, ruchliwych, kusicielskich demonów w kolorze słomy, które siadały mi na ramionach, łaskotały mnie w dłonie, mierzwiły mi włosy i ujadały na mnie niczym sfora psów. „Dalej, Jacku! Czekamy! Zdjęto z ciebie łańcuchy, słońce świeci, powóz twojej pani stoi przed bramą – przyłącz się do naszego skowytu, Jacku, do naszego wspaniałego, szalonego, mrozącego krew w żyłach skowytu!” Padłem kolanami na podłogę

powozu i chwyciłem się brzegu sukni mojej pani. „Proszę na mnie patrzeć! – powiedziałem. – Nie wybuchnę, nie wystraszę waszmość pani, choćbym miał umrzeć! Proszę tylko pomóc mi swoim wzrokiem! Proszę na mnie patrzeć!” Na co ona usadziła mnie naprzeciwko siebie na przednim siedzeniu powozu i przez całą drogę przez miasto nie odrywała ode mnie oczu. „Wierzę w ciebie, Jacku” – rzekła do mnie. A ja tak się zapierałem, żeby nie wydać z siebie choćby pisku, że nawet na to jej nie odpowiedziałem. Ha! Ha! Jak wy dwaj chłoptasie głośno byście krzyczeli na moim miejscu!

Przysiadł znów w swoim kącie, uradowany wizją dwóch chłoptasiów krzyczących na jego miejscu.

– I co twoja pani z tobą zrobiła po tym, jak przywiozła cię do domu? – zapytałem.

Nagle przeszła mu wesołość. Uniósł jedną dłoń i począł delikatnie wodzić nią w powietrzu.

– Nie tak głośno, Davidzie – powiedział. – O wszystkim, co wydarzyło się później, trzeba mówić bardzo cicho, bo to wszystko było takie piękne, miłe i dobre. W pomieszczeniu, do którego weszliśmy, wisiał obraz przedstawiający anioły z harfami. Gdyby tylko te anioły i ich harfy mogły teraz pomóc mi opisać ci to pomieszczenie... Towarzyszący nam Fritz nazwał je sypialnią. Ale ja wiedziałem swoje: dla mnie to było niebo. Rozumiesz? Pomyślałem o swoim więzieniu, ciemnościach, zimnie, łańcuchach i słomie... i nazwałem tamto pomieszczenie niebem. Wy dwaj możecie sobie mówić, co chcecie, ważne, że moja pani przyznała mi rację.

Zamknął oczy, rozkoszując się błogim poczuciem własnej wyższości i zanurzając się bez reszty we wspomnieniach.

Fritz niechęć wyrwał go z zamyślenia, dorzucając szeptem kilka słów od siebie.

– Nasz mały przyjaciel zachował się bardzo dziwnie, kiedy znalazł się w swoim nowym pokoju – powiedział. – Chociaż dzień był zimny, zażądał, żeby zgaszono ogień w jego kominku. Potem zobaczył pościel na swoim łóżku i...

Tutaj Jack otworzył z powrotem oczy i przerwał mu w pół zdania:

– Ktoś taki jak ty nie powinien o tym opowiadać – stwierdził. – Nikt, kto mnie nie rozumie, nie powinien o tym mówić. Nie zawiedziesz się, Davidzie. Ja siebie rozumiem, więc ja ci o tym opowiem. Widziałeś, jak żyłem i spałem w Bedlam, prawda?

– Widziałem, Jacku, i nigdy tego nie zapomnę.

– A teraz, na początek, wyobraź sobie, że mam sypialnię. Potem dodaj do tego kominek, lampę, łóżko, koce, prześcieradła, poduszki i ubrania; wspaniałe, nowe ubrania dla mnie! A potem zastanów się, czy ktokolwiek by to wszystko udźwignął (niespełna godzinę po opuszczeniu Bedlam), nie tracąc zmysłów i nie

zaczynając wyć z radości? Nie, nie. Jeśli mam jakąś mocną stronę, to jest nią zdrowy rozsądek. Znów padłem przed moją panią na kolana. „Waszmość pani, proszę się nade mną zlitować i pozwolić mi przyjąć te wspaniałości, ale pojedynczo. Przysięgam na swoją duszę: nie dam rady znieść tego wszystkiego naraz!” Zrozumiała mnie. Zgasiliśmy ogień w kominku, co niezmiernie zdumiało tego wybrakowanego osobnika, Fritza. Odrobina chłodu znanego mi z Bedlam podziałała na mnie uspokajająco. Nie miałem nic przeciwko temu, żeby spać tamtej nocy na łóżku, ale powiedziałem: „Niech Bóg mnie broni przed kocami, prześcieradłami i poduszkami dopóty, dopóki nie dam rady stawić im czoła!”. A kiedy nazajutrz rano przyniesiono mi stertę ubrań i zobaczyłem się w nowych spodniach, zdołałem tylko polecić tonem dżentelmena: „Proszę zabrać całą resztę! Koszulę włożę jutro, kamizelkę pojutrze, a surdut – o ile na jego widok nie zacznę krzyczeć – popojutrze”. Metoda pojedynczych kroków, rozumiesz, Davidzie? Każdego ranka moja pani pomagała mi, powtarzając słowa, które wyrzekła do mnie w powozie: „Wierzę w ciebie, Jacku”. Gdy się już obudzi, zapytaj ją, czy odkąd przyjęła mnie pod swój dach, chociaż raz ją przestraszyłem. – Znów posłał Fritzowi spojrzenie pełne niechęci. – Czy teraz już rozumiesz, dlaczego zachowałem się tak, jak się zachowałem, po wejściu do mojej nowej sypialni? Czy Fritz jest pracownikiem firmy, Davidzie? Jeśli tak, będziecie musieli go bardzo uważnie pilnować. Chodź tutaj, chcę zamienić z tobą słowo.

Ponownie wstał i chwytając mnie za ramię, odprowadził kilka kroków na bok – jednak nie na tyle daleko, żeby stracić z pola widzenia dzwonek ciotki.

– Podobno nazywają to miejsce Frankfurtem – zaczął. – Mam rację?

– Całkowitą!

– I tutaj też jest firma, taka sama jak ta w Londynie?

– Owszem.

– I tak samo jak w Londynie moja pani tutaj też jest panią?

– Tak.

– Dobrze. Wobec tego potrzebuję wiedzieć, co z kluczami?

Patrzyłem na niego, zupełnie nie pojmując, co też miał na myśli. Zniecierpliwiony Jack tupnął nogą.

– Mam rozumieć, Davidzie, że nigdy nie słyszałeś, jaką funkcję pełniłem w londyńskim biurze?

– Nigdy, Jacku!

Wyprostował się i zakładając ręce na piersiach, spojrzał na mnie z zawrotnej wysokości poczucia własnej ważności.

– W londyńskim biurze byłem klucznikiem! – oznajmił. – I chciałbym wiedzieć, czy tutaj też nim będę.

Teraz wszystko stało się jasne. Ciotka – kontynuując swoją mądrą strategię polegającą na pielęgnowaniu w tym nieszczęśniku poczucia odpowiedzialności –

w dowód swojego zaufania powierzyła jego opiece jakieś klucze. Byłem przekonany, że i we Frankfurcie postara się w podobny sposób zaspokoić jego próżność.

– Poczekaj na dzwonek – odpowiedziałem. – Może kiedy twoja pani wezwie cię do swojej sypialni, tam będą już na ciebie czekały jakieś klucze.

Jack zatarł ręce z radością.

– Otóż to! – zawołał. – Trzeba pilnować dzwonka.

Kiedy ruszył z powrotem w stronę swojego kąta, ze szczytu kuchennych schodów dobiegł głos madame Fontaine rozmawiającej z córką. Jack natychmiast przystanął i obejrzał się za siebie wyczekująco.

– Gdzie jest ta trzecia osoba, która towarzyszyła pani Wagner w podróży? – zapytała wdowa. – Człowiek o przedziwnym, angielskim imieniu. Nie wiesz, Minno, czy znaleziono dla niego jakiś pokój?

Wraz z tymi słowami zstąpiła z ostatniego stopnia schodów i idąc dalej korytarzem, zobaczyła przed sobą Słomianego Jacka. W jednej chwili z jej zachowania uleciała cała dotychczasowa leniwa beztroska. Jej na wpół przykryte ciężkimi powiekami oczy otworzyły się gwałtownie. Zatrzymała się i znieruchomiła niczym ktoś nieprzyjemnie zaskoczony, albo nawet i przerażony. Usłyszałem, jak szepcze do siebie:

– Hans Grimm! Dobry Boże! Co go tutaj sprowadza?

Rozdział 24

Madame Fontaine niemal natychmiast odzyskała panowanie nad sobą.

– To naturalne, że się przestraszyłam – powiedziała, tłumacząc się Fritzowi i mnie ze swojej reakcji. – Kiedy ostatni raz widziałam tego człowieka, pracował jako służący na uniwersytecie w Würzburgu. Pewnego dnia zniknął; nikt na uniwersytecie nie wiedział dlaczego. A teraz nagle, bez żadnego ostrzeżenia, pojawia się ponownie w tym domu...

Spojrzałem na Jacka. Na jego twarzy malował się uśmiech złośliwej satysfakcji – najwyraźniej bardzo był rad z tego, że udało mu się przestraszyć madame Fontaine. Jednak jego oblicze od razu złagodniało, kiedy zobaczył obok siebie Minnę.

– Nie pamiętasz mnie, Hansie? – zagadnęła dziewczyna.

– O tak, panienko, pamiętam. Dobre z panienki stworzenie, wdałaś się w ojca. On także, nie licząc chwil, kiedy gmerał w tych swoich paskudnych szklanych buteleczkach, był dobrym człowiekiem. Ale nie wolno panience nazywać mnie tak, jak nazywano mnie na uniwersytecie! Wtedy byłem Niemcem, teraz jestem Anglikiem. Ludzie w każdym kraju wydają mi się tacy sami. Przywiązuję jednak ogromną wagę do swojego angielskiego imienia, bo to pod nim zna mnie moja pani. Do końca życia będę się go trzymał. Niech panienka będzie łaskawa mówić na mnie Słomiany Jack. To moje obecne imię i jestem z niego dumny. Dobry Boże! Jaki brzydki kapelusz ma panienka na głowie! Wkrótce zrobię dla panienki ładniejszy. – Pochmurniejąc nagle, zwrócił się do madame Fontaine: – Nie spodobało mi się, co powiedziała pani przed chwilą *a propos* mojego odejścia z uniwersytetu. Chyba miałem prawo odejść, skoro tak mi się podobało, czyż nie?

– Ależ oczywiście, Hansie.

– Nie: Hansie! Przecież dopiero co mówiłem... nie słyszała pani? Proszę powiedzieć do mnie: Jacku.

Wdowa spełniła jego życzenie z pospieszną uległością, która nieco mnie zaskoczyła.

– Czy ukradłem coś z uniwersytetu?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

– Więc następnym razem proszę wypowiadać się o mnie z szacunkiem. Na przykład: Pan Jack, korzystając ze swoich swobód, opuścił uniwersytet.

Wygłosiwszy nader podniosłym tonem ostatnie zdanie, zwrócił się do mnie:

– Pozwól, że zadam ci pytanie. Gdybyś tutaj – dotknął swojego policzka – i tutaj – dotknął swoich włosów – zrobił się zupełnie szary i gdyby wydarzyło się to na uniwersytecie – stając na palcach, wyszeptał mi następane słowa do ucha –

zostałbyś i pozwolił, żeby znów cię otruto? Nie! – ponownie podniósł głos. – Poniosłoby cię tak jak mnie. Z Niemiec do Francji, z Francji do Anglii, i znalazłbyś się w Londynie, a potem pod kopytami koni Jej Wysokości, potem w Bedlam, a następnie u mojej pani. Och, mój Boże, zapomniałem o dzwonku! Do widzenia wam wszystkim. Pozwólcie mi wrócić do mojego kąta i czekać na dzwonek.

Madame Fontaine posłała mi pełne politowania spojrzenie i dotknęła swojej głowy.

– Chodź do mojego saloniku, Jacku – rzekła. – Posilisz się czymś i opowiesz mi o przygodach, które przeżyłeś po swoim wyjeździe z Würzburga.

Mówiąc to, uśmiechnęła się do niego najwdzięczniej, jak tylko potrafiła, i użyła najbardziej przymilnych tonów swojego głosu. Moja niepoprawna skłonność do rzucania podejrzeń na bliźnich znów, jak sądzę, dała o sobie znać. Tak czy inaczej, odniosłem wrażenie, że wdowa z jakichś względów bardzo chciała udobruchać Jacka. Ten jednak pozostał odporny na jej urok, zdecydowanie pokręcił głową i wskazał palcem na dzwonek. Rozeszliśmy się wszyscy, każdy w swoją stronę, zostawiając tego osobliwego, małego człowieczka przyczajonego w kącie.

Po południu ciotka wezwała mnie do siebie.

Zastałem Jacka na jego nowym posterunku. Siedział teraz w dużej, pustej szafie stojącej na korytarzu tuż obok drzwi sypialni jego pani. Jego dłonie już były zajęte wyplataniem szkieletu słomkowego kapelusza, który obiecał podarować Minnie.

– Wszystko w porządku, Davidzie! – powiedział tym samym protekcjonalno-pobłażliwym tonem, którego zawsze wobec mnie używał. – Moja pani wyspała się, zjadła śniadanie i wygląda przepięknie. Wejdz i przywitaj się z nią, no wejdz!

Mnie samemu wydała się nieco zmęczona i dużo szczuplejsza niż wtedy, gdy widziałem ją ostatni raz. Lecz to nie miało żadnego znaczenia. Niełatwo byłoby mi opisać uczucie ulgi i radości, jakie ogarnęło mnie – przyzwyczajonego już do sennego wzroku i wężowatego sposobu bycia madame Fontaine – na widok energicznej sylwetki i szeroko otwartych, roziskrzonych szarych oczu mojej drogiej angielskiej ciotki.

– Powiedz mi, Davidzie – zaczęła, gdy już skończyliśmy się witać – co sądzisz o Słomianym Jacku? Czy nie udowodniłam, że mój biedny, drogi mąż miał rację?

Mogłem z czystym sumieniem pogratulować jej rezultatów, jakie przyniosła wizyta w Bedlam – i zrobiłem to.

– Przechodząc jednak do innego tematu, zauważyłam, że ojciec Fritza całkiem zmienił zdanie w kwestii jego małżeńskich planów – ciągnęła. – Kiedy zapytałam, dlaczego, powiedziano mi, że to wszystko zasługa madame Fontaine, która w cudowny sposób uratowała panu Kellerowi życie. Czy to prawda?

– To rzeczywiście prawda. Co ciocia sądzi o madame Fontaine?

– Odpowiem ci na to pytanie, Davidzie, jutro albo pojutrze. Wciąż jestem półprzytomna po podróży i nie zdążyłam sobie jeszcze wyrobić zdania na jej temat.

– Poznała ciocia Minnę?

– Nie tylko poznałam, ale też ucałowałam! Przypadła mi bardzo do gustu. Doszłam do wniosku, że nasz roztrzepany przyjaciel Fritz to największy szczęściarz pod słońcem.

– Gdyby Minna nie wychodziła za mąż – podsunąłem – świetnie nadawałaby się na jedną z tych młodych urzędniczek cioci, nieprawdaż?

Ciotka roześmiała się.

– Pomyślałam dokładnie to samo, kiedy ją zobaczyłam. Ale nie wolno ci żartować z moich młodych urzędniczek. W tutejszym biurze zamierzam zaprowadzić te same nowe porządki co w Londynie, z korzyścią dla nas wszystkich. Jednak z uwagi na to, że pan Keller przeszedł niedawno poważną chorobę, zachowam się delikatnie i nie poruszę z nim tej sprawy, dopóki całkiem nie wydobrzeje. Tymczasem potrzebny jest ktoś, kto na czas mojego pobytu tutaj zastąpi mnie w Londynie. Firmą zarządza teraz pan Hartrey, któremu oczywiście starczyłoby kompetencji, żeby robić to dalej. Jednak, jak ci wiadomo, nasz zacny kierownik ma swoje staroświeckie uprzedzenia. Żelazna zasada mówi, że na czele londyńskiego biura powinien stać zawsze jeden ze współników – i pan Hartrey błaga mnie, bym przysłała do Londynu (jeżeli pan Keller nie jest jeszcze zdolny do podróży) pana Engelmana. Gdzie się podziewa pan Engelman? Jak to możliwe, że jeszcze go nie widziałam ani nawet nic o nim nie słyszałam?

Nie wiedziałem, jak wybrnąć z niezręcznej sytuacji, w której postawiło mnie owo pytanie. Nadzieja na to, że smutny sekret starszego dżentelmena się nie wyda, była nikła. Znali go zarówno Fritz z Minną, jak i pan Keller. A jednak bardzo nie chciałem być tym, od kogo ciotka dowie się, jakiego rodzaju nieszczęście dotknęło pana Engelmana.

– Pan Engelman nie miewa się zbyt dobrze – powiedziałem. – Wyjechał, żeby trochę podreperować zdrowie i samopoczucie.

Ciotka nie kryła zdumienia.

– Obaj współnicy chorzy! – wykrzyknęła. – Pamiętam pana Engelmana z czasów, gdy byłem młodą mężatką. Szczycił się wtedy tym, że w całym swoim życiu ani razu nie zachorował. Może nie był najbłyskotliwszy, ale drugiego takiego dobrego i wrażliwego człowieka to ze świecą szukać. Obiecywał, że na starość zrobi się gruby. Czy dotrzymał słowa? Co mu dolega?

Zawahałem się. Ciotka przyjrzała mi się bystro i zanim zdążyłem cokolwiek wyrzec, zadała następne pytanie:

– Jeżeli nie możesz mi powiedzieć, co mu dolega, to zdradź mi przynajmniej, gdzie jest. Niewykluczone, że będę chciała do niego napisać.

Znów się zawahałem. Adres pana Engelmana został wyjawiony mi w ścisłym zaufaniu – z powodów, które obowiązany byłem uszanować.

– Obawiam się, że tego też nie mogę cioci zdradzić – odparłem z zakłopotaniem.

– Wielkie nieba! – zawołała ciotka. – Skąd ta tajemniczość? Czy pan Engelman zabił kogoś w pojedynku? Wdał się w romans z baletnicą? Przehulał wszystkie dochody firmy przy karcianym stole? A może jeszcze coś innego?

Gdy skończyła snuć owe śmiałe domysły, usłyszeliśmy na zewnątrz czyjeś głosy, a zaraz po nich delikatne pukanie do drzwi. Do pokoju weszła Minna.

– Pani Wagner, mama chciałaby wiedzieć, o której godzinie życzyłaby pani sobie siąść do obiadu.

– Moja droga, proszę przekazać mamie, że jestem jej bardzo wdzięczna. Dopiero co zjadłam śniadanie i to wystarczy mi do kolacji. Proszę jeszcze chwilkę poczekać! Mój siostrzeniec doprowadza mnie na skraj ludzkiej wytrzymałości, robiąc wielką tajemnicę z nieobecności pana Engelmana we Frankfurcie. Czy nietaktem z mojej strony będzie, jeśli zapytam... Dobry Boże, jakże ta dziewczyna się zarumieniła! Panienska Minna najwyraźniej także uczestniczy w tej zмовie milczenia. Czyżby rzeczywiście chodziło o jakąś baletnicę? Zostaw nas same, Davidzie.

Minna, czując, że znalazła się w wyjątkowo niezręcznym położeniu, spojrzała na mnie błagalnie. W końcu zrobiłem to, co powinienem był zrobić od razu: powiedziałem ciotce prawdę.

– Fakty są takie, ciociu, że pan Engelman opuścił nas na jakiś czas z powodu przygnębienia i poczucia wstydu. Zaczęło się od tego, że zauroczył się w madame Fontaine, a skończyło tym, że poprosił ją o rękę.

– Mamie było go naprawdę szkoda – dodała Minna – ale, co oczywiste, musiała odrzucić jego oświadczenia.

– Daję słowo, moje dziecko, że nie widzę w tym niczego oczywistego! – powiedziała ciotka stanowczo.

Minna była wstrząśnięta.

– Och, pani Wagner! Oczywiście bardzo mu współczuję, ale biedny pan Engelman jest starszy od mamy o ponad dwadzieścia lat, i do tego taki gruby!

– Jeżeli chodzi o tuszę, to wszystko jest kwestią gustu – zauważyła ciotka, coraz wyraźniej opowiadając się po stronie pana Engelmana. – A co do różnicy wieku, powiem tylko, młoda damo, że mój świętej pamięci mąż był ode mnie dwadzieścia lat starszy, kiedy się ze mną żenił, i że na całym świecie nie znalazłaby się szczęśliwsza od nas para. Znam życie lepiej od panienski i uważam, że madame Fontaine popełniła wielki błąd. Nie tylko zmarnowała szansę na wspaniałą przyszłość, ale też zraniła i upokorzyła jednego z najbardziej dobrodusznych ludzi chodzących po ziemi. Nie, nie! Nie będę próbowała was teraz

na siłę przekonywać do swojego zdania, poczekam, dopóki nie wyjdzie panienka za Fritza. Chciałabym jednak porozmawiać na ten temat z madame Fontaine. Proszę łaskawie poprosić swoją mamę, żeby w dogodnym dla siebie czasie przyszła do mnie na kilka minut.

Minna, która najwyraźniej uznała ów pomysł za mało taktowny, zdobyła się na słaby protest.

– Mama jest bardzo wrażliwą osobą... – zaczęła tonem pełnym godności.

Ciotka przerwała jej, poklepując ją po policzku.

– Dobre dziecko! Podoba mi się, że trzyma panienka jej stronę. Jednak mama, oprócz wrażliwości, ma też jeszcze jedną zaletę, moja droga. Jest na tyle dojrzała, że łatwiej jej będzie mnie zrozumieć niż panience. Proszę po nią pójść.

Minna opuściła nas z wysoko uniesioną głową.

– Pani Wagner nie ma serca! – wyszeptwała do mnie z oburzeniem, kiedy otwierałem przed nią drzwi.

– Powiadam ci, ta dziewczyna to chodzący ideał! – zawołała entuzjastycznie ciotka. – Wydawało mi się, że jedyną rzeczą, której jej brakuje, jest charakter, a teraz okazało się, że jednak go ma. Ach! Jak się weźmie za Fritza, to ten jeszcze wyjdzie na ludzi. Fritz należy do tego gatunku mężczyzn, którzy absolutnie muszą być trzymani pod pantoflem. Wróżę ich małżeństwu wielkie powodzenie.

– Niewątpliwie ciocia się nie myli. Ale proszę powiedzieć, co ciocia zamierza powiedzieć madame Fontaine?

– To zależy. Najpierw muszę się upewnić, czy pan Engelman rzeczywiście zakochał się w tej kobiecie o zwierzęcych ruchach i sennych oczach. Mógłbyś na to przysiąc?

– Absolutnie. Jej odmowa zupełnie go zdruzgotała.

– Dobrze. Zatem dopilnuję, żeby madame Fontaine za niego wyszła, o ile w tle nie czai się jakiś inny mężczyzna.

– Droga ciociu, jak ciocia może tak mówić! W jej wieku? Madame Fontaine ma dorosłą córkę!

– Drogi siostrzeńcze, w ogóle nie znasz kobiet. Zewnętrznie starzeją się, nie przeczę. Jednak wewnątrz pozostają młode do końca swoich dni. Posłuchaj mojej rady. Nawet gdy siwe włosy wydają się niepodważalnym dowodem, nawet gdy dorosłe dzieci wydają się niepodważalnym dowodem, nie daj się zwieść! W życiu kobiety jest tylko jeden moment, kiedy można mieć pewność, że dała już sobie spokój z mężczyznami. To moment jej śmierci. Pst! Słyszałeś? Już wiem, co oznacza w tym domu szelest jedwabnej sukni i odgłos cichego stąpania na schodach. Idź sobie!

Miała rację. Jak tylko podniosłem się z miejsca, do środka weszła madame Fontaine.

Wdowa nie przejawiała oznak tego samego oburzenia, w jakim opuściła nas

jej córka. Była urocza i cierpliwa. Przywitała panią Wagner smutnym uśmiechem, który zdawał się mówić: „Może pani znieważać nawet moje najświętsze uczucia, droga pani; oddaję je do pani całkowitej dyspozycji”. Gdybym wierzył, że ciotka ma jakąkolwiek szansę przekonać ją do swojego punktu widzenia, począłbym się poważnie martwić o przyszłość pana Engelmana. Przeświadczony jednak, że ich rozmowa do niczego nie doprowadzi, zostawiłem damy same i ze spokojem wróciłem do swoich obowiązków.

Rozdział 25

Kiedy zapowiedziano kolację, udałem się na górę po ciotkę, żeby sprowadzić ją do naszej jadalni.

– A więc? – zapytałem.

– A więc – odrzekła spokojnie ciotka – madame Fontaine obiecała się zastanowić.

Muszę przyznać, że byłem wstrząśnięty. Z jakich powodów wdowa byłaby skłonna zmienić zdanie? Pan Engelman stał się dla niej całkiem bezużyteczny. Udało jej się zaskarbić sobie zaufanie pana Kellera; ślub jej córki był już sprawą przesądzoną; posada gospodyni gwarantowała jej hojne wynagrodzenie, ogólne poważanie i dach nad głową. Dlaczego zgodziła się jeszcze raz rozpatrzyć możliwość zawarcia małżeństwa z człowiekiem, który – jak się wydawało – nie mógł jej interesować pod żadnym wyobraźalnym względem? Pomyślałem, że ciotka miała rację, kiedy mówiła, że w ogóle nie znam kobiet.

Podczas kolacji madame Fontaine i jej córka były wyjątkowo mało rozmowne. Prostolinijna Minna najwyraźniej dowiedziała się jakimś sposobem o porozumieniu osiągniętym przez panią Wagner i jej matkę i jeszcze nie otrząsnęła się ze zdziwienia. Mimo to atmosfera przy stole bynajmniej nie była ponura, a wszystko to dzięki mojej ciotce i jej wiernemu słudze.

Słomiany Jack, nie czekając na zaproszenie, wszedł za nami do pokoju i ustawił się, ku oburzeniu Josepha, za krzesłem pani Wagner.

– Tylko ja usługuję mojej pani przy stole – wyjaśnił. – Od czasu do czasu pani podaje mi przez ramię kęs jedzenia albo coś do picia. Bardzo niewiele do picia, nie więcej niż łyczek. Sam zresztą też nie pozwoliłbym sobie na więcej. O tak, ja wiem, jak się zachować! Ogień waszego wina nie zapłonie w mojej głowie; Bedlam już się we mnie nigdy nie rozkiełzna. Możecie być spokojni. Nie ma wśród was trzeźwiejszego człowieka ode mnie.

Słyszając to, Fritz wybuchnął głośnym śmiechem, na co Jack z niezmaconą powagą zwrócił się do jego ojca:

– To pański syn, jak mniemam, sir? Ha! Na szczęście młodzieniec ma jeszcze sporą szansę na poprawę. To tylko taka moja mała uwaga. Gdyby los miał mnie pokarać synem, wolałbym już chyba Davida.

Owa krótka przemowa ze strony Jacka – wraz z innymi jego popisami, do których Fritz i ja chytrze go zagrzewaliśmy – najwyraźniej nie zdołała poprawić humoru madame Fontaine. Wdowa odezwała się tylko raz, żeby zapytać pana Kellera, czy doczekał się odpowiedzi z Monachium. Usłyszawszy, że siostra jeszcze mu nie odpisała, ponownie zamilkła. Gdy pan Keller i moja ciotka zapytali grzecznie, czy coś ją trapi, po raz kolejny usprawiedliwiła się bólem głowy.

Kiedy następnego ranka dostarczono pocztę, pośród listów związanych z codzienną działalnością firmy znalazłem też dwa prywatne. Pierwszy (ze stemplem pocztowym z Bingen) zaadresowany był do mnie. Adresatką drugiego (opatrzonego stemplem pocztowym z Würzburga) była madame Fontaine. Natychmiast poleciłem zanieść go jej na górę.

W liście z Bingen znalazłem smutne doniesienia na temat nieszczęsnego pana Engelmana.

Upływ czasu i zmiana otoczenia nie poprawiły samopoczucia starszego dżentelmena, który uskarżał się teraz na uczucie pełności i ucisk w głowie oraz prawie nieustający świst w uszach. Dwukrotnie poddał się zabiegowi stawiania baniek na plecach, ale ten przyniósł tylko krótkotrwałą poprawę. Lekarz zalecił mu ścisłą dietę i regularny ruch. Co prawda pan Engelman, nieprzymuszany przez nikogo, zachowywał wielką wstrzeźliwość przy stole, ale w żaden sposób nie można było nakłonić go do najmniejszego wysiłku fizycznego. Godzinami przesiadywał w jednym miejscu, ni to śpiąc, ni to czuwając, na nikogo nie zwracając uwagi i zdając się marzyć jedynie o tym, żeby jak najwcześniej położyć się do łóżka.

Taki stan rzeczy skłonił mnie do kategorycznych wniosków. Nie wolno było mi już dłużej wahać się i zwlekać z poinformowaniem pana Kellera o tym, że wiem, co dzieje się z jego zaginionym współnikiem. Musiałem pokazać mu ten list.

Jeżeli między starymi przyjaciółmi istniały jakiegokolwiek nieporozumienia, pan Keller od razu puścił je w niepamięć. Nigdy dotąd nie widziałem go tak przejętego.

– Muszę czym prędzej pojechać do Engelmana – powiedział.

Ośmieliłem się zasugerować, że nie powinien tego robić z dwóch zasadniczych powodów. Po pierwsze, był bezwzględnie potrzebny na miejscu w biurze. Po drugie, jego nagłe pojawienie się w Bingen mogłoby wywołać w jego starym przyjacielu poważny – niewykluczone nawet, że zgubny w skutkach – wstrząs.

– Więc co począć?! – wykrzyknął.

– Myślę, że w tej nadzwyczajnej sytuacji, sir, pomocna mogłaby się okazać moja ciotka.

– Twoja ciotka? A co ona mogłaby zrobić?

Opowiedziawszy mu o staraniach podjętych przez ciotkę, dodałem, że madame Fontaine jeszcze jej definitywnie nie odmówiła. Pan Keller słuchał bez przekonania, marszcząc brwi i kręcąc głową.

– Pani Wagner to bardzo żywiołowa kobieta – zauważył. – Nie byłaby w stanie zrozumieć tak złożonej osobowości, jaką jest madame Fontaine.

– Chyba mogę jej przynajmniej pokazać list z Bingen, sir?

– Tak. Nawet jeżeli nic z tego nie wyniknie, nie zaszkodzi.

Udając się do pokoju ciotki, spotkałem na schodach zapłakaną Minnę. Naturalnie od razu zapytałem, co się stało.

– Nie zatrzymuj mnie! – powiedziała tylko.

– Ale dokąd idziesz, Minno?

– Do Fritza. Potrzebuję, żeby mnie pocieszył.

– Czy ktoś sprawił ci przykrość?

– Tak, mama sprawiła mi przykrość. Po raz pierwszy w życiu – dodała tonem pokrzywdzonego, rozpieszczonego dziecka – zamknęła się na klucz w swoim pokoju i nie wpuściła mnie do środka.

– Ale dlaczego?

– Skąd mogę wiedzieć? Podejrzewam, że ma to coś wspólnego z tamtym okropnym człowiekiem, o którym ci mówiłam, Davidzie. Dziś rano przysłałeś na górę Josepha z listem dla mamy. Spotkawszy go na korytarzu, wzięłam od niego ten list i sama go jej zaniiosłam. Dlaczego miałabym nie zwrócić uwagi na stempel? Co złego było w słowach: „Mamo, przyszedł list z Würzburga”? Spojrzała na mnie tak, jakbym popełniła jakąś straszliwą zbrodnię, wskazała mi palcem drzwi i zamknęła się od środka. Dwukrotnie pukałam, prosząc, żeby mi wybaczyła. Ani za pierwszym, ani za drugim razem nie odpowiedziała nawet słowem! Czuję się urażona. Pozwól mi pójść do Fritza.

Nie próbowałem już jej zatrzymać.

Znow dała o sobie znać moja wrodzona podejrzliwość. Czy list, który poleciłem Josephowi zanieść na górę, był odpowiedzią na ten, który matka Minny pisała wcześniej do Würzburga? Czy wdowa wiedziała już, że leciwy wielbiciel, który udzielił jej pożyczki na spłacenie wierzycieli, został znaleziony martwy w swoim łóżku i że wystawiony przez nią weksel trafił w ręce jego spadkobiercy? Jeżeli tak przedstawiała się odpowiedź na tę zagadkę, to nic dziwnego, że madame Fontaine wyprosiła córkę ze swojego pokoju – nic dziwnego, że zamknęła drzwi na klucz!

Ciotka, kiedy poinformowałem ją o stanie zdrowia pana Engelmana, nie traciła czasu na wyrazy żalu i zaskoczenia.

– Bezzwłocznie przyślij do mnie wdowę – poleciła. – Jeżeli pod tą jej wspianą, jedwabną suknią bije prawdziwe serce, jeszcze dzisiaj będę mogła napisać do nieszczęsnego Engelmana i ulżyć mu na duszy.

Gdybym podzielił się z kimkolwiek – nawet z własną ciotką – swoimi cichymi podejrzeniami, popełniłbym, delikatnie mówiąc, wielką nieroztropność. Odpowiedziałem więc, że madame Fontaine, nie czując się dobrze, skryła się (o czym poinformowała mnie Minna) w zaciszu swojej sypialni.

Po tych słowach ta drobna, charakterna kobieta natychmiast podniosła się z miejsca, mówiąc:

– Pokaż mi, gdzie jest sypialnia madame Fontaine, Davidzie, i całą resztę

zostaw mnie.

Zaprowadziłem ciotkę pod właściwe drzwi, skąd zostałem odprawiony słowami: „Idź do mojego pokoju i zaczekaj, dopóki nie wrócę”. Odchodząc, usłyszałem stanowcze pukanie i głos anonsującej się z korytarza ciotki: „Pani Wagner z pilną sprawą do pani, madame!”. Nie zdołałem dosłyszeć odpowiedzi, ale następane słowa ciotki dobiegły mnie wyraźnie: „Och, a więc dobrze! Proszę tylko przeczytać łaskawie ten list. Wsunę go do środka pod drzwiami i poczekam na pani odpowiedź”. Za chwilę doszedł mnie odgłos otwieranych i zamykanych z powrotem drzwi.

Ciotka wróciła po ponad półgodzinie. Była poważna i zamyślona i w pierwszej chwili odniosłem wrażenie, że poniosła porażkę. Zaraz jednak wyprowadziła mnie z błędu.

– Udało się – oznajmiła. – Jeszcze dziś wieczorem napiszę do Engelmana, że wdowa żałuje swojej pochopnej decyzji. Mam na to jej pełną zgodę. Zresztą tak brzmiały jej własne słowa, kiedy zapytałam ją, jak powinnam sformułować wiadomość!

– Zatem pod tą jej wspaniałą, jedwabną suknią bije prawdziwe serce – rzekłem.

Ciotka zmarszczyła czoło i poczęła w milczeniu chodzić tam i z powrotem po pokoju. Nie umiałem określić, czy była zła na mnie, czy na siebie. Nagle przysiadła obok i mocno klepnęła mnie w ramię.

– Davidzie! – zawołała. – Odkryłam w sobie coś, o co nigdy się nie podejrzewałam. Jeśli ciekawi cię, jak wygląda potwór, spójrz na mnie!

Zabrzmiało to tak poważnie i wydało mi się taką nedorzecznnością, że wybuchnąłem śmiechem. Ciotka była zbyt pogrążona w myślach, żeby zwrócić uwagę na moją wesołość.

– Wiesz, że tak naprawdę waham się, czy napisać do Engelmana? – odezwała się znowu. – Davidzie! Być może zasługuję na baty, ale nie ufam madame Fontaine.

Nie zdawała sobie sprawy, jak wielkie zainteresowanie wzbudziło we mnie jej niespodziewane wyznanie.

– Niech mi ciocia wyjaśni, dlaczego! – poprosiłem z zapalem.

– I tu jest pies pogrzebany – odrzekła. – Nie umiem wyjaśnić, dlaczego. Madame Fontaine była czarująca, mówiła z takim wyczuciem i wrażliwością... Lecz przez cały ten czas słyszałam w głowie jakiś diabelski głos: „Nie wierz jej, kierują nią jakieś ukryte powody!”. Jesteś pewien, Davidzie, że za tym jej zamknięciem się w pokoju i upiorną bladością nie stoi nic poza drobną niedyspozycją? Czy wiesz coś na temat jej sytuacji? Engelman jest człowiekiem zamożnym. Czy odkąd odrzuciła jego oświadczyzny, nie wpadła przypadkiem w jakieś tarapaty, z których on mógłby ją wyratować?

W tym miejscu chciałbym zaznaczyć, że dopóki ciotka nie zadała mi owego pytania, podobna myśl nie przyszła mi do głowy. Jako odrzucony zalotnik, pan Engelman nie miał dla wdowy żadnej wartości. Ale gdyby był jej mężem? I gdyby termin spłaty weksła przypadał jeszcze przed zamążpójściem Minny? W takim przypadku pan Engelman niezaprzeczalnie byłby jej bardzo przydatny, bowiem mógłby jej pożyczyć pieniądze.

Ciotka nie odrywała ode mnie swojego przenikliwego wzroku.

– Mów, Davidzie! – zawołała. – Ty też jej nie ufasz i ty wiesz, dlaczego.

– Nie wiem niczego na pewno – odparłem. – Wszystko, co mam, to niepotwierdzone domysły, które mogą okazać się zupełnie nietrafione. Niech ciocia nie oczekuje ode mnie, że będę mówił źle o madame Fontaine, nie mając cienia dowodu na poparcie swoich słów. Mógłbym chyba jednak zasugerować cioci pewne rozwiązanie.

Ciotka, wielkim wysiłkiem woli powściągnąwszy swoją ciekawość, powiedziała z rezygnacją:

– A więc przedstaw mi tę sugestię. Czy w twoich żyłach nie płynie przypadkiem szkocka krew, Davidzie? Jak na tak młodego człowieka, jesteś zadziwiająco ostrożny.

– Proszę przesłać panu Engelmanowi wiadomość od wdowy, jak najbardziej – zacząłem – ale nie pocztą. Byłem przy nim owego nieszczęsnego wieczoru i nie sądzę, żeby po tym, w jaki sposób madame Fontaine odrzuciła jego oświadczenia, potrafił oświadczyć się jej jeszcze raz. Nie wierzę też, że umiałby uwierzyć w szczerą jej żal. Oczywiście mogę nie mieć racji, ale dlaczego by tego nie sprawdzić? Proszę pozwolić mi zwolnić się na kilka dni z pracy, pojechać jutro z listem cioci do Bingen i na własne oczy przekonać się, jak zostanie przyjęty.

Ostatecznie udało mi się zyskać aprobatę ciotki.

– Wyśmienity pomysł – powiedziała. – Ale (chyba zaraziłam się twoją ostrożnością, Davidzie) nie mówmy nic madame Fontaine. Niech sądzi, że udałeś się do Bingen w związku z niepomyślnymi wieściami o stanie zdrowia pana Engelmana. – Zawiesiła na chwilę głos, żeby pomyśleć. – Albo jeszcze lepiej: Bingen leży na szlaku komunikacyjnym prowadzącym do Anglii. Nie będzie w tym nic niezwykłego, jeżeli podczas podróży do Londynu złożysz wizytę Engelmanowi.

Jej pomysł całkowicie mnie zaskoczył i to wcale nie przyjemnie.

– Czy naprawdę muszę wyjechać z Frankfurtu? – zapytałem tonem pełnym żalu.

– Mój drogi, poza sprawą Engelmana mam na głowie też inne – wyjaśniła ciotka. – Pan Hartrey czeka na wieści ode mnie. Nie ma nadziei na to, że pan Engelman będzie mógł w swoim obecnym stanie zdrowia udać się w podróż do Londynu, albo że będzie mógł zrobić to zamiast niego pan Keller. Chcę, żebyś wytłumaczył wszystko panu Hartreyowi i pomógł mu w kierowaniu firmą. Nikomu

tutaj nie ufam tak, jak ufam tobie. Nie mam innego wyjścia, jak poprosić cię, żebyś pojechał do Londynu.

Ja ze swojej strony nie miałem innego wyjścia, jak pokornie podporządkować się życzeniom ciotki (której przecież tak wiele zawdzięczałem). Skonsultowaliśmy się jeszcze z panem Kellerem i ten przyznał bez wahania, że to ja powinienem pospieszyć z pomocą panu Hartreyowi uginającemu się pod ciężarem obowiązków handlowych. Po jednodniowym postoju w Bingen, podczas którego miałem rozeznąć się w stanie zdrowia pana Engelmana i przesłać jak najpełniejszy raport do Frankfurtu – im prędzej pokonałbym następny odcinek podróży i im wcześniej dotarłbym do Londynu, tym lepiej.

Tak więc bezwzględna konieczność zmusiła mnie do zejścia ze sceny, zanim rozegrały się ostatnie akty niniejszego dramatu. Dylizans pocztowy odjeżdżał o szóstej rano. Wieczorem spakowałem się i pożegnałem ze wszystkimi domownikami – nie licząc madame Fontaine, która w dalszym ciągu nie czuła się dobrze i nie opuszczała swojego pokoju. Słodka, dobrodusza Minna nadstawiła mi policzek do pocałowania i kazała obiecać, że wrócę na jej ślub. Żegnając się ze mną, była osobiście zasmucona.

– Najpierw przyniosłeś mi pocieszenie – powiedziała – a potem szczęście. Nie podoba mi się, że nas opuszczasz. Och, Davidzie, tak żałuję, że musisz wyjechać!

– Dobrze już, dobrze! – przerwała jej moja ciotka. – Żadnych łez, młoda damo! Nie należy nigdy psuć mężczyźnie nastroju przy pożegnaniu. Uściskaj mnie mocno, Davidzie, i pomyśl o chwili, w której staniesz się współnikiem w firmie.

Ach! Cóż to była za kobieta! Dziś już próżno takich szukać, moi młodzi przyjaciele...

Słomiany Jack jako jedyny z domowników nie spał, kiedy następnego ranka dylizans zatrzymał się pod drzwiami. Liczyłem na to, że rozbawi mnie przed odjazdem jakąś uwagą, ale srodze się zawiodłem. Pożegnalne słowa Jacka bezgranicznie mnie przeraziły.

– Hej! – wyszeptał, kiedy pospiesznie wszedłem do holu. – Chciałbym zapytać cię o coś, zanim odjedziesz.

– Byle szybko, Jacku.

– Dobrze, Davidzie. Rozmawialiśmy wczoraj z panną Minną o chorobie pana Kellera. Czy to prawda, że uzdrowiło go lekarstwo z buteleczki z niebieskiego szkła?

– Całkowita prawda.

– Posłuchaj, Davidzie! Myślałem nad tym przez całą noc. Mnie też uzdrowiło lekarstwo z buteleczki z niebieskiego szkła.

Zastygłem w bezruchu, wpatrując się wyczekująco w jego twarz. Jack przysunął się do mnie bliżej i zniżając nagle głos, powiedział:

– I ja też zostałem otruty. Ciekaw jestem, kto otruł pana Kellera?

Rozdział 26

I

Oto list od urzędnika kancelarii prawnej pana Schmuckle'a do radnego pana Hofa:

*Szanowny Panie,
pragnę donieść, że może być Pan spokojny w kwestii madame Fontaine. Jeśli nasza dama postanowi wyjechać z Frankfurtu, nie wymknie się stąd tak niepostrzeżenie, jak wymknęła się z Würzburga. Dokądkolwiek by się tym razem udała, nie będziemy musieli zwracać się znów do jej krewnych z prośbą o pomoc w odnalezieniu jej. Od tej chwili będę miał ją nieprzerwanie na oku aż do nadejścia terminu spłaty weksla.*

Madame Fontaine zajmuje obecnie posadę gospodyni przy biurze firmy Wagner, Keller & Engelman i (choć jestem przygotowany na każdą ewentualność) nic nie wskazuje na to, żeby w najbliższym czasie miała ją opuścić.

Zgodnie ze sporządzoną przeze mnie notatką termin spłaty weksla przypada na trzydziesty pierwszy dzień grudnia bieżącego roku. Ponieważ jako miejsce płatności wskazany jest Würzburg, proszę w razie niedotrzymania umowy dopilnować, żeby dokument został oprotestowany w tymże mieście, i jak najszybciej się ze mną skontaktować. Ja ze swojej strony dopilnuję, żeby wszczęte zostało należyte postępowanie prawne.

Serdecznie dziękuję za zaliczkę, której był Pan łaskawy udzielić mi na poczet zwyczajowego wynagrodzenia, i przesyłam wyrazy głębokiego szacunku.

II

W następnej kolejności przedstawiam odpis listu świętej pamięci profesora Fontaine'a do pewnego jego bliskiego współpracownika i przyjaciela. Rzeczony dżentelmen wciąż żyje i udostępniając niniejszy odpis, zastrzegł sobie prawo do anonimowości.

*Znakomity Przyjacielu,
prawdopodobnie nie spodziewałeś się usłyszeć mnie znów tak szybko. Tak się składa, że mam dla Ciebie doprawdy interesujące wieści. Nieszczęśliwy wypadek umożliwił mi wypróbowanie jednego z moich preparatów na żywym ludzkim organizmie – mówiąc ściślej, na pewnym mężczyźnie.*

W swoim poprzednim liście pisałem Ci, że postanowiłem wstrzymać eksperymenty nad dwoma truciznami Borgiów, których receptury zostawił mi mój nieodżałowany węgierski przyjaciel – mistrz w dziedzinie chemii eksperymentalnej.

Kierujące mną w tej kwestii motywy pozostają, mam nadzieję, poza wszelką

krytyką.

Jak pamiętasz, zgodziłeś się ze mną, że obydwie trucizny (podobnie jak wszystkie trujące preparaty stosowane już w medycynie) mogłyby wykazywać niezwykle pożądane działanie lecznicze w przypadku niektórych chorób – jeśli by podawać je chorym w ściśle określonych, odpowiednio kontrolowanych dawkach. Gdyby kiedyś udało mi się znaleźć sposób na wykorzystanie ich leczniczego potencjału, wciąż istniałoby niebezpieczeństwo związane z możliwością ich niewłaściwego użycia – czy to w dobrej, czy w złej wierze. Dlatego też uważam, że zanim podejmę kroki w kierunku przystosowania tych dwóch preparatów, by móc korzystać z ich uzdrawiających właściwości, moim obowiązkiem jest najpierw opracować skuteczne przeciwśrodki mogące zapobiec ewentualnym nieszczęściom. Miałem wcześniej pewne doświadczenia w dziedzinie, którą nazywam chemią profilaktyczną, i udało mi się już do pewnego stopnia zrealizować mój cel.

Zaszyfrowana informacja na karteczce, którą załączam do listu, to receptura antidotum na jedną z naszych trucizn – tę znaną nam obydwu pod wymyśloną przez Ciebie nazwą Wino Aleksandra. Niestety, nie zdołałem jeszcze wynaleźć skutecznego antidotum na drugą truciznę, nazwaną przeze mnie – jak pamiętasz – Kroplami Lustrzanymi.

Po tych wstępnych wyjaśnieniach mogę Ci wreszcie opowiedzieć o owym niezwykłym wypadku, o którym wspomniałem na początku listu.

Mniej więcej dwa tygodnie temu wezwano mnie – zaraz po jednym z wykładów dla studentów – do pewnego służącego. Człowiek ten chorował od około dwóch dni i już wcześniej proponowałem mu pomoc lekarską. On jednak, nie chcąc mnie fatygować, poprosił, by mi przekazano, że jedyne, czego potrzebuje, to odpoczynek. Na szczęście jakiś czas potem zobaczył go jeden z moich asystentów, który od razu zdał sobie sprawę z konieczności wezwania mnie na ratunek.

Człowiek, o którym mowa, to niespełna rozumu samotny nieszczęśnik zatrudniony przeze mnie z czystej litości do sprzątania laboratorium i mycia naczyń roboczych. Zdolności umysłowe pozwalały mu przyzwyciężyć się z tego rodzaju drobnych zadań, ale nic ponadto. Możesz sobie wyobrazić moje przerażenie, kiedy znalazłszy się przy jego łóżku, od razu rozpoznałem objawy zatrucia Winem Aleksandra!

Pomknąłem z powrotem do laboratorium i otworzyłem kuferek apteczny, w którym przechowywałem antidotum. Samo Wino Aleksandra powinno znajdować się w przegródce obok, ale ta była teraz pusta.

Natychmiast wszcząłem poszukiwania, w wyniku których okazało się, że zostawiłem buteleczkę na jednej z półek. Po raz pierwszy w życiu dopuściłem się niewybaczalnego zaniedbania: wychodząc z pomieszczenia, nie rozejrzałem się, żeby sprawdzić, czy odłożyłem wszystko w bezpieczne miejsce. Ten nieszczęsny głupiec, skuszony kolorem Wina Aleksandra, postanowił go skosztować, żeby (jak

sam to ujął) „przekonać się, czy jest smaczne”. W toku wyjaśnień ustaliłem, że wydarzyło się to przed co najmniej trzydziestoma sześcioma godzinami! Dobrze znając, dzięki swoim badaniom ze zwierzętami, powolne działanie trucizny, widziałem dla niego tylko jeden ratunek.

Nawet nie będę próbował opisywać, w jakim stanie ducha wróciłem do cierpiącego. O tym, jak bardzo byłem zdruzgotany, niech świadczy fakt, że zataiłem swoją haniebną bezmyślność przed kolegami z uniwersytetu. Bałem się, że moje eksperymenty zostaną uznane za niebezpieczne i jako takie wstrzymane i że władze udzielą mi publicznej reprymendy za brak rozważli. Pozwoliłem profesorom medycyny myśleć, że mają do czynienia z przypadkiem całkowicie nieznaną im dotąd choroby.

W kwestii dozowania antidotum nie miałem jeszcze żadnej praktyki, nie licząc doświadczeń przeprowadzonych na królikach i psach. Nie potrafię powiedzieć, czy posłużyłem się błędnymi obliczeniami, czy gorączkowe pragnienie ocalenia temu człowiekowi życia skłoniło mnie do przekroczenia miary. Pewne jest tylko to, że podając kolejne dawki specyfiku, przesadziłem z ich objętością i nie zachowałem odpowiednio długich odstępów czasu.

Pacjent wyzdrowiał – ale zanim to się stało, w jego krwi pojawiły się pewne niezrozumiałe zmiany, które poczyniły spustoszenia w jego skórze i przyprawiły go o siwiznę. Od tamtej pory zmodyfikowałem system dawkowania antidotum i na wypadek zaginięcia notatek opatrzyłem buteleczkę odpowiednio oznaczonym paskiem papieru – co mam nadzieję zapobiegnie wystąpieniu jakichkolwiek tragicznych pomyłek. Jednocześnie, żeby ułatwić na przyszłość wyliczenie właściwej dawki antidotum, dołączyłem etykietkę z dokładną informacją na temat ilości trucizny połkniętej przez służącego.

Nawiasem mówiąc, na karteczce z zaszyfrowaną wiadomością powinienem był wspomnieć, że jeżeli antidotum ma zachować swoje właściwości przez dłuższy czas, należy chronić je przed światłem i przechowywać w naczyniu z niebieskiego szkła.

Dodam jeszcze, że odkryłem, iż czynnikiem doskonale wspomagającym działanie antidotum jest dieta oparta na jarzynach. Nikczemny strach przed możliwymi konsekwencjami wyjścia na jaw mojej lekkomyślności skłonił mnie do zaangażowania do pomocy w opiece nad chorym mojej żony. Wiedziałem, że jeżeli pacjent zacznie opowiadać o tym, co mu się przydarzyło, madame Fontaine dochowa tajemnicy. Kiedy tylko ów Bogu ducha winny nieszczęśnik wydobrzeżał na tyle, żeby stanąć na nogach o własnych siłach, wszelki ślad po nim zaginął. Powodem jego ucieczki było, jak sądzę, przerażenie, jakie budziła w nim myśl o powrocie do laboratorium. Tak czy inaczej, od tamtej pory go nie widziałem i nic o nim nie słyszałem.

Jeżeli dotrwałeś do tego miejsca, zapewne rozumiesz już, że nie jestem

jeszcze pewny swoich odkryć na tyle, żeby zaryzykować wtajemniczenie w nie kogokolwiek innego poza Tobą. Gdybyś miał jakieś sugestie naukowe, nie zawahaj się nimi ze mną podzielić – ale potem na wszelki wypadek zniszcz karteczkę z szyfrem. Tymczasem bądź zdrów.

Przypis do listu doktora Fontaine'a.

Nazwa: Wino Aleksandra nawiązuje do okrytego złą sławą Rodriga Borgii, znanego historii jako papież Aleksander VI. Zginął on przez przypadek, choć całkiem zasłużenie, wskutek wypicia jednej z trucizn Borgiów z pucharu wina, który przygotował dla kogoś innego.

Recepturę Lustrzanych Kropli znaleziono ponoć pod okładziną odwrotnej strony lustra należącego kiedyś do Lukrecji Borgii. Stąd ich nazwa.

III

Jako trzeci i ostatni przedstawiam tutaj list napisany przeze mnie do pani Wagner w okresie jej pobytu we Frankfurcie:

Droga Ciociu,

nie będzie żadnej przesady w stwierdzeniu, że piszę te słowa z ogromnym bólem. Proszę się przygotować na doprawdy przygnębiające wieści.

Dotarłem wczoraj do Bingen późnym wieczorem. Kiedy wysiadałem z dylżansu, czekał na mnie służący mający zająć się moim kufrem podróżnym. Człowiek zapytał najpierw o moje nazwisko, a potem przekazał mi smutną nowinę o śmierci naszego drogiego pana Engelmana. Starszy dżentelmen zmarł wczesnie rano tego dnia po ataku apopleksji.

Pomoc lekarska była w zasięgu ręki i chociaż udzielona została (z tego, co słyszę) w sposób bardzo kompetentny, stan pana Engelmana nawet na chwilę nie uległ poprawie. Wydaje się, że ów atak zabił go tak szybko, jak mogłaby go zabić kula wystrzelona z pistoletu.

Dzień wcześniej był ponoć bardzo apatyczny i ociężały, a przed udaniem się na nocny spoczynek krótko wspominał o mnie. „Jeżeli poczuje się lepiej, sprowadzę tutaj Davida – rzekł – a potem obaj udamy się razem do Londynu”. Był bardzo zaczerwieniony i skarżył się na zawroty głowy, lecz nie pozwolił wezwać lekarza. Jego brat, pomagając mu wspiąć się na górę po schodach do jego sypialni, zadał mu jakieś pytanie związane z działalnością firmy. Pan Engelman odpowiedział tylko niecierpliwie: „Keller ma wszystko pod kontrolą – zostaw to jemu”.

Kiedy myślę o szczęśliwym życiu, które wiódł do niedawna ten zacny staruszek, i przypominam sobie, że to za moją sprawą poznał madame Fontaine, czuję niemożliwą do opisanego gorączkę. Wciąż mam w pamięci setki wyświadczonych mi przez niego uprzejmości i (proszę się nie obrazić) nie mogę przeboleć, że nie wysłała Ciocia do Frankfurtu zamiast mnie kogoś innego.

Pogrzeb odbędzie się tutaj za dwa dni. Mam nadzieję, że nie uzna Ciocia, iż

zaniedbuję obowiązki służbowe, jeśli przyjmę zaproszenie brata pana Engelmana i zostanę na miejscu nieco dłużej, żeby wziąć udział w uroczystości. Być może po złożeniu owego ostatniego hołdu mojemu drogiemu staremu przyjacielowi poczuję się lepiej. Zaraz po wszystkim wyruszę w dalszą podróż do Londynu i nie będę się już zatrzymywał po drodze nawet na noc.

Niech droga Ciocia odpisze na mój londyński adres i pozdrowi ode mnie Minnę i Fritza – i poprosi ich, żeby także do mnie napisali. Panu Kellerowi przesyłam szczere wyrazy współczucia. Wyobrażam sobie, jak głęboko zasmucą go te wieści.

Część II

Rozdział 1

W poprzedniej części niniejszej opowieści przemawiałem głosem naocznego świadka wydarzeń. W tej części, ze względu na moją późniejszą nieobecność we Frankfurcie, będę musiał polegać na świadectwie innych osób. Na owo świadectwo złożyły się (po pierwsze) zaadresowane do mnie listy, (po drugie) relacje, które zdano mi osobiście, (po trzecie) fragmenty pewnego dziennika odnalezionego po śmierci autora. Wszystkie udostępnione mi na powyższe trzy sposoby informacje wydają się wiarygodne.

Na początku grudnia pan Keller posłał madame Fontaine wiadomość, prosząc o spotkanie w ważnej dla nich obojga sprawie.

– Mam nadzieję, że czuje się dziś pani lepiej, madame – powiedział, wstając z miejsca, żeby przywitać się z wdową, która weszła właśnie do pokoju.

– Jest pan bardzo uprzejmy – odparła ledwo dosłyszalnie, nie podnosząc na niego wzroku. – Nie mogę jednak powiedzieć, żeby moje samopoczucie bardzo się poprawiło.

– Mam nowiny, które powinny podziałać niczym balsam na pani duszę – ciągnął pan Keller. – Siostra wreszcie odpisała mi w sprawie ślubu.

Urwał nagle i rzucając się gwałtownie w przód, chwycił wdowę pod ramię. Pod wpływem jego ostatnich słów madame Fontaine zerwała się na równe nogi. Jej blade oblicze gwałtownie poczerwieniało, żeby zaraz znów pokryć się upiorną bledością. Niechybnie upadłaby na podłogę, gdyby pan Keller jej nie podtrzymał i nie usadził pośpiesznie w swoim własnym fotelu.

– Doprawdy powinna pani skorzystać z porady lekarza – powiedział. – Ma pani nerwy napięte jak postronki. Może mógłbym pani coś przynieść?

– Wystarczyłaby mi szklanka wody, sir, gdyby był pan łaskawy zadzwonić na służącą.

– Nie trzeba wcale dzwonić. Mam wodę w sąsiednim pokoju.

Już miał się oddalić, kiedy madame Fontaine zatrzymała go, kładąc dłoń na jego ramieniu.

– Najpierw krótkie pytanie, sir. Proszę wybaczyć kobiecą ciekawość w tak ważnej dla mnie kwestii, jaką jest zamążpójście mojego dziecka. Czy pańska siostra zasugerowała coś odnośnie do daty ślubu?

– Odpowiadałby jej trzydziesty bieżącego miesiąca – odparł pan Keller, po czym zniknął w drzwiach sąsiedniego pokoju.

Zostawszy sama, wdowa szybko dokonała na palcach odpowiednich

obliczeń. Jej oczy pojaśniały; wstąpiły w nią nowe siły.

– Nieważne, co się wydarzy, byleby tylko moja córeczka zdążyła wyjść przedtem za mąż – wyszeptała do siebie. – Ślub trzydziestego, termin spłaty trzydziestego pierwszego. Ratunek przyjdzie dzień wcześniej! Ratunek przyjdzie dzień wcześniej!

Pan Keller wrócił, niosąc szklankę z wodą. Na widok wdowy drgnął gwałtownie.

– Wydaje się, że już zdążyła pani dojść do siebie. Wygląda pani jak zupełnie inna osoba! – wykrzyknął.

Madame Fontaine mimo wszystko wypila wodę, którą jej podał.

– Moje nieszczęsne nerwy płatają mi najdziwniejsze figle, sir – odpowiedziała, odstawiając opróżnioną szklankę na pobliski stolik.

Pan Keller przysiadł na krześle i zajrzał do listu, który nadszedł z Monachium.

– Siostra ma nadzieję dotrzeć do nas na kilka dni przed końcem roku – rzekł.
– Jednak z uwagi na niepewny stan swojego zdrowia zaproponowała datę trzydziestego grudnia, żeby zostawić margines na ewentualne opóźnienia. Zakładam (choć nie znam się na tych sprawach), że to zapewni pannie młodej dość czasu na skompletowanie ślubnego stroju?

Madame Fontaine uśmiechnęła się smutno.

– Dużo więcej czasu niż potrzeba, sir. Obawiam się, że przez wzgląd na niewielkie zasoby mojej portmonetki córka moja w dniu ślubu będzie musiała polegać głównie na wrodzonych wdziękach, nie licząc drobnej pomocy ze strony jubilera i modystki.

Pan Keller ponownie zajrzał do listu, po czym podniósł znad niego wzrok, uśmiechając się ponuro.

– Moja siostra byłaby skłonna przynajmniej w jednym aspekcie wyręczyć tego pierwszego – oznajmił. – Zamierza przywieźć ze sobą, w charakterze prezentu dla panny młodej, pewną rodową pamiątkę. To naszyjnik z pereł (ponoć o bardzo dużej wartości) podarowany mojej matce przez cesarzową Marię Teresę w uznaniu za usługi, które matka wyświadczyła owej znakomitej osobistości za młodu. Dowodem na to, z jak wielkim zainteresowaniem siostra podchodzi do zbliżającego się ślubu, niech będzie zapowiedź takiego podarunku.

Madame Fontaine splotła dłonie w szczerym – przynajmniej tym razem – porywie wzruszenia. W przeliczeniu na pieniądze podarunek w postaci cesarskiego naszyjnika z pereł już sam w sobie stanowiłby niemałą fortunę.

– Nie znajduję słów, żeby wyrazić, jak bardzo jestem wdzięczna – powiedziała. – Moja córka będzie musiała podziękować za nas obydwie.

– Pani córka powinna jak najszybciej usłyszeć dobre wieści – dodał uprzejmie pan Keller. – Nie będę pani zatrzymywał. Zapewne nie może się pani

doczekać, żeby pójść do Minny. Jeszcze tylko jedno pytanie, zanim się rozstaniemy. Oczywiście zaprosi pani na ślub tych wszystkich krewnych i przyjaciół, których życzyłyby sobie pani na nim zobaczyć?

Madame Fontaine powoli uniosła swoje senne oczy ku sufitowi i z nabożną rezygnacją wyjaśniła swoją sytuację rodzinną.

– Moi rodzice wyrzekli się mnie, sir, kiedy wyszłam za mąż – powiedziała. – Inni moi krewni z Frankfurtu i Brukseli odmówili mi wsparcia, gdy go potrzebowałam. Jeśli chodzi o przyjaciół, to pan, drogi panie Keller, jest jedynym, jakiego mamy. Dziękuję panu z całego serca.

Opuściła wzrok miękko ku podłodze i ruszyła z gracją w kierunku wyjścia. Jej figura największe wrażenie robiła właśnie od tyłu. Nawet pan Keller – z natury całkowicie odporny na powaby kobiecej urody – nie mógł się powstrzymać, żeby nie odprowadzić swojej gospodyni wzrokiem i nie zwrócić uwagi na to, jak pięknie jest zbudowana.

Na schodach madame Fontaine napotkała służącą.

– Gdzie panna Minna? – zapytała niecierpliwie. – W swoim pokoju?

– W pani pokoju, madame. Widziałam, jak do niego wchodziła, gdy szłam korytarzem.

Madame Fontaine pospiesznie ruszyła w górę schodami, a potem lekko niczym mała dziewczynka przebiegła korytarz. Przez uchylone drzwi sypialni zobaczyła Minnę siedzącą beczynn timer na sofie z robótką na kolanach. Jak tylko weszła do środka, dziewczyna zerwała się z miejsca.

– Czy przeszkadzam w czymś mamie? Jestem zbyt głupia, żeby poradzić sobie z tym haftem...

Madame Fontaine cisnęła robótkę w kąt pokoju, objęła Minnę w talii i radośnie podźwignęła ją z podłogi – zupełnie tak, jak gdyby miała do czynienia z małym dzieckiem.

– Dzień został wyznaczony, mój aniołku! – zawołała. – Wychodzisz za mąż trzydziestego! – Uniosła jedną dłoń i z dziką czułością przycisnęła głowę córki do swojej piersi. – Och, kochana, zawsze miałaś śliczne włosy, nawet jako niemowlę! Nie będziemy ich upinać na twój ślub. Powinny naturalnie spływać ci na ramiona. I nie pozwolę, by szcztokował je ktokolwiek poza mną. – Obsypawszy Minnę gradem pocałunków, nagle, pod wpływem jakiegoś przemożnego impulsu, odepchnęła ją od siebie i wydając z siebie zbolaty okrzyk, rzuciła się na sofę. – Dlaczego, kiedy tu przed chwilą weszłam, podskoczyłaś tak, jakbyś się mnie bała? – powiedziała gniewnie. – Dlaczego zapytałaś, czy mi nie przeszkadzasz? Och, Minno! Minno! Jeszcze nie zapomniałaś o tamtym dniu, kiedy zamknęłam się przed tobą w pokoju? Moje dziecko! Byłam wtedy taka zmartwiona, troski doprowadzały mnie do szaleństwa. Myślisz, że chciałam być dla ciebie przykra? Moja kochana! Przyszłam tutaj z radosnymi wieściami na temat ślubu, a ty

zapytałaś, czy mi nie przeszkadzasz. Mój Boże! Czy już nigdy nie zaznam chwili czystej, niczym nieskażonej przyjemności? Ludzie powiadają, że przypominasz swojego ojca, Minno. Czy w twoich żyłach płynie ta sama zimna krew, która płynęła w jego? Już dobrze! Już dobrze! Nie chciałam być złośliwa, to tylko nerwy, jak sądzę. Nie zwracaj na mnie uwagi. Chodź tutaj i bądź znów moim dzieckiem. Usiądziesz mi na kolanach i porozmawiamy o twoim ślubie.

Minna nieco nerwowo objęła matkę za szyję.

– Najdroższa, najukochańsza! Jak może mama myśleć, że mogłabym być tak okrutna i niewdzięczna? Nie potrafiłabym wyrazić słowami, jak bardzo mamę kocham! Może to mamę przekona...

Ucałowała ją z pełną wdzięku czułością – po czym odchyliła się nieco do tyłu, żeby przyjrzeć się jej twarzy. W oczach wdowy wciąż widać było błyski emocji, choć uspokajała się z wolna.

– Wie mama, co myślę? – nieco bojaźliwie zapytała Minna.

– Co takiego, moja droga?

– Myślę, że kocha mnie mama aż nazbyt mocno. Nie chciałabym być w skórze osoby, która na oczach mamy stanęłaby pomiędzy mną i moim ślubem.

Madame Fontaine uśmiechnęła się.

– Ty mały głuptasie, widzisz we mnie tygrysicę? – rzekła żartobliwym tonem. – Potrzebuję jeszcze jednego całusa, żebym mogła przekonać się do swojego nowego wcielenia. – Schyliła się w oczekiwaniu na pieszczotę, lecz kiedy jej wzrok padł przez przypadek na szafkę umocowaną we wnęce przeciwległej ściany, nagle cofnęła głowę. – Jestem taka samolubna! – powiedziała, raptownie podnosząc się z miejsca. – Przez cały ten czas ani razu nie pomyślałam o przyszłym panu młodym. Myślisz, że nie wiem, do czego ci spieszno? – Poprowadziła Minnę prędko do drzwi. – Idź, moja droga. Idź i przekaż pomyślną nowinę Fritzowi!

Jak tylko jej córka zniknęła za drzwiami, rzuciła się przez pokój ku szafce. Wzrok jej nie zmylił. W zamku rzeczywiście tkwił klucz.

Rozdział 2

Madame Fontaine, porażona swoim odkryciem, opadła na krzesło.

Popatrzyła na klucz, który zostawiła w szafce. Wykonany był według staroświeckiego wzoru – ale też niewątpliwie zgodnie z najwyższymi standardami sztuki rzemieślniczej swojego czasu. Na jego płaskim uchwycie widniał wygrawerowany napis: „Szafka w pokoju różowym” – odnoszący się do koloru zasłon i draperii zdobiących sypialnię.

– Czy moje zmysły tępieją? – zapytała wdowa samą siebie. – Cóż za okropne niedopatrzenie! Jak można tak kusić los!

Podźwignęła się z powrotem na nogi i otworzyła szafkę.

Dwie niższe półki zajmowała starannie ułożona bielizna pościelowa. Na półce znajdującej się niemal dokładnie na wysokości jej oczu stał niepozorny, drewniany kuferek o wymiarach około dwóch stóp na jedną. W pełnym napięcia skupieniu wdowa przyjrzała się dokładnie usytuowaniu kuferka, po czym ujęła go delikatnie oburącz i przeniosła na podłogę. Na stoliku pod oknem leżała niedokończona akwarela, a obok niej lupa. Chwyciwszy tę ostatnią, wróciła do szafki i poddała uważnej lustracji miejsce, w którym wcześniej stał kuferek. Cztery krawędzie cieniutkiej, niewidocznej gołym okiem warstewki kurzu, która utworzyła się wokół czterech boków kuferka, były idealnie proste i nienaruszone. Dowodziło to niezbicie, że podczas kwadransa spędzonego przez wdowę w pokoju pana Kellera nikt go nie ruszał. Odłożywszy kuferek z powrotem na miejsce, madame Fontaine odetchnęła z ulgą.

Nie mogła jednak uznać za dobry omen faktu, że w nerwowym pośpiechu, z jakim pomknęła przekonać się, czy wezwanie pana Kellera miało związek z datą ślubu, całkowicie zapomniała o przezorności.

– Kiedy tracę zimną krew, jednocześnie tracę swój najcenniejszy skarb – mruknęła do siebie ponuro. – Jeżeli to się znów powtórzy...

Nie dopowiadając już tej ostatniej myśli, przekręciła klucz w drzwiach pokoju i wróciła do kuferka.

Przysiadłszy z nim na kolanach, uniosła wieko.

Pewne charakterystyczne wgłębienia – widoczne w miejscu, w którym pokrywka nachodziła na zamek – świadczyły o tym, że w przeszłości otwierano go siłą. Kiedyś zamek zaciął się i klucz utknął w nim tak mocno, że nie można było go ani przekręcić, ani wyciągnąć. Straciwszy zaufanie do samej siebie, wdowa zastanowiła się teraz poważnie, czy nie opróżnić kuferka i nie posłać go wraz z jego zepsutym zamkiem do naprawy.

„Czy mam tutaj coś – pomyślała – do czego mogłabym przełożyć buteleczki?”

Wyciągnęła z kuferka całą jego zawartość, ustawiając wokół siebie na podłodze owych sześć budzących grozę, szklanych buteleczek, które – zgodnie z przedśmiertnym poleceniem jej męża – wymagały zachowania szczególnej ostrożności. Różniły się od siebie nie tylko kolorem, ale też rozmiarem, jednak dzięki specjalnie dopasowanym do nich przegródkom w kuferku aptecznym nie groziło im przemieszczanie się. Treść etykietek umocowanych na trzech z nich – sprowadzająca się do prymitywnych skrótów w alfabecie łacińskim – była dla madame Fontaine niezrozumiała. Buteleczkę, którą wyjęła z pudełka jako czwartą w kolejności, okrywał arkusik grubego papieru rysunkowego zapisany od wewnątrz tajemniczym szyfrem. Na etykietce buteleczki widniał jednak czytelny opis w języku niemieckim, brzmiący w tłumaczeniu następująco:

Krople Lustrzane. Dawka śmiertelna, jak ustalono w wyniku eksperymentów przeprowadzonych na zwierzętach, identyczna jak w przypadku Wina Aleksandra – z tą różnicą, że zgon następuje szybciej, a jego przyczyna w trakcie pośmiertnego badania jest bardziej nieuchwytna.

Owa notatka została – przy jakiejś późniejszej okazji (sądząc po kolorze atramentu) – częściowo wykreślona piórem. U dołu etykietki, gdzie pozostało jeszcze trochę wolnego miejsca, dopisano (tym samym świeższym atramentem) te oto słowa:

Pomimo wielu cierpliwych eksperymentów nie zdołałem odkryć niezawodnego antidotum na tę piekielną truciznę. W takich okolicznościach nie śmiałybym nawet próbować adaptować jej do użytku medycznego. Należałoby ją zniszczyć, ale nie potrafię pogodzić się z porażką. Jeśli dane mi będzie pożyć trochę dłużej, poświęcę się na jakiś czas innym badaniom, a potem wrócę do niej z odświeżonym umysłem.

Madame Fontaine, owijając buteleczkę z powrotem w papier, znieruchomiała i chciwie przyjrzała się zaszyfrowanym zapiskom po jego wewnętrznej stronie. Być może była to notatka na temat odkrycia antidotum albo jakiegoś świeższego eksperymentu, który rzucił na przerażającą moc trucizny nowe światło? I szyfr tylko czekał na to, żeby odsłonić swoją tajemnicę?

Piąta wyciągnięta przez nią buteleczka zawierała Wino Aleksandra. Jako szóstą i ostatnią wdowa wyjęła z kuferka aptecznego buteleczkę z pamiętnego niebieskiego szkła – tę, która odegrała kluczową rolę w uzdrowieniu pana Kellera.

David Glenney słusznie wywnioskował, że z niebieskiej buteleczki ktoś usunął etykietkę. Madame Fontaine wydobyła ją teraz z pustej przegródki.

Widniejąca na niej notatka (również po niemiecku) głosiła:

Antidotum na Wino Aleksandra. Dawka śmiertelna, na wypadek nieszczęścia, zaznaczona jest na pasku papieru przyklejonym do buteleczki. Miałem do czynienia z przypadkiem nieumyślnego spożycia dwóch płynnych drachm trucizny (znacząco przewyższających dawkę śmiertelną). Działanie trucizny jest

bardzo powolne i mimo że wezwano mnie do ofiary dopiero po upływie trzydziestu sześciu godzin, podanie antidotum przyniosło pomyślny rezultat. Dawkę należy powtarzać co trzy do czterech godzin. Oznaki świadczące o prawidłowym działaniu i konieczności wstrzymania podawania kolejnych dawek to: ustanie drżenia rąk, pojawienie się naturalnej perspiracji oraz przejście pacjenta ze stanu apatycznego bezruchu w stan regenerującego snu. W celu zapewnienia pełnej skuteczności kuracji pacjent powinien przez następnych siedem do dziesięciu dni żywić się samymi jarzynami z ewentualnym dodatkiem śmietany.

Madame Fontaine odłożyła etykietkę na bok i popatrzyła na dwie stojące jedna przy drugiej u jej stóp buteleczki z trucizną i antidotum.

„Władza! – pomyślała, uśmiechając się triumfalnie. – Mam wreszcie władzę, o której marzyłam od zawsze! Wyrastając samotnie ponad zwykłych śmiertelników, jestem panią życia i śmierci. Był pan głuchy na moje przekonywania, panie Keller; był pan głuchy na moje prośby. Z czyją pomocą rzuciłam sobie pana do stóp i skłoniłam do okazania łaskawości mojemu dziecku? Z pomocą mojego sługi: śmierci, która pogroziła panu w nocy – i z pomocą mojego drugiego sługi: życia, które postawiło pana na nogi za dnia. Cóż za potęga! Stoję tutaj, pośrodku tego wielkiego miasta i każdy z jego mieszkańców – od najlepiej do najniżej urodzonych – jest w mojej mocy!”

Spojrzała przez okno swojego pokoju na dachy Frankfurtu. Jej senne zazwyczaj oczy były teraz otwarte szeroko; z jej twarzy biło diaboliczne piękno. Przez jedną krótką chwilę wyglądała niczym demon w ludzkim ciele. Zaraz jednak przemieniła się z powrotem w kobietę – zmrożoną do szpiku kości przerażeniem.

Co było przyczyną owej przemiany?

Zwykłe pukanie do drzwi.

– Kto tam? – zawołała.

Odpowiedział jej głos Słomianego Jacka.

– Halo, madame Fontaine! Proszę wpuścić mnie do środka!

Biorąc się twardo w garść, zapytała przyjaznym tonem:

– Czego chcesz, Jacku?

– Chcę pani pokazać moje klucze.

„Dlaczego miałyby mnie obchodzić klucze tego pomyłonego nieszczęśnika?” – przeszło przez myśl madame Fontaine. Mimo to znów zadbała o to, żeby odpowiedzieć mu możliwie jak najmiłszym tonem głosu.

– Wybacz, Jacku, ale nie mogę cię teraz wpuścić do środka.

– Dlaczego?

– Dlatego, że się ubieram. Jeśli wrócisz za pół godziny, będę bardzo rada się z tobą zobaczyć.

Zza drzwi nie dobiegła już żadna odpowiedź. Jack miał tak lekki krok, że nie sposób było stwierdzić, czy sobie poszedł, czy wciąż stoi pod jej pokojem.

Odczekawszy chwilę, wdowa ostrożnie wyjrzała na korytarz. Jack zniknął. Kiedy przechyliła się przez poręcz i popatrzyła w dół schodów, nie dostrzegła jego śladu.

Znów zamknęła się w swoim pokoju. „Mam nadzieję, że go nie uraziłam!” – pomyślała, wracając do opróżnionego kuferka aptecznego.

Cały czas dręczyła ją obawa, że Jack opowie komuś o tym, co przydarzyło mu się w laboratorium w Würzburgu i że ten ktoś skojarzy opisane przez niego objawy zatrucia z chorobą pana Kellera. Być może gdyby ofiarowała mu jakiś drobny podarunek, udałoby jej się wkupić w jego łaski i do pewnego stopnia zyskać nad nim kontrolę? Prawdopodobnie nikt nie potraktowałby poważnie słów wariata, którego dopiero co wypuszczono z Bedlam. Jednak nietrudno byłoby wzbudzić podejrzenia... Chociaż kłopotliwy David Glenney wyjechał, we Frankfurcie została jego ciotka, a ohydna skłonność do traktowania niemieckich dam z nieufnością zdawała się być w ich rodzinie cechą dziedziczną.

Skończywszy oddawać się owym rozważaniom, madame Fontaine znów skierowała uwagę ku ciągle nierozstrzygniętej kwestii nowego zamka do apteczki.

Zmierzyła najdłuższą z buteleczek (tę, w której mieściło się antidotum) i stwierdziła, że jest za wysoka, żeby mogła schować ją na czas naprawy do kuferka na przybory toaletowe. Z kolei jej kufry podróżne zamykane były na proste zatrzaski i nie zmieściłyby się w bezpiecznym wnętrzu szafki. Miała do wyboru tylko dwa rozwiązania: zostawić buteleczki luzem na półce albo porzucić zamiar wyposażenia kuferka aptecznego w nowy zamek.

W przypadku tego pierwszego jedyne niebezpieczeństwo tkwiło w możliwości ponownego pozostawienia klucza w szafce. Czy po tym, jak najadła się dziś strachu, taka sytuacja mogła się jeszcze raz powtórzyć? Nie warto było nawet się nad tym zastanawiać. Zdążyła już umieścić dwie z buteleczek na półce – kiedy nagle pomysł przekazania pustej apteczki w cudze ręce przestał jej się podobać. Wszyscy współpracownicy profesora Fontaine’a z Würzburga i niektórzy z jego byłych studentów dawniej często widywali jego stary, brzydki kuferek apteczny – który łatwo dało się rozpoznać po wyrytych w jego wieku inicjałach. A gdyby jeden z tych ludzi znalazł się we Frankfurcie i przez przypadek zauważył skradzioną apteczkę w warsztacie ślusarza? Taki zbieg okoliczności wydawał się wyjątkowo mało prawdopodobny – jednak nie można było definitywnie go wykluczyć. Chyba tylko głupiec, znajdując się w tak krytycznym położeniu, w jakim znajdowała się wdowa, kusiłby los – nawet jeśli prawdopodobieństwo wynosiłoby jeden do stu? Zamiast powierzać apteczkę nieznanemu, mądrzej byłoby spalić ją przy pierwszej nadarzającej się okazji i na czas dalszego pobytu w domu pana Kellera zadowolić się szafką. Doszedłszy do tego wniosku, madame Fontaine odłożyła kuferek apteczny z powrotem na półkę wraz z całą jego zawartością – nie licząc etykiety oderwanej z niebieskiej buteleczki.

W dojmującym poczuciu braku zaufania do samej siebie pomyślała teraz, że

owa etykieta mogłaby stać się niebezpiecznym dowodem przeciw niej, gdyby jakimś niefortunnym zrządzeniem losu trafiła w ręce któregoś z domowników. Biorąc ją w dłoń, ruszyła w kierunku kominka z zamiarem zniszczenia jej – zaraz jednak przystanęła i powtórnie się jej przyjrzała.

Zostały jej jeszcze prawie całe dwie dawki antidotum. Któż mógł wiedzieć, czy preparat, który już raz tak dobrze się jej przysłużył, nie będzie kiedyś w przyszłości znów potrzebny? Czy mogła mieć pewność, że jeśli zniszczy etykieta, będzie pamiętała instrukcje precyzujące odstęp czasu pomiędzy kolejnymi dawkami, oznaki zapowiadające ozdrowienie i to, jak długo ofiara zatrucia powinna żywić się samymi jarzynami?

Jeszcze raz uważnie przeczytała pierwsze zdania.

Antidotum na Wino Aleksandra. Dawka śmiertelna, na wypadek nieszczęścia, zaznaczona jest na pasku papieru przyklejonym do buteleczki. Miałem do czynienia z przypadkiem nieumyślnego spożycia dwóch płynnych drachm trucizny (znacząco przewyższających dawkę śmiertelną). Działanie trucizny jest bardzo powolne i mimo że wezwano mnie do ofiary dopiero po upływie trzydziestu sześciu godzin, podanie antidotum przyniosło pomyślny rezultat. Dawkę należy powtarzać co...

W dalszych słowach notatki nie było już niczego podejrzanego i same w sobie mogłyby dotyczyć dowolnego leku na dowolną chorobę. W pierwszej chwili wdowa pomyślała, żeby odciąć górną część etykiety – jednak kolejne linijki pisma znajdowały się tak blisko siebie, że tego rodzaju zabieg byłby zbyt łatwo dostrzegalny. Otworzywszy swój kuferek z przyborami toaletowymi, madame Fontaine wyjęła z niego pospolite kartonowe pudełeczko – zakupione w aptece i opatrzone imponującą nazwą: Macula Exstinctor, czyli Pogromca Plam. Był to zwyczajny środek w proszku do wywabiania plam z odzieży. Wydrukowana na kartoniku instrukcja podawała, że proszek – po częściowym rozpuszczeniu w wodzie – doskonale usuwa także atrament z papieru, w najmniejszy sposób nie niszcząc tego ostatniego i pozostawiając na jego powierzchni jedynie nieznaczny połysk. Przy pomocy owego środka madame Fontaine wymazała cztery pierwsze zdania widniejące na etykietce, dzięki czemu notatka zaczynała się teraz od niewinnie wyglądającej informacji na temat dawkowania specyfiku.

– Teraz mogę mieć pewność, że odświeżając mi pamięć, nie zdradzisz mnie przy okazji – powiedziała cicho, umieszczając etykieta z powrotem w kufierku aptecznym. Co do wspomnianej w notatce dawki trucizny, wiedziała, że nie zapomni jej wielkości. W pamięci miała wyryty obraz szklanej miarki do lekarstw napełnionej do wysokości drugiej kreski.

Zamknąwszy starannie szafkę i włożywszy klucz do kieszeni, była teraz gotowa na spotkanie z Jackiem. Jeden rzut oka na zegarek uświadomił jej, że wyznaczone pół godziny już dawno upłynęło. Otworzyła drzwi pokoju. Na

zewnątrz nie było nikogo. Spoglądając w dół schodów, cicho zawołała: „Jacku!”, ale nie doczekała się żadnej odpowiedzi. Ten przewrażliwiony na własnym punkcie człowieczek najwyraźniej się na nią obraził.

Pamiętając, jak bardzo mogłaby jej zaszkodzić nadmierna skłonność Jacka do zwierzeń, uznała, że należy bezzwłocznie postarać się ukoić jego zranioną próżność. Jeśli nie wyszedł z domu, odszukanie go nie powinno stanowić żadnego problemu: musiał być tam, gdzie przebywała w tej chwili jego pani.

Nie znalazłszy go pod sypialnią pani Wagner, wdowa zeszła po schodach do służbowej części domu. W prywatnym gabinecie należącym dawniej do pana Engelmana zastała pracującą przy biurku panią Wagner. Słomiany Jack siedział na staroświeckiej ławeczce pod oknem, zajęty wykańczaniem słomkowego kapelusza, który obiecał podarować Minnie.

Rozdział 3

Pośród atmosfery przygnębienia, która zapanowała w domu po śmierci pana Engelmana, pani Wagner rzuciła się – z właściwą sobie energią i pragmatyzmem – w wir pracy. Podczas godzin urzędowania biura pieczołowicie zgłębiała te aspekty działalności frankfurckiej filii, które odróżniały ją od działalności głównej siedziby firmy w Londynie – i niebawem miała już wystarczającą wiedzę, by być w stanie przejąć po zmarłym panu Engelmanie jego obowiązki. Po godzinach pracy korespondowała z pewnym angielskim pisarzem, którego pisma na temat metod leczenia obłąkanych odkryła w bibliotece męża i któremu starała się teraz dopomóc w staraniach o zwrócenie uwagi świata na propagowane przez niego humanitarne idee. Jakby tego było mało, owa niestrudzona kobieta wciąż pamiętała o planie przyjęcia do pracy w odpowiednich działach biura młodych dziewcząt o nieposzlakowanej opinii. Wrodzona delikatność, która nakazała jej oszczędzić panu Kellerowi silnych emocji w trakcie jego rekonwalescencji, nie pozwalała jej jeszcze poruszyć drażliwego tematu teraz, kiedy ciągle dochodził do siebie po nieszczęściu, jakim była śmierć jego współnika. Jednak zdążyła już dyskretnie zapoczątkować we Frankfurcie pewne działania, które w stosownym czasie – prawdopodobnie zaraz po ślubie Fritza i Minny – miały pomóc jej w wyborze kandydatek do zatrudnienia.

– Proszę mnie od razu wyprosić, jeśli pani przeszkadzam – rzekła madame Fontaine, przystając taktownie w progu pomieszczenia. Mówiła po angielsku doskonale i chociaż dobrze wiedziała, że pani Wagner mówi równie doskonale po niemiecku, zawsze uparcie zwracała się do niej w jej rodzimym języku.

– Ależ zapraszam do środka – odpowiedziała pani Wagner. – Piszę właśnie do Davida Glenneya, żeby przekazać mu (na prośbę Minny), że data ślubu została już wyznaczona.

– Proszę serdecznie go ode mnie pozdrowić, pani Wagner. Pani siostrzeniec przyjedzie oczywiście na uroczystość?

– Tak, pod warunkiem, że nie zatrzymają go w Londynie żadne obowiązki. Czy mogłabym coś dla pani zrobić, madame Fontaine?

– Bardzo dziękuję, ale nie. Proszę tylko wybaczyć moje najście. Obawiam się, że uraziłam naszego małego przyjaciela, który siedzi tam pod oknem z tym ślicznym, słomkowym kapelusikiem w rękę, i chciałabym się z nim pojednać.

Jack spojrział znad kapelusza wzrokiem pełnym dumnej pogardy.

– Och, to bez znaczenia – rzucił najbardziej wyniosłym tonem, na jaki tylko było go stać.

– Kiedy zapukał do moich drzwi, właśnie się ubierałam – ciągnęła madame Fontaine – więc poprosiłam, żeby wrócił pokazać mi klucze za pół godziny.

Dlaczego nie wróciłeś, Jacku? Może pokażesz mi je teraz?

– Widzi pani, to wewnętrzna sprawa firmy – odrzekł tym samym wyniosłym tonem, co przedtem. – Ja należę do firmy: jestem w niej klucznikiem. Moja pani należy do firmy. Pan Keller należy do firmy. Pani nie należy do firmy. Więc to bez znaczenia. Bóg mi świadkiem: bez znaczenia.

Pani Wagner pogroziła mu palcem.

– Jacku! Nie zapominaj, że rozmawiasz z damą!

Jack przycisnął sobie dłoń do głowy w zuchwałym geście, który zdawał się mówić, że poprosiła go o coś, co do pewnego stopnia przekraczało możliwości jego umysłu.

– Wszystko, żeby zadowolić waszmość panią. Pokażę jej go.

Powiedziawszy to, zademonstrował madame Fontaine skórzany, przewiązany rzemieniem woreczek.

– Klucze są w środku – wyjaśnił. – Nosilem je dziś rano luzem. Tak pięknie pobrzękiwały! Były jak muzyka dla moich uszu. Jednak moja pani uznała, że ich dźwięk z czasem stanie się nieznośny. Więc żeby nie robiły hałasu, włożyłem je do woreczka, który przewiązałem rzemykiem. Gdy dokądś idę, zawieszam sobie woreczek na ramieniu, o tak: przy pomocy drugiego rzemyka. Jeśli klucze są komuś potrzebne, otwieram woreczek. Pani nie są potrzebne, nie należy pani do firmy. Swoją drogą, zamierzam pójść pokazać się z moim woreczkiem do najlepszej dzielnicy miasta. Przy takiej okazji powinienem chyba prezentować się jak dżentelmen... Powinienem mieć na sobie rękawiczki... Och, to bez znaczenia! Nie będę pani dłużej zatrzymywał. Miłego dnia!

Złożył jej wyszukany ukłon i gestem dłoni dał znać, że nie będzie już potrzebował jej uwagi. W głębi duszy wciąż płonął chęcią pokazania jej kluczy, jednak w swojej nieokiełznanej, nieuleczalnej próżności postanowił, że nie otworzy woreczka, dopóki wdowa sama go o to nie poprosi. Ta, nie przejawiając żadnego zainteresowania jego skarbem, wybrała krótszą drogę do zawarcia pokoju i sięgnęła po swoją portmonetkę.

– Pozwól, że podaruję ci pieniądze na zakup nowych rękawiczek – rzekła z ujmującym uśmiechem.

Jack w jednej chwili zapomniał o swojej godności.

Zeskoczywszy z ławeczki pod oknem, rzucił się w kierunku wyciągniętych do niego pieniędzy tak, jak wygłodzone zwierzę rzuca się na kawałek mięsa. Pani Wagner złapała go za ramię i spojrzała mu prosto w oczy. Jack opuścił wzrok ze wstydem.

– Och, oczywiście! – powiedział. – Zupełnie zapomniałem o manierach i nie podziękowałem. To tylko chwilowe roztargnienie, jak sądzę. Dziękuję, pani gospodyni.

Chwilę potem on i jego woreczek znajdowali się już w drodze do

najmodniejszej dzielnicy miasta.

– Mam nadzieję, że wybaczy pani mojemu biednemu Jackowi – rzekła pani Wagner.

– Droga pani, Jack tak mnie bawi!

Ton głosu wdowy sprawił, że pani Wagner skrzywiła się delikatnie.

– Oduczyłam go już wszystkich najgorszych nawyków, jakie wyniósł ze swojego przykrego pobytu w zakładzie dla obłąkanych – powiedziała – ale ta jego nieszkodliwa próżność wydaje się być nieuleczalną, wrodzoną cechą charakteru i nie jestem w stanie w żaden sposób jej zaradzić. Kiedy powierza się jego opiece jakiś przedmiot, chodzi dumny niczym paw. Długo musiał tutaj czekać na swoje klucze, gdyż dotychczas byłam zajęta istotniejszymi sprawami. Za parę dni przywyknie do tego swojego, jak sam to określa, „wielkiego obowiązku”.

– Ale oczywiście nie powierza mu pani żadnych ważnych kluczy? – wtrąciła madame Fontaine. – Nie oddaje mu pani na przykład klucza od tego biurka?

Spojrzenie szarych oczu pani Wagner rozplómiło się.

– Mogę powierzyć mu wszystko – odparła z naciskiem.

Madame Fontaine uniosła swoje piękne brwi w niemym wyrazie uprzejmego zdumienia.

– Z doświadczenia wiem – ciągnęła pani Wagner – że zdolność do wdzięczności to cnota najrzadziej spotykana wśród ludzi. Mój biedny, pozbawiony przyjaciół Jack na tyle różnych sposobów okazywał mi swoją wdzięczność... Dzięki temu wiem, że mogę mu ufać.

– Oddałaby mu pani pod opiekę pieniądze? – zapytała wdowa.

– Naturalnie. Robiłam to w Londynie i nigdy się na nim nie zawiodłam. Przygotowywałam go do tego zadania, odwołując się do jego poczucia godności i obowiązku, co on zawsze doceniał. Jak dotąd, nie dałam mu jeszcze klucza od tego biurka, bo ma to być dla niego specjalna nagroda za dobre zachowanie. Za kilka dni niewątpliwie będzie mógł go wrzucić do swojego woreczka.

– Ach – westchnęła madame Fontaine, jak nikt inny wiedząc, kiedy powinna uderzyć w pokorny ton. – Ma pani duże rozeznanie w tych skomplikowanych sprawach i ten słynny, angielski zdrowy rozsądek. Ja jestem tylko prostą Niemką. Ale, jak to mawiacie w Anglii, człowiek uczy się przez całe życie. Niezwykle mnie pani zaintrygowała. Miłego dnia.

Po tych słowach wyszła z pokoju.

– Wstrętna kobieta! – powiedziała do siebie w swoim języku, znalazłszy się po drugiej stronie drzwi.

– Obludnica! – powiedziała pani Wagner do siebie w swoim języku, gdy została sama w gabinecie.

Gdyby w stosunkach między tymi dwoma damami było więcej serdeczności albo gdyby madame Fontaine wykazała większą ciekawość w temacie kluczy

szalonego Jacka, wdowa mogłaby wynieść z owej rozmowy pewne cenne dla siebie informacje. W tej sytuacji jednak pani Wagner nie widziała powodu, dla którego miałaby zanudzać rozmówczynię szczegółami na temat tego, w jaki sposób postanowiła rozwiązać kwestię zapelnienia skórzanego woreczka Jacka.

Na samym początku, w Londynie, podarowała mu przez ostrożność tylko kilka z owych bezużytecznych, starych kluczy, które gromadzą się wraz z upływem lat w każdym domu. Kiedy jego pierwszy zachwyt samym faktem posiadania ich minął i począł marzyć o możliwości użycia ich zgodnie z celem ich przeznaczenia, dołożyła do nich jeden lub dwa ze swoich własnych kluczy i od czasu do czasu schlebiała jego próżności, prosząc go, żeby otworzył dla niej, w zależności od konieczności, jakiś kufer albo biurko. Stosując potem tę samą mądrą strategię małych kroków we Frankfurcie, poprosiła o pomoc pana Kellera, który zaprowadził ją (pod nieobecność Jacka) do piwnicznego pomieszczenia służącego za domową graciarnię i wskazał na kilka starych kluczy porzuconych na podłodze.

– Może wziąć ich pani tyle, ile będzie chciała – powiedział. – Leżą tutaj (jeżeli się nie mylę) od ostatniego remontu domu przeprowadzonego za czasów mojego dziadka i gdyby było ich więcej, już dawno zostałyby oddane na złom.

Pani Wagner zabrała sześć pierwszych z brzegu kluczy i uczyniła Słomianego Jacka najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. Fakt, że były zardzewiałe, nie tylko nie zmącił jego radości, ale wręcz ją spotęgował. Ciesząc się na samą myśl o tym, że będzie mógł je wyczyścić, zapowiedział swojej pani:

– Kiedy z nimi skończę, będą błyszczały jak diamenty!

Co więc madame Fontaine straciła na tym, że ominęły ją te wszystkie błahe informacje? Nigdy się tego nie dowiedziała. Jeszcze jednak nie uporała się ze Słomianym Jackiem.

Rozdział 4

Po wyjściu z gabinetu pani Wagner madame Fontaine chwilę pomyślała, po czym ruszyła do prywatnej części domu na poszukiwanie córki.

Otworzywszy drzwi jadalni, zobaczyła na stole planszę do gry. Fritz i Minna rozgrywali chaotyczną partię bagateli – naznaczoną nieuchronnymi, właściwymi okresowi narzeczeństwa przerwami.

– Przyłączy się mama do nas? Fritzowi gra idzie bardzo kiepsko.

– Rzeczą tego rodzaju wymaga matematycznej kalkulacji – zauważył Fritz – a Minna mnie rozprasza.

Madame Fontaine przyjęła te słowa z uśmiechem pełnym matczynej pobłażliwości.

– Wstąpiłam po drodze, wracając do swojego pokoju – rzekła. – Gdyby któreś z was spotkało przypadkiem Słomianego Jacka...

– Jack wyszedł – przerwał jej Fritz. – Widziałem go przez okno. Z początku biegł, ale po chwili przypomniał sobie o poczuciu godności i zwolnił kroku. Ciekawe, w jakim stanie wróci?

– Wróci jeszcze dumniejszy niż zwykle. Dałam mu pieniądze na nowe rękawiczki. Jeśli któreś z was natknie się na niego, powiedzcie mu, żeby przyszedł do mnie na górę pochwalić się nowym nabytkiem. Lubię dogadzać temu nieszczęsnemu, bezrozumnemu stworzeniu. Nie wolno wam się z niego śmiać, powinniśmy mu współczuć.

Wygłosiwszy owe wielkoduszne słowa, zostawiła zakochanych sam na sam z ich planszą do gry. Sądziła, że w pierwszym zachwycie nowym podarunkiem Jack będzie podatniejszy na jej wpływy i sugestie. Miała teraz niepowtarzalną szansę zabezpieczyć się na wypadek, gdyby postanowił wspomnieć komuś o tym, co przydarzyło mu się w Würzburgu. Wszyscy domownicy wiedzieli, że pani Wagner chciała wrócić do Londynu zaraz po ślubie – jak tylko pozwolą jej na to jakieś ważne względy związane z działalnością biura. Według obliczeń madame Fontaine Jack miał wynieść się z Frankfurtu i przestać stanowić dla niej zagrożenie (jeżeli do tego czasu udałoby się go unieszkodliwić) najdalej za sześć tygodni.

W jadalni wciąż toczyła się owa nieregularna partia bagateli. Fritz, chociaż niczego nie można by mu zarzucić jako narzeczonemu, jako gracz nie zdradzał żadnych oznak poprawy. Podczas jednej z dłuższych przerw w grze – w chwili, gdy dwoje zawodników znajdowało się właśnie plecami do drzwi – wystąpiła pewna niemiła komplikacja. Nagle panującą w pokoju ciszę zakłócił napastliwy głos:

– Hej, wy dwoje! Jeśli chcecie zobaczyć najwspanialsze rękawiczki we Frankfurcie, spójrzcie tutaj!

W progu stał dumny jak paw Jack, wyciągając ku nim parę

jaskrawozielonych rękawiczek.

– Dlaczego zawsze wchodzisz bez pukania? – zapytał Fritz ze zrozumiałym oburzeniem.

– Dlaczego zawsze obejmujesz ją w talii? – odparował Jack. – Hejże, panno Minno! Im częściej on pannę całuje, tym bardziej wydaje się to pannie podobać. To tylko taka moja mała uwaga.

– Pozbądź się go, na litość boską! – wyszeptała Minna.

– Idź na górę! – zawołał Fritz.

– Co? Jeszcze nie macie dosyć? – zapytał Jack.

– Idź pokazać swoje rękawiczki madame Fontaine – powiedziała Minna, szybko orientując się, w jaki sposób najłatwiej będzie im się pozbyć Jacka. Ten przyjął jej sugestię z entuzjazmem.

– Ach! – wykrzyknął. – To wspaniały pomysł! Ty, Fritz, nigdy byś na taki nie wpadł, co?

Zanim Fritz zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Jack znajdował się już poza zasięgiem jego głosu.

Wdowa siedziała w swoim pokoju i z miną niewiniątka czytała gazetę. Jakimś przedziwnym trafem na stoliku obok niej stało ciasto, a przy nim butelka musującej lemoniady. Kiedy Jack wszedł do środka, jego oczy pojaśniały na ów widok.

– Oto i one! – powiedziała madame Fontaine, przyglądając się rękawiczkom z głową przekrzywioną w jedną stronę, niczym znawca podziwiający w skupieniu wspaniałe dzieło sztuki. – Jakie piękne! Masz wyśmienity gust, Jacku!

Jack (wciąż wpatrując się w ciasto) przyjął pochlebne słowa jako w pełni należny mu hołd.

– Jestem bardzo zadowolony ze swojego spaceru – zauważył. – Wywarłem na ludziach wspaniałe wrażenie. Jeśli ich uwagi wcześniej nie zaprzątnął mój woreczek z kluczami, to teraz nie mogli oderwać wzroku od moich rękawiczek. Ja jednak wykazałem się należyłą skromnością i potraktowałem ich wszystkich jak powietrze.

– Być może spacer zaostrzył trochę twój apetyt? – zapytała wdowa.

– Co pani powiedziała? – zawołał Jack. – Apetyt? Bóg mi świadkiem, mógłbym pochłonąć... Nie, dżentelmenowi nie przystoi tak mówić. Kiedy ostatnim razem powiedziałem w biurze: „Bóg mi świadkiem”, moja pani posłała mi jedno z tych swoich spojrzeń. Tak, dziękuję. Nie pogardziłbym ciastem. Proszę wybaczyć, mam nadzieję, że są w nim śliwki?

– Śliwki i inne smakowite rzeczy. Poczęstuj się!

Jack, wiedząc, co to dobre maniery, bardzo starał się poprzestać na małym kawałeczku. Natura jednak wzięła nad nim górę. Uwielbiał słodcze niczym małe dziecko i nie zdołał pohamować łapczywości.

– Hm, ni z tego, ni z owego zrobiła się pani dla mnie niezwykle miła! – wykrzyknął pomiędzy kolejnymi kęsami ciasta. – W Würzburgu tak mnie pani nie rozpieszczała!

Madame Fontaine czekała właśnie na taką okazję i nie zamierzała jej zmarnować.

– Och, Jacku! – powiedziała tonem delikatnego wyrzutu. – Czy nie opiekowałam się tobą w Würzburgu, gdy byłeś chory?

– No tak – przyznał Jack. – Poniekąd tak.

– Co przez to rozumiesz?

Wraz z dojedzeniem pierwszego kawałka ciasta grzeczny dotąd Jack począł się rozzuchwalać.

– Wykonywała pani tylko polecenia doktora, mojego pana – rzekł. – I nie sądzę, żeby obchodziło panią, czy przeżyję. Kiedy trzeba było, dla przykładu, otulić mnie pościelą w łóżku, robiła to pani z rażącą obojętnością. Ha! Od tamtego czasu bardzo się pani poprawiła. Proszę dać mi jeszcze trochę ciasta. I tym razem proszę kroić grubo. Czy ta lemoniada jest dla mnie?

– Po tym, co o mnie powiedziałeś, raczej na nią nie zasługujesz. Pamiętasz – dodała, ostrożnie nakierowując rozmowę na właściwy tor – że kiedy byłeś chory, też przynosiłam ci lemoniadę?

Jack znów przekornie zmienił temat.

– Jest pani taka łasa na komplementy – zarzucił jej. – Czy nie stwierdziłem przed chwilą, że się pani poprawiła? Oby tak dalej, a wkrótce być może zacznę szanować panią tak jak moją panią. Gdy będzie pani otwierała butelkę, proszę postarać się, żeby korek strzelił; lubię wszelkiego rodzaju odgłosy. Pani zdrowie! Czy wypada mlaskać przy picciu lemoniady? Jej smak i to piekące uczucie, kiedy spływa do gardła, są takie przyjemne! Nie poiła mnie pani taką lemoniadą, gdy byłem chory. Och! To mi przypomniało...

– Jakieś zdarzenie z Würzburga? – zapytała madame Fontaine.

– Tak. Proszę zaczekać. Sprawdzę, jak ciasto będzie smakowało po zanurzeniu w lemoniadzie. Ha! Ha! Ależ skwierczy, kiedy się w niej nim miesza! Dokładnie tak, jak pani mówi... pewne zdarzenie z Würzburga. Chciałem porozmawiać o tym z Davidem owego ranka, gdy wyjeżdżał. Ale czekał na niego dyliżans. I David uciekł, nie odpowiadając nawet słowem na moje pytanie. Dla mnie to brak wychowania.

Gdyby nie to, że nadal mieszał w lemoniadzie kawałkiem ciasta, być może dostrzegłby w tamtej chwili w wyrazie twarzy wdowy coś, co by go przestraszyło. Podniósł na nią wzrok dopiero, kiedy się odezwała. Ze wszystkich zmysłów najbardziej wyostrzony miał słuch i uderzyło go to, jak zmienił się jej głos.

– O co zapytałeś Davida? – tylko tyle zdołała z siebie wydusić.

Jack wciąż się w nią wpatrywał.

– Czy coś się stało?
– Nie. O co zapytałeś Davida?
– O coś, czego byłem ciekawy.
– Być może ja umiałabym odpowiedzieć na twoje pytanie?
– Nie zdziwiłbym się. Nie, zanurzenie ciasta w lemoniadzie wcale nie poprawia jego smaku, za to zostawia okruchy w napoju.

– Wyrzuć ten kawałek ciasta, Jacku i weź sobie nowy.

– Mogę sam ukroić?

– Naturalnie. Ale nie powiedziałaś mi jeszcze, czego byłeś ciekawy.

Jack tym razem wreszcie odpowiedział wprost.

– Byłem ciekawy – oznajmił – kto otruił pana Kellera.

Mówiąc to, odkroił sobie kawałek ciasta, z którego następnie wydłubał koniuszkiem noża strzępek kandyzowanej skórki pomarańczowej. Kolejny raz jego uwadze umknął wyraz twarzy wdowy. Madame Fontaine szybko podeszła do kominka i zajęła się podsycaniem gasnącego ognia. Dopiero teraz, odwrócona plecami do stołu, ośmieliła się przemówić:

– Opowiadasz głupstwa! – rzekła.

Jack znieruchomiał z kawałkiem ciasta w połowie drogi do ust. Owe słowa były bezpośrednim atakiem na jego godność i ani myślał puścić je mimo uszu.

– Ja nigdy nie opowiadam głupstw – odparł surowym tonem.

– Opowiadasz – także ostro odrzekła madame Fontaine. – Pan Keller po prostu zachorował. Nikt go nie otruił.

Jack zerwał się na równe nogi, na moment zapominając o swoim kawałku ciasta.

– Nikt? – powtórzył. – Proszę mi powiedzieć, jeśli łaska: czy pana Kellera nie uzdrowiło, tak jak mnie, lekarstwo w buteleczce z niebieskiego szkła?

(Skąd o tym wiedział? Joseph mógł mu powiedzieć; Minna mogła mu powiedzieć. To nie była jednak dobra pora na zadawanie pytań. Czym prędzej należało wybić mu z głowy ten pomysł...)

– To akurat prawda – przyznała śmiało madame Fontaine, czekając, co z tego wyniknie.

– Bardzo dobrze – rzekł Jack. – Pana Kellera uzdrowiło tak jak mnie lekarstwo w buteleczce z niebieskiego szkła. A ja zostałem otruty. No więc?

Wdowa znów stanowczo mu zaprzeczyła:

– Nie zostałeś otruty!

Jack z błyskiem dawnego szaleństwa w oczach ruszył przez pokój ku kominkowi, przy którym stała.

– Ojcem wszystkich kłamstw jest diabeł – powiedział, unosząc uroczyście dłoń. – Żadnych kłamstw! Słyszałem, jak doktor, mój pan, mówił, że zostałem otruty.

Wdowa miała już na to gotową odpowiedź:

– Doktor, twój pan, powiedział to, żeby cię nastraszyć. Miał nadzieję, że dzięki temu już nigdy nie przyjdzie ci do głowy pomysł posmakowania któregoś z jego preparatów. Kiedy skusiło cię tamto ładne, fioletowe lekarstwo z laboratorium twojego pana, wypiełeś go, zachłanny Jacku, dwa razy więcej niż należało. I tylko sobie, a nie żadnej truciźnie, zawdzięczasz to, że się rozchorowałeś.

Jack patrzył na nią wytężonym wzrokiem. Dotąd całkiem logicznym wydawało mu się to, że skoro panu Kellerowi i jemu pomogło to samo lekarstwo, obaj musieli spożyć tę samą truciznę. Sugestia, że przy pomocy tego samego środka można wyleczyć dwie różne osoby z dwóch różnych chorób zupełnie zbiła go z tropu. Zwiesiwszy ponuro głowę, wrócił do stołu.

– Żałuję, że panią o to zapytałem – powiedział. – Strasznie namąciła mi pani w głowie.

Gdyby nie chaos, który zapanował nagle w jego umyśle, potraktowałby słowa wdowy z tą samą podejrzliwą nieufnością co zawsze. Teraz jednak podświadomie wybrał łatwiejsze rozwiązanie, jakim było uznanie ich za prawdę.

– Jeżeli to było lekarstwo, to na co? – zapytał nieszczęśnik nieobecny tonem.

W tym momencie madame Fontaine wpadła na pomysł, który musiał jej podszeptać sam diabeł. Stojąc wciąż przy kominku, powoli odwróciła głowę w kierunku szafki umocowanej we wnęce ściany.

– To lekarstwo jest jeszcze lepsze od tego z niebieskiej buteleczki – oznajmiła. – Działa jakby ręką odjął na zmęczenie i wszelkie zmartwienia, więc przywiozłam je ze sobą z Würzburga na własny użytek.

Oblicze Jacka pojaśniało z ciekawości.

– Och! – zawołał z zapałem. – Proszę pozwolić mi zobaczyć je jeszcze raz!

Wdowa wsunęła dłoń do kieszeni i wyjęła z niej klucz, lecz w ostatniej chwili zawahała się.

– Tylko na nie zerknę, żeby się przekonać, czy na pewno rozmawiamy o tym samym – prosił Jack.

Madame Fontaine przekręciła klucz w szafce.

Jack próbował podejść i zajrzeć do jej środka, ale wdowa powstrzymała go gestem dłoni.

– Zaczekaj przy oknie – poleciła. – Tam będziesz mógł obejrzeć lekarstwo w dobrym świetle. – Wyjęła Wino Aleksandra z kufereka aptecznego i zamknąwszy z powrotem szafkę, wsunęła klucz do kieszeni. – Przypominasz sobie? – zapytała, pokazując mu buteleczkę.

Jack wzdrygnął się, rozpoznając jej kolor.

– To lekarstwo? – mruknął pod nosem, ogarnięty jakimiś nowymi,

nieokreślonymi wątpliwościami. – Nie pamiętam, ile go wypilem. A pani?

– Już ci mówiłam. Wypiłeś podwójną dawkę.

– Tak powiedział doktor, mój pan?

– Tak.

– I powiedział pani, jaka jest właściwa dawka?

– Tak.

Jack nie był w stanie oprzeć się pokusie.

– Chciałbym ją zobaczyć! – powiedział z zapałem. – Mój pan był wspaniałym człowiekiem. Mój pan wszystko wiedział!

Madame Fontaine zerknęła na niego. Czekał na to, by spełniła jego życzenie tak, jak małe dziecko czeka na zabawkę, którą mu obiecano.

– Mam ją odmierzyć i ci pokazać? – zapytała. – Przypuszczam, że nie wiesz, co oznaczają dwie drachmy?

– Nie, nie! Proszę pozwolić mi zobaczyć!

Wdowa ponownie na niego popatrzyła i zawahała się. Z pewnym niezdecydowaniem otworzyła kuferek na przybory toaletowe. Kiedy wyjmowała z niego szklaną miarkę do lekarstw, jej ręka zadrżała, a na czole pojawiły się delikatne kropelki wilgoci.

– Dlaczego tak bardzo ciekawi cię, jak wygląda właściwa dawka tego lekarstwa? – odezwała się do Jacka, kładąc miarkę na stole. – Przewidujesz, że kiedyś może być ci potrzebne?

Jego oczy patrzyły pożądliwie na truciznę.

– Działa jakby ręką odjął na zmęczenie i wszelkie zmartwienia – odrzekł, powtarzając jej słowa. – A ja jestem nieduży i czasami męczę się łatwiej, niż mogłaby się pani spodziewać.

Madame Fontaine otarła czoło chusteczką.

– Pokój dość mocno nagrzał się od ognia – zauważyła.

Jack nie zwrócił uwagi na jej słowa; jeszcze nie skończył zwierzać się ze swoich drobnych dolegliwości i nie dowiódł w pełni prawa do otrzymania części cudownego lekarstwa.

– A co do zmartwień – ciągnął dalej – nawet sobie pani nie wyobraża, jak bardzo czasem mi dokuczają. Jeśli moja pani nie pozwala mi się zbliżyć do siebie przez cały dzień – po tym, jak powiem albo zrobię coś niewłaściwego – wtedy, daję słowo, mam ochotę się powiesić! Gdyby zobaczyła mnie pani w takiej chwili, zaiste wzruszyłaby się pani!

Nie odpowiadając mu ani słowem, wdowa podniosła się gwałtownie i pospieszyła do drzwi.

– Na zewnątrz ktoś chyba jest! – wykrzyknęła. – Ktoś chyba przyszedł ze mną porozmawiać!

– Niczego nie słyszę – stwierdził Jack. – A mam najlepsze uszy w tym

domu.

– Zaczekaj chwilę, sprawdzę.

Madame Fontaine otworzyła drzwi, zamknęła je znów za sobą i ruszyła przez pusty korytarz. Otworzywszy okno na końcu korytarza, z uczuciem dzikiej ulgi wystawiła głowę na przenikliwie zimne powietrze. Prawie odchodziła od zmysłów, chociaż nie wiedziała, dlaczego. Przekonywania biednego, niczego nieświadomego Jacka, próbującego w swojej naiwności nakłonić ją, żeby doprowadziła do jego zguby, wstrząsnęły do głębi tą skomplikowaną wewnątrz, przerażającą kobietą. Znalazłszy się oko w oko z występkiem, który planowała, zatrwożyła się jego perfidią. „Co mi się stało? – zastanowiła się w duchu. – Czuję, że byłabym w stanie własnoręcznie zniszczyć każdą z trucizn znajdujących się w apteczce”.

Powoli ruszyła z powrotem przez korytarz. Rześkie powietrze ukoilo jej skołatane nerwy i poczęła dochodzić do siebie. Pokrzepienie ciała korzystnie wpłynęło na jej łamiącego się ducha. Spoglądając na buteleczkę z trucizną, którą wciąż trzymała w dłoni, uśmiechnęła się na wspomnienie owej krótkotrwałej chwili słabości. „Zanim nadejdzie dzień ślubu, to małe, niewydarzone stworzenie mogłoby narobić jakichś poważnych szkód – pomyślała. – A jednak... a jednak...”

– A więc był ktoś za drzwiami? – zapytał Jack.

– Nieważne – odpowiedziała mechanicznie. Coś w jego zachowaniu, a może coś w niej samej, nie sposób było stwierdzić, cofnęło ją nagle pamięcią do dnia, w którym jej mąż wyrwał go z objęć śmierci. To, że myśl o nieżyjącym doktorze wkradła się między nich dwoje w takiej chwili, wydało jej się dziwne.

Jack przywołał ją do terażniejszości, wręczając jej miarkę do lekarstw, którą zostawiła na stole.

– Z przerażeniem myślę o tym, co zrobiłem – powiedział. – Ale to lekarstwo ma taki ładny kolor. Chcę je zobaczyć jeszcze raz.

W milczeniu ujęła szklaną miarkę; w milczeniu odmierzyła śmiertcionośną, podwójną dawkę trucizny i pokazała mu ją.

– Niech mi pani to do czegoś przeleje i pozwoli zatrzymać – poprosił. – Wiem, że kiedyś mi się przyda.

W dalszym ciągu milcząc, wdowa odwróciła się do stołu i odszukała w kuferku na przybory toaletowe mały, pusty flakonik. Przeląła do niego ostrożnie truciznę, po czym zabezpieczyła go szklaną zatyczką. Jack wyciągnął rękę, ale madame Fontaine nagle cofnęła swoją.

– Nie – powiedziała. – Rozmyśliłam się i nie dam ci go.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie wiesz, co to dochowanie tajemnicy, i nie potrafisz trzymać języka za zębami. Rozpoviesz wszystkim domownikom, że podarowałam ci moje cudowne lekarstwo. Potem każdy będzie chciał trochę dla siebie i nie zostanie nic

dla mnie.

– Czy to nie samolubne? – zapytał Jack. – Ale chyba też zrozumiała... Nieważne, zrobię wszystko, żeby panią zadowolić. Będę trzymał je w kieszeni i nikomu nie pisnę ani słowa. A więc?

Po raz kolejny wyciągnął rękę. A madame Fontaine po raz kolejny powstrzymała się w ostatniej chwili. Znow wkradł się między nich jej nieżyjący mąż. Przypomniały jej się słowa, które wypowiedział do niej dzikim głosem w pierwszym porywie przerażenia, kiedy odkrył, że jego nieszczęsny, nierozgarnięty służący napił się śmiertelnej substancji. „Jeżeli on umrze, ja też długo nie pożyję. I jestem święcie przekonany, że nie zaznam odpoczynku w grobie”. Sama, w przeciwieństwie do męża, nigdy nie wierzyła w duchy: uważała, że takie przesady nie przystoją rozumnej istocie. Teraz jednak była tak rozstrojona nerwowo, że rozejrzała się po owym starym, gotyckim pokoju z nieokreślonym dygotem serca.

To wystarczyło – chociaż niczego nie dostrzegła, chociaż uważała, że jakiegokolwiek przesady nie przystoją rozumnej istocie – to wystarczyło, żeby na tę jedną chwilę porzuciła swój okrutny cel. Żadne przekonywania Jacka nie były już w stanie niczego zmienić. Powziąwszy stanowczą decyzję, wdowa znow stała się panią samej siebie. „Jeszcze nie teraz – postanowiła. – Być może nie uwzględniłam wszystkich możliwych konsekwencji. Najbliższą noc poświęcę na przemyślenia”. Kiedy sięgała do kieszeni po klucz od szafki, Jack ostatni raz ponowił swoje błagania, ale na próżno.

– Nie – powiedziała wdowa. – Przechowam lekarstwo dla ciebie. Przyjdiesz do mnie, kiedy będziesz chory i kiedy naprawdę będziesz go potrzebował.

Tak się złożyło, że jej kieszeń była w owej chwili zamotana w fałdach sukni. Próbuując ją z nich uwolnić, madame Fontaine niechcący upuściła klucz na podłogę. Jack, podnosząc go, zauważył napis wyryty na jego uchwycie.

– „Szafka w pokoju różowym” – przeczytał. – Dlaczego „w pokoju różowym”?

W obecnym stanie nerwowego wyczerpania wdowy zwykła błahostka, jaką była zaplątana w sukni kieszeń, urosła do rangi irytującego problemu. Madame Fontaine nie miała już siły cierpliwie odpowiadać na bezmyślne pytania.

– Popatrz na te różowe zasłony, głupcze – sarknęła, wyrywając Jackowi klucz z dłoni.

Jack od razu się oburzył – i na słowa, i na czyn, który po nich nastąpił.

– Nie przyszedłem tutaj, żeby mnie obrażano – oświadczył napuszonym tonem.

Madame Fontaine schowała truciznę do szafki, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi – co jeszcze bardziej go rozgniewało.

– Niech pani zabierze z powrotem swoje rękawiczki! – zawołał. – Ja ich nie

chęć! – Zmiał w garści nowy nabytek i cisnął nim w jej kierunku. – Wielka szkoda, że nie mogę rzucić w panią też całym tym ciastem, które zjadłem! – wykrzyknął porywczo, udobitniając swoje rozżalenie wymownym tupnięciem nogi.

Skumulowane w duszy madame Fontaine emocje znalazły sobie nową drogę ujścia. Wdowa wybuchnęła histerycznym, dzikim śmiechem.

– Ty mały cudaku! – wyrzuciła z siebie. – Nie chciałam cię urazić. Czy nie wiesz, że kobiety tracą czasem cierpliwość? Już dobrze! Uściśnijmy sobie dłonie na zgodę. I zabierz ze sobą resztę ciasta, jeśli ci smakuje. – Jack wpatrywał się w nią w niemym zdumieniu. – Zostaw mnie samą! – zawołała gniewnie. – Słyszysz? Idź sobie! Idź! Idź!

Jack bez słowa protestu wyszedł z pokoju.

Szybko następujące po sobie zmiany w zachowaniu wdowy – jej przeczące sobie nawzajem spojrzenia i tony głosu – całkowicie go zbiły z tropu. Dopiero kiedy znalazł się w bezpiecznej przestrzeni korytarza, zdołał ochłonąć na tyle, żeby dokonać interpretacji tego, co przed chwilą wydarzyło się na jego oczach. Obejrzał się na drzwi pokoju madame Fontaine i pokręcił ponuro swoją drobną, siwą głową.

„Teraz rozumiem – powiedział do siebie w duchu. – Pani gospodyni to wariatka. Och rety, rety! Jej miejsce jest w Bedlam!”

Zszedłszy z pierwszych schodów, znów przystanął – tym razem żeby zastanowić się, jaki morał można by wyciągnąć z tego błyskotliwego odkrycia. „Muszę porozmawiać z moją panią – uznał. – Im szybciej wrócimy do Londynu, tym bezpieczniej się poczuję”.

Rozdział 5

Pani Wagner nadal siedziała przy biurku, zajęta pracą, kiedy Jack pojawił się z powrotem w jej gabinecie.

– Gdzie byłeś przez cały ten czas? – zapytała go. – I co zrobiłeś ze swoimi nowymi rękawiczkami?

– Rzuciłem nimi w madame Fontaine – odparł Jack. – Ale proszę się nie niepokoić. Nie trafiłem w nią.

Pani Wagner z uśmiechem odłożyła pióro.

– W obliczu tak niezwykłego wydarzenia nawet sprawy służbowe muszą poczekać – stwierdziła. – Co zaszło między tobą i madame Fontaine?

Jack począł długo i nieskładnie opowiadać o cudownym środku, który najpierw obiecano mu na własność, a potem złośliwie przed nim schowano.

– Proszę się zastanowić – rzekł na koniec podniośle – i powiedzieć mi, co waszmość pani od tym wszystkim myśli.

– Myślę, że nie powinieneś mieć do madame Fontaine pretensji o to, że chce trzymać lekarstwo u siebie w szafce – odparła pani Wagner. – A kiedy w przyszłości będziesz potrzebował rzeczy tego rodzaju, po prostu mi powiedz.

Jej uwagę zwrócił w tym momencie kawałek ciasta, który przyniósł ze sobą Jack. Sam je kupił? A może wykradł z pokoju gospodyni?

– To twoje czy madame Fontaine? – zapytała. – Wszystko, co należy do madame Fontaine, powinno zostać jej zwrócone.

– Sądzi pani, że zniżyłbym się do tego, żeby przywłaszczyć sobie coś, co nie należy do mnie? – zapytał Jack z oburzeniem, po czym wdał się w kolejną chaotyczną opowieść, w której we właściwym po temu czasie dotarł do kwestii upuszczonego klucza. – Gdy go podnosiłem, przez przypadek zauważyłem widniejący na uchwycie napis „Szafka w pokoju różowym” – ciągnął – i kiedy zapytałem, co znaczy, madame Fontaine nazwała mnie głupcem i wydarła mi klucz z dłoni. Sądzi pani, że po tym zajściu chciałbym nosić jej rękawiczki? Nie! Ja też potrafię zdobyć się na poświęcenie. Postąpiłem tak, jak nakazywała szlachetność i rzuciłem w nią nimi. Proszę zaczekać! Waszmość pani się ze mnie śmieje, ale nie słyszała jeszcze najgorszego. Co pomyślałaby pani o osobie, która najpierw w przyływie furii mnie obraża, a potem nagle podaje mi dłoń na zgodę i wybucha dziwnym śmiechem? Madame Fontaine właśnie tak się zachowała. Daję słowo dżentelmena: właśnie tak się zachowała. Proszę wziąć ze mnie przykład i od tej pory trzymać się od niej z daleka. Najlepiej byśmy zrobili, gdybyśmy najszybciej, jak to możliwe, wrócili do Londynu. Och, nie proponuję tego bez powodu. Proszę pozwolić, że zanim wyjaśnię, zerknę przez dziurkę od klucza... Wszystko w porządku: nikt nie podsłuchuje pod drzwiami; mogę spokojnie mówić. Muszę

wyjawić pani straszliwy sekret: pani gospodyni jest obłąkana! Nie, nie! To pewne jak amen w pacierzu. Jeśli chodzi po tym świecie człowiek, który dogłębnie rozumie szaleństwo, to ja nim jestem!

Przyglądająca się uważnie Jackowi pani Wagner dała mu znak, żeby się do niej zbliżył.

– Na razie wystarczy – rzekła cicho, chwytając go za rękę. – Zaczynasz się za bardzo emocjonować.

– Skąd może pani wiedzieć? – zawołał Jack.

– Widzę to w twoich oczach. Chodź tutaj. – Podniósłszy się, zaprowadziła go na jego stałe miejsce we wnęce staroświeckiego okna. – Siadaj – powiedziała.

– Nie chcę.

– Nie chcesz zrobić tego, o co cię proszę?

Jack natychmiast usiadł. Pani Wagner sięgnęła po swój notes i postawiła w nim jakiś znaczek ołówkiem.

– Otrzymujesz pierwszy krzyżyk za dobre sprawowanie, Jacku – oznajmiła.

– Teraz muszę wracać do pracy, a ty masz wymyślić sobie jakieś ciche zajęcie, które umili ci czas. Co będziesz robił?

Jack, próbując zapanować nad sobą pod wymownym spojrzeniem ciepłych oczu pani Wagner, nie miał w owej chwili głowy do wymyślania sobie zajęć.

– Niech waszmość pani mi powie, co mam robić – odparł.

Pani Wagner pokazała palcem na woreczek z kluczami wiszący na jego ramieniu.

– Wyczyściłeś je już? – zapytała.

Cała jego uwaga natychmiast zwróciła się ku kluczom; nie mógł uwierzyć, że o nich zapomniał. Pani Wagner pociągnęła za dzwonek na służbę i zaopatrzyła Jacka w papier ścierny, ściereczkę z irchy i bielidło.

– A zatem – powiedziała, spoglądając na zegar – co najmniej przez całą następną godzinę masz pracować i nie odzywać się słowem!

Wróciła do biurka, a Jack otworzył woreczek i ułożył pokryte rdzą klucze rzędem na ławeczce obok siebie.

Zanim przystąpił do czyszczenia, przyjrzał się im po kolei, a potem wybrał jeden z nich i uniósł go pod światło. Pod warstwą rdzy i kurzu na uchwycie kryła się jakaś inskrypcja. Jack złapał za swoje narzędzia i zabrał się do pracy z taką werwą, że chwilę później był już w stanie bez trudu odczytać wyryte w metalu słowa: „Szafka w pokoju różowym”. Pod nimi widniało słowo, które było dla niego nieco mniej zrozumiałe: „Duplikat” – ale nie potrzebował już sobie zawracać nim głowy. Napis: „Szafka w pokoju różowym” powiedział mu wszystko, co chciał wiedzieć.

Jego oczy roziskrzyły się i już otwierał usta – lecz jeden rzut oka na pochłoniętą pisaniem panią Wagner powstrzymał go przed pogwałceniem jej

bezwzględne nakazu zachowania milczenia. „Aha! Lekarstwo pani gospodyni będzie moje, kiedy tylko mi się spodoba” – pomyślał chytrze.

Jego bezkrytyczną wiarą w cudowne działanie środka w najmniejszym stopniu nie zachwiało święte przekonanie o tym, że wdowa jest szalona. To doktor Fontaine sporządził lekarstwo, a doktor Fontaine nie mógł się pomylić. „Ktoś taki jak ona nie powinien rozporządzać równie cenną rzeczą – uznał Jack. – Ja się nim zaopiekuję. Czy powiedziec o tym mojej pani, kiedy już skończymy pracować?”

Zastanawiał się nad tym pytaniem, czyszcząc z zapalem klucze i od czasu do czasu spoglądając ukradkiem na panią Wagner. Chytróść, która była u niego – jak ma to miejsce w przypadku większości nieszczęśników o wątplym umyśle – jedną z najlepiej wykształconych cech, podszeptała mu, żeby zachował odkrycie dla siebie. „Wszystko, co należy do madame Fontaine, powinno zostać jej zwrócone” – przypomniał sobie niedawne słowa swojej pani. Gdyby wtajemniczył panią Wagner w sprawę, ta bez wątpienia nakazałaby mu się wyrzec klucza i tym samym straciłby dostęp do cudownego lekarstwa. „Kiedy już je zdobęde – pomyślał – pozbędę się klucza i będzie po problemie”.

Mijała minuta za minutą i zegar wybijał kolejne kwadransy, w trakcie których para owych dziwnie dobranych kompanów oddawała się swoim zajęciom. Zbliżał się już koniec wyznaczonej przez panią Wagner godziny, kiedy przerwała im osoba z zewnątrz – i to nie kto inny, jak madame Fontaine.

– Proszę mi wybaczyć to ponowne najście, pani Wagner! Kiedy mogłabym zamienić z panią słówko na osobności?

– Doskonale pani trafiła, madame Fontaine. Właśnie skończyłam pracę na dzisiaj. – Zawiesiwszy głos, spojrzała na ostentacyjnie zaabsorbowanego kluczami Jacka. Uznała, że najmądrzejszym rozwiązaniem byłoby zostawić go tutaj samego z jego nieszkodliwym zajęciem. – Może przejdziemy do jadalni? – zaproponowała, prowadząc do drzwi. – Jeśli zaczekasz tu do mojego powrotu, Jacku, być może będę mogła postawić ci kolejny krzyżyk za dobre sprawowanie.

Rozmowa dwóch dam odbyła się w pustej jadalni przy zamkniętych drzwiach.

– Przepraszam, że zabieram pani czas, madame – zaczęła wdowa. – Jedyne, co mam na swoje usprawiedliwienie, to troska o biednego Jacka, który został w pani gabinecie. Proszę wybaczyć, że pytam, ale czy zauważyła pani w nim w ostatnim czasie jakieś poruszenie?

– Owszem! – odpowiedziała zawsze prawdomówna pani Wagner. – Gdy wrócił do mnie przed mniej więcej godziną, musiałam przywołać go do porządku. Ale teraz, jak pani sama widziała, jest spokojny niczym baranek. Obawiam się jednak, że chciałaby się pani poskarżyć na jakieś jego zachowanie?

Madame Fontaine uniosła ręce w geście łagodnego protestu.

– Och, ależ nie, nie poskarżyc! Wyrazić jedynie współczucie dla naszego

ułomnego Jacka i być może zasugerować, żeby raczyła pani użyć swojego wspaniałego wpływu na niego.

– To bardzo szlachetne z pani strony – powiedziała pani Wagner chłodno. – Mimo wszystko proszę wybaczyć, nie tylko Jackowi, ale też mnie. W Londynie wydawał się taki grzeczny i zrównoważony i sądziłam, że niczym nie ryzykuję, decydując się na zabranie go do Frankfurtu.

– Proszę nie przepraszać, droga madame, doprawdy wprawia mnie pani w zakłopotanie. To ja niechcący przyczyniłam się do tej jego dzisiejszej krnąbrności. Niefortunnie przypomniałam mu swoją osobą czasy, w których mieszkał z nami w Würzburgu... i wskrzesiłam w nim jedno z jego dawnych urojeń, którego nawet stosowane przez panią wspaniałe metody nie zdołały wyplenić z jego umysłu.

– Czy mogę zapytać, madame Fontaine, co to za urojenie?

– Jedno z najczęściej spotykanych wśród wariatów, pani Wagner. Że go otruto. Czy kiedykolwiek zdradził się z nim w pani obecności?

– Słyszałam coś na ten temat – odrzekła pani Wagner – od naczelnika londyńskiego zakładu dla obłąkanych.

– Ach, doprawdy? Naczelnik powtórzył pani zapewne tylko to, co powiedział mu Jack?

– Właśnie. Kiedy Jack znalazł się pod moją opieką, pilnowałam się, żeby nie poruszyć tego tematu przy nim i niepotrzebnie go nie zdenerwować. Z drugiej strony, gdy patrzy się na jego włosy i skórę, nie sposób nie dojść do wniosku, że musiał przydarzyć się mu jakiś poważny wypadek.

– Jak najbardziej! Biedaczysko padł ofiarą bynajmniej nie trucizny, lecz swojej bezmyślnej ciekawości, której nie umiał poskromić w laboratorium mojego męża... i tak wygląda rezultat. Niestety, nie potrafiłabym wyjaśnić tego od naukowej strony.

– Nawet gdyby pani potrafiła, madame Fontaine, i tak niczego bym nie zrozumiała.

– Ach, droga pani, mówi pani tak przez grzeczność, nie chcąc mnie upokarzać. Czy Jack nie wspomniał jeszcze na mój temat czegoś, co wymagałoby wyjaśnienia?

Wtrąciła owo pytanie, doskonale tuszując – na poziomie swojego głosu i wzroku – zaniepokojenie, z którego wypływało. Jednak jej wewnętrzne poruszenie zdołało się uzewnętrznić w chwilowym drzeniu jej warg.

Pomimo swojej subtelności ów wymowny symptom nie umknął uwadze spostrzegawczej pani Wagner, która odpowiedziała teraz ostrożnie:

– Wręcz przeciwnie. Z tego, co Jack mi powiedział, łatwo wywnioskować, że wyświadczyła mu pani doprawdy wielką przysługę. Udało się pani wybić mu z głowy owo urojenie, o którym pani wspominała... i muszę pogratulować pani

zdrowego rozsądku, jakim wykazała się pani, odmawiając powierzenia mu swojego lekarstwa.

Madame Fontaine dygnęła pokornie.

– Będę wspominała te łaskawe słowa jako jeden z największych zaszczytów, jakie spotkały mnie w życiu – powiedziała najprzymilniej, jak tylko potrafiła. – Pozwoli pani, że uścisknę jej dłoń?

Uścisnęła dłoń pani Wagner z wdzięcznością, po czym opuściła jadalnię z gracją, której mogłaby jej pozazdrościć niejedna francuska aktorka.

Jednak gdy znalazła się na schodach i nie musiała już dbać o zachowanie pozorów, jej krok stał się powolny i strudzony niczym krok staruszki. „Och, moje dziecko – jęknęła w duchu, znów zwracając się myślami ku Minnie. – Czy wraz z twoim ślubem pod koniec roku doczekam się wreszcie kresu tych wszystkich poświęceń?” Siadłszy przy kominku w swoim pokoju, po raz pierwszy w życiu poczęła zazdrościć niewinności istnienia owym domowym niewolnicom, którymi dotychczas tak bardzo gardziła. Ich wąski horyzont towarzyski ograniczony do plotek, dziergania robótek i picia herbaty zdawał się mieć swoje zalety...

Zostawszy sama, pani Wagner przeszła tam i z powrotem po jadalni, usiłując przeniknąć motywy kierujące madame Fontaine.

Postawiła sobie nie lada zadanie. Łatwo można było się domyślić, że sprawy nie są takie, jakimi jawiły się na pierwszy rzut oka – lecz przeszkody stojące na drodze prowadzącej dalej poza ten domysł zdawały się nie do pokonania. Jedynym pewnym wnioskiem, do jakiego pani Wagner zdołała dojść, było to, że powinna zachować wobec pełnej wdzięku wdowy jeszcze większą ostrożność niż dotychczas.

Gdy wróciła do gabinetu, Jack nadal siedział grzecznie niczym baranek na swoim miejscu przy oknie i w skupieniu czyścił klucze. Pierwsze wypowiedziane przez niego słowa dotyczyły wyłącznie niego samego:

– Jeżeli to nie jest dobre sprawowanie – zauważył – to już nie wiem, co nim jest. Proszę dać mi kolejny krzyżyk.

Pani Wagner wyjęła notes i postawiła w nim odpowiedni znaczek.

– Dziękuję – rzekł Jack. – Teraz przejdźmy do innej sprawy. Chciałbym wiedzieć, co mówiła pani gospodyni. Poważnie się o waszmość panią martwiłem.

– Dlaczego, Jacku?

– Chyba pani nie ugryzła, co? Och, oni czasami to robią! Jakich kłamstw naopowiadała waszmość pani na mój temat? Och, oni potrafią tak obrzydliwie kłamać! Co? Wyrażała się o mnie bardzo serdecznie? Wobec tego, dlaczego nie chciała rozmawiać z panią przy mnie? Ach, oni potrafią być tak diabelsko podstępni! Nienawidzę wariatów!

Pani Wagner wyjęła znów swój notes.

– Wykreślę twój krzyżyk – rzekła surowo – jeśli usłyszę z twoich ust jeszcze

jedną uwagę tego rodzaju.

Urażony Jack pozbierał klucze i włożył je z powrotem do woreczka.

– Waszmość pani jest dla mnie taka przykra – powiedział. – A ja tylko ostrzegam ją dla jej własnego dobra. Nie wiem, dlaczego, ale nie traktuje mnie tutaj waszmość pani tak samo łaskawie, jak w Londynie. I to mnie naprawdę boli! – Położył się na ławeczce i wybuchnął płaczem.

Pani Wagner nie potrafiłaby pozostać obojętna na smutek tego nieszczęsnego, małego człowieczka. Po chwili już była przy oknie, ocierając jego łzy i pocieszając go tak, jakby miała do czynienia z dzieckiem. I Jack – zupełnie jak dziecko – umiejętnie wykorzystał to, jakie wrażenie udało mu się na niej wyrzeć.

– Proszę popatrzeć na swoje biurko – powiedział żałośliwie. – Ma tam waszmość pani kolejny dowód na to, że zrobiła się dla mnie mniej łaskawa. W Londynie wolno mi było opiekować się kluczem od biurka. Tutaj waszmość pani nie chce mi go dać.

Pani Wagner podeszła do biurka, zamknęła je na klucz i wróciła do Jacka. Tylko nieliczni zdają sobie sprawę z tego, jak bardzo uprzejmy gest zyskuje na wymowności, gdy czyni się go w milczeniu. Pani Wagner należała właśnie do tej nielicznej grupy ludzi. Bez słowa otworzyła skórzany woreczek i wrzuciła do niego klucz. Poczucie wdzięczności automatycznie wezbrało w prostodusznym Jacku do poziomu, którego nigdy wcześniej jeszcze nie osiągnęło.

– Och! – zawołał. – Czy miałaby waszmość pani coś przeciwko, gdybym ją ucałował?

Pani Wagner odsunęła się, wyciągając przed siebie na znak ostrzeżenia dłoni. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, czujne ucho Jacka pochwyciło odgłos kroków zbliżających się do drzwi.

– Czyżby znowu wróciła? – zawołał, nie wyzbywszy się jeszcze podejrzliwości wobec madame Fontaine.

Pani Wagner natychmiast otworzyła drzwi i ujrzała Josepha.

– Czy nie wie pani, madame, kiedy wróci pan Keller? – zapytał lokaj.

– Nie wiedziałam nawet, że nie ma go w domu, Josephie. Kto chce się z nim zobaczyć?

– Jakiś dżentelmen, madame. Mówi, że przyjechał z Monachium.

Rozdział 6

Z dalszych słów Josepha wynikało, że „dżentelmenowi z Monachium” bardzo się spieszy. Dowiedziawszy się o nieobecności pana Kellera w domu, zapytał, czy mógłby zobaczyć się „z którymś z pozostałych wspólników”, co zdawało się sugerować, że wizyta nieznajomego dotyczy interesów.

– Gdzie jest ten dżentelmen? – zapytała pani Wagner.

– W bawialni – odpowiedział Joseph.

Pani Wagner od razu wyszła z gabinetu. W bawialni zastała dostojnego, odzianego od stóp do głów na czarno, starszego człowieka w długim surducie, z którego butonierki zwisało na wstążce jakieś odznaczenie. Jego oczy za złotymi oprawkami okularów otworzyły się szeroko z zaskoczenia, kiedy zobaczył przed sobą damę.

– Obawiam się, że nastąpiło jakieś nieporozumienie – rzekł nadzwyczaj grzecznym tonem, zginając się przy tym w nader układnym ukłonie. – Chciałem zobaczyć się z jednym ze wspólników.

Pani Wagner pogłębiła jeszcze jego zdumienie, informując go o tym, jaką pozycję zajmuje w firmie.

– Jeśli przyszedł pan do nas w interesach – dodała – zapewniam, sir, wszystko zrozumie, mimo że jestem tylko kobietą. Jeżeli pańska wizyta ma charakter prywatny, proponowałabym, żeby napisał pan do pana Kellera, ja ze swojej strony dopilnuję, żeby pański list trafił do niego zaraz po jego powrocie do domu.

– Ależ nie ma potrzeby narażać pani na taką fatygę – odparł nieznajomy. – Jestem lekarzem i wezwano mnie do Frankfurtu na konsultację w sprawie pewnego poważnego przypadku chorobowego. Siostra pana Kellera jest jedną z moich pacjentek w Monachium. Pomyślałem, że wykorzystam nadarżającą się okazję i wstąpię, żeby osobiście omówić z nim stan jej zdrowia.

Ledwie skończył przedstawiać się owymi słowami, kiedy do pokoju wszedł pan Keller. Za chwilę kupiec i lekarz uścisnęli sobie dłonie niczym starzy przyjaciele.

– Mam nadzieję, że z moją siostrą wszystko dobrze? – powiedział pan Keller.

– Nie stało się nic, z czym nie mielibyśmy do czynienia wcześniej, przyjacielu. Kolejny atak astmy.

Pani Wagner podniosła się do wyjścia, ale pan Keller ją zatrzymał.

– Proszę nas jeszcze nie opuszczać – rzekł. – O ile przecucie mnie nie myli, być może będziemy potrzebowali pani rady. Czy jest jakaś nadzieja, doktorze, że do końca miesiąca moja siostra wydobrzeje na tyle, by mogła podróżować?

– Przykro mi to mówić – odparł lekarz – zwłaszcza że wiem, z okazji jakiego

wydarzenia miała u pana gościć, ale przez wzgląd na jej wiek musimy dać jej nieco więcej czasu.

– Czyli to niemożliwe, żeby moja siostra dołączyła do nas w dniu ślubu mojego syna?

– Zupełnie niemożliwe. Nieboga ma w życiu tak niewiele przyjemności i jest tak bardzo zawiedziona, że postanowiłem przy okazji swojej wizyty we Frankfurcie wystąpić do pana z pewną bardzo śmiałą prośbą. Muszę oddać najpierw pańskiej znakomitej siostrze należną sprawiedliwość i powiedzieć jasno, że ona sama nie chce słyszeć o tym, by młoda para czekała z jej powodu ze ślubem. Dowodem na to niech będzie ten słynny naszyjnik, który powierzyła mojej opiece.

Zdjął z krzesła małą torbę podróżną i wyciągnął z niej kasetkę ze wspomnianym naszyjnikiem. Żadna kobieta – nawet współwłaścicielka wielkiej firmy handlowej – nie mogłaby pozostać obojętna na widok tak wspaniałych pereł. Pani Wagner wydała z siebie okrzyk podziwu.

Pan Keller nie poświęcił naszyjnikowi żadnej uwagi, interesowała go tylko jego siostra.

– A gdybyśmy przesunęli ślub o miesiąc? – zapytał.

– Jeżeli nie wystąpią żadne komplikacje, pańska siostra będzie zdolna do podróży już za dwa tygodnie. Dzisiaj wieczorem wyruszam z powrotem do Monachium i odąd będę zaglądał do niej codziennie.

Pan Keller zwrócił się do pani Wagner:

– Chyba możemy zdobyć się na to drobne poświęcenie? – powiedział. – Przyjemność uczestniczenia w ślubie bratanka może być ostatnią przyjemnością, jakiej moja siostra doświadczy w życiu.

– Na pańskim miejscu nawet przez chwilę bym się nie zastanawiała i od razu zdecydowała się przełożyć ślub na późniejszy termin – odrzekła pani Wagner. – Chociaż najpierw, rzecz jasna, należałoby skonsultować się z przyszłym panem młodym i panną młodą.

– I rodzicami panny młodej, jeżeli wciąż żyją – wtrącił rozważnie lekarz.

– Żyje tylko jej matka – powiedział pan Keller. – To jednak bardzo wspaniałomyślna osoba i jestem pewien, że nie będzie oponowała. – Zawiesił głos i po chwili namysłu dodał: – Fritz w ogóle się nie liczy. W pierwszej kolejności powinniśmy chyba zapytać o zdanie przyszłą pannę młodą? – Zadzwonął na służbę, a potem zabrał z rąk pani Wagner perłowy naszyjnik. – Mam wielkie uznanie dla naszej małej Minny – odezwał się znowu. – Zobaczymy, co jej podpowie szlachetne serce, niekuszony widokiem pereł i niewiedzione sugestiami matki.

Zamknął kasetkę z naszyjnikiem, po czym włożył ją do pobliskiego kredensu. Joseph został posłany na górę z odpowiednią wiadomością.

– Niczego czasem nie pomył – upomniał go pan. – Chcę się zobaczyć z panną Minną i tylko z nią.

Podczas gdy czekali wszyscy razem na dziewczynę, lekarz zażył szczyptę tabaki.

– Wynik tej próby trudno będzie uznać za rozstrzygający – zauważył chytrze. – Kobiety są zawsze skłonne do poświęceń. Ale co powie przyszły pan młody?

– Drogi sir – odparł pan Keller z niejakim zniecierpliwieniem. – Jak już wspomniałem, Fritz się w ogóle nie liczy.

Wszedłszy do pokoju, Minna zarumieniła się, onieśmielona niespodziewanym widokiem dostojnego i udekorowanego medalem nieznanego. Lekarz stuknął palcem w swoją tabakierę z miną kogoś, kto doskonale zna się na młodych przedstawicielkach płci pięknej.

– Zaiste czarująca! – powiedział konfidencyjnym tonem do pani Wagner. – Jestem jeszcze wystarczająco młody (duchem, madame), żeby pozazdrościć Fritzowi.

Pan Keller wyszedł Minnie naprzeciw i ujął jej dłoń.

– Moja droga – rzekł – co byś sobie o mnie pomyślała, gdybym poprosił cię o zgodę na przesunięcie terminu twojego ślubu o całe dwa tygodnie, a wszystko to z myślą o pewnej starszej osobie?

– Pomyślałabym, że musi mieć pan po temu ważny powód, sir – odparła Minna. – I, nie ukrywam, byłabym ciekawa, kim jest owa osoba.

Pan Keller w prostych i krótkich słowach zrelacjonował jej to, co powiedział mu wcześniej lekarz.

– Nie spiesz się z udzieleniem odpowiedzi – dodał na koniec. – A jeśli odczuwasz taką potrzebę, przedyskutuj rzecz ze swoją matką.

Twarcyzka słodkiej Minny, jaśniejąca teraz szczerym blaskiem wspaniałomyślności, wydawała się jeszcze piękniejsza niż zazwyczaj.

– Och, panie Keller! – wykrzyknęła dziewczyna. – Naprawdę posądza mnie pan o taką bezduszość i o to, że potrzebuję czasu do namysłu? Jestem pewna, że mogę w tej kwestii mówić i za siebie, i za moją mamę. Pobierzemy się w terminie, który będzie najdogodniejszy dla Fräulein Keller. Proszę jej to przekazać wraz z moimi wyrazami uszanowania, albo, jeśli wolno mi być tak śmiałą, moimi pozdrowieniami.

Pan Keller ucałował jej czoło z tklivością, jaką rzadko się u niego widywało.

– Jesteś w pełni godna ślubnego prezentu mojej siostry – powiedział, po czym wyjął z kredensu naszyjnik i ofiarował go jej.

Minna przez dłuższą chwilę stała niczym zaczarowana, wpatrując się niemo we wspaniałe perły. Kiedy się wreszcie odezwała, pierwszy płomień zachwyty zdążył już przygasać pod wpływem otrzeźwiającego poczucia dysharmonii między okazałością podarunku i nią samą.

– Są dla mnie zbyt piękne – powiedziała ze smutkiem. – Musiałabym być

prawdziwą damą z szafą pełną eleganckich sukien, żeby móc nosić takie perły! – Znów na nie spojrziała z naturalną dla swojego wieku i płci pożądliwością. – Czy mogłabym pójść z nimi na górę, by zobaczyć, jak będą na mnie wyglądały? – zapytała z uroczą niekonsekwencją.

Pan Keller uśmiechnął się i machnął dłonią.

– To twój naszyjnik, moja droga, i możesz zrobić z nim, co ci się tylko podoba – rzekł. – Po napisaniu krótkiego listu do siostry być może też przyjdę na górę, żeby podziwiać swoją przyszłą synową w całym jej blasku.

Lekarz zerknął na zegarek.

– Jeśli zdąży pan napisać list w ciągu pięciu minut – zasugerował – będę mógł go zabrać ze sobą do Monachium.

Pani Wagner i Minna wyszły z bawialni razem.

– Proszę pójść ze mną zobaczyć, jak naszyjnik będzie na mnie leżał – powiedziała Minna. – Będę bardzo ciekawa pani zdania.

– Za chwilę do ciebie dołączę, moja droga. Muszę tylko wrócić po coś do swojego gabinetu.

Wydarzenia mijającego dnia zdążyły tak utrudzić Jacka, że ten drzemał teraz lekko na swoim miejscu przy oknie. Pani Wagner wiedziała, jak go skutecznie obudzić.

– Panie kluczniku – powiedziała. – Proszę otworzyć moje biurko.

Jack po chwili był już na nogach.

– Ha! Waszmość pani, jak miło to słyszeć! Zupełnie jakbyśmy znów znajdowali się Londynie!

Biurko było z rodzaju tych przestronnych, kupieckich, z ciężkim, mahoniowym wiekiem. Wewnątrz panował doskonały porządek. Zawartość rozmieszczonych rzędem przegródek w głębi biurka oznaczona była drukowanymi bilecikami: „Streszczenia korespondencji od A do Z”; „Terminy dla domu komisowego”; „Klucz od kasy pancernej”; „Klucz do prywatnej księgi głównej” – i tak dalej. Księga główna – gruby brulion z mosiężnym zamkiem, przypominający osobisty pamiętnik – umieszczona była tuż obok. Na niej spoczywał mniejszy zeszytik kieszonkowego rozmiaru zatytułowany: „Dodatkowy rejestr rachunków”. Pani Wagner otworzyła przed sobą obydwie zeszyty na stronach zawierających najświeższe wpisy, które następnie porównała ze sobą.

– Byłam pewna, że zapomniałam! – rzekła do siebie i przeniosła wpis z księgi głównej do mniejszego zeszytiku. Odłożywszy księgę na swoje miejsce, zamknęła biurko i zwróciła klucz Jackowi.

– Pamiętaj – powiedziała – że tutaj też obowiązują londyńskie zasady. Nie wolno ci otwierać mojego biurka, dopóki o to nie poproszę. A jeżeli zgubisz klucz, przestaniesz być klucznikiem.

– Czy kiedykolwiek zrobiłem którąś z tych dwóch rzeczy w Londynie? –

zapytał Jack.

– Nigdy.

– Więc proszę się nie obawiać, że zdarzy się to tutaj. Ależ zapomniała waszmość pani odłożyć mały zeszytek! – Wyjął z powrotem klucz od biurka i wetknął go w zamek. Tymczasem pani Wagner umieściła zeszytek w kieszeni.

– Nie powinien leżeć w biurku – wyjaśniła. – Zazwyczaj trzymam go przy sobie.

W Jacku natychmiast obudziła się podejrzliwość.

– Ach! – oburzył się. – Nie chce mi go waszmość pani oddać pod opiekę!

– Uważaj, żebym nie postawiła ci kropki za złe sprawowanie! – powiedziała ostrzegawczo pani Wagner. – Głuptasie, w małym zeszytku spisane jest wszystko to, co znajduje się w dużym, a duży przecież zostawiam pod twoją opieką.

Doskonale znała Jacka. Wiadomość, że większy z dwóch zeszytów został powierzony jego pieczy, natychmiast ukoła jego urażoną dumę. Gdy Jack wyjmował z powrotem klucz z zamka, do pokoju wszedł pan Keller. Jack posiadał niezwykłą, psią umiejętność rozpoznawania w ludziach swoich przyjaciół i wrogów. Panu Kellerowi w głębi duszy nie podobało się to, że musi obcować z byłym pensjonariuszem zakładu dla obłąkanych. Jak tylko pojawił się w gabinecie, instynkt nakazał Jackowi od razu wyjść.

– Czyżby powierzała pani temu niespełna rozumu osobnikowi klucz od swojego biurka? – zapytał pan Keller. – Nawet pani najzacieklejszemu wrogowi trudno byłoby uwierzyć w to, że stać panią na taką lekkomyślność, pani Wagner.

– Proszę wybaczyć, sir, ale to pan zachowuje się lekkomyślnie, wyciągając pochopne wnioski. „Jaka rozsądna kobieta oddałaby swoje klucze wariatowi z Bedlam?” Mówili tak wszyscy wkoło mnie, kiedy przyjąłem Jacka na próbę pod swój dach.

– Aha! A więc są ludzie, którzy dzielają mój pogląd na tę kwestię? – zapytał pan Keller.

– Z całym szacunkiem, sir, ale to ludzie, którzy wiedzą na ten temat równie niewiele, co pan. Na takiego nieszczęśnika z zakładu dla obłąkanych najłatwiej jest wpłynąć, odwołując się do jego poczucia godności. Dotąd Jack ani razu nie zawiódł mojego zaufania. Ale sądzi pan, że któryś z moich znajomych byłby skory uderzyć się w piersi i przyznać do błędu? Nie bardziej niż pan teraz! Proszę się nie obawiać. Skoro jestem na tyle lekkomyślna, żeby powierzać temu niespełna rozumu osobnikowi klucz od biurka, osobiście odpowiem za każdą rzecz, która zginie.

Pan Keller, w głębi ducha wciąż niezmiennie trwając przy swoim, poniechał dalszego spierania się z rozgniewaną panią Wagner z szacunku dla niej jako kobiety.

– Na pewno wie pani, o czym mówi – stwierdził grzecznie. – Proszę

pozwolić, że przejdę teraz do drobnej sprawy, która mnie tu przywiodła. David Glenney bez wątpienia ma wiele pracy w Londynie i powinien jak najszybciej się dowiedzieć, że termin ślubu został przełożony. Napisze pani do niego czy ja mam to zrobić?

Pani Wagner złagodniała.

– Z przyjemnością do niego napiszę, panie Keller, ale do odjazdu dyliżansu pocztowego mamy jeszcze pół godziny. Obiecałam wcześniej pannie Minnie, że przyjdę zobaczyć, jak będzie wyglądał na niej wspaniały naszyjnik. Czy mogę zostawić pana na kilka minut? A może pójdzie pan ze mną? Chyba wspominał pan coś na ten temat w bawialni...

– Oczywiście – powiedział pan Keller. – Jeśli tylko damy wpuszczą mnie do środka...

Oboje ruszyli schodami na górę. Na korytarzu pod drzwiami bawialni napotkali Fritza i Minnę – ten pierwszy szalał z gniewu, ta druga zalewała się łzami.

– Co się stało? – zapytał ostro pan Keller. – Fritz! Co ma znaczyć ta obrażona mina?

– Uważam, że potraktowano mnie podle – odrzekł Fritz. – Powiadam: przełożenie terminu naszego ślubu poczytuję jako przejaw lekceważenia mojej osoby i madame Fontaine się ze mną zgadza.

– Madame Fontaine? – powtórzył pan Keller, spoglądając na Minnę. – Czy to prawda?

Minna zadrżała na samo wspomnienie tego, co się wydarzyło.

– Och, proszę mnie o nic nie pytać! – zawołała żałośnie. – Nie wiem, co mamę naszło: zachowuje się zupełnie jak nie ona, przeraża mnie. A Fritzowi powiem jedno – dodała, podnosząc głos. – Jeżeli dalej będzie takim samolubnym tyranem, w ogóle go nie poślubię!!!

Pan Keller odwrócił się do Fritza i pełnym pogardy gestem wskazał mu schody.

– Zostaw nas samych! – nakazał. Fritz już otwierał usta, żeby zaprotestować, ale nim wy dobył z siebie jakiegokolwiek słowa, pan Keller go ubiegł: – Kiedyś być może sam będziesz miał syna i widząc, jak robi z siebie durnia, też będziesz chciał, żeby zszedł ci z oczu. – Ponownie wskazał na schody. Fritz oddalił się ze zmarszczonym złowrogo czołem, a jego ojciec zwrócił się łagodnie do Minny: – Odpocznij i postaraj się ochłonać, moje dziecko. Porozmawiam z twoją matką i wszystko wyjaśnię.

– Nie odchodź sama, moja droga – dodała życzliwie pani Wagner. – Pójdźmy razem do mojego pokoju.

Pan Keller wszedł do bawialni i wydał Josephowi kolejne polecenie:

– Idź na górę do madame Fontaine i przekaż jej, że chcę się z nią

bezzwłocznie zobaczyć.

Rozdział 7

Wdowa stawiała się na wezwanie z pełnym zawziętości zniechęceniem, dziwnie odbiegającym od jej codziennego sposobu bycia. Oczy patrzyły srogo, wargi miała mocno zaciśnięte, jej zazwyczaj bezbarwne oblicze nabrało osobliwej szarej bladości. Gdyby jej zmarły mąż mógł powstać z grobu i udzielić panu Kellerowi ostrzeżenia, powiedziałyby: „Raz czy dwa za swojego życia widziałem ją taką, proszę się mieć na baczności!”.

Jej wygląd wprowadził w konsternację pana Kellera, który, próbując zyskać teraz na czasie, uklonił się i wskazał jej krzesło. Madame Fontaine usiadła w milczeniu, patrząc na pana domu spod jeszcze cięższych niż zazwyczaj powiek. Jej wąskie usta nawet na moment się nie rozchyliły. Cała jej postać zdawała się dobitnie mówić: „Ty odezwij się pierwszy!”.

Pan Keller odezwał się. W dobrodusznym odruchu powstrzymał się przed wymianieniem Minny jako jednej z osób, od której czerpał swoje informacje.

– Słyszałem od syna – zaczął – że nie podoba się pani pomysł przesunięcia daty ślubu, mimo że chodzi zaledwie o dwa tygodnie. Jest pani zorientowana w sytuacji?

– Jestem.

– Córka chyba wspomniała pani o chorobie mojej siostry?

Na to pierwsze napomknienie o Minnie jakiś wewnętrzny impuls delikatnie poruszył nieruchomą dotąd twarz madame Fontaine.

– Tak – odparła. – Moja bezmyślna córka wspomniała coś na ten temat.

Owa przygana pod adresem Minny, której wymowności dodał jeszcze położony na nią nacisk, ugodziła mocno w poczucie sprawiedliwości pana Kellera.

– Wydaje mi się – powiedział – że pani córka odniosła się do sprawy z prawdziwą wielkodusznością i wyczuciem. Obecni przy naszej rozmowie pani Wagner i lekarz mojej siostry byli tak samo jak ja zachwyceni jej postawą. Czym zasłużyła sobie na to, by nazywać ją bezmyślną?

– Powinna była pamiętać o swoim obowiązku wobec matki. Powinna była w pierwszej kolejności skonsultować się ze mną, a nie sama decydować.

– Mam przez to rozumieć, madame Fontaine, że nie zgodziłaby się pani na przesunięcie daty ślubu?

– Wiem, sir, że pańska siostra zaszczyciła moją córkę wspaniałym prezentem...

Oblicze pana Kellera poczęło tężeć.

– Czy byłaby pani tak łaskawa i odpowiedziała na moje pytanie wprost? – Jego ton po raz pierwszy nabrał ostrości. – Nie zgodziłaby się pani na przesunięcie ślubu o dwa tygodnie?

Madame Fontaine wciąż żywiła nikłą nadzieję, że jeżeli jako matka panny młodej zajmie w sprawie zdecydowane stanowisko, być może zdoła jeszcze nakłonić pana Kellera do pozostania przy pierwotnym terminie ślubu.

– Z całą pewnością bym się nie zgodziła – rzekła twardo.

– Ale dlaczego miałyby to robić jakkolwiek różnicę pani? – W głosie starszego dżentelmena, poza zaskoczeniem, zadźwięczała również nieufność. – Dlaczego miałyby być pani przeciwna?

– Czy jako matka Minny nie mam prawa, sir, wyrazić swojego sprzeciwu bez tłumaczenia się z kierujących mną powodów?

– Sprzeciw pani córki jako panny młodej miałby dla mnie rozstrzygające znaczenie – odpowiedział pan Keller. – Tymczasem sprzeciw z pani strony jest po prostu niezrozumiały i dlatego poprosiłem o wyjaśnienia. Jeżeli mam sprawić swojej siostrze zawód, nader srogi zawód, to muszę być w stanie uzasadnić to czymś więcej niż zwykłym kaprysem.

Był to mocny, trudny do odparcia argument. Madame Fontaine podjęła ostatni wysiłek i przedstawiła najbardziej wiarygodne wytłumaczenie, jakie zdołała wymyślić:

– Jestem przede wszystkim przeciwna temu, sir, żeby najważniejsze wydarzenie w życiu mojej córki (i moim) zostało potraktowane niczym zwykła drobnostka, którą ot tak, po prostu, można przełożyć na inny dzień. Poza tym skąd mam mieć pewność, czy jakieś inne pechowe wydarzenie nie spowoduje dalszych opóźnień, być może nawet całkowicie udaremniając Minnie zamążpójście?

Pan Keller podniósł się z krzesła. Miał teraz absolutną pewność, że wdowa próbuje przed nim coś ukryć.

– Gdyby znalazła pani lepsze wytłumaczenie od tego, którego właśnie udzieliła – powiedział oschle – proszę przyjść z nim do mnie jeszcze przed porą odjazdu jutrzejszej porannej poczty. Tymczasem nie będę już pani dłużej zatrzymywał.

Madame Fontaine również się podniosła, ale bynajmniej nie dała jeszcze za wygraną.

– Czyli mam rozumieć, sir, że ślub zostanie przesunięty na trzynastego stycznia?

– Tak, za pełną zgodą pani córki.

– A gdyby moja córka w międzyczasie zmieniła zdanie?

– Pod pani naciskami?

– Panie Keller, czuję się urażona.

– To pani córka miałyby prawo czuć się urażona, madame Fontaine, gdybym – po tym, co powiedziała dzisiaj w tym pokoju w obecności mojej i innych świadków – posądził ją o zdolność do zmiany zdania w tej kwestii bez nacisków z pani strony.

– Dobranoc, sir.

– Dobranoc, madame.

Madame Fontaine wróciła do siebie.

Wolne przestrzenie ścian jej pokoju zdobiły rozmaite ryciny i akwarele. Między tymi drugimi znajdował się niewielki, oprawiony w szkło portret pana Kellera. Zbliżywszy się do niego, wdowa przez chwilę się mu przyglądała, po czym zerwała go gwałtownie ze ściany, rzuciła na podłogę i w szale absolutnej furii poczęła po nim deptać – dopóki nie roztrzaskała szkła na drobne kawałeczki i nie zniszczyła doszczętnie samego portretu.

– No! Dobrze mi to zrobiło! – mruknęła pod nosem, posyłając kopnięciem szczątki akwareli w kąt pokoju.

Teraz już była w stanie sięść w fotelu przy kominku i zastanowić się nad najbezpieczniejszym w obecnej sytuacji planem działania.

Najpierw pomyślała o Minnie. Mogłaby oczywiście podporządkować ją swojej woli i posłać do pana Kellera – ale ten z pewnością zapytałby ją, co skłoniło dziewczynę do zmiany zdania. Minna była wcieleniem prawdomówności. Dawniej należała do owej rzadkiej kategorii dzieci, które nigdy nie próbują ratować się oszustwem. Czy jakikolwiek argument zdołałby ją przekonać do okłamania ojca Fritza? Wdowa porzuciła ten pomysł, ledwie pojawił się w jej głowie. Córka Izebel kolejny raz bezwiednie zmiękczyła swoją czystością i szlachetnością serce matki. Izebel nie zamierzała umyślnie kłaść duszy własnego dziecka.

Lecz co z pieniędzmi? Ostatniego dnia miesiąca weksel miał zostać przedstawiony wdowie do zapłaty. Skąd mogłaby wziąć potrzebną sumę?

Jakiś czas temu, mając w perspektywie ślub Minny trzydziestego grudnia, powzięła zuchwały zamiar odesłania okaziciela weksla do pana Kellera. Dlaczego po tym, jak Minna zostałaby już żoną jego syna, miałyby się przejmować tym, co sobie pomyśli ten wstrętny stary kupiec? Powiedziałby mu jak gdyby nigdy nic: „Nękało mnie wielu różnych wierzycieli. Uznałam, że łatwiej mi będzie poradzić sobie z jednym – takim, który zgodzi się dać mi więcej czasu. Nastął termin spłaty długu, ale nie mam pieniędzy. Musi pan wybierać między sięgnięciem do własnej kieszeni a kompromitacją, jaką byłoby głośne na cały Frankfurt publiczne aresztowanie teściowej pańskiego syna za nieuregulowany dług”.

Tak mogłaby powiedzieć panu Kellerowi, gdyby jej córka należała już formalnie do jego rodziny. Czy zalewanie się łzami, uroczyste zapewnienia albo nawet groźenie samobójstwem miałyby szansę coś zdziałać, gdyby odważyła się wyjawić mu swoją sytuację teraz?

Pamiętała, jak solennie zapewniała pana Kellera, że wszystkie jej długi zostały w całości spłacone. Pamiętała nieludzką pogardę, z jaką wypowiadał się o ludziach, którzy nie wywiązywali się uczciwie ze swoich finansowych zobowiązań. Nawet gdyby wybaczył jej, że go oszukała – co było wysoce

nieprawdopodobne – z pewnością zaczęłyby podejrzewać o inne oszustwa. Zapytałby, czy pielęgnując go w chorobie i ratując mu życie, nie kierowała się w rzeczywistości osobistym interesem. Być może skonsultowałyby się na osobności ze swoim jedynym żyjącym współnikiem – panią Wagner. Pani Wagner być może przypomniałaby sobie spotkanie w bawialni i rozmowę na temat Jacka, a potem być może uznałaby za słuszne wypytać Jacka o jego wspomnienia z okresu choroby, na którą zapadł w Würzburgu. Ryzyko, które wdowa sama w związku z tym ponosiła, nie miało znaczenia. Jednak dla Minny taki obrót spraw oznaczałby przekreślenie szans na zamążpójście. Jej matka uznała, że musi dalej prowadzić grę pozorów, dopóki ślub nie zwolni jej wreszcie z owej konieczności.

A więc znów powracała kwestia zdobycia potrzebnych pieniędzy.

Czy gdyby poprosiła pana Kellera o kilka dni wolnego i udała się do Würzburga, mogła liczyć na to, że owa wyprawa zakończy się sukcesem? Czy istniała nadzieja, że wierzyciel zgodzi się przesunąć termin spłaty weksla o dwa tygodnie?

Wstała, żeby przejrzeć się w lustrze – od którego zaraz odwróciła się z westchnieniem. „Gdybym tylko była dziesięć lat młodsza!” – pomyślała.

List, który otrzymała z Würzburga, podawał, że obecny posiadacz weksla jest „mężczyzną w średnim wieku”. W przypadku człowieka bardzo młodego – albo bardzo starego – mogłaby zdać się na urok swojej dojrzałej urody okraszanej dodatkowo ciętym dowcipem. Z doświadczenia wiedziała jednak, że mężczyźni w średnim wieku zazwyczaj pozostają obojętni na wdzięki swoich równoletek. Nawet gdyby miała tutaj do czynienia z wyjątkiem potwierdzającym regułę, w obecnej sytuacji sprawa i tak wydawała się przegrana. Człowiek ten już stracił przez nią pieniądze, zapłaciwszy – albo zobowiązawszy się zapłacić – wysłannikowi, któremu zlecił obserwowanie jej. Czy ktoś taki zdecydowałby się odroczyć termin uregulowania długu?

Otworzywszy jedną z szuflad toaletki, madame Fontaine wyjęła z niej perłowy naszyjnik.

– Przewidywałam, że może do tego dojść – powiedziała cicho. – Zamiast weksla, pan Keller będzie musiał wykupić perły z zastawu.

Zapadł już wczesny, zimowy wieczór. Wdowa ubrała się do wyjścia i opuściła pokój z kasetką z naszyjnikiem ukrytą pod szalem.

Nieszczęsna Minna czekała bojaźliwie na korytarzu, żeby z nią porozmawiać.

– Och, niech mama mi wybaczy! Chciałam dobrze!

Wdowa objęła ją wolną ręką w talii.

– Ty mały głuptasie – powiedziała – czy nigdy nie zrozumiesz, że twoja biedna matka jest coraz starsza i coraz bardziej drażliwa? Być może uważam, że popełniłaś wielki błąd, zgadzając się poświęcić dla jakiejś zniedołężniałej,

astmatycznej nieznajomej z Monachium, ale żebym miała się naprawdę na ciebie gniewać...! Pocałuj mnie, kochana. Jeszcze nigdy nie byłaś mi tak droga jak teraz. Unieś moją woalkę. Och, mój skarbie, nie mam ochoty cię nikomu oddawać, nawet Fritzowi.

Minna zmieniła temat – co stanowiło niezbity dowód na to, że z Fritzem już się pogodzili.

– Jaka ciężka i gruba jest ta woalka! – zauważyła.

– Mamy dzisiaj zimny wieczór, moje dziecko.

– Ale dlaczego wychodzi mama z domu?

– Nie czuję się dobrze, Minno. Żwawy spacer na mroźnym powietrzu dobrze mi zrobi.

– Niech mama pozwoli mi pójść z sobą!

– Nie, moja droga. Ty nie jesteś starą, zahartowaną kobietą i nie będziesz ryzykowała przeziębienia. Idź do mojego pokoju i przypilnuj, żeby ogień w kominku nie zgasł. Wrócę za pół godziny.

– Gdzie jest mój naszyjnik, mamó?

– Moja droga, za naszyjnik panny młodej odpowiada matka panny młodej. Jeżeli go kiedyś przymierzemy, to przy dziennym świetle.

Minutę później madame Fontaine znajdowała się już na ulicy i kierowała swe kroki do najbliższego jubilera.

Rozdział 8

Wdowa przystanąła przed witryną jubilera przy słynnej ulicy zwanej Zeil. Jediną osobą obecną w sklepie był staruszek o dość gapowatym wyrazie twarzy, siedzący za ladą i czytający gazetę.

Madame Fontaine weszła do środka.

– Chciałabym coś panu pokazać, sir – powiedziała najdelikatniejszym, najbardziej przyjaznym tonem.

Staruszek, zerknąwszy najpierw na jej grubą woalkę, a potem na naszyjnik, uniósł ręce w geście zdumienia i podziwu.

– Pozwoli pani, że dokładnie przyjrzę się tym wspaniałym perłom? – zapytał, biorąc je zaraz pod lupę i ważąc w dłoni. – Że też nie boi się pani chodzić z nimi sama po nocy – rzekł. – Pozwoli pani, że wezwę swojego majstra i mu je pokażę?

Madame Fontaine pozwoliła. Człowiek pociągnął za dzwonek, który komunikował się z warsztatem. Wdowa, wiedząc teraz na pewno, że rozmawia z właścicielem sklepu, zaryzykowała pierwsze pytanie:

– Czy nie miałby pan jakiejś imitacji pereł, która przypominałaby moje?

Starszy dżentelmen drgnął i jeszcze raz spróbował przeniknąć wzrokiem grubą woalkę nieznaną jej.

– Wielkie nieba! Ależ skąd! – wykrzyknął. – W całym Frankfurcie nie znajdzie pani niczego podobnego.

– A czy możliwe byłoby stworzenie takiej imitacji, sir?

Do sklepu wszedł majster – chmurny, pewny siebie człowiek.

– Godne samej królowej – powiedział z beznamiętnym uznaniem dla wspaniałych pereł.

Jego pan powtórzył mu ostatnie pytanie madame Fontaine.

– Być może paryscy rzemieślnicy by coś takiego zrobili – odparł krótko. – Ile mogłaby im pani dać czasu?

– Kopia musiałaby do mnie trafić przed trzynastym następnego miesiąca.

Właściciel sklepu, litując się po chrześcijańsku nad ignorancją damy, uśmiechnął się, ale nic nie powiedział. Majster bezceremonialnie i bez wahania wygłosił swój werdykt:

– To zdecydowanie zbyt mało czasu. Wykluczone.

Madame Fontaine nie pozostało nic innego, jak poddać się okolicznościom. Wchodziła do sklepu z gotowym planem posłużenia się imitacją naszyjnika w dniu ślubu, podczas gdy prawdziwe perły znajdowałyby się w zastawie pod pożyczone pieniądze. Gdyby oddała naszyjnik w zastaw, nie mogąc zastąpić go imitacją, co powiedziałaby Minna i co pomyślałaby sobie pan Keller? Nie było sensu się nad tym teraz zastanawiać – potrzebowała tylko jakiegoś przekonującego

wy tłumaczenia. Niezależnie od podejrzeń, które być może by wzbudziła, ślub i tak by się odbył. Naszyjnik nie miał większego znaczenia dla przebiegu ceremonii, która miała uczynić Fritza i Minnę mężem i żoną – natomiast zdobycie pieniędzy było sprawą kluczową.

– Domyślam się, sir, że udziela pan pożyczek pod zastaw kosztowności, takich na przykład jak ten naszyjnik? – powiedziała.

– Naturalnie, madame.

– Pod warunkiem, że zna pan nazwisko i adres zastawcy – podsunął swojemu chlebodawcy niemiły majster.

Staruszek kordialnie przyznał mu rację.

– A tak, słusznie! I nazwisko osoby polecającej, kogoś ważnego i dobrze znanego w tym mieście, madame. Z takimi perłami wiąże się ogromna odpowiedzialność.

– Czy to absolutnie konieczne? – zapytała madame Fontaine.

Majster dyskretnie trącił swojego pana za ladą. Zrozumiawszy ów znak, gapowaty, starszy dżentelmen zamknął kasetkę z naszyjnikiem i zwrócił ją właścicielce.

– Absolutnie konieczne – odrzekł.

Madame Fontaine wyszła z powrotem na ulicę.

„Ważna osoba polecająca” oznaczała jakiegoś majątnego, prominentnego obywatela Frankfurtu – kogoś takiego jak, na przykład, pan Keller. Kto mógłby za nią poręczyć? Jej krewni z tego miasta ostentacyjnie się od niej odwrócili. Poza panem Kellerem byli jedynymi „ważnymi” ludźmi, jakich tutaj знаła. Wyglądało na to, że jej ostatnią szansą był lombard.

Tym razem trafiła na bystrego młodego człowieka. Ten, jak tylko ujrzał naszyjnik, wydał z siebie okrzyk szczerego zaskoczenia, po czym zadał w gwizdek. Zaraz ukazał się właściciel lombardu we własnej osobie, który popatrzył na perły, a potem na kryjącą się za woalką damę i udzielił tej samej odpowiedzi co jubiler – z tą różnicą, że nie silił się na grzeczność.

– Ani myślę wplątywać się w kłopoty – powiedział. – Najpierw muszę mieć poręczenie kogoś ważnego.

Madame Fontaine nie należała do kobiet, które łatwo się poddają, więc następnie skierowała swoje kroki ku dostojnej średniowiecznej ulicy zwanej Judengasse – w owym czasie gęsto zaludnionej.

Tamtejsi Żydzi jeden przez drugiego poczęli oferować swoje usługi nieznanemu damie, która nawiedziła tę urokliwą część miasta. Kiedy wdowa pokazała perły wybranemu przez siebie Izraelicie, ten bez mała postradał zmysły. Wrzasnął, klasnął w dłonie i jął wołać do swojej żony, swoich dzieci, swoich sióstr, swoich lokatorów, żeby przyszli nasycić oczy widokiem naszyjnika, jakiego świat nie widział, odkąd królowa Saby złożyła wizytę Salomonowi. Gdy fala pierwszego

podekscytowania minęła, nastąpiła po niej lawina niekończących się pytań. Jak brzmiało nazwisko damy? Gdzie mieszkała? Jak weszła w posiadanie naszyjnika? Czy został jej podarowany? Jeśli tak, to przez kogo? Gdzie go wykonano? Dlaczego przyszła z nim na Judengasse? Chciała go sprzedać czy zastawić pod pożyczkę? Aha! Zastawić pod pożyczkę. Znakomicie, doprawdy znakomicie, ale... – i tutaj jeszcze raz padła owa nienawistna prośba o poręczenie ze strony kogoś ważnego.

Madame Fontaine miała przygotowaną odpowiedź.

– Zamiast takiego poręczenia dam dobry procent – rzekła.

W obliczu owej propozycji egzaltacja Żydów – oscylująca pomiędzy żądzą zysku i strachem przed konsekwencjami – przybrała całkiem nową formę. Niektórzy poczęli pojękiwać, inni nerwowo kręcili palcami we włosach, jeszcze inni, przywołując sobie na świadka Boga czczonego przez ich ojców, opowiadali, czego to nie wycierpieli poprzednimi razy, kiedy godzili się obyć bez poręczenia – jeden wyjątkowo leciwy i brudny Żyd podsunął nawet pomysł zatrzymania damy wraz z jej naszyjnikiem siłą i posłania odpowiedniej wiadomości do władz miejskich w ratuszu. W przypadku jakiejś słabszej duchem kobiety ów ciekawy pomysł być może nawet doczekałby się realizacji. Madame Fontaine zachowała jednak przytomność umysłu i opuszczając ulicę Judengasse, była tak samo wolna, jak wtedy, gdy się na niej pojawiła.

– Mogę pożyczyć pieniądze gdzie indziej – rzuciła wyniośle na pożegnanie.

– Tak! – odpowiedział jej chór głosów. – Może pani je pożyczyć od jakiegoś pasera.

Była to aż nadto słuszna uwaga! Niezwykła wartość pereł skłaniała każdego praworządnego pożyczkodawcę do przedsięwzięcia najwyższych środków ostrożności. Madame Fontaine włożyła naszyjnik z powrotem do szuflady toaletki. To właśnie okazałość ślubnego podarunku Minny czyniła go bezwartościowym dla sprawy dyskretnego pozyskania potrzebnych pieniędzy.

A jednak owe pieniądze musiały zostać zdobyte – za wszelką cenę, niezależnie od okoliczności i bez względu na to, z jakim upokorzeniem czy niebezpieczeństwem by się to wiązało.

Powziąwszy owo mocne postanowienie, madame Fontaine ułożyła się na łóżku. Mijały godzina za godziną, a ona wciąż słyszała bicie zegara. Słabe, zimne światło nowego dnia zastało ją nadal bezsenną, zamyśloną i niezmiennie pozbawioną bezpiecznego planu na dzień, na który przypadała płatność weksła. Gdyby miała zdać się na własne środki, wartość owych kilku posiadanych przez nią błyskotek i sukien nie pokryłaby nawet połowy ciężącego na niej długu.

Dla biura był to szczególnie długi i pracowity dzień.

Nawet kiedy wszyscy domownicy siedzieli już razem przy kolacji, tę zakłóciło pojawienie się posłańca z pilnym listem – z czego wyniknęła konieczność

odwołania się do przeszłej korespondencji firmy. Pan Keller wstał od stołu.

– Przejrzenie wyciągów zajmie mniej czasu – powiedział do pani Wagner. – Ma je pani chyba w biurku?

Pani Wagner natychmiast odwróciła się do Jacka, polecając mu użyczyć panu Kellerowi odpowiedniego klucza. Jack wyjął klucz z woreczka pod czujnym wzrokiem madame Fontaine obserwującej go z za drugiego końca stołu.

– Wolałbym własnoręcznie otworzyć biurko – zauważył Jack po tym, jak pan Keller wyszedł z pokoju. – Ale naszemu panu, jak sędzę, chyba muszę ustąpić. Nawiasem mówiąc, on mnie nienawidzi.

Owe mocne słowa wprawiły wdowę w nie lada zaskoczenie.

– Jak możesz tak mówić? – wykrzyknęła. – Wszyscy cię lubimy, Jacku. Chodź, napij się wina z mojego kieliszka.

Jack stanowczo odrzucił ową propozycję.

– Nie chcę wina – rzekł. – Jestem zziębnięty i senny. Wolałbym pójść spać.

Madame Fontaine była zbyt towarzysko usposobiona, żeby przyjąć odmowę.

– Tylko kropelkę – przekonywała. – Wyglądasz, Jacku, na bardzo zmarzniętego.

– Chyba zapomniała pani, co mówiłam – wtrąciła się pani Wagner. – Wino najpierw go pobudza, a potem otumania. Po mojej ostatniej próbie był tak otępiaty i ocieżały, jak gdybym dała mu nie wina, a laudanum. Wydawało mi się, że wspominałam o tym pani. – Odwróciła się do Jacka: – Sprawiasz wrażenie okropnie zmęczonego, biedaku. Od razu idź się położyć.

– Bez klucza? – zapytał Jack z oburzeniem. – Dobrze wiem, co należy do moich obowiązków.

Wrócił pan Keller, całkowicie usatysfakcjonowany rezultatem swojego dochodzenia.

– Wiedziałem! – powiedział. – Błąd leżał po stronie naszych klientów. Przesłałem im dowód na to.

Wręczył klucz z powrotem pani Wagner, a ta natychmiast przekazała go Jackowi. Pan Keller pokręcił głową z nieprzejeđnaną dezaprobatą.

– Odważyłaby się pani na takie ryzyko? – zapytał madame Fontaine po francusku.

– Nie odważyłabym się – odrzekła wdowa w tym samym języku. Kiedy Jack, włożywszy klucz do woreczka i ucałowawszy dłoń swojej pani, skierował się do drzwi, zapytała pogodnie: – A ze mną się nie pożegnasz?

– Nie wiedziałem, czy pożegnanie po niemiecku albo po angielsku by panią zadowoliło – odparł Jack. – A w pani języku nie mówię.

Złożył jej wyszukany ukłon, po czym wyszedł z pokoju.

– Czy Jack rozumie francuski? – zapytała madame Fontaine.

– Nie – odrzekła pani Wagner. – Jednak zrozumiał, że pani i pan Keller

chcieliście coś przed nim ukryć.

Po pewnym czasie wszyscy zebrani przy stole wstali ze swoich miejsc i rozeszli się do sypialni. Pierwsza część nocy minęła spokojnie jak zwykle. Jednak między pierwszą a drugą nad ranem panią Wagner zbudził gwałtowny łomot do drzwi i przenikliwe wrzaski Jacka:

– Proszę mnie wpuścić! Potrzebuję światła, zgubiłem klucze!

Pani Wagner zawołała do niego, żeby się uciszył i pozwolił jej zarzucić na siebie szlafrok oraz zapalić świecę. Na szczęście zajmowali pokoje w tej części domu, która mieściła się nad biurem, i sypialnie pozostałych domowników znajdowały się na tyle daleko, że prowadziły do nich inne schody – mimo to wielokrotnie ponawiane pośród nocnej ciszy pełne grozy krzyki Jacka i jego łomotanie do drzwi mogłyby dotrzeć do uszu kogoś śpiącego lżejszym snem. Pani Wagner wciągnęła Jacka do swojego pokoju i zamknęła za nim drzwi z impetem, który absolutnie go zadziwił.

– Siądź tam i uspokój się! – nakazała srogo. – Nie dam ci światła, dopóki całkowicie się nie uciszysz. Narobisz mi wstydu, jeżeli obudzisz cały dom.

Jack, zdjęty przerażeniem i chłodem, zatrzęsł się od stóp do głów.

– Mogę mówić szeptem? – zapytał z żalosną uległością w oczach.

Pani Wagner, dobrze wiedząc z doświadczenia, jak korzystnie wpływało na Jacka wyznaczenie mu jakiegoś zadania, wskazała na dogorywające w kominku węgle.

– Przegrzeb ogień w kominku i ogrzej się najpierw – powiedziała.

Usłuchał jej i ułożył się na dywaniku niczym pies. Minął co najmniej kwadrans, zanim pani Wagner uznała, że uspokoił się na tyle, by mógł zacząć opowiadać o tym, co mu się przydarzyło. Jack nie miał jednak wiele do opowiedzenia. Włożył swój woreczek, jak zwykle, pod poduszkę i przebudził się z dłuższego snu z okropnym uczuciem, że coś złego przytrafiło się jego kluczom. Na próżno szukał ich po omacku pod poduszką, a potem po całym łóżku i na podłodze.

– Ogarnęła mnie – ciągnął – straszliwa trwoga i obawiam się, że na moment zupełnie postradałem zmysły. Ale proszę mi wierzyć, mam się już zupełnie dobrze. Widzi waszmość pani? Jestem cichutki jak myszka.

Pani Wagner wzięła świecę i ruszyła jako pierwsza do sąsiadującego z jej sypialnią niewielkiego pokoiku Jacka. Kiedy podniosła poduszkę, jej oczom ukazał się skórzany woreczek – dokładnie tam, gdzie jej podopieczny go umieścił, kładąc się do snu.

Wyraz twarzy Jacka w owej chwili zdołałby wzbudzić litość nawet w dużo mniej wspaniałomyślniej od pani Wagner kobiecie. Ujęła jego dłoń.

– Połóż się z powrotem – powiedziała łaskawie. – I następnym razem, kiedy coś ci się przyśni, postaraj się nie robić tyle hałasu.

Nie! Jack ani myślał kłaść się z powrotem, dopóki pani Wagner nie wysłuchałaby tego, co miał do powiedzenia na swoje usprawiedliwienie. Padł na kolana i uniósł w górę splecione ręce, zupełnie jak gdyby się modlił.

– Kiedy pierwszy raz uczyła mnie waszmość pani odmawiania pacierza – rzekł – powiedziała mi waszmość pani, że Bóg mnie słucha. Biorąc Go sobie teraz na świadka, powiadam: byłem w pełni przytomny, kiedy wsunąłem rękę pod poduszkę. I woreczka z kluczami pod nią nie było!

Owo solenne, gorliwe zapewnienie wywarło na pani Wagner ogromne wrażenie. Kiedy odpowiedziała Jackowi, że mu wierzy, mówiła szczerze. Za jej sugestią woreczek został rozwiązany i dokładnie obejrzany. Wewnątrz znajdowały się nie tylko wszystkie mniej ważne klucze (do których w ostatnim czasie dołączył nowy), ale też mniejszy klucz od jej biurka.

– Porozmawiamy o tym jutro – rzekła.

Powiedziawszy Jackowi dobranoc, otworzyła drzwi, ale zaraz znieruchomiała, przypatrując się zamkowi w nich. W zamku nie było klucza, ale poniżej znajdowało się innego rodzaju zabezpieczenie w postaci zasuwki.

– Czy przed położeniem się spać zaryglowałeś drzwi? – zapytała.

– Nie.

Owa odpowiedź nasunęła jej oczywiste podejrzenie.

– Co stało się z kluczem od twoich drzwi? – zapytała w następnej kolejności.

Jack zwiesił głowę.

– Dołożyłem go do pozostałych kluczy – wyznał – żeby woreczek wyglądał na większy.

Znalazłszy się z powrotem w swoim własnym pokoju, pani Wagner przystanęła w zamyśleniu przed roznieconym na nowo w kominku ogniem.

W ciągu nocy, podczas gdy Jack spał, ktoś o lekkim kroku i zwinnych dłoniach mógł zbliżyć się do jego łóżka i zabrać woreczek. Ta sama osoba, kilka godzin później, usłyszawszy krzyk podniesiony przez Jacka, mogła odłożyć woreczek na swoje miejsce, podczas gdy tamten dochodził do siebie w pokoju pani Wagner. Kto znajdowałby się na tyle blisko, by usłyszeć odgłosy zamieszania? Ktoś blakający się piętro wyżej po niezamieszkałych sypialniach? Czy ktoś myszkujący w opustoszałych pomieszczeniach biurowych piętro niżej? Jeżeli rzeczywiście miała miejsce kradzież, jej jedynym prawdopodobnym celem był klucz od biurka. To zdawało się wskazywać, że krzyki Jacka dotarły do uszu złodzieja przebywającego w pomieszczeniach biurowych. Czy kogokolwiek z domowników – licząc od uczciwych służących wzwyż – można by zasadnie podejrzewać o zdolność do kradzieży? Pani Wagner wróciła do łóżka. Nie była kobietą, która łatwo traciła ducha, jednak teraz – w obliczu pytania, które sama sobie postawiła – skapitulowała.

Rozdział 9

W miesiącach zimowych praca biura zaczynała się o dziewiątej. Żadna z zatrudnionych w nim osób – licząc od kierownika po posłańca – nie nocowała na miejscu. Zgodnie z życzeniem pana Kellera wieczorami wszyscy jego pracownicy mieli dysponować wolnym czasem wedle własnego uznania.

– Wiem, że mogę ufać im wszystkim bez wyjątku i lubię to okazywać – mawiał.

W tych okolicznościach pani Wagner musiała wstać tylko nieco wcześniej niż zazwyczaj, by zyskać pewność, że będzie miała całe biuro wyłącznie dla siebie. O ósmej rano znajdowała się już wraz z Jackiem w gabinecie. Siadłszy przy biurku, poczęła uważnie przyglądać się jego zawartości.

Wewnątrz niczego nie brakowało i każdy przedmiot znajdował się na swoim stałym miejscu. W biurku nie przechowywano gotówki, ale poprzedniego dnia pani Wagner zostawiła w środku kosztowny zegarek, który przestał chodzić i który zamierzała posłać do czyszczenia. Zegarek, jak wszystko inne, leżał na swoim miejscu. Jeżeli w nocy ktoś faktycznie otwierał biurko, tym kimś nie mógł być zwykły złodziej próbujący dokonać zwykłej kradzieży.

Wyjąwszy z przegródki klucz, otworzyła drzwiczki żelaznego sejfu. Jej wiedza na temat zawartości owego schowka była wyłącznie ogólna. Każdy ze współników dysponował własnym kluczem od sejfu, ale pan Keller znacznie częściej niż pani Wagner miał okazję zaglądać do środka. Na domiar złego, jakby zadanie dokonania miarodajnych oględzin nie było jeszcze wystarczająco trudne, dotychczasowa delikatna, poranna mgiełka za oknem szybko przekształcała się w gęstą jak mleko mgłę.

Pani Wagner jedno wiedziała na pewno: w sejfie zawsze znajdowała się – w charakterze funduszu rezerwowego – pewna suma pieniędzy w papierach wartościowych. Przeszedłszy wraz z blaszanym pudełkiem, w którym przechowywano owe papiery, w lepiej oświetlone miejsce, przeliczyła jego zawartość. Następnie, odłożywszy pudełko z powrotem do sejfu, otworzyła prywatną księgę główną, żeby porównać wynik swoich obliczeń z wpisem odnoszącym się do funduszu.

Chcąc uniknąć zbędnego zamieszania (i być może także wywołania zbędnych podejrzeń), postanowiła nie prosić jeszcze – dopóki nie rozpoczęły się godziny urzędowania biura – o to, by przyniesiono jej świecę, podeszła więc wraz z księgą znów do okna. W nikłym świetle poranka zdołała jedynie odczytać liczbowy zapis sumy całkowitej. Ku jej bezgranicznej uldze wartość ta dokładnie odpowiadała wcześniejszym obliczeniom. Pani Wagner odłożyła wszystko z powrotem na miejsce i zamknęła biurko. Gdy spróbowała oddać klucz Jackowi,

ten niespodziewanie pokręcił głową i cofnął dłoń. Potem, co jeszcze dziwniejsze, położył woreczek z pozostałymi kluczami na biurku i rzekł:

– Proszę go zabrać; boję się go trzymać.

Pani Wagner popatrzyła na niego z niepokojem, który zaraz przerodził się we współczucie. Stojące w jego oczach łzy były dowodem na to, jak głęboko zraniona została krucha duma.

– Ależ drogi chłopcze, co cię trapi? – zapytała łagodnie.

Łzy potoczyły się po jego policzkach.

– Jestem takim nędznikiem – stwierdził. – Nie zasługuję na to, żeby opiekować się kluczami po tym, jak tej nocy pozwoliłem się podejść złodziejowi. Niech waszmość pani je ode mnie zabierze. Mam złamane serce. Proszę dać mi następną szansę w Londynie.

– Złodziejowi? – powtórzyła pani Wagner. – Przecież widziałeś, że wszystko sprawdziłam. Wierz mi, gdyby po domu minionej nocy rzeczywiście błąkała się jakaś osoba o nieuczciwych zamiarach, jedynym kluczem, który opłacałoby jej się wykraść, byłby ten od mojego biurka. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. No już! Przestań się smucić. Wiesz, że nigdy bym cię nie okłamała, i powiadam: jeżeli podejrzewasz, że w nocy ktoś wykradł twój woreczek, jesteś w błędzie.

Jack, jak to miał zwyczaj czynić w krytycznych momentach swojego życia, uniósł uroczyście dłoń.

– A ja powiadam, że mamy w tym domu złodzieja – oświadczył. – I waszmość pani niedługo się o tym przekona. Kiedy wrócimy do Londynu, znów będę klucznikiem. Ale tutaj nie chcę nim być... nigdy, nigdy, nigdy więcej!

Dalsze spieranie się z nim nie miało sensu. Najmądrzejszą rzeczą, jaką można było teraz zrobić, to poczekać, aż minie mu obecny nastrój. Pani Wagner zawiązała jego woreczek i wsunęła klucz od biurka z powrotem do swojej kieszeni. Chociaż nie umiałyby się do tego przyznać nawet przed samą sobą, śmiertelna powaga Jacka nieco ją rozstroiła.

Po tym, jak śniadanie dobiegło końca, Minna, zamiast pójść swoim zwyczajem z matką na górę, została dłużej przy stole, a kiedy pan Keller także opuścił pomieszczenie, zwróciła się do pani Wagner z drobną prośbą:

– Muszę napisać bardzo trudny list – zaczęła – i Fritz poradził mi, żebym zapytała, czy nie byłaby pani łaskawa mi pomóc.

– Z największą przyjemnością, moja droga. Czy twoja mama wie o tym liście?

– Tak, ten list to pomysł mamy. Ale ona wychodzi dziś rano do miasta, a kiedy poprosiłam ją o radę, pokręciła głową. „Pomyślą, że to ode mnie, co popsuje cały efekt” – stwierdziła. Mam napisać tutejszym krewnym mamy – tym samym, którzy tak źle ją potraktowali – o swoim ślubie. Mama mówi, że być może zechcą coś dla mnie zrobić, jeśli napiszę do nich tak, jakbym pisała tylko od siebie.

Czy to, co powiedziałam, było zrozumiałe?

– Doskonale zrozumiałe, Minno. Chodź ze mną do gabinetu. Zobaczymy, co zdołamy razem wymyślić.

Gdy pani Wagner otwierała drzwi, korytarzem przechodziła właśnie madame Fontaine w wyjściowym stroju i z niewielkim papierowym pakunkiem w dłoni.

– Tam jest pióro, Minno. Siądź przy mnie i pisz, co powiem.

Człowiek, do którego obowiązków należało uzupełnianie atramentu w biurowych kałamarzach, tym razem przesadził nieco z ilością płynu. Zabierając się w pośpiechu do napisania pierwszych podyktowanych jej słów, Minna zanurzyła pióro zbyt głęboko w kałamarzu i kiedy wyciągnęła je z niego z powrotem, zapryskala atramentem nie tylko kartkę papieru, ale też rękaw sukni pani Wagner.

– Och, jestem taka niezdarna! – wykrzyknęła. – Proszę dać mi chwilkę; mama ma w swoim kufierku na przybory toaletowe środek, który błyskawicznie usunie te plamy.

Pobiegła na górę i niebawem wróciła z tym samym proszkiem, przy pomocy którego jej matka wymazała pierwsze zdania z etykiety doczepionej do buteleczki z niebieskiego szkła.

Po tym, jak plamy zniknęły z jej sukni, pani Wagner z niejakim zaciekawieniem zerknęła na instrukcję wydrukowaną na kartonowym pudełeczku: „Macula Exstinctor, czyli Pogromca Plam – przeczytała. – Rozpuścić nieco proszku w łyżce wody i wetrzeć starannie w zabrudzone miejsce, co wywabi plamę, ale nie odbarwi samej tkaniny. Ten wyjątkowy środek doskonale wywabia również pismo z papieru, nie niszcząc jego powierzchni i pozostawiając na niej jedynie nieznaczny połysk”.

– Czy można kupić coś takiego we Frankfurcie? – zapytała pani Wagner. – Do tej pory jedynym znanym mi ratunkiem na zaplamione atramentem ubranie albo palce był sok z cytryny.

– Proszę zatrzymać ten proszek, droga pani Wagner. Bez trudu kupię mamie nowe pudełko w aptece przy ulicy Zeil – tam, gdzie kupiliśmy to. Proszę popatrzeć, jak łatwo zniknie z papieru ten kleks! Dopóki nie spojrzysz naprawdę z bliska, prawie nie widać połysku – a po atramencie ani śladu!

– Dziękuję ci, moja droga, ale twojej mamie mógłby przydarzyć się jakiś drobny wypadek i mogłaby potrzebować waszego cudownego proszku, podczas gdy mnie nie byłoby w pobliżu. Odłóżysz go z powrotem na miejsce, kiedy już skończymy pisać list. A jutro albo pojutrze pójdziemy razem do apteki i kupimy nowe pudełko.

*

Trzydziestego grudnia pan Keller wznosił po obiedzie toast: „Za ślub, który

ma się odbyć za dwa tygodnie!”. Zebrani przy stole domownicy próbowali wykrzesać z siebie trochę entuzjazmu, ale z marnym skutkiem. Nie wiedzieć dlaczego w owej chwili nikt z nich nie był w nastroju do świętowania.

Trzydziesty pierwszy grudnia był kolejnym pracowitym dniem dla całego biura. W ostatni dzień roku sporządzano zawsze bilans firmy.

Przed południem pan Keller wszedł do gabinetu pani Wagner i otworzył sejf.

– Trzeba zajrzeć do funduszu rezerwowego – powiedział. – Ja przeliczę pieniądze, a pani otworzy księgę główną i sprawdzi, czy wpis się zgadza. Nie wiem, jakie ma pani zdanie na ten temat, ale ja uważam, że nie powinniśmy pozwalać, by w okresie dobrej koniunktury aż tyle pieniędzy leżało bezczynnie. Co by pani powiedziała na to, gdybyśmy przeznaczyli połowę tradycyjnej kwoty funduszu na inwestycje? Tak przy okazji, nie przeprowadzamy tutaj podziału zysków tego samego dnia, co wy w Londynie. Kiedy mój ojciec zakładał firmę, wybrał na to datę szóstego stycznia – dla uświetnienia swoich urodzin. Trzymaliśmy się dotąd tego starego zwyczaju z szacunku dla jego pamięci – przy pełnej aprobacie pani zacnego męża. Mam nadzieję, że popiera pani jego stanowisko w tej sprawie?

– Z całego serca – powiedziała pani Wagner. – Opinie mojego męża są moimi opiniami.

Pan Keller przeliczył pieniądze w funduszu.

– Piętnaście tysięcy florenów – ogłosił. – Spodziewałem się większej sumy. Gdyby nasz drogi Engelman był tutaj z nami... Nieważne! Co jest napisane w księdze głównej?

– Piętnaście tysięcy florenów – odparła pani Wagner.

– Cóż, pamięć widocznie splątała mi figła. Dawniej zajmował się tym Engelman, ale pani dorównuje mu starannością, to na pewno mogę powiedzieć.

Pan Keller odłożył pieniądze do sejfu i pospieszył z powrotem do swojego gabinetu.

Pani Wagner uniosła jedną ze stron księgi, żeby ją zamknąć. Zastanowiła się, po czym opuściła ją znów na blat biurka.

Pan Keller słynął w biurze ze swojej niezawodnej pamięci. Poważnie traktując słowa uznania, które skierował pod jej adresem jako godnej następczyni sumiennego pana Engelmana, pani Wagner nie zamierzała jeszcze wziąć za pewnik tego, co powiedział – nawet jeśli księga główna zdawała się jednoznacznie tego dowodzić. Sprawdzenie odpowiedniego wpisu w jej prywatnym rejestrze rachunkowym od razu rozwiałoby wszelkie wątpliwości.

Ostatni dzień roku był mroźny, ale pogodny. Stronę, na której otwarta była księga główna, rozświetlały czyste promienie południowego słońca. Pani Wagner ponownie spojrzała na wpis podający numerycznie kwotę funduszu jako „15 000 florenów” i dostrzegła pewien szczegół, który wcześniej umknął jej uwadze.

Cyfry „1” i „5” bez wątpienia nakreślone były nieco grubszą kreską niż trzy następujące po nich zera. Czy w stalówkę pióra kierownika biura, który dokonał wpisu, wplątał się jakiś kłaczek? A może w tym konkretnym miejscu na papierze znajdowała się jakaś drobna skaza? Pani Wagner jeszcze raz uniosła jedną stronę księgi – tak, żeby promienie światła padły na wpis pod kątem. Powierzchnia papieru w miejscu, w którym widniały cyfry „1” i „5”, rzeczywiście różniła się od reszty. Delikatnie połyskiwała...

Krawędź księgi głównej wyslizgnęła się z jej dłoni i opadła na blat biurka. Wyszędłszy z gabinetu, pani Wagner popędziła na górę do swojego pokoju. Jej prywatny rejestr rachunkowy nie był jej w ostatnim czasie potrzebny i leżał zamknięty w kufierku na przybory toaletowe. Wyjąwszy go z niego teraz, odszukała właściwą stronę i ujrzała wpis, który przeniosła z księgi głównej: „20 000 florenów”.

– Madame Fontaine! – wyszeptała do siebie.

Rozdział 10

Nastał nowy rok.

Rankiem drugiego stycznia pani Wagner (udająca się o zwykłej porze do swojego gabinetu) natknęła się na niższej kondygnacji schodów na madame Fontaine – która najwyraźniej specjalnie tam na nią czekała.

– Proszę wybaczyć – rzekła wdowa – ale muszę zamienić z panią słowo.

– Spieszę się do pracy, madame. Nie mam czasu.

Madame Fontaine, jak gdyby nie słysząc tego, co właśnie jej powiedziano – głucha i ślepa w swoim upiornie rozpaczliwym stanie ducha na wszystko, co mogły wyrazić cudze słowa, ton głosu i spojrzenia – nie ruszyła się z miejsca i uparcie powtórzyła:

– Muszę z panią zamienić słowo.

Pani Wagner jeszcze raz odmówiła.

– Powiedziałyśmy już sobie wszystko, co powinno zostać powiedziane – odparła. – Odłożyła pani pieniądze na miejsce?

– Właśnie o tym chciałam z panią porozmawiać.

– Odłożyła pani pieniądze na miejsce?

– Proszę nie doprowadzać mnie do szaleństwa, pani Wagner! Jeżeli liczy pani na to, że w godzinie śmierci zostanie pani okazane miłosierdzie, proszę samej okazać teraz miłosierdzie nieszczęsnej kobiecie, która błaga, żeby ją pani wysłuchała! Proszę ze mną pójść do bawialni. O tej porze dnia nikt nie będzie nam w niej przeszkadzał. Proszę dać mi pięć minut!

Pani Wagner zerknęła na zegarek.

– Dobrze, dam pani pięć minut. Ale powtarzam: mogę pani poświęcić pięć minut, i mówiąc to, mówię prawdę. Ja zawsze mówię prawdę.

Pani Wagner jako pierwsza ruszyła z powrotem na górę. Do bawialni prowadziły dwa osobne wejścia – jedno z półpiętra i drugie przez mniejsze drzwi znajdujące się w przeciwległym końcu korytarza. To drugie wejście łączyło się z czymś w rodzaju wnęki, w której mieściło się pianino i którą od usytuowanego głębiej przestronnego pokoju oddzielały jedynie zasłony. Pani Wagner, wszedłszy głównymi drzwiami, przystanęła nieopodal kominka. Krocząca za nią madame Fontaine skierowała się ku zasłonom i zajrzała za nie. Upewniwszy się, że nikogo nie ma we wnęce, dołączyła do pani Wagner przed kominkiem i wreszcie się odezwała:

– Przed chwilą wspomniała pani, że zawsze mówi pani prawdę. Czy to znaczy, że mi pani nie uwierzyła, kiedy dobrowolnie przyznałam...

– Do niczego się pani dobrowolnie nie przyznała – przerwała jej pani Wagner. – Przysłałam do pani z niepodważalnym dowodem na dokonaną przez

panią kradzież. Pokazałam pani swój prywatny rejestr rachunkowy, a następnie – kiedy próbowała się pani wszystkiego wyprzeć – znajdujący się w pani własnym kufierku na przybory toaletowe środek, przy pomocy którego sfałszowała pani wpis w księdze głównej. Jak w takiej sytuacji może pani twierdzić, że dobrowolnie przyznała się do winy?

– Źle mnie pani zrozumiała, madame. Miałam na myśli to, że dobrowolnie przyznałam się do motywów, które mną kierowały. Jak wyjaśniłam, w okropnym położeniu, w którym się znalazłam, mogłam tylko albo wziąć te pieniądze, albo pozwolić, żeby mojej córce została odebrana szansa na szczęśliwą przyszłość. Zapewniam, że niczego przed panią nie zataiłam. Jeżeli uważa się pani za chrześcijankę, proszę nie być wobec mnie tak bezwzględna!

Pani Wagner odsunęła się do tyłu i spojrzała na madame Fontaine z pełnym pogardy zaskoczeniem.

– Bezwzględna wobec pani? – powtórzyła. – Co też pani mówi? Zapomniała pani już, na jakie poniżające ustępstwo się zgodziłam? Czy muszę jeszcze raz przypomnieć pani o moim położeniu? Moim obowiązkiem było powiedzieć panu Kellerowi, że okradziono nas; moim obowiązkiem było powiedzieć mu, że przyjął pod swój dach i obdarzył zaufaniem zwykłą złodziejkę. A jednak zgodziłam się zachować sprawę w tajemnicy. Czy ma pani jakiegokolwiek poczucie przyzwoitości? Czy potrafi pani sobie wyobrazić, jaki wstyd czuje uczciwa kobieta, która ma świadomość, że jej haniebne milczenie czyni ją – przynajmniej tymczasowo – współwinną przestępstwa? Myśli pani, że jest mi pani żal i że to przez wzgląd na panią tak się poświęcam? Zaraz po odkryciu pani niecnego występku posłałabym po pana Kellera, gdyby nie powstrzymała mnie przed tym myśl o Bogu ducha winnej dziewczynie, która ma nieszczęście być pani córką. Pytam po raz ostatni: czy ma mi pani do powiedzenia coś, co absolutnie koniecznie powinnam usłyszeć? Czy dopełniła pani warunków, pod którymi zgodziłam się – Boże, dopomóż! – zrobić z siebie to, co zrobiłam?

Milknąc, odwróciła się dumnie, żeby się opanować. Przez to nie zauważyła błysku, który zapłonął w oczach wdowy i jej drżących od powstrzymywanej furii ust. Była to pierwsza i ostatnia zapowiedź tego, co miało się wydarzyć – i pani Wagner ją przeoczyła.

– Chciałam porozmawiać o postawionych przez panią warunkach – odezwała się madame Fontaine po chwili ciszy. – Spełnienie ich jest rzeczą niemożliwą. Błagam panią przez wzgląd na Minnę (nie, nie przez wzgląd na siebie samą!), błagam, żeby je pani przeformułowała.

Ton, którym wypowiedziała te słowa, był tak nienaturalny, że pani Wagner od razu gwałtownie się odwróciła i spojrzała jej w twarz.

– Co to znaczy: „spełnienie ich jest rzeczą niemożliwą”? Proszę się wytłumaczyć.

– Jak pani zauważyła, jest pani uczciwą kobietą, a ja jestem złodziejką – odrzekła madame Fontaine wciąż z tym samym złowieszczym spokojem. – Jak mogłaby pani zrozumieć moje wyjaśnienia? Czy nie powiedziałam już wystarczająco dużo? Powtarzam: w moim położeniu spełnienie postawionych przez panią warunków, a zwłaszcza pierwszego z nich, jest rzeczą niemożliwą.

W gorzko-ironicznym tonie, którym udzieliła owej odpowiedzi, pobrzmiwało coś, co czyniło ją niemal bezczelną. Policzki pani Wagner zaróżowiły się.

– Spełnienie uczciwie postawionych warunków uczciwej osobie nie powinno przysporzyć żadnych problemów – powiedziała.

Madame Fontaine, zupełnie niewzruszona zawartą w tych słowach przyganą, napierała dalej.

– Proszę panią tylko o przeformułowanie owych warunków – wyjaśniła. – Mam nadzieję, że dobrze się rozumiemy. Czy nadal nalega pani, żebyśmy zwróciła to, co wzięłam, przed szóstym stycznia?

– Tak.

– Czy nadal oczekuje pani ode mnie, że zwolnię się z posady gospodyni w dniu, w którym Fritz i Minna staną się mężem i żoną?

– Tak.

– Odsuńmy na razie ten drugi warunek na bok. Co, jeśli nie uda mi się uzupełnić funduszu rezerwowego o brakuje pięć tysięcy florenów?

– Jeśli się to pani nie uda, szóstego stycznia, podczas dokonywania podziału zysków, spełnię swoją powinność wobec pana Kellera.

– I wyda mnie pani, dobrze wiedząc, że tym samym doprowadzi pani do odwołania ślubu, dobrze wiedząc, że tym samym skaże pani moją córkę na życie w hańbie i ubóstwie?

– Wydam panią, wiedząc, że do ostatniej chwili strzegłam pani grzesznego sekretu i że jestem to winna swojemu współnikowi i samej sobie. Ma pani jeszcze cztery dni. Proszę je dobrze wykorzystać.

– W tym czasie nie zdołam dokonać absolutnie niczego.

– Próbowала pani?

Furia, którą tłumiała w sobie madame Fontaine, zaczęła wymykać się spod jej kontroli.

– Sądzi pani, że narażałabym się na te liczne zniewagi z pani strony, gdybym nie próbowała? – zapytała. – Czy mogłabym odzyskać te pieniądze od człowieka, któremu zostały przekazane w Würzburgu, kiedy wraz z końcem roku nadszedł termin spłaty weksla? Czy znam kogoś, kto pożyczylby mi pięć tysięcy florenów? Czy zrobiłby to mój ojciec? Drzwi jego domu są przede mną zamknięte od dwudziestu lat, a matka, która być może by się za mną wstawiła, nie żyje. Czy mogłabym powtórnie odwołać się do miłosierdzia i współczucia tutejszych

krewnych, tych samych, którzy już raz tak bezdusznie mi odmówili? Odwołałam się! Siłą wtargnęłam do ich domu wczoraj i przyznałam się im, że jestem komuś winna sumę pieniędzy wysoce przekraczającą moje możliwości. Poznałam na wskroś gorycz upokorzenia; nawet zaproponowałam naszyjnik swojej córki jako zabezpieczenie pod pożyczkę. Jest pani ciekawa, jaką odpowiedź otrzymałam? Pan domu odwrócił się do mnie plecami, a pani domu rzuciła mi prosto w twarz, że na pewno ukradłam ten naszyjnik. Czy usłyszenie tych słów nie było dla mnie wystarczająco srogą karą za występki, którego się dopuściłam? Czy nie dowiodłam jeszcze, że należy mi się z pani strony trochę zrozumienia? Jedyne, czego potrzebuję, to więcej czasu. Za kilka miesięcy, dzięki pieniądзом zaoszczędzonym z mojej pensji gospodyni, sprzedaży moich nielicznych kosztowności i zyskom z mojej współpracy z handlarzami sztuki, będę mogła zwrócić dług i zrobię to. Jest pani bogata. Co to dla pani pożyczka w wysokości pięciu tysięcy florenów? Proszę w dniu rozliczenia finansów firmy szóstego stycznia wybawić mnie od okropnej katastrofy! Proszę pomóc mi wydać Minnę szczęśliwie za męża! Jeśli nadal nie wierzy mi pani na słowo, dam pani poręczenie w postaci naszyjnika z pereł.

Pani Wagner, której haniebna zuchwałość owej propozycji całkiem odebrała mowę, odpowiedziała wdowie tylko spojrzeniem i ruszyła do drzwi. Madame Fontaine natychmiast ją zatrzymała.

– Proszę zaczekać! – zawołała ta doprowadzona do ostateczności, nieszczęsna istota. – Niech się pani dobrze zastanowi, zanim mi odmówi!

Pani Wagner wreszcie dała upust swojemu oburzeniu:

– Zgodziłam się na rozmowę z panią i dostałam to, na co zasłużyłam – rzekła. – Proszę mnie z łaski swojej przepuścić.

Madame Fontaine, podejmując ostatnią, rozpaczliwą próbę, padła na kolana.

– Poczulałam się urażona pani ostrymi słowami – powiedziała. – Zapomniałam, że jestem kobietą zhańbioną i nie wykazałam się wystarczającą pokorą. Ale już spokorniałam, widzi pani? Na kolanach błagam panią o litość. To nie tylko moja ostatnia szansa; to ostatnia szansa Minny. Proszę nie rujnować życia mojej biednej córki z powodu błędów jej matki.

– Madame Fontaine, ponownie panią proszę, żeby pozwoliła mi pani przejść.

– Ale nie odpowiedziała pani na moje błagania! Czy nie zasługuję nawet na odpowiedź?

– Pani błagania są dla mnie zniewagą. Wybaczam pani tę zniewagę.

Madame Fontaine podniosła się z klęczek. Z jej twarzy i zachowania zniknął wszelki ślad po jej niedawnym wzburzeniu.

– Tak – powiedziała z nienaturalnym spokojem. – Tak, nie przeczę, z pani punktu widzenia mogą się wydawać zniewagą. Kiedy złodziej błaga okradzioną przez siebie osobę, żeby pożyczyła mu pieniędzy na odkupienie swojej winy, owo błaganie musi jawić się (na pierwszy rzut oka) jako zuchwałość. Nie mogę

oczekiwać, że zrozumie pani rozpacz kryjącą się pod ową zuchwałością. Proszę przyjąć moje przeprosiny, madame. Wcześniej nie widziałam tego w takim świetle. Muszę jak najlepiej wykorzystać to, że wciąż litościwie chroni mnie pani swoim milczeniem, muszę jak najlepiej wykorzystać czas, który pozostał do szóstego stycznia. Proszę pozwolić, że otworzę dla pani drzwi.

Otworzywszy je, spojrzała na panią Wagner wyczekująco.

Pani Wagner poczuła, że bicie jej serca przyspieszyło.

Pod wpływem czego? Czyżby strachu? Sam pomysł sprawił, że oburzyła się na samą siebie. Nagła niepewność, czy nie zdradziła się w jakiś sposób z owym nieokreślonym uczuciem, sprawiła, że jej policzki zapłonęły. Wyszła z pokoju, nie ośmielając się już nawet podnieść wzroku na kobietę, która stanęła w otwartych drzwiach i pożegnała ją nieprzeniknionym, pełnym udawanego szacunku ukłonem.

Madame Fontaine została sama w bawialni.

Gwałtownym gestem zamknęła drzwi, przeszła chwiejnym krokiem przez pomieszczenie i padła ciężko na sofę. Z jej piersi wyrwał się chrypliwy okrzyk wściekłości pomieszanej z rozpaczą. W obawie, że ktoś mógłby ją usłyszeć, wepchnęła sobie chustkę w usta i zacisnęła na niej zęby. Po tym, jak nieznośne napięcie opuściło jej ciało, podniosła się do pozycji siedzącej, otarła pot z twarzy i uśmiechnęła się do siebie. „Dobrze zrobiłam, zostając tutaj – pomyślała. – Na schodach mogłabym kogoś spotkać”.

Kiedy wstała do wyjścia, z dalszego końca korytarza dobiegł ją głos Fritza:

– Jesteś taka przygaszona, Minno. Wejźmy tutaj i sprawdźmy, czy muzyka nie zdoła poprawić ci humoru.

Drzwi prowadzące do wnęki otworzyły się i zza zasłon dobiegł tym razem głos Minny:

– Obawiam się, że nie będę umiała dzisiaj śpiewać, Fritz. Tak bardzo martwię się o mamę. Sprawia wrażenie roztrzęsionej i chorej, ale kiedy pytam, co ją trapi, zbywa mnie wykrętami.

Na dźwięk jej świeżego, młodego głosu – na dźwięk tych kilku słów płynących prosto z kochającego, troskliwego serca – całym jestestwem jej matki wstrząsnął przejmujący ból. Madame Fontaine, mogąc teraz tylko w ten niemy sposób dać upust swoim emocjom, uniosła obie ręce nad głowę i zacisnęła je w geście udręki. Następnie szybkim krokiem skierowała się do wyjścia – jak gdyby uciekając przed tym, co jeszcze mogłaby usłyszeć. Jednak w jej ruchy – zazwyczaj pełne doskonałej gracji – wkradła się ta sama nerwowość, która wypełniała jej duszę. Próbując wyminąć stół z jednej strony, zawadziła o pobliskie krzesło.

Fritz natychmiast rozsunał zasłony i zajrzał do bawialni.

– Hej, twoja mama jest tutaj! – zawołał ze swoją chłopięcą bezceremonialnością.

Słyszając to, Minna zamknęła pianino i pospieszyła ku matce. Zaraz jednak,

jak tylko madame Fontaine skierowała na nią swój wzrok, przystanąła z wyrazem przestraszenia na twarzy.

– Och, wygląda mama tak okropnie blado i niezdrowo! – Ruszyła znów, żeby zarzucić matce ręce na szyję i ucałować ją, ale madame Fontaine powolnym, bardzo powolnym gestem nakazała jej się cofnąć. – Mamo, czymże mamę uraziłam?

– Niczym, moja droga.

– Więc dlaczego nie pozwala mi mama do siebie podejść?

– To z braku czasu, Minno. Mam coś do zrobienia. Musisz poczekać, aż skończę.

– Nie mogę nawet mamy szybko ucałować?

Madame Fontaine bez słowa wybiegła z pokoju i nie oglądając się za siebie, pomknęła schodami na górę. Oczy Minny wypełniły się łzami. Fritz stał przy otwartych drzwiach, nie mogąc wyjść ze zdumienia.

– Nie uwierzyłbym, gdybym tego nie zobaczył – rzekł. – Twoja matka chyba boi się twojego dotyku...

Fritz miał na swoim życiowym koncie wiele nietrafionych domysłów, lecz tym razem się nie pomylił. Madame Fontaine rzeczywiście bała się.

Rozdział 11

Pełniąc rolę głównej strażniczki spraw domowych, madame Fontaine zawsze pojawiała się jako pierwsza przy stole nakrytym do wczesnego, niemieckim zwyczajem, obiadu. Nawet najdrobniejsza plamka na ostrzu noża czy cień zabrudzenia na talerzu nie miały szansy ujść jej spostrzegawczości. Jeśli Joseph niestarannie złożył serwetkę, to nie tylko się o tym dowiadywał, ale też musiał w upokorzeniu patrzeć, jak wprawne ręce gospodyni po mistrzowsku wykonują zadanie za niego.

Drugiego dnia nowego roku wdowa była, jak zwykle, na swoim posterunku i Joseph stanął wobec oskarżenia o marnotrawienie wina.

Wcześniej postawił butelkę Ohligsbergera na stole nieopodal miejsca należącego do madame Fontaine. Z butelki korzystano już poprzedniego dnia przy obiedzie i kolacji i została opróżniona w co najmniej dwóch trzecich. Umieściwszy drugą butelkę po przeciwnej stronie stołu, Joseph sięgnął po swój korkociąg. Madame Fontaine natychmiast zabrała go z jego dłoni.

– Dlaczego otwierasz nową butelkę, nie mając pewności, czy będzie potrzebna? – zapytała ostro. – Dobrze wiesz, że pan Keller i jego syn wolą piwo.

– Ale w tamtej butelce zostało tak niewiele – usprawiedliwił się Joseph. – Nawet nie na całą szklaneczkę.

– Być może jednak taka ilość wystarczy dla pani Wagner i dla mnie – powiedziała, po czym pokazała mu palcem drzwi.

Joseph oddalił się, zostawiając ją samą przy stole i wrócił do jadalni dopiero wtedy, kiedy obiad był już gotowy do podania.

Pięć minut później domownicy siedzieli przy posiłku.

Joseph wykonywał swoje obowiązki z obrażoną miną, wciąż pamiętając reprimendę ze strony gospodyni. Kiedy nadszedł czas, żeby napełnić kieliszki, madame Fontaine, ku jego satysfakcji, ostatecznie sama poleciała mu wyciągnąć korek z nowej butelki.

Pani Wagner odwróciła się do stojącego za nią, jak zawsze, Jacka i poprosiła o trochę wina. Madame Fontaine natychmiast chwyciła ową prawie pustą butelkę, która stała w zasięgu jej ręki, napełniła do połowy kieliszek pani Wagner i z uprzejmą powagą podała go jej przez stół.

– Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu – powiedziała – wykończymy jedną butelkę, zanim otworzymy następną.

Pani Wagner wypiła swoją niewielką porcję trunku jednym haustem.

– Po otwarciu wino chyba szybko wietrzeje – zauważyła, odkładając kieliszek na stół. – Nie jest już tak smaczne jak wczoraj.

– Nie powinno się psuć – powiedział pan Keller ze swojego miejsca

u szczytu stołu. – To stare, dobre wino. Pozwólcie mi spróbować tej odrobiny, która została w butelce.

Joseph zbliżył się do stołu, żeby podać resztkę wina swojemu panu. Madame Fontaine jednak go uprzedziła.

– Od razu otwórz drugą butelkę – nakazała, po czym wstała z miejsca i ruszyła ku panu Kellerowi w takim pośpiechu, że przydepnęła brzeg sukni. Ratując się przed upadkiem, wypuściła butelkę z rąk, przez co ta rozbiła się, a jej zawartość wyciekła na podłogę. – Proszę mi wybaczyć – powiedziała wdowa, uśmiechając się delikatnie. – To pierwsza rzecz, którą stłukłam, odkąd jestem w tym domu.

Pani Wagner, kiedy zaproponowano jej wino z nowo otwartej butelki, odmówiła. Co więcej, zostawiła swój posiłek niedojedzony na talerzu.

– Tak łatwo tracę apetyt – stwierdziła. – Być może w kieliszku było coś, czego nie zauważyłam, albo mój zmysł smaku zaczął zawodzić.

– Bardzo możliwe – rzekł pan Keller. – Wczoraj nie miała pani temu wina nic do zarzucenia. I z całą pewnością nie można niczego zarzucić temu ze świeżej butelki – dodał, posmakowawszy go. – Proszę podzielić się z nami swoimi wrażeniami, madame Fontaine.

Z tymi słowy napełnił kieliszek gospodyni.

– Nie znam się na winie – oznajmiła skromnie madame Fontaine – ale wydaje mi się bardzo smaczne. – Odstawiając swój kieliszek na stół, zauważyła, że Jack przypatruje się jej z niezwykle wyteżoną uwagą. – Czyżbyś dostrzegł we mnie coś fascynującego, Jacku? – zapytała beztrąsko.

– Nie, po prostu się zastanawiałem – odpowiedział Jack.

– Nad czym?

– Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby się pani potknęła i prawie przewróciła. Już w Würzburgu zauważyłem, że porusza się pani tak zwinnie jak kot. To wszystko.

– Nie wiesz, że od każdej reguły są wyjątki? – zapytała madame Fontaine, nie tracąc dobrego humoru. – Dostrzegłam taki wyjątek także w tobie – zmieniła nagle temat. – Co się stało z twoim skórzanym woreczkiem? Czyżby zabrała mu pani jego klucze, pani Wagner?

Jej uwadze nie umknął fakt, jaką dumą napawały Jacka jego obowiązki jako klucznika.

Niebezpieczeństwo, że będzie chciał dodać coś jeszcze na temat Würzburga, łatwo mogła zażegnać, uderzając w to czułe miejsce. Rezultat jak najbardziej spełnił jej oczekiwania. Jack w dzikim przejęciu wsparł się na oparciu krzesła swojej pani i już otwierał usta, żeby opowiedzieć zebrany straszliwą historię, która przydarzyła się mu w nocy, jednak pani Wagner powstrzymała go z bardzo nietypowym dla siebie rozdrażnieniem.

– To pytanie było skierowane do mnie – rzekła. – Klucze znajdują się teraz pod moją opieką, madame Fontaine, na życzenie samego Jacka, który otrzyma je z powrotem, jak tylko o nie poprosi.

– Niech waszmość pani opowie jej o złodzieju – szepnął Jack.

– Bądźże cicho!

Jack wreszcie zamilkł i wycofał się w kąt pokoju. Wszedłszy później za panią Wagner, jak zwykle, do jej gabinetu – po tym, jak wróciła do biurowych obowiązków – uderzył zaciśniętą pięścią w swoje ulubione siedzisko pod oknem i wykrzyknął:

– Niech diabli porwą Frankfurt!

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nienawidzę Frankfurtu. W Londynie waszmość pani była zawsze dla mnie taka dobra. Tutaj nic, tylko się na mnie złości. To naprawdę okrutne. Dlaczego nie wolno mi było opowiedzieć pani gospodyni o tym, jak straciłem nocą klucze? Teraz, kiedy o tym myślę, dochodzę do wniosku, że to ona była złodziejem.

– Cicho! Ćśś! Nie wolno ci tak mówić! Chodź tutaj, Jacku, i uściśnij moją dłoń na zgodę. Rzeczywiście czuję się rozdrażniona; nie wiem, co się ze mną dzieje. Pamiętaj: pan Keller nie lubi, kiedy włączasz się do rozmowy przy stole. Uważa to za zuchwałość z twojej strony. To jeden z powodów, dla którego cię powstrzymałam. Poza tym mogłeś powiedzieć coś, co uraziłoby madame Fontaine. To drugi z powodów. Już niedługo wrócimy do naszego ukochanego Londynu. No, a teraz bądź grzeczny i pozwól mi się zająć pracą.

Jack nie był bynajmniej zadowolony, ale nic już nie powiedział.

Przez chwilę siedział, obserwując panią Wagner przy pracy. Z czasem jego myśli znów poczęły krążyć wokół kluczy. Jacyś inni ludzie – młodszy pracownicy biura i służący, dla przykładu – mogliby zauważyć, że nie ma przy sobie woreczka, i powziąć krzywdzące podejrzenie, że klucze zostały mu odebrane. W końcu doszedł do wniosku, że być może zbyt pośpiesznie się ich wyrzekł. Teraz miał lepszą niż kiedykolwiek okazję udowodnić, że jest ich naprawdę godzien – musiałby tylko pamiętać, żeby zawsze zamykać na noc drzwi swojej sypialni. Spojrzał na panią Wagner z nadzieją, że być może przerwała na chwilę pracę, dzięki czemu mógłby poprosić o zwrot woreczka.

Nie, nie pracowała.

Głowę miała zwieszoną na piersi; jej dłonie i ramiona spoczywały bezwładnie na blacie biurka. Jack podniósł się z miejsca i przeszedł na palcach przez pokój, żeby się jej przyjrzeć.

Nie spała.

Powoli i w milczeniu odwróciła ku niemu twarz. Jej oczy patrzyły na niego okropnym wzrokiem. Jej usta były nieco wykrzywione. Całą jej twarz oblekała straszliwa, popielata bladość.

Jack w przerażeniu padł na kolana, gwałtownie chwytając się jej sukni.

– Och, waszmość pani! Czy waszmość pani jest chora?! Jak mogę pomóc?

Chciała uspokoić go uśmiechem, ale jej usta wykrzywił tylko jeszcze silniejszy grymas.

– Nie czuję się dobrze – powiedziała niewyraźnie, powoli i z wysiłkiem. – Pomóż mi zejść na dół. Do łóżka... Do łóżka...

Wyciągnął do niej ręce. Pani Wagner z wielkim trudem podniosła ramiona z blatu biurka i odwróciła się do niego na wysokim stołku.

– Przytrzymaj mnie – powiedziała.

– Trzymam waszmość panią! Dłonie waszmość pani są w moich dłoniach. Nie czuje waszmość pani?

– Ściśnij je mocniej.

Jack z całej siły zacisnął swoje dłonie na jej dłoniach. Czy teraz poczuła?

Tak, teraz trochę poczuła.

Wspierając się na nim ciężko, postawiła stopy na podłodze. Badała nimi jej powierzchnię, jak gdyby nie rozumiała, że na niej stoi. Po chwili zachwiała się i przechyliła w stronę biurka.

– Kręci mi się w głowie – powiedziała słabo i niewyraźnie. – Moja głowa...

Jej szeroko otwarte oczy patrzyły na Jacka zimnym, nieobecnym wzrokiem, przejmując to nieszczęsne, wielbiące ją stworzenie szaleńczą grozą. Kiedy począł wołać o pomoc, jego głos rozbrzmiał ową zatrważającą przenikliwością minionych dni spędzonych w Bedlam.

Do gabinetu wbiegł pan Keller, a za nim kilku pracowników biura.

– Niech jeden z was sprowadzi lekarza! – zawołał starszy dżentelmen. – Zaczekajcie. – Natychmiast pomiarkował się, przypominając sobie, co słyszał na temat dwóch doktorów, którzy zajmowali się nim podczas jego własnej choroby. – Nie tego starego – powiedział. – Sprowadźcie doktora Dormanna. Joseph pokaże wam, gdzie mieszka. – Potem, podtrzymując w ramionach panią Wagner, zwrócił się do innego z pracowników: – Pociągnij za dzwonek w holu – ten komunikujący się z madame Fontaine na piętrze!

Rozdział 12

Madame Fontaine natychmiast opuściła pokój. Minna, wystraszona gwałtownym dźwięczeniem dzwonka, pospieszyła za matką na dół. Drzwi gabinetu były otwarte i obydwie zobaczyły, co się stało, jak tylko znalazły się w holu. Posyłając po madame Fontaine, pan Keller kierował się naturalną wiarą w doświadczenie i przytomność umysłu kobiety jej wieku i charakteru. Ku jego zaskoczeniu, opanowanie emocji zdawało się sprawiać jej taką samą trudność, jaką stwarzało jej córce. Podczas przenoszenia pani Wagner do sypialni zmuszony był wezwać do pomocy starszą ze służących. Jack towarzyszył im, podtrzymując jedną z bezwładnych rąk swojej pani.

Jego pierwszy paroksyzm trwogi minął wraz z pojawieniem się pana Kellera i pracowników biura, pozostawiając jednak w słabym umyśle mgłę oszołomienia. Wodził wokół siebie nieprzytomnym wzrokiem i raz lub dwa, podczas gdy wszyscy posuwali się powoli w górę schodów, dało się słyszeć jego szept: „Nie umrze... Nie, nie, nie! Nie umrze”. Najwyraźniej znajdował w owym nieporadnym wyznaniu wiary jakieś pocieszenie. Kiedy kładli ją na łóżku, stał na wysokości poduszki. Pani Wagner z wysiłkiem podniosła na niego oczy. Z takim samym wysiłkiem wyszeptała: „Klucz!”.

Od razu zrozumiał, co miała na myśli: biurko na dole pozostało otwarte.

– Zajmę się kluczem, waszmość pani. Zajmę się nimi wszystkimi – powiedział.

Wyszedł z pokoju, znów mruczając pod nosem pocieszającą formułkę: „Nie umrze... Nie, nie, nie! Nie umrze”. Po zamknięciu biurka wrzucił klucz do skórzanego woreczka między wszystkie pozostałe.

Opuściwszy gabinet z woreczkiem przewieszonym przez ramię, przystanął przy drzwiach jadalni po przeciwnej stronie holu. Czuł w głowie dziwne otępienie. Nagła obawa, że ktoś mógłby wyczytać ów stan z jego twarzy, nakazała mu się zatrzymać i poczekać z powrotem na piętro. W jadalni wisiało lustro. Zbliżywszy się do niego, począł w głębokim napięciu studiować swoje odbicie.

– Czy wyglądam jak durny wariat? – zapytał samego siebie. – Nie pozwolą mi przy niej zostać, każą mi sobie pójść, jeśli będę wyglądał jak durny wariat.

Odwrócił się od lustra i padł na kolana przy najbliższym krześle. „Być może Bóg pomoże mi lepiej panować nad sobą, jeżeli się pomodłę” – pomyślał.

Recytując słowa prostej, krótkiej modlitwy, biedaczyna cofnął się pamięcią do szczęśliwego czasu, gdy jego dobra pani uczyła go ją odmawiać. Łzy przyniosły mu najlepsze ukojenie, jakiego mógł teraz zaznać. Kiedy pan Keller – po tym, jak zniecierpliwiony czekaniem na lekarza zszedł do holu – stanął niespodziewanie twarzą w twarz z obłąkanym sługą pani Wagner, ten zapytał pokornie:

– Czy mogę pójść na górę do mojej pani? Odmówiłem modlitwę, sir, i dobrze się wyplakałem; moja głowa jest teraz spokojniejsza.

Pan Keller odezwał się do niego łagodniejszym niż zazwyczaj tonem:

– Do przybycia doktora lepiej nie przeszkadzaj swojej pani.

– Mogę poczekać pod jej drzwiami, sir? Obiecuję, że będę bardzo cicho.

Pan Keller dał znak, że się zgadza. Jack zdjął buty i począł wspinać się bezgłośnie po schodach. Zanim dotarł na pierwsze półpiętrze, przystanął i odwrócił się w stronę holu.

– Proszę mnie posłuchać! – rzekł uroczyście. – Powiadam panu: ona nie umrze; ja wiem, że ona nie umrze!

Poszedł dalej schodami na górę. Pan Keller po raz pierwszy poczuł litość wobec tego Bogu ducha winnego stworzenia, którego dotychczas tak nie lubił.

– Biedny człowiek! – mruknął pod nosem, przechadzając się nerwowo po holu. – Co się z nim stanie, jeśli ona jednak umrze?

Dziesięć minut później doktor Dormann był na miejscu.

Jak tylko zobaczył panią Wagner, jego oblicze złowieszczo się zasępiło. Zbadał ją i z typową dla siebie fachową dbałością o szczegóły począł zadawać niezbędne pytania. Jedna z poruszonych przez niego kwestii pozostała bez jednoznacznej odpowiedzi. Orzekłszy, że chora zapadła na paraliż i że niektóre z objawów dalece odbiegają od tego, z czym zdążył spotkać się w trakcie swojej praktyki zawodowej, zapytał, czy u pani Wagner kiedykolwiek wcześniej wystąpił podobny atak. Pan Keller mógł tylko odrzec, że znał ją od czasu jej zamążpójścia i że (w toku swojej wieloletniej, prywatnej korespondencji z jej mężem) ani razu nie słyszał, żeby dolegało jej coś poważnego. Doktor Dormann popatrzył na swoją pacjentkę w zamyśleniu, po czym odwrócił wzrok z powrotem na pana Kellera, nie kryjąc zakłopotania.

– Nigdy nie zetknąłem się z tym, żeby u kogoś w jej wieku wystąpił atak tak skomplikowanego i groźnego paraliżu – wyznał.

– Czy istnieje duże niebezpieczeństwo? – zapytał pan Keller szeptem.

– Pani Wagner nie jest staruszką – odpowiedział doktor – więc wciąż istnieje nadzieja. Zwyczajowa praktyka w podobnych przypadkach to upuszczenie krwi. Tutaj mamy do czynienia z wychłodzeniem powierzchni ciała i słabą akcją serca, więc wolałbym uniknąć tego zabiegu, jeśli tylko będzie to możliwe.

Po kolejnej chwili namysłu zdecydował się na kierunek leczenia pod pewnymi względami wyprzedzający swoją epokę. Przyjrząwszy się kobietom zebranych przy łóżku – w szczególności madame Fon-taine – zapowiedział, że przyśle do chorej kompetentną pielęgniarkę i że sam wróci za dwie godziny sprawdzić rezultaty zastosowanej kuracji.

Spoglądając po odejściu doktora na madame Fontaine, pan Keller poczuł się tak dezorientowany, jak jeszcze nigdy w życiu. Sprawiała wrażenie kobiety

całkowicie wyczerpanej nerwowo.

– Widzę niestety, że pani też zdrowie bynajmniej nie dopisuje – zauważył.

– Od pewnego czasu nie czuję się dobrze, sir – potwierdziła madame Fontaine, nie patrząc na niego.

– Chyba przydałoby się pani trochę spokoju i odpoczynku – podsunął.

– Też tak myślę.

Po tych słowach – nawet dla formalności nie ofiarując się zostać przy pani Wagner do przybycia pielęgniarki – chwyciła swoją córkę pod ramię i skierowała się do wyjścia.

Starsza służąca była na szczęście odpowiedzialną osobą. Pamiętała zalecenia doktora i zobowiązała się dopilnować wszystkich koniecznych czynności, dopóki nie zmieni jej pielęgniarka.

Jack (który wszedł do środka za doktorem, by potem bacznie obserwować wszystkie jego poczynania) został znów wyproszony z pokoju. Jednak ani myślał oddalić się na odległość większą niż zewnętrzna strona drzwi. Pan Keller minął go przycupniętego na wycieraczkę i obgryzającego paznokcie. Myśląc najwyraźniej o doktorze, mamrotał pod nosem: „Wyglądał, jakby niczego nie rozumiał. Ten człowiek nic nie wie”.

Madame Fontaine tymczasem dotarła do swojego pokoju.

– Gdzie Fritz? – zapytała, zabierając ręce z ramienia córki.

– Wyszedł z domu. Niech mnie mama stąd nie odsyła! Wydaje mi się, że jest mama prawie tak samo chora jak biedna pani Wagner. Nie chcę zostawiać mamy samej.

Madame Fontaine zawahała się.

– Kochasz mnie z całego serca i duszy? – zapytała nagle. – Jesteś godna każdego poświęcenia, na jakie może się zdobyć matka dla swojego dziecka?

Zanim dziewczyna zdołała cokolwiek odpowiedzieć, wdowa zadała jeszcze dziwniejsze pytanie:

– Czy jesteś wciąż tak samo przywiązana do Fritza? Czy pękłoby ci serce, gdybyś go straciła?

Minna przycisnęła sobie dłoń matki do piersi.

– Czuje mama? – zapytała cicho.

Madame Fontaine siadła plecami do światła w fotelu przy kominku i dała córce znak, żeby do niej dołączyła. Po chwili Minna ośmieliła się przerwać milczenie.

– Jest mi bardzo przykro z powodu pani Wagner, mamo. Zawsze była dla mnie taka dobra... Czy sądzi mama, że pani Wagner umrze?

Wsparta łokciami na własnych kolanach, wpatrzona w ogień wdowa podniosła głowę, rozejrzała się wokół, po czym znów wbiła wzrok w płomienie kominka.

– Zapytaj lekarza – odpowiedziała. – Nie pytaj mnie.

Na długą chwilę ponownie zaległa cisza. Minna nie spuszczała z matki wzroku pełnego niepokoju. Madame Fontaine trwała w bezruchu, wciąż wpatrując się w ogień.

Nie mając odwagi odezwać się po raz kolejny, Minna postanowiła poszukać ukojenia w drobnym geście troskliwości. Delikatnie ujęła dłoń matki.

Madame Fontaine zerwała się na równe nogi – zupełnie jak gdyby poczuła na sobie ostrze noża. Czy zobaczyła coś strasznego? Czy usłyszała jakiś przerażający dźwięk?

– Nie zniosę tego! – zawołała. – Nie zniosę tego dłużej!

– Czy mamę coś boli? Chciałaby się mama położyć? – zapytała Minna.

Jej matka tylko spojrzała na nią w milczeniu i cofnęła się, dygocząc.

Podeszła do szafy w drugim końcu pokoju. Kiedy znów się odezwała, sprawiała już wrażenie całkiem opanowanej.

– Wychodzę na spacer – oznajmiła.

– Na spacer, mamo? Zaczyna już zapadać zmrok...

– Zmrok czy świt, wszystko jedno. Jestem cała w nerwach; potrzebuję ruchu i świeżego powietrza.

– Mogłabym pójść z mamą?

Wdowa, zanim odpowiedziała, kilka razy przemierzyła nerwowo długość pomieszczenia.

– Ten pokój jest o wiele za mały! – wybuchła. – Duszę się w tych ścianach. Przestrzeni! Przestrzeni! Potrzebuję przestrzeni, żeby oddychać! Pytałaś, czy mogłabyś ze mną pójść? Przydałoby mi się jakieś towarzystwo, Minno. Nie przeszkadza ci zimno?

– Kiedy mam na sobie futro, nawet go nie czuję.

– A więc szykuj się do wyjścia.

Dziesięć minut później matka i córka znajdowały się już na dworze.

Rozdział 13

Doktor Dormann zjawiał się dokładnie o zapowiedzianej porze. Towarzyszył mu nieznajomy, którego przedstawił jako chirurga. Tak jak i uprzednio, Jack wślizgnął się do pokoju i przycisnął w kącie, uważnie słuchając i obserwując, co się wokół dzieje.

Stan pacjentki zamiast ulec pod wpływem zaaplikowanych środków poprawie znacznie się pogorszył. Gdy próbowała coś powiedzieć, niemal nie sposób było ją zrozumieć. Zdawało się, że zmysł czucia całkiem ją opuścił – do świadomości niebogi nie docierał już nawet mocniejszy dotyk życzliwej dłoni. Co gorsza, pojawił się nowy, złowróżbny symptom: wyraźną trudność poczęło sprawiać jej przelykanie. Doktor Dormann odwrócił się do chirurga z rezygnacją.

– Nie ma innego wyjścia – powiedział. – Musi jej pan upuścić krwi.

Na widok skalpela i bandaża Jack wybiegł ze swojego kąta z kurczowo zacisniętymi zębami i błyskiem wściekłości w oczach. Zanim zdążył się zbliżyć do chirurga, pan Keller chwycił go twardo za ramię i wskazał palcem drzwi. Jack wyrwał się z jego rąk. Kiedy zobaczył, jak ostrze skalpela dotyka żyły i z nacięcia wypływa krew, z okrzykiem przerażenia na ustach uciekł z pokoju.

– Łotry! Bestie! Jak śmiać kraść jej krew! Och, dlaczego nie jestem większy? Dlaczego nie mam dość siły, żeby wyrzucić tych barbarzyńców za okno? Waszmość pani! Waszmość pani! Czy naprawdę nie mogę w żaden sposób waszmość pani pomóc?

Wyrzucił z siebie te dzikie słowa w zaciśniętej swojej małej sypialni. Nie potrafiąc znieść bólu, o który przyprawiło go przecucie niebezpieczeństwa grożącego pani Wagner, począł więc się po podłodze i okładać się po ciele zacisniętymi pięściami. „Waszmość pani! – nie przestawał krzyczeć. – Waszmość pani! Czy naprawdę nie mogę w żaden sposób waszmość pani pomóc?!”

Wraz z jego oszalałymi ruchami skórzany woreczek uderzał o podłogę – to z jednej, to z drugiej strony – i rzemyk zabezpieczający klucze poluzował się. Ich dzwonięcie odbiło się echem w jego uszach. Na chwilę zastygł w bezruchu. Wreszcie podniósł się do pozycji siedzącej i spróbował spokojnie pomyśleć. W pokoju nie miał świecy. Najbliższym źródłem światła była lampa na półpiętrze poniżej. Wstał i zszedł cicho po schodach. Dotarłszy do opustoszałego półpiętra, uniósł woreczek na wysokość swoich oczu i przyjrzał się mu.

– Słyszę w głowie jakiś głos próbujący coś mi powiedzieć – mruknął pod nosem. – Być może dochodzi stąd?

Przyklął pod lampą i wytrząsnął klucze z woreczka na podłogę.

Po kolei ułożył je wszystkie w równym rzędzie – z jednym wyjątkiem. Wybrawszy z nich najpierw klucz od biurka, pocałował go (to był jej klucz)

i schował z powrotem do woreczka. Na końcu rzędu pozostałych kluczy, które rozłożył na podłodze, znalazł się duplikat z napisem wygrawerowanym na uchwycie. Uniósł go teraz pod światło, żeby przeczytać: „Szafka w pokoju różowym”.

Zapodzione wspomnienie wróciło do niego w zrozumiałej formie. „Lekarstwo”, które zamknęła w swojej szafce madame Fon-taine – drogocenne „lekarstwo” sporządzone przez jego wspaniałego, wszytkowiedzącego pana – było do jego dyspozycji. Wystarczyłoby tylko otworzyć szafkę i znalazłoby się w jego władaniu.

Wrzucił pozostałe klucze z powrotem do woreczka. Usłyszał, jak dzwonią, kiedy ruszył po schodach biegiem w dół. Znalazszy się w pobliżu pomieszczeń biurowych, przystanął i obwiązał klucze ciasno rzemykiem. Żadnego hałasu! Niczego, co mogłoby wzbudzić czujność pani gospodyni! Wspiął się po schodach drugiego skrzydła domu, ale zanim zbliżył się do pokoju madame Fontaine, znów przystanął. Zdążyła go już ogarnąć owa niebezpieczna gorączka podniecenia, którą wciąż dobrze pamiętali ludzie zarządzający szpitalem Bedlam. Co, jeśli wdowa znajdowała się w swoim pokoju? Co, jeśli nie pozwoliłaby mu wziąć „lekarstwa”?

Spojrzał na rozpostarte palce swojej prawej dłoni.

– Są wystarczająco silne, by udusić kobietę – powiedział. – I zrobię to.

Otworzył drzwi bez pukania, nie próbując nawet nasłuchiwać z zewnątrz. W pokoju nie było żywej duszy.

Chwilę później śmiertelna dawka Wina Aleksandra – będąca w jego naiwnym mniemaniu cudotwórczym lekarstwem – znajdowała się w jego posiadaniu.

Gdy wkładał specyfik do górnej kieszeni surduta, jego uwagę przykuł drewniany kuferek. Zdjąwszy go z półki, spróbował unieść wieko. Ustąpiło pod jego szarpnięciem, ukazując oczom wewnętrzne przegródki z rozmieszczonymi w nich buteleczkami. Jedna z buteleczek przewyższała pozostałe o kilka cali. Zaintrygowany Jack wyciągnął ją jako pierwszą – i odkrył, że ma przed sobą „buteleczkę z niebieskiego szkła”.

Wszelka myśl o wypróbowaniu na pani Wagner działania podstępnego „lekarstwa” natychmiast ulotniła się z jego głowy. Natrafił na bezcenny skarb, którego cudowną moc znał z własnego doświadczenia. Oto trzymał ją w dłoni – to z tej buteleczki wiano w jego gardło nowe życie, kiedy umierał w Würzburgu! To był ten jedyny, prawdziwy lekarz, który uratował pana Kellera od śmierci, podczas gdy tamci nieszczęśni, bezradni głupcy błakający się wokół jego łóżka spisali go już na straty! Jego pani, jego najdroższa pani była już praktycznie uzdrowiona! Tamten łajdak, który śmiał wyciągnąć swój nóż i zranić ją, nie rozleje już ani kropli jej krwi! Och, żaden z kolorów tego świata nie mógłby się równać z niebieskim! Och, od zarania dziejów po ziemi nie chodził nigdy lepszy przyjaciel

od tej buteleczki! Jack ucałował i uściskał ją zupełnie tak, jak gdyby była żywym stworzeniem. Podskoczył i trzymając ją w ramionach, począł płaszać po pokoju. Ha! Jaką muzyką był dla jego uszu plusk poruszanego w tę i w tę w tę płynu mówiący mu, że w buteleczce zostało go jeszcze trochę dla jego pani! Bicie zegara stojącego na gzymsie kominka otrzeźwiło go w momencie najwyższego uniesienia i przypomniało mu o upływającym czasie. Z każdą minutą śmierć mogła być coraz bliżej, podczas gdy on, trzymając życie w swoich rękach, marnował czas.

Ruszywszy do drzwi, nagle przystanął. Jego wzrok przesunął się powoli ku wewnętrznej części pokoju, by spocząć na otwartej szafce, a potem przenieść się na drewniany kuferek pozostawiony na podłodze.

Co, jeśli gospodyni wróci i zobaczy klucz w szafce i kuferek z brakującą buteleczką?

Jego jedynym doradcą w tej krytycznej chwili była chytrość – pobudzona do działania przez ściśle sprzężone ze sobą siły napędowe wrodzonej próżności i uwielbienia dla ukochanej dobrodziejki.

To nie lęk przed wykryciem go zatrzymał. Nie dbał o to, czy ma-dame Fontaine dowie się o kradzieży – buteleczka znajdowała się w jego rękach i biada jej, gdyby spróbowała mu ją odebrać! Tak naprawdę obawiał się, że gospodyni mogłaby pozbawić go chwały ocalenia życia pani Wagner, gdyby zobaczyła, co się stało. Mogłaby pójść za nim do sypialni chorej, przedstawić buteleczkę z niebieskiego szkła jako swoją własność i powiedzieć: „Uzdrowiłam przedtem pana Kellera i teraz uzdrowiłam panią Wagner. Ten mały człowieczek to tylko sługa, który podał lekarstwo – mógłby to zrobić zamiast niego ktokolwiek inny”.

Dopóki nie nasunęły mu się owe refleksje, zamierzał otwarcie obwieścić swoje cudowne odkrycie przy łóżku pani Wagner. Teraz bez wahania porzucił ten plan, dostrzegłszy przed sobą dużo bardziej kuszącą perspektywę. Jakże wspaniale byłoby, gdyby poczekał na możliwość ukradkowego podania cierpiącej życiodajnego płynu, a potem – kiedy wszyscy przecieraliby oczy ze zdumienia wobec jej błyskawicznego powrotu do zdrowia – stanąłby przed nimi, wyznając, że to on ją uleczył!

Odłożył kuferek na swoje miejsce i zamknął szafkę. Wróciwszy do drzwi, wytężył słuch, żeby upewnić się, czy nikogo za nimi nie ma. Trzymając buteleczkę z niebieskiego szkła pod połami surduta, wreszcie odważył się wyjść na korytarz. Bez jakichkolwiek przeszkód dotarł do drugiego skrzydła domu i wspiął się na kolejną kondygnację schodów. Znalazłszy się znowu bezpiecznie w swoim własnym pokoiku, począł czuwać przy na wpół otwartych drzwiach.

Niedługo potem ukazał się doktor Dormann w towarzystwie chirurga, a za nimi pan Keller. Wszyscy trzej skierowali się w dół schodów. Po drodze doktor wspomniął, że przyśle na noc pielęgniarkę.

Trzymając buteleczkę wciąż schowaną pod ubraniem, Jack zapukał cicho do

drzwi pokoju pani Wagner, po czym wszedł do środka.

W pierwszej kolejności spojrzał na łóżko. Nieszczęśnica nadal leżała zastygła w bezruchu, niczego nieświadoma i według wszelkich oznak umierająca. Służąca, zajęta podgrzewaniem czegoś nad ogniem w kominku, pokręciła ponuro głową, kiedy Jack zapytał, czy podczas jego nieobecności u chorej nastąpiła jakaś poprawa. Przysiadł, bezskutecznie szukając w myślach bezpiecznego sposobu na stworzenie sobie dogodnej okazji.

Powoli upływały kolejne minuty. W końcu służąca popatrzyła na zegar.

– Pora podać pani Wagner jej lekarstwo – zauważyła, nie odrywając się od swojego zajęcia przy kominku. Jack dostrzegł w owych słowach szansę dla siebie.

– Może ja mógłbym to zrobić? – zapytał.

– Przynieście je tutaj – odrzekła. – Nie ufam nikomu, jeżeli chodzi o odmierzenie właściwej porcji.

– Ale chyba mogę jej je teraz podać, kiedy jest gotowe? – nalegał Jack.

Kobieta wręczyła mu szklaneczkę.

– Lepiej, żebym nie przerywała tego, co teraz robię – powiedziała. – Uważajcie i niczego nie rozlejcie. Nieboga jest spokojna jak baranek. Jeśli tylko da radę przełknąć, nie przysporzy wam żadnych trudności.

Jack stanął przy dalszej krawędzi łóżka tak, żeby od kominka oddzielały go zasłony. Po cichu wylał na dywan ze szklaneczki jej zawartość, po czym napełnił ją płynem z buteleczki, którą trzymał pod płaszczem. Znieruchomiawszy na chwilę, spojrzał w kierunku drzwi. A gdyby do środka weszła gospodyni i zobaczyła buteleczkę z niebieskiego szkła? Włożył ją, teraz pustą, w boczną, płytką kieszeń swojego surduta – układając chustkę do nosa tak, by zasłaniała tę jej część, która wystawała ponad brzeg kieszeni. „No! – powiedział do siebie w duchu. – Teraz mogę zaryzykować!” Delikatnie wsunął rękę pod głowę pani Wagner i uniósł ją na poduszce.

– Lekarstwo drogiej waszmość pani – wyszeptał. – Nie odmówi waszmość pani biednemu Jackowi, prawda?

Zmysł słuchu jeszcze jej nie opuścił. Powoli skierowała na niego swój nieobecny wzrok. W zastygłym wyrazie jej twarzy nic się nie zmieniło – była w stanie tylko okazać mu swoją uległość i nic ponadto.

Jack otarł gwałtownie łzy, które stanęły w jego oczach, oślepiając go. Głęboko przekonany, że właśnie ratuje jej życie, podniósł szklaneczkę z nocnego stolika i przyłożył do jej ust.

Potrzebując wielu przerw na złapanie oddechu, pani Wagner z wysiłkiem przełknęła stopniowo, po kilka kropel na raz, zawartość szklaneczki, którą Jack uniósł na koniec pod słabe światło ocienionej lampy, żeby sprawdzić, czy jest już pusta.

Kładąc głowę swojej pani z powrotem na poduszce, odważył się dotknąć

ustami jej zimnego policzka.

– Wypiła? – dobiegło go pytanie służącej.

Zdołał tylko odpowiedzieć: „tak”; zdołał tylko jeszcze raz spojrzeć na drogą mu twarz spoczywającą na poduszce. Kotłujące się w nim sprzeczne emocje, którym dawał do tej pory odpór, w końcu go pokonały. Uciekł na korytarz, żeby ukryć histeryczne wzburzenie rosnące w jego duszy i szukające dla siebie ujścia w szlochu i łzach.

Po kilku chwilach był już w stanie nad sobą panować, ale nadal trapił go niepokój, że madame Fontaine mogłaby odkryć pustą przegródkę w kufierku aptecznym – przetrząsnąć cały dom w poszukiwaniu brakującej buteleczki – i znaleźć ją opróżnioną. Nawet gdyby ją stłukł i wyrzucił do śmieci, zawsze istniało prawdopodobieństwo, że ktoś zwróci uwagę na odłamki szła o pięknym, niebieskim kolorze i sprawa się wyda. A więc gdzie mógłby ją schować?

Podczas gdy wciąż szukał odpowiedzi na to pytanie, godziny urzędowania biura dobiegły końca i pracownicy piętro niżej poczęli zbierać się do wyjścia. Jack usłyszał, jak rozmawiają między sobą o ostrym mrozie i krach lodu unoszących się już na rzece. Rzeka! Od domu dzielił ją zaledwie kilkuminutowy spacer. Dlaczego by nie rzucić buteleczki do rzeki?

Począł, dopóki na dole nie zapanowała doskonała cisza, po czym ostrożnie zszedł po schodach. Kiedy otworzył drzwi, po zewnętrznych stopniach prowadzących do domu wspinał się właśnie jakiś nieznajomy człowiek z małą torbą podróżną w ręku.

– Czy to dom niejakiego pana Kellera? – zapytał.

Był to wesoło wyglądający, starszy jegomość o roziskrzonych czarnych oczach i dużym zaczerwienionym nosie. Jego oddech trącił winem, a jego grube wargi rozwarły się w szerokim uśmiechu, kiedy zobaczył przed sobą Jacka.

– Nazywam się Schwartz – powiedział. – W tej torbie tutaj znajdują się wszystkie rzeczy, których moja siostra będzie potrzebowała na noc.

– Kim jest pańska siostra? – zapytał Jack.

Schwartz roześmiał się.

– Racja, człowieczku, skąd możecie wiedzieć, o kogo chodzi? Moja siostra to pielęgniarka najęta przez doktora Dormanna. Zjawi się tutaj za godzinę. No, no! Niebrzydka ta buteleczka, którą trzymacie pod surdudem. Czy jest w niej jakieś wino?

Jack zadygotał. Został nakryty przez nieznajomego człowieka! Nawet rzeka mogła okazać się teraz za płytka, żeby dochować jego tajemnicy!

– Przemarzęm do kości – ciągnął wesoły, starszy jegomość. – Może bylibyście tak mili i podzielili się kropelką!

– Nie ma w niej wina – odparł Jack.

Schwartz na znak dyskrecji przyłożył palec wskazujący do jednego z boków

swojego dużego, czerwonego nosa.

– Rozumiem – powiedział. – Szliście właśnie ją napełnić. – Położył torbę siostry na jednym ze stojących w holu krzeseł i przyjaźnie ujął Jacka pod ramię. – Może pójdziecie ze mną? – zaproponował. – Zaprowadzę was do najlepszej beczki z winem we Frankfurcie. Ależ nie trzeba, biedaku, wstydzić się mojego towarzystwa! Moja siostra to wielce szanowana kobieta. A wiecie, kim ja jestem? Ja jestem jednym z funkcjonariuszy miejskich. Ho, ho! Tylko pomyślcie! Nie żartuję, tak dla ścisłości. Dotychczasowy strażnik nocny w domu umarłych wciąż leży chory i dopóki nie wyzdrowieje, na jego miejsce trzeba było znaleźć kogoś innego. Ja jestem tym kimś. Wiecie, wzięli na próbę dwóch innych ludzi – ale dom umarłych przyprawił ich o koszmary. Moja zacna siostra szepnęła o mnie słówko. „Dotychczasowy strażnik nocny wydobrzeje za tydzień – powiedziała. – Weźcie go na próbę na tydzień”. No i wzięli. Nie żebym się wywyższał, ale jestem funkcjonariuszem miejskim. Chodźcie – i pozwólcie mi ponieść waszą buteleczkę.

Buteleczka! Ten natrętny jegomość znów o niej wspomniał! I w tym samym momencie z dołu doszedł głos Josepha wspinającego się po kuchennych schodach. W gorączce absolutnego oszołomienia Jack wybiegł z domu, mając w głowie tylko jedną myśl: uciec z holu przed okropnymi konsekwencjami wykrycia. Usłyszał, jak zamykają się za nim drzwi, a potem głuchy odgłos ciężkich butów biegnących szybkim truchtem po chodniku. Zanim zdołał oddalić się od domu na dwadzieścia jardów, poczuł obok siebie winny oddech Schwartza i uświadomił sobie, że ramię zastępcy strażnika nocnego znów nim zawładnęło.

– Nie za szybko! Mam całkiem zwinne nogi jak na człowieka w moim wieku, ale zwolnijcie trochę! – zawołał jego nowy przyjaciel. – Tak się składa, że żywię wielkie upodobanie do takich jak wy ludzi o małym wzroście. Siostra by wam powiedziała, że łatwo też zaprzyjaźniam się z osobami o waszej karnacji. Moja siostra to wielce szanowana kobieta. Jak się zwiecie? Jack? Kapitalne imię! Krótkie i przypominające brzmieniem trzaśnięcie bata. Dajcie mi tę buteleczkę! – Tym razem sam po nią sięgnął, nie czekając na Ja-cka. – Mam ją! Mogłaby, wiecie, upaść na ziemię – rzekł. – Teraz jest bezpieczna w moich życzliwych dłoniach. Dokąd idziecie? Mam nadzieję, że nie uczęszczacie do szynku po tamtej stronie? Powiem wam coś na ucho: ten piekielny łajdak rozcieńcza wino wodą. Tędy dotrzemy do szynku prowadzonego przez uczciwego właściciela. Żywię do niego autentyczną sympatię. Do was też. Chcielibyście któregoś wieczora obejrzeć dom umarłych? To wbrew przepisom, ale nie szkodzi. Nadzorca cmentarza za bardzo lubi swoje ciepłe łóżko, żeby zwlec się z niego w zimową noc i sprawdzić, co robi strażnik. To doskonale miejsce dla mnie. Nie ma tam nic do roboty: można tylko pić, kiedy ma się co pić, albo spać, kiedy się nie ma. Na tym polega wielka zaleta umarłych, którzy do nas trafiają, mój mały przyjacielu. Jesteśmy po to, żeby im pomóc, jeśli przed pochówkiem przekornie odżyją. Leżą w naszym domu z palcami

przywiązany sznurkiem do dzwonka alarmowego. I żaden z nich, niech Bóg im błogosławi, ani razu jeszcze – odkąd dom umarłych został zbudowany – nie zadzwonił! Odwiedźcie mnie kiedyś w ciągu tygodnia, to wypijemy razem za zdrowie naszych cichych sąsiadów.

Zatrzymali się przed drzwiami szynku.

– Macie chyba przy sobie jakieś pieniądze? – zapytał Schwartz.

Z sumy, którą madame Fontaine podarowała Jackowi na zakup rękawiczek, zostało mu w kieszeni jeszcze kilka monet reszty. Biedak podjął ostatnią próbę uwolnienia się od zastępcy strażnika nocnego.

– Oto one – powiedział. – Oddajcie mi moją buteleczkę i idźcie pić beze mnie.

Schwartz chwycił go za ramię i przyjrzał się mu od stóp do głów w świetle wiszącej nad wejściem do szynku lampy.

– Mam pić sam? – powtórzył. – Chyba wesoly ze mnie jegomość? Tak czy nie?

– Tak – odrzekł Jack, próbując odejść.

Schwartz jeszcze mocniej zacisnął na nim rękę.

– Czy kiedykolwiek słyszeliście, żeby jakiś wesoly jegomość zostawił swojego przyjaciela pod drzwiami szynku? – zapytał.

– Proszę pozwolić, sir, ja nie piję – tłumaczył Jack.

Schwartz ryknął śmiechem i kopnięciem otworzył drzwi szynku.

– To najlepszy dowcip, jaki kiedykolwiek słyszałem – rzekł. – Mamy dość pieniędzy, żeby napełnić buteleczkę i jeszcze wypić po szklaneczkę. Chodźcie!

Zaciągnął Jacka do szynku. Buteleczka została napełniona, a po niej szklaneczki.

– Zdrowie mojej zacnej siostry! Oby żyła długo i w pomyślności! Nie możecie odmówić wypicia takiego toastu.

Z tymi słowy włożył w dłoń swojego kompana zgubną szklaneczkę.

Jack spróbował wina. Było zimne i bardzo smaczne. Być może nie tak mocne jak wino pana Kellera. Ponownie posmakował go – po czym opróżnił szklaneczkę do dna.

Godzinę później u drzwi domu pana Kellera zadzwieczał dzwonek.

Joseph, który poszedł otworzyć, znalazł na progu starszego człowieka o czerwonym nosie podtrzymującego innego człowieka – na wpół śpiącego i ślaniającego się na nogach. Kiedy światło lampy w holu padło na owego pozbawionego sił osobnika, Joseph rozpoznał w nim Jacka.

– Zaprowadźcie go do łóżka – powiedział czerwono nosy nieznajomy. – Och, i zajmijcie się tą buteleczką tutaj, bo sam ją pewnie stłucze. Jakimś przedziwnym sposobem wyciekło z niej całe wino. Gdzie torba mojej siostry?

– Macie na myśli pielęgniarkę?

– Oczywiście, że tak! Żadna inna na tym świecie nie mogłaby jej dorównać!
Przyszła?

Joseph upomniał go gestem dłoni.

– Nie tak głośno – rzekł. – Pielęgniarka przyszła za późno.

– Czyżby dama wyzdrowiała?

– Nie, umarła.

Rozdział 14

Doktor Dormann zachował się bardzo dziwnie.

To on jako pierwszy dokonał tragicznego odkrycia. Kiedy przyszedł z wieczorną wizytą do swojej pacjentki, pan Keller znajdował się w jej pokoju. Pół godziny wcześniej pani Wagner przemówiła do niego. Widząc nieznaczny ruch jej warg, starszy dżentelmen pochylił się nad nią i ledwie zdołał uchwycić jej ostatnie, krótkie zdanie brzmiące: „Bądźcie dobrzy dla Jacka”. Po ogromnym wysiłku, jaki włożyła w ich wypowiedzenie, jej powieki zamknęły się ciężko i pan Keller oraz obecna w pokoju służąca uznali, że zasnęła. Badanie przeprowadzone przez doktora nie tylko przeciągnęło się poza zwyczajową w takich przypadkach granicę czasu – było to badanie (sądząc po pewnych reakcjach, które mu towarzyszyły) w wykonaniu człowieka niechętnego, by zawierzyć własnemu doświadczeniu. Nowa pielęgniarka przybyła na miejsce, jeszcze zanim zdołał postawić definitywną diagnozę i służąca otrzymała polecenie, żeby zatrzymać ją na dole. Pan Keller został w sypialni, czekając na fachową opinię doktora. Ten być może tego nie zauważył – albo być może nie czuł potrzeby kryć się przed nim ze swoimi myślami. Tak czy inaczej, kiedy w końcu się odezwał, wygłosił tę oto niezwykłą uwagę:

– Druga podejrzana choroba w tym domu! I drugi niezrozumiały jej finał!

Pan Keller od razu zbliżył się do niego.

– Chciał pan, żebym usłyszał to, co pan właśnie powiedział? – zapytał.

Doktor spojrzał na niego z powagą i smutkiem.

– Muszę porozmawiać z panem na osobności, panie Keller. Proszę jednak pozwolić, że zanim stąd wyjdziemy, pošlę po pielęgniarkę, żeby dokonała ostatnich, przykrych czynności. Może pan być spokojny co do jej kompetencji.

Pan Keller drgnął gwałtownie.

– Dobry Boże! – wykrzyknął. – Pani Wagner nie żyje?

– Nie żyje, ku mojemu zaskoczeniu – odpowiedział doktor, kładąc szczególny nacisk na ostatnie słowa.

Po tym, jak pielęgniarce zostały udzielone odpowiednie instrukcje, pan Keller poprowadził lekarza do swojego pokoju.

– Biorąc pod uwagę odpowiedzialność, jaka na mnie spoczywa, myślę, że mam prawo oczekiwać, że wyjaśni mi pan wszystko otwarcie.

– W przypadku sprawy tak poważnej jak ta – odparł doktor Dormann – moim obowiązkiem jest mówić otwarcie. Osoba, której powierzy pan zorganizowanie pogrzebu, poprosi pana o dostarczenie zwyczajowego zaświadczenia. Nie zgadzam się go wystawić.

Człowiek o tak stanowczym charakterze jak pan Keller, słysząc ową

zdumiewającą deklarację, musiał, co naturalne, poczuć raczej gniew niż niepokój.

– Z jakiego powodu się pan nie zgadza? – zapytał surowo.

– Nie jestem przekonany, sir, co do tego, że pani Wagner zmarła śmiercią naturalną. Jako lekarz nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego u tak stosunkowo młodej pacjentki o tak silnym organizmie tego rodzaju choroba miałyby doprowadzić do nagłej śmierci.

– Doktorze Dormann, podejrzewa pan, że w moim domu ktoś truje ludzi?

– Mówiąc wprost: tak.

– To ja zapytam wprost: dlaczego?

– Już podałem panu wyjaśnienie.

– Nigdy się pan nie pomylił jako lekarz?

– Pomyliłem się (a przynajmniej tak mi się wydawało) przy okazji pańskiej choroby, panie Keller.

– Jak to? U mnie też pan podejrzewał otrucie?

– Tak. I dodam, że do tej pory nie wyzbyłem się owego podejrzenia. Po tym, co zobaczyłem dzisiaj, dla ścisłości: dopiero po tym, co zobaczyłem dzisiaj, stwierdzam, że okoliczności pańskiego powrotu do zdrowia same w sobie były podejrzane. Proszę łaskawie pamiętać, że ani ja, ani mój kolega po fachu nie wiedzieliśmy, co panu dolega, i że uratowało pana lekarstwo, którego żaden z nas panu nie przepisał. Szybko pan słabł, a pański dotychczasowy lekarz pana opuścił. Musiałem wybierać między pańską pewną śmiercią i zaryzykowaniem podania panu środka, którego składu (mimo że poddałem go możliwie najdokładniejszym badaniom) nie znałem do końca. Postanowiłem zaryzykować. Rezultat potwierdził słuszność mojej decyzji i aż do dzisiaj nikomu nie wspomniałem o swoich obawach. Te jednak rozbudziły się teraz we mnie na nowo wraz ze śmiercią pani Wagner. I chcę, żeby pan o tym wiedział.

Pan Keller wyraźnie spuścił z tonu. Wreszcie dotarło do niego, że względem kierującym doktorem należy się pełen szacunek.

– Mogę zapytać, czy objawy mojej choroby przypominały objawy choroby pani Wagner? – zapytał.

– Bynajmniej. Poza zaburzeniami w systemie nerwowym, które miały miejsce w obydwu przypadkach, nie wystąpiły żadne inne podobieństwa. To jednak w moim odczuciu niczego nie zmienia i tylko skłania mnie ku przypuszczeniu, że być może użyto więcej niż jednej trucizny. Nie podejmuję się rozwiązać tej zagadki. Nie mam pojęcia, dlaczego pana odratowano, a życie pani Wagner zostało poświęcone, ani jakie motywy kryły się za tym wszystkim. Proszę zapytać siebie samego – nie mnie – w którym kierunku pada podejrzenie. Odmawiam podpisania aktu zgonu i wie już pan dlaczego.

– Proszę dać mi chwilę – powiedział pan Keller. – Nie próbuję uciec przed odpowiedzialnością. Potrzebuję jedynie trochę czasu na uporządkowanie myśli.

Był dumnym człowiekiem i nigdy nie poprosił nikogo o pomoc. Podszedł teraz do okna, starając się nie pokazać po sobie oznak przerażenia, które właśnie wstrząsnęło jego duszą. Kiedy wrócił na swoje krzesło, zadbał o to, by nawet nie stworzyć pozoru, że oczekuje od doktora jakiegokolwiek rady.

– Mam tylko jedno wyjście – powiedział cicho. – Muszę poinformować władze o pańskiej decyzji, a potem udzielić wszelkiej możliwej pomocy w śledztwie, które zostanie wszczęte. Zajmę się tym z samego rana, jak tylko sędziowie rozpoczną jutro urzędowanie.

– Pójdziemy razem do ratusza, panie Keller. Mam obowiązek powiadomić burmistrza, że sprawa wymaga zastosowania środków bezpieczeństwa zgodnych z przepisami miejskimi. Muszę też zaświadczyć, że przeniesienie ciała z pańskiego domu nie będzie stanowiło żadnego zagrożenia dla zdrowia publicznego.

– Natychmiastowe przeniesienie? – zapytał pan Keller.

– Nie! Po dwudziestu czterech godzinach od śmierci.

– Dokąd?

– Do domu umarłych.

Rozdział 15

Działając w oparciu o informacje uzyskane od doktora Dormanna, burmistrz wydał odpowiednie polecenia. O ósmej wieczorem trzeciego dnia stycznia zwłoki pani Wagner miały zostać przewiezione do przycementarnego budynku za Bramą Friedberg.

Na długo przed obecnym stuleciem tradycyjne przekazy na temat osób pogrzebanych żywcem zaszczepiły w niemieckiej ludności powszechny strach przed przedwczesnym pochówkiem. We wszystkich miastach istniały przepisy mające na celu zapobiegać przerażającym pomyłkom owego rodzaju. Na początku tego wieku owe przepisy zostały przywrócone – w zmodernizowanej formie – przez władze miejskie Frankfurtu. Dom umarłych znajdował się przy cmentarzu z dwóch powodów. Po pierwsze – żeby zapewnić przyzwoity przystanek ciała, jeśli śmierć nastąpiła w którejś z przeludnionych, ubogich dzielnic miasta. Po drugie – żeby możliwie jak najskuteczniej zapobiec ewentualności przedwczesnego pochówku. Możliwość skorzystania z domu umarłych (przeznaczonego ściśle dla chrześcijańskiej części ludności) pozostawiona była wolnemu wyborowi krewnych lub przedstawicieli krewnych zmarłego – z wyjątkiem tych przypadków, w których dokument wystawiony przez lekarza zmuszał sędziego do wydania odgórnego decyzji. Nawet jeśli brak potrzeby umieszczenia zwłok w domu umarłych przed złożeniem ich do grobu zdawał się oczywisty, lekarz wydający zaświadczenie ograniczony był pewnymi restrykcjami. Miał prawo nieoficjalnie orzec zgon, umożliwiając tym samym rozpoczęcie przygotowań do pochówku, ale absolutnie nie wolno mu było wydać pisemnego pozwolenia na pogrzeb przed upływem trzech nocy od chwili śmierci i dopóki nie był w stanie stwierdzić wystąpienia pierwszych oznak rozkładu. Czy te skomplikowane środki ostrożności – tak cierpliwie stosowane w wielu niemieckich miastach na przestrzeni długich lat – kiedykolwiek doprowadziły do wykrycia przypadku, w którym śmierć nie zdołała dokończyć swojego nieodgadnionego dzieła? Poszukajmy odpowiedzi na to pytanie w izbach zajmowanych przez zmarłych. Przejdźmy wraz z żałobnikami przez żelazną bramę i przekonajmy się na własne oczy i uszy!

*

Wieczorem trzeciego stycznia, w miarę jak zbliżała się pora przybycia karawanu, ponurą ciszę panującą w domu zakłócały tylko głosy służących szepczących między sobą konfidencjonalnie w jednym z pomieszczeń kuchennych. Instynktowna, podszyta lękiem niechęć do milczenia w chwilach domowych nieszczęść jest cechą łączącą wszystkich przedstawicieli tej klasy społecznej we wszystkich cywilizowanych krajach.

– Za dziesięć minut – powiedział Joseph – przyjdą po nią ludzie z cmentarza. Niełatwo będzie znieść ją po schodach na leżance.

– Dlaczego nie włożą jej do trumny, jak innych nieboszczyków? – zapytała służąca.

– Żeby dogodzić wariatowi, którego przywiozła ze sobą z Londynu – odparł z rozdrażnieniem Joseph. – Gdyby to mnie przyprowadzono wczoraj wieczorem do domu pijanego, dziś rano zostałbym odprawiony z posady. Gdybym zaczął dziko wrzeszczeć: „Ona nie umarła! Niech nikt nie waży się wkładać jej do trumny!” – dostałbym to, na co w pełni bym zasługiwał i skończyłbym w miejscowym zakładzie dla obłąkanych. Ale panicz Jack to co innego. Pan Keller zrobił tylko strapioną minę i kazał mu się uciszyć. Doktor zabrał Jacka na rozmowę do sąsiedniego pokoju, a potem wrócił, przyznając mu rację!

– Chyba nie chcecie powiedzieć – wykrzyknęła kucharka – że doktor doszedł do wniosku, że pani Wagner nie umarła?

– Oczywiście, że nie. To on jako pierwszy stwierdził, że umarła. Chcę tylko powiedzieć, że uległ kaprynowi Jacka. Poprosił mnie o linijkę, przy pomocy której zmierzył leżankę stojącą w sypialni. „Nie jest dłuższa od trumny – rzekł – i nie widzę powodu, dla którego ciało nie mogłoby na niej leżeć do czasu pogrzebu”. Dokładnie tak brzmiały jego słowa. A kiedy pielęgniarka zaprotestowała, jak myślicie, co jej powiedział? „Proszę się nie wtrącać! Leżanka to o wiele przyjemniejsze miejsce od trumny”.

– Świątokradztwo! – stwierdziła kucharka. – Świątokradztwo, powiadam.

– Ach, cóż! Leżanka czy trumna, nieboga wygląda tak pięknie w czarnej, aksamitnej sukni z bukietem zimowych kwiatków w swoich wdzięcznych białych dłoniach – zauważyła służąca. – Kto go przyniósł? Sądzicie, że madame Fontaine?

– Phi! Madame Fontaine? Nonsens! Nasz mały wariatuńcio wyszedł z domu (zamiast jeść pyszny obiad, który dla niego ugotowałam) i wrócił z kwiatami. Uparł się, że sam włoży je w jej ręce... tak przynajmniej twierdzi pielęgniarka. Czy ktoś z was widział madame gospodynię? Zeszła dzisiaj na obiad, Josephie?

– Ależ skąd! – odrzekł Joseph. – Zapamiętajcie moje słowa: za tym jej ukrywaniem się w sypialni pod pretekstem choroby kryje się coś bardzo poważnego.

– Podpowiecie nam, co to może być?

– Spróbujcie domyślić się same – odparł Joseph. – Opowiadałem wam, co się stało wczoraj wieczorem, zanim brat pielęgniarki przyprowadził Jacka do domu? Usłyszawszy dzwonek do drzwi, poszedłem otworzyć. Na progu zastałem pana Fritza kipiącego gniewem i podtrzymującego ramieniem pannę Minnę, która wyglądała tak, jakby miała zaraz paść ze zmęczenia. Kiedy polecono mi przynieść wino, usłyszałem rozmowę pana Fritza z ojcem, z której wynikało, że madame

Fontaine ni z tego, ni z owego wybrała się na spacer na mrozie i w ciemnościach (a wraz z nią jej córka). Pan Fritz, napotkawszy je, uparł się, żeby zabrać pannę Minnę do domu. Jej matka najwyraźniej niewiele zrobiła sobie z tego, co jej powiedział: po prostu poszła dalej sama, tak szybko, jak zdołały ponieść ją nogi. Jak myślicie, czym się usprawiedliwiła? Nerwami! Pan Fritz stwierdził, że coś musi jej bardzo ciążyć na duszy. Godzinę później wróciła do domu i przyznałem mu w duchu rację.

– Opowiedzcie nam wszystko, Josephie! Co zrobiła?

– Już mówię. Miało to miejsce zaraz po tym, jak zaprowadziłem szalonego Jacka do łóżka. Kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi, schodziłem właśnie na dół z pewną buteleczką w dłoni. Jedna z was chyba widziała, jak wręczył mi ją brat pielęgniarki? Tak czy inaczej, nie mam pojęcia, skąd on i nasz wariatuńcio ją mieli.

– Wyglądała dokładnie tak samo jak owa duża buteleczka apteczna z lekarstwem, które uzdrowiło pana Kellera – zauważyła kucharka.

– To była owa buteleczka. Nawiasem mówiąc, cuchnęła winem, a nie lekarstwem i była pusta. A więc otworzyłem drzwi madame gospodyni, trzymając tę buteleczkę w ręku. Jak tylko jej wzrok na nią padł, wyrwała mi ją z dłoni. Sprawiała wrażenie, daję słowo, sprawiała wrażenie gotowej poderżnąć mi gardło. „Ty łajdaku! (Żeby tak odzywać się do szanowanego służącego, co?) Ty łajdaku, powiedziała, skąd to masz?” Ukłoniłem się nisko i odrzekłem: „Grzeczność nic nie kosztuje, madame, a czasem można za nią wiele kupić”. (Ostro, co?) Opowiedziałem jej dokładnie, co się wydarzyło i co powiedział Schwartz. A na koniec jeszcze raz mocno jej dopiekłem. „Następnym razem, kiedy ktoś włoży mi w ręce jakąś pani własność, rzekłem, nie będę jej pilnował”. Nie wiem, czy mnie słyszała, zajęta była oglądaniem buteleczki pod światło. Gdy zobaczyła, że jest pusta... Cóż, nie wiem, oczywiście, jakie myśli przebiegły przez jej głowę. Lecz jedno mogę przysiąc: zatrzęsała się jak w febrze i chociaż już kiedy wpuszczałem ją do domu, była okropnie blada, zrobiła się jeszcze bledsza. Wydawało mi się, że ją też będę musiał zaprowadzić do jej sypialni... Moje drogie, ta kobieta jest z żelaza! Ruszyła na górę o własnych siłach. Wszedłem za nią na pierwsze piętro, gdzie zobaczyłem pana Kellera... czekał na nią, jak sędzę, żeby przekazać wiadomość o śmierci pani Wagner. Niestety nie dosłyszałem słów, które między nimi padły. Pan Fritz twierdzi, że od tamtej pory nawet na chwilę nie wyszła ze swojego pokoju, a jego ojciec w ogóle nie próbował dowiadywać się o jej samopoczucie. Co o tym myślicie?

– Myślę, że pan Fritz nie miał racji, gdy mówił wam, że nawet na chwilę nie wyszła ze swojego pokoju – rzekła służąca. – Jestem prawie pewna, że słyszałam dziś wczesnym rankiem, jak szeptała o czymś z szalonym Jackiem. Sądzicie, że pójdzie wraz z panem Kellerem i doktorem za karawanem do domu umarłych?

– Ćśś! – syknął Joseph. W tej samej chwili z ulicy dobiegł odgłos ciężkich

kół karawanu. Wszedłszy na szczyt kuchennych schodów, Joseph wyszeptał: – Zaczekajcie tutaj, podczas gdy pójde otworzyć drzwi; same zobaczcie.

*

Fritz i Minna znajdowali się sami w bawialni na piętrze. Pokój madame Fontaine pozostawał niedostępny dla wszystkich, nawet dla jej własnej córki. Fritz odwiódł Minnę od pomysłu, by pójść po raz drugi pod drzwi i spróbować poprosić o ich otwarcie.

– Niedługo zostanę twoim mężem, moja droga, i będę miał przywilej dbania o ciebie i pocieszania cię – powiedział. – W tej okropnej godzinie nie wolno nam się rozstawać.

Siedząca w jego objęciach, z głową na jego ramieniu Minna nieśmiało podniosła wzrok.

– Nie idziesz z nimi na cmentarz? – zapytała.

– Zostanę przy tobie, Minno.

– Wczoraj rozgniewałeś się, Fritz, kiedy spotkałeś mnie z mamą na dworze. Nie myśl o niej źle tylko dlatego, że jest chora i coś ją trapi. Będiesz dla niej tak samo wyrozumiały jak ja, prawda?

– Cudowna dziewczyno, nie cofnę się przed niczym, żeby cię zadowolić! Pocałuj mnie, Minno. Jeszcze raz! Jeszcze raz!

*

Piętro wyżej pan Keller i doktor czekali razem w pokoju zmarłej.

Jack pełnił milczącą wartę przy krawędzi leżanki, na której ta jedyna życzliwa mu spośród ludzkich istot spoczywała w bezruchu, śpiąc swoim ostatnim, ziemskim snem. Mimo wszystko nieszczęśnik nie przestawał szeptać pod nosem owych smutnych, niedorzecznych słów: „Nie, nie, nie – waszmość pani nie umarła! Jeszcze nie umarła!”.

Kiedy rozległo się ciche pukanie do drzwi, doktor poszedł otworzyć, by znaleźć za nimi madame Fontaine. Przemówiła beznamiętnym, monotonnym głosem – stojąc uparcie na progu i nie reagując na gest, którym doktor zaprosił ją do środka.

– Karawan podjechał pod dom – oznajmiła. – Panowie chcieliby wiedzieć, czy mogą wejść do środka.

Przekazywanie tego rodzaju wiadomości należało do obowiązków Josepha. Powód, dla którego wdowa postanowiła go uprzedzić i wyręczyć w tej czynności, malował się niewyraźnie w jej oczach. Nie patrzyły na pana Kellera – nie patrzyły też na doktora ani na leżankę. Skoro tylko drzwi się przed nią otworzyły, madame Fontaine utkwiała wzrok w Jacku i nie odrywała go od niego, dopóki do pokoju nie weszli karawaniarze.

Żałobnicy ruszyli procesją do wyjścia. Jack – na polecenie pana Kellera – zamykał pochód. Przyczaiwszy się przy drzwiach, madame Fontaine chwyciła go za ramię, gdy wychodził z pokoju.

– Dziś rano byłeś na wpół przytomny – wyszeptła – ale już się obudziłeś. Muszę wiedzieć, jak buteleczka z niebieskiego szkła trafiła w twoje ręce.

– Nie powiem!

Madame Fontaine złagodziła ton głosu.

– Powiesz mi, kto opróżnił buteleczkę? Zawsze byłam dla ciebie miła, chyba nie proszę o zbyt wiele? Kto ją opróżnił?

Zmienna natura Jacka znów dała o sobie znać. Zadarł dumnie głowę i wciąż wierząc absolutnie w wyzdrowienie swojej pani, upomniał się o uznanie dla swojej zasługi.

– Ja ją opróżniłem!

– Jak ją opróżniłeś? – zapytała słabo wdowa. – Wylałeś to, co w niej było? A może komuś dałeś?

Teraz to on dla odmiany chwycił ją za ramię i pociągnął do balustrady na korytarzu.

– Proszę spojrzeć tam! – zawołał, wskazując na karawaniarzy schodzących powoli po schodach ze swoim ciężarem. – Widzi pani, jak odpoczywa na swojej leżance przed powrotem do zdrowia? To jej podałem lekarstwo!

Powiedziawszy to, zbiegł ze schodów. Madame Fontaine cofnęła się chwiejnie pod ścianę korytarza. Wyglądało na to, że wzrok odmówił jej posłuszeństwa. Odszukawszy po omacku poręcz balustrady, chwyciła się jej ciężko. Podmuch powietrza, który wdarł się do środka przez otwarte drzwi wejściowe, pomógł jej przyjść do siebie. Po chwili zeszła pewnym, miarowym krokiem na pierwsze półpiętrze, przystanęła, po czym ruszyła dalej w dół schodów. Znalazłszy się w holu, podeszła do pana Kellera.

– Zamierza pan odprowadzić ciało do domu umarłych? – zapytała.

– Tak.

– Czy ja też mogłabym pójść?

– Władze nie bronią dostępu do zmarłego jego przyjaciółom – odparł pan Keller. Przyjrzawszy się jej badawczo, dodał: – Chce pani pójść jako przyjaciółka?

Wypowiedział owo pytanie zbyt pochopnie i od razu zdał sobie z tego sprawę. Sędziowie uznali, że pierwsze kroki w śledztwie powinny zostać poczynione w głębokiej tajemnicy. Tego dnia, w każdym razie, wszyscy mieszkańcy domu mieli mieć pozostawioną tę samą co zwykle swobodę działania i być poddani tylko dyskretnej obserwacji – tak żeby winny nie nabrał żadnych podejrzeń. Zapomniawszy lekkomyślnie o konieczności trzymania języka za zębami, pan Keller czekał teraz w napięciu na odpowiedź madame Fontaine.

Ta jednak nie odezwała się słowem. Jej oblicze stężało nieco, ale to

wszystko. W złowieszczym milczeniu odwróciła się na pięcie i ruszyła z powrotem w górę schodów.

Rozdział 16

Odjazd spod domu opóźniła nieprzewidziana okoliczność.

Jack ani myślał iść za karawanem razem z doktorem Dormannem i panem Kellerem.

– Nie spuszczę jej z oka! – zawołał. – Nie! Ani na chwilę! To ja będę pierwszy spośród wszystkich ziemskich stworzeń, które zauważy, że się obudziła!

Pan Keller odwrócił się do doktora.

– Co on chce przez to powiedzieć?

Stojący z tyłu w cieniu domu doktor z jakiegoś powodu odpowiedział tylko gestem. Dotknąwszy porozumiewawczo czoła, wyszedł na ulicę i chwycił Jacka za rękę.

Baldachim karawanu był zamknięty po bokach, ale rozchylony po obu końcach. Oglądając się za siebie z kozła, można było z łatwością dojrzeć leżankę. Doktor z anielską cierpliwością powściągnął rosnące w Jacku wzburzenie i wystarał się dla niego o pozwolenie na zajęcie miejsca obok woźnicy. Jack, zawsze wdzięczny za każdą okazaną mu uprzejmość, podziękował doktorowi Dormannowi ze łzami spływającymi po policzkach.

– Nie płaczę z żalu po niej – powiedział ten nieszczęsny, drobny człowieczek. – Ona niedługo wyzdrowieje. Ale to takie okropne, sir, jechać razem z nią wozem tego rodzaju!

Karawan ruszył z miejsca.

Doktor Dormann idący obok pana Kellera poczuł czyjeś dotknięcie na swoim ramieniu. Oglądając się za siebie, dostrzegł niewyraźny zarys kobiety przywołującej go skinieniem. Kiedy zawrócił – przeprosiwszy uprzednio swojego towarzysza, który podążył dalej za karawanem – kobieta wyszła mu naprzeciw. Rozpoznał w niej madame Fontaine.

– Jest pan wykształconym człowiekiem – zaczęła raptownie. – Czy rozumie pan pismo szyfrowe?

– Niekiedy.

– Jeżeli będzie miał pan wolną chwilę dziś wieczorem, proszę przyjrzeć się temu, a potem wyświadczyć mi uprzejmość i powiedzieć, co to znaczy.

Wyciągnęła coś, co w przyćmionym świetle wyglądało jak zwykły skrawek papieru. Doktor zawahał się, ale wdowa nie dawała za wygraną.

– Znalazłam to między starymi dokumentami męża – powiedziała. – Jak panu wiadomo, mój mąż był wielkim chemikiem. Pomyślałam, że być może wyda się to panu interesujące.

Doktor nadal się wahał.

– A pani interesuje się tą dziedziną nauki?

– W ogóle nie znam się na chemii.
– Zatem dlaczego zależy pani na poznaniu znaczenia tego szyfru?
– Z bardzo ważnego względu. Mógłby, na przykład, okazać się niebezpieczny, gdyby wpadł w ręce kogoś pozbawionego skrupułów. Chcę się dowiedzieć, czy nie powinnam go zniszczyć.

Doktor szybko wziął od niej karteczkę. Była sztywna w dotyku niczym kawałek kartonu rysunkowego.

– Dowie się pani – powiedział. – W razie konieczności sam go zniszczę. Czy to wszystko?

– Jeszcze jedna rzecz. Czy Jack towarzyszy panu i panu Kellerowi w drodze na cmentarz?

– Tak.

Ruszając szybko z powrotem, żeby dogonić pana Kellera, doktor obejrzał się parokrotnie za siebie. Ulica – jak to w tamtych czasach – była słabo oświetlona nielicznymi latarniami naftowymi. Być może się mylił, ale zdało mu się, że madame Fontaine podążyła za nim.

Za granicą miasta zapalono lampy, żeby oświetlić karawanowi drogę prowadzącą na cmentarz. U bramy wyszedł im na spotkanie nadzorca.

Karawan wjechał przez portyk dorycki do głównego holu. Po prawej stronie widać było otwarte drzwi, a za nimi wewnątrz izby przeznaczony dla żałobników. Dalej znajdował się dziedziniec, a jeszcze dalej kilka pomieszczeń składających się na lokum nadzorcy cmentarza. Odbijając od prawej części budynku, karawaniarze skierowali się ku przeciwnej stronie holu, poprowadzili przez drugą izbę dla żałobników, przeszli przez położony za nią drugi dziedziniec i skręciwszy w wąski korytarz, zapukali do zamkniętych drzwi.

Otworzył im strażnik, wpuszczając ich do długiego, mieszczącego się pomiędzy dziedzińcem i cmentarzem, pomieszczenia wyposażonego w dziesięć bocznych wnęk. Owo długie pomieszczenie nazywano izbą strażnika, a wnęki były celami, w których trzymano zmarłych.

W izbie strażnika leżanka została zdjęta z wozu. Brak trumny był nowością w stosunku do zwyczajów panujących dotychczas w domu umarłych, więc nadzorca poprosił o wyjaśnienia. Doktor Dormann poinformował go, że zdecydowano się na ten wyjątkowy zabieg – przy jego pełnej aprobacie – na prośbę przyjaciela zmarłej i że trumna zostanie dostarczona jeszcze przed wystawieniem pozwolenia na pochówek.

Podczas gdy wszyscy obecni zebrani byli wokół doktora i nadzorcy, madame Fontaine cicho otworzyła drzwi prowadzące z dziedzińca. Przebiegłszy spojrzeniem po wnękach – rozmieszczonych po pięć wzdłuż każdego boku pomieszczenia i zaciągniętych czarnymi zasłonami – rozchyliła zasłony najbliższej wnęki po lewej stronie i niedostrzeżona przez nikogo wślizgnęła się do środka.

– Weźmie pan na siebie, doktorze, całą odpowiedzialność za tę leżankę, jeżeli władze wysuną jakieś zastrzeżenia? – zapytał nadzorca.

Po tym, jak doktor przystał na ów warunek, nadzorca zwrócił się do strażnika:

– Wszystkie cele są dzisiejszej nocy puste, prawda, Duntzer?

– Tak, sir.

– O której kończycie dyżur dziś wieczorem?

– Kończę za pół godziny, sir.

Nadzorca wskazał na leżankę.

– A więc możecie się tym zająć – powiedział. – Umieście ją w celi położonej najbliżej stanowiska strażnika: numer pięć.

Miał na myśli piątą – licząc od drzwi prowadzących z dziedzińca – wnękę po prawej stronie pomieszczenia. Strażnik podwiązał czarne zasłony i karawaniarze wnieśli leżankę do środka.

Doktor Dormann wskazał poprzez rozsunięte zasłony na wnętrze owej wysokiej celi wentylowanej od góry i ogrzewanej (tak samo jak izba strażnika) spod podłogi. Na środku celi znajdował się postument na trumnę. Nad postument wystawał poziomy pręt przytwierdzony do ściany nad wejściem i zaopatrzony w krążek linowy prowadzący długi, cienki sznurek, którego jeden koniec zwisał luźno ku dołowi, a drugi łączył się z niewielkim dzwonkiem alarmowym nad wejściem po drugiej stronie – to jest po stronie izby strażnika.

– Wszystkie cele są tego samego rozmiaru i tak samo dobrze ogrzane i czyste – powiedział doktor do pana Kellera. – W sąsiednim pomieszczeniu czeka zawsze gotowa wanna z gorącą wodą, a obok niej w kredensie zestaw preparatów wzmacniających. Proszę obserwować strażnika i zwrócić uwagę, jakie środki ostrożności są podejmowane na wypadek czyjegoś przebudzenia się na przykład z kataleptycznego transu.

Duntzer przeszedł do celi. Chwycił zwisający luźno z góry sznurek i przywiązał do niego dwa kawałki krótszego sznurka, z których każdy rozdzielał się na pięć osobnych. Do owych dziesięciu końców doczepionych było dziesięć małych mosiężnych nakładek w kształcie napastrka.

Poprawiwszy najpierw nieco pozycję leżanki na postumencie, Duntzer uniósł ręce zmarłej – nałożył dziesięć mosiężnych napastrków na wszystkich dziesięć jej palców – po czym delikatnie umieścił jej martwe dłonie z powrotem na jej martwej piersi. Kiedy spojrział w górę i upewnił się, że ręce i sznurek prowadzący do dzwonka alarmowego są właściwie połączone, jego zadanie dobiegło końca. Opuściwszy celę, udał się na fotel, żeby poczekać na nocnego zmiennika.

Pan Keller wyszedł z powrotem do izby strażnika i zwrócił się do nadzorcy:

– Czy to już wszystko?

– Wszystko.

– Chciałbym, zanim się rozstaniemy, omówić z panem kwestię grobu.

Nadzorca skinął głową.

– Będzie mógł pan obejrzeć plan cmentarza w moim gabinecie po drugiej stronie budynku – rzekł.

Pan Keller zajrzał jeszcze raz do celi. Jack wślizgnął się do środka, kiedy wnoszono leżankę, i doktor Dormann obserwował go teraz ukradkiem. Pan Keller skinął na Jacka.

– Czekam na ciebie – powiedział. – Chodźże!

– Mam zostawić moją panią samą? – zawołał Jack. – Nigdy!

Pan Keller już miał wejść do celi, ale doktor Dormann ujął go za ramię i odwiódł na stronę, szepcząc:

– Mam do pana pewne pytanie. Czy choroba tego nieszczęśnika, kiedy pani Wagner zabierała go z zakładu dla obłąkanych w Londynie, objawiała się jakimiś agresywnymi zachowaniami?

– Słyszałem, jak o czymś takim wspominała.

– Proszę ostrożnie z nim postępować. Śmierć pani Wagner wystawiła jego słaby umysł na ciężką próbę. Obawiam się, że istnieje niebezpieczeństwo nawrotu owych groźnych zachowań; proszę zostawić go mnie.

Pan Keller wyszedł z pomieszczenia wraz z nadzorcą. Doktor Dormann wrócił do celi:

– Posłuchaj mnie, Jacku – powiedział – chcę, byś zobaczył, w jaki sposób twoja pani, jeśli ożyje (tak jak twierdzisz), da znać o tym strażnikowi. – Odwrócił się i zawołał do Duntzera: – Czy dzwonek alarmowy jest nastawiony?

– Tak, sir.

Doktor zwrócił się jeszcze raz do Jacka:

– Teraz popatrz i posłuchaj! – polecił.

Delikatnie dotknął jednego z mosiężnych naporstków przytwierdzonych do palców zmarłej. W izbie strażnika od razu zadźwięczał dzwonek.

– Jak tylko strażnik to usłyszy – odezwał się znowu doktor – da sygnał nadzorcy i pielęgniarce, którzy pomogą twojej pani dojść do siebie. Jednocześnie do domu pana Kellera zostanie wysłany posłaniec, który przekaże ci wiadomość o tym, co zaszło. Widzisz, pod jak dobrą opieką znajduje się pani Wagner? Chyba zachowasz się rozsądnie? Pora stąd iść. Chodź ze mną.

Jack odpowiedział mu tak samo, jak odpowiedział panu Kellerowi:

– Nigdy! – zawołał. Rzucił się na podłogę i objął ramionami jeden ze słupków podtrzymujących postument, na którym umieszczono leżankę. – Może mi pan wyrwać ramiona ze stawów! – wykrzyknął. – Inaczej mnie pan stąd nie wyciągnie!

Zanim doktor zdołał cokolwiek powiedzieć, w izbie strażnika rozległy się czyjeś kroki.

– Macie mi coś do zameldowania przed dzisiejszą nocą, Duntzer? – zapytał wesoły głos.

Jack odwrócił głowę z przejęciem, zupełnie jakby go rozpoznał.

– Zwłoki w celi numer pięć – odparł Duntzer. – Oraz dwie żywe osoby. Nocą to wbrew przepisom, jak wiecie. Zameldowałem wam o nich. Wyproszenie ich stąd będzie już waszym obowiązkiem. Dobranoc.

Do celi zajrzał starszy jegomość o czerwonym nosie. Jack zerwał się na równe nogi.

– Jest tu Schwartz! – zawołał. – Proszę mnie zostawić ze Schwartzem!

Rozdział 17

Widok Jacka sprawił Schwartzowi przyjemną niespodziankę i bynajmniej go nie speszył.

Jego drobny przyjaciel (wynioskował) najwyraźniej pamiętał o zaproszeniu do domu umarłych i dostał się do środka z pomocą nieznanego, który mu towarzyszył. Lecz kim był ów nieznanomy? Zastępca strażnika nocnego, mimo że pełnił czasem rolę posłańca swojej siostry pielęgniarki, nie znał osobiście jej przełożonych ze środowiska medycznego i teraz spojrzał na doktora niepewnie.

– Proszę wybaczyć, sir – zapytał – nie jest pan członkiem rady miasta, prawda?

– Nie mam nic wspólnego z radą miasta.

– I z zarządem domu umarłych też nie?

– Też nie. Nazywam się doktor Dormann.

Schwartz pstryknął swoimi niezgrabnymi palcami na znak wielkiej ulgi.

– A więc wszystko w porządku, sir! Proszę zostawić go ze mną, ja się nim zajmę.

– Znasz tego człowieka? – zapytał doktor, odwracając się do Jacka.

– Tak! Tak! Proszę zostawić mnie tutaj z nim – odrzekł z zapalem Jack. – Dobranoc, sir! Dobranoc!

Doktor Dormann jeszcze raz spojrzał na strażnika.

– Myślałem, że obcym ludziom nie wolno przebywać tutaj nocą – powiedział.

– To wbrew przepisom – przyznał Schwartz. – Ale na miłość boską, sir, proszę pomyśleć, jaka nuda panuje w tym miejscu! Poza tym jestem tylko zastępcą. Za trzy dni na służbę wróci dotychczasowy strażnik. Czuwanie tutaj samemu przez całą noc to okropna robota, doktorze. Jeden ze strażników nawet całkiem oszalał i powiesił się. Oczywiście był poniekąd poetą, co wiele tłumaczy... Sam nie jestem poetą, lubię jedynie towarzystwo. Proszę zostawić Jacka ze mną! Dopilnuję, żeby wrócił do domu cały i zdrowy; czuję, że mógłby być moim synem.

Doktor zawahał się. Jak powinien postąpić w tej sytuacji? Jack już zdążył wrócić do celi, w której leżała jego pani. Delikatna natura doktora Dormanna wzdragała się przed pomysłem wyciągnięcia go stamtąd siłą – nie mówiąc już o niebezpieczeństwie wywołania ataku szaleństwa, przed którym doktor sam przestrzegał pana Kellera. Już raz próbował perswazji i ta okazała się nieskuteczna. Nikt go nie upoważnił do decydowania o Jacku i wyglądało na to, że nie pozostało mu nic innego jak ustąpić.

– Skoro zamierzasz trwać w swoim uporze – rzekł do Jacka – będę musiał wrócić sam do domu pana Kellera i poinformować go, że zostawiłem cię tutaj

z twoim przyjacielem.

Jack, pochłonięty bez reszty własnymi myślami, powtórzył tylko w roztargnieniu:

– Dobranoc.

Doktor Dormann oddalił się.

Schwartz zajął do celi.

– Jeszcze stąd nie wychodźcie – powiedział do swojego gościa. – Niebawem przyjdzie odźwierny. Nie chcę, żeby was zobaczył.

Odźwierny pojawił się po upływie kilku chwil.

– Wszystko dobrze dzisiejszej nocy? – zapytał.

– Wszystko dobrze – odparł Schwartz.

Odźwierny oddalił się w milczeniu. Odpowiedź, której udzielił strażnik nocny, oznaczała jego zgodę na zamknięcie na całą noc bram domu umarłych.

Schwartz wrócił do Jacka, wciąż czuwającego cierpliwie przy krawędzi leżanki.

– Należała do waszej rodziny? – zapytał.

– Była mi całą moją rodziną na tym świecie! – zawołał Jack w uniesieniu. – Ojcem i matką, bratem, siostrą i żoną!

– Ach tak? Pięcioro krewnych w jednym... To ci dopiero ekonomiczna rodzina! – zauważył Schwartz. – Chodźcie tutaj, do stołu. Ostatnim razem to wy stawialiście, kolej na mnie. Trzymam wino tuż pod ręką. Tak, tak, niechybnie była za życia urodziwą kobietą. Dlaczego nie włożyliście jej do trumny, tak jak się to robi z innymi ludźmi?

– Dlaczego? – powtórzył obruszony Jack. – Nie mogłem ich powstrzymać przed przywiezieniem jej tutaj, ale spaliłbym im dom do cna, gdyby ośmielili się włożyć ją do trumny! Czy jesteście na tyle głupi, by myśleć, że moja pani jest martwa? Nie wiecie, że czuwam przy niej i czekam, kiedy się obudzi? Ach! Przepraszam, rzeczywiście nie wiecie. Pozostali pozwoliliby jej umrzeć, ale ja uratowałem jej życie. Chodźcie tutaj. Opowiem wam, jak to zrobiłem.

Zaciągnął Schwartz do celi. Jak tylko strażnik zniknął z pola widzenia, madame Fontaine wysunęła swoje dzikie, białe oblicze pomiędzy skrywających ją dotąd zasłon i wsłuchała się w opowieść Jacka o tym, jak otworzył jej szafkę i jakiego odkrycia dokonał.

Schwartz okazał pobłażliwość swojemu małemu (i najwyraźniej obłąkanemu, jak teraz uznał) przyjacielowi i nie przerywał mu, dopóki ten nie skończył mówić. Potem, zamiast odnieść się w jakikolwiek sposób do tego, co właśnie usłyszał, jeszcze raz wspomniał o winie.

– Chodźcie! – powtórzył. – Chodźcie do stołu!

Madame Fontaine ponownie wycofała się za zasłony. Jack tkwił uparcie na swoim miejscu w celi.

– Chcę to zobaczyć – powiedział – jak tylko się poruszy.

– Jesteście pewni, że wzrok was nie zawiedzie? – upomniał go Schwartz. – I tak już wyglądacie na skonanego, a oczy jeszcze bardziej się wam zmęczą. Zaufajcie lepiej temu dzwonnkowi tutaj nad wejściem. Mosiądz i stał nigdy się nie męczą; mosiądz i stał nigdy nie śpią; mosiądz i stał wezwą was do niej dzwonieniem. Odpocznijcie trochę i wypijcie sobie.

Na te słowa Jack przypomniał sobie o eksperymencie, któremu doktor poddał dzwonek alarmowy. Nie mógł już dłużej ukrywać przed sobą uczucia zmęczenia narastającego podstępnie w jego głowie i kończynach.

– Obawiam się, że macie rację – powiedział ze smutkiem. – Żałuję, że nie jestem silniejszy.

Dołączywszy do Schwartza przy stole, osunął się ciężko na fotel. Głowa opadła mu na pierś, powieki zamknęły się. Zaraz jednak znów zerwał się z miejsca.

– Być może będzie potrzebowała pomocy, gdy się przebudzi! – zawołał z przerażeniem w oczach. – Co wtedy? Damy radę zanieść ją we dwóch do domu? Och, Schwartz! Jeszcze przed chwilą miałem w sobie taką pewność, a teraz jakby wszystko ze mnie uleciało!

– Nie dręczcie sobie tej małej, śpiącej główki takimi drobiazgami – odrzekł Schwartz z chropawą dobroduszością. – Chodźcie ze mną; pokażę wam, gdzie szukać pomocy, gdyby takowa była potrzebna. Nie! Nie! Jeżeli dzwonek zadzwoni, usłyszycie go. Zostawimy drzwi otwarte. To tylko po drugiej stronie tego przejścia.

Zapalił lampę i poprowadził nowego przyjaciela na zewnątrz.

Minąwszy dziedziniec i izbę dla żałobników po lewej, przemaszerował prawą stroną przejścia i otworzył drzwi zawsze gotowej do użycia sypialni. Drugie drzwi w sypialni prowadziły do pokoju kąpielowego. Tutaj, naprzeciwko wanny, stał kredens, w którym trzymano – pod bezpośrednim nadzorem nadzorcy – środki wzmacniające.

*

Kiedy obaj mężczyźni zniknęli za drzwiami, madame Fontaine zakradła się do izby strażnika. Jej wzrok pobiegł w stronę budzącej grozę celi na drugim końcu rzędu czarnych zasłon. Ruszyła ku niej, ale zaraz przystanęła – przykładając ręce do głowy i rozpaczliwie próbując się uspokoić.

Odkąd Jack przyznał się jej, w jaki sposób spożytkował zawartość buteleczki z niebieskiego szkła, nie opuszczał jej przytłaczający strach przed zbliżającym się wykryciem jej czynu.

Wiedziona strachem, pozbyła się wszystkich trucizn z kufierka aptecznego, wylewając z buteleczek całą ich zawartość i roztrzaskując je następnie na drobne kawałki – które zabrała ze sobą, gdy wychodziła z domu za doktorem Dormannem. Podczas wędrówki na cmentarz rozrzuciła kawałeczki stłuczonego szkła i strzępki

podartego papieru na ciemnej drodze za bramą miasta. Został jej już teraz tylko pusty kuferek apteczny i zapisany szyfrem skrawek papieru, który niegdyś spowijał buteleczkę z trucizną zwaną Kroplami Lustrzanymi.

Odmienione okoliczności skłoniły ją do podjęcia ryzyka i poproszenia doktora Dormanna o rozszyfrowanie tajemniczego zapisu – na wypadek gdyby ten mieścił w sobie jakieś ostrzeżenie, które mogłoby jej pomóc uchronić się przed skutkami ślepej ingerencji Jacka.

Powodowana mglistą obawą przed tą samą ewentualnością ożycia, w którą tak żarliwie wierzył Jack, podążyła za nim do domu umarłych i ukryta w celi czekała, by przekonać się, czy nie wyjawি doktorowi albo panu Kellerowi jakiegoś groźnego sekretu – i by w razie konieczności od razu zdusić w zarodku potencjalne podejrzenia, które mógłby bezwiednie rozbudzić w ich głowach. Stała teraz zastygła w dręczącej niepewności, wpatrując się w wejście do celi i próbując znaleźć w sobie siłę, której potrzebowała, żeby sprawdzić, jak wygląda prawda. Dopóki była w izbie strażnika sama, jeden rzut oka na zmarłą mógł ją uspokoić, że w jej skórę wstąpiła już pośmiertna, sina bladość – albo ostrzec przed potwornym niebezpieczeństwem przebudzenia. Pospieszyła na złamanie karku przez dzielący ją od celi dystans i zajrzała do środka.

Tam w bezruchu leżało – w całej swojej okazałości – dzieło jej morderczego czynu! Tam na tle czarnej sukni jaskrawiły się upiorną bielą dłonie podłączone do przedziwnego mechanizmu mającego zadźwięzczyć, gdyby pojawiło się drzenie zapowiadające tajemniczy powrót do życia!

Wdowę, jak tylko zobaczyła to, co zobaczyła, przeszyla absolutna groza. Odwróciwszy się w popłochu, rzuciła się do ucieczki przez otwarte drzwi. Przemknęła przez dziedziniec, wyglądając niczym czarny cień sunący szybko przez szarość zimowej nocy. U progu opustoszałej izby dla żałobników wyczerpana do cna natura upomniała się o swoje. Madame Fontaine zachwiała się – zamachała rękami w powietrzu – i osunęła się bez czucia na podłogę.

*

W międzyczasie Schwartz wyjawil Jackowi cel ich wizyty w pokoju kąpielowym.

Szklane drzwiczki zabezpieczające górną część kredensu były zamknięte na klucz, który znajdował się w posiadaniu nadzorcy. Dostępu do mieszczącej się poniżej szafki z ręcznikami i flanelowymi szlafrokami nie bronił jednak żaden zamek. Strażnik sięgnął po ukrytą za bielizną kąpielową butelkę i starą piersiówkę podróżną, po czym wyjaśnił:

– Nazywam to miejsce swoją piwniczką. Głowa do góry, Jacky, jeszcze będziemy mieli udaną noc.

– Nie obchodzi mnie wasza piwniczka! – zawołał Jack niecierpliwie. – Chcę

się na coś przydać swojej pani. Pokażcie mi miejsce, z którego woła się o pomoc.

– Woła? – powtórzył Schwartz, wybuchając gromkim śmiechem. – Myślicie, że nasze głosy dotarłyby do kwatery nadzorcy przez ten dziedziniec, izbę dla żałobników, wielki hol, drugi dziedziniec i położoną za nim drugą izbę dla żałobników? Nie udałoby nam się taka sztuka, nawet gdybyśmy byli gromadą dwudziestu chłopów i krzyczeli stąd na całego! Pokażę wam, jak będziemy mogli ściągnąć tutaj mojego pryncypała... jeżeli rzeczywiście dojdzie do tego waszego cudownego zmartwychwstania – dodał pod nosem żartobliwym szeptem.

Poprowadził Jacka z powrotem do przejścia i uniósł latarnię tak, żeby oświetlić zewnętrzny gzyms, wzdłuż którego ciągnął się rząd zawieszonych na hakach wiader z wodą przeciwpożarową. Pośrodku owego rzędu widniał koniec grubej liny prowadzącej z obitego metalem otworu w dachu.

– Widzicie to? – zapytał Schwartz. – Trzeba tylko pociągnąć, a żelazne serce dzwonu w dzwonnicy powyżej odezwie się tak głośno, że będzie je słyhać u bram miasta. Nadzorca przybiegnie, potykając się o własne nogi, z pękiem kluczy w garści, zupełnie jak gdyby gonił go diabeł, a za nim przybędą dwie służące – stare i brzydkie, Jacku! – które doglądają kąpieli, jeżeli potrzebuje jej kobieta. Zaczekajcie! Zabierzcie światło do sypialni i znajdźcie sobie krzesło; nie mamy tu zbyt wielu udogodnień dla wieczornych gości. Znaleźliście? Znakomicie. Chcielibyście zobaczyć, gdzie powiesił się szalony strażnik? Na ostatnim haku tego rzędu tutaj. Mamy gdzieś słowa pieśni, którą ułożył o domu umarłych. Chyba są w szufladzie stołu. Pewien dżentelmen kazał je sobie wydrukować i sprzedał, a dochód przekazał wdowie i jej dzieciom. Powiem wam, co zrobię: jak już rozgrzejemy się dobrze winem, zaśpiewam wam pieśń szalonego strażnika! A wy, Jacku, mój druhu, będziecie śpiewali refren. Pam-pam-parara-pam, tak płynie jego melodia. Ładna, prawda? Wracajmy do naszego przytulnego zakątka.

Z tymi słowy ruszył z powrotem do izby strażnika.

Rozdział 18

Jack z przejściem zajrzał ponownie do celi. Nic się nie zmieniło – nie było widać żadnych oznak zapowiadających owo cudowne ożywienie, w które tak mocno wierzył.

Schwartz otworzył szufladę stołu. Jej wnętrze wypełnione było zbiorowiskiem stłoczonych razem przedmiotów, wśród których znajdowały się: tytoń i fajki, kilka małych szklaneczek, talia brudnych kart oraz kartka z tekstem pieśni szalonego strażnika ozdobiona drzeworytem przedstawiającym akt samobójstwa. Wyjąwszy z szuflady tekst pieśni i dwie szklaneczki, Schwartz zawołał do swojego drobnego gościa, żeby wyszedł z celi.

– Proszę! – powiedział, napełniając szklaneczki. – W całym życiu nie mieliście w ustach takiego wina. Pijcie do dna!

Jack odsunął się ze wstrętem.

– Co mi mówiliście o winie, kiedy piliśmy je ostatnim razem? – zapytał z wyrzutem. – Mówiliście, że rozgrzeje mi serce i uczyni ze mnie mężczyzną. A co się okazało? Nie mogłem ustać na nogach. Nie mogłem nawet utrzymać głowy w pionie; byłem tak senny i otumaniony, że Joseph musiał zaprowadzić mnie do łóżka. Nienawidzę tego waszego wina! Wasze wino to kłamca, który składa fałszywe obietnice! I bez niego jestem wystarczająco wyczerpany i nieszczęśliwy!

– Nie macie racji! – stwierdził Schwartz, po czym opróżnił swoją szklaneczkę do dna i zamląskwał ustami. – Tamtej nocy popełniliście poważny błąd: wypiliście stanowczo za mało. Trzeba dać temu wspaniałemu trunkowi uczciwą szansę. Nie chcecie? Czy będę musiał uciec się do delikatnej perswazji, żebyście wrócili na swoje krzesło? – Przechodząc od słów do czynów, otoczył Jacka ramieniem. – Co ja tam czuję pod palcami? – zapytał. – Jakąś buteleczkę? – Sięgnął do górnej kieszeni surduta Jacka. – Boże, dopomóż! – wykrzyknął. – To wygląda jak lekarstwo!

Jack, wydając z siebie okrzyk radości, wyrwał mu ją z rąk.

– Tego właśnie mi potrzeba, a nawet o tym nie pomyślałem!

Był to flakonik, którego ogarnięta wyrzutami sumienia madame Fontaine, napełniwszy go uprzednio na jego życzenie śmiertelną dawką Wina Aleksandra, ostatecznie postanowiła mu nie oddać. Znalazłszy go zaraz po otwarciu szafki w pokoju różowym, Jack, w porywie uniesienia, jakie wywołał w nim widok buteleczki z niebieskiego szkła, zupełnie o nim zapomniał. I od tamtego czasu do teraz nie wydarzyło się nic, co by mu przypomniało, że flakonik wciąż jest w jego kieszeni.

– Działa jakby ręką odjął na zmęczenie i wszelkie zmartwienia – obwieścił Jack uroczyście, powtarzając dawne słowa madame Fontaine. – Macie tutaj jakąś

wodę?

– Dzięki Bogu ani kropli! – odpowiedział nabożnie Schwartz.

– Podajcie mi więc moją szklaneczkę. Raz próbowałem lekarstwa bez rozcieńczania i przypaliło mi gardło. Wino mi nie zaszkodzi, jeśli będzie w nim ten cudowny płyn. Wypiję lekarstwo razem z winem.

– Kto wam je dał? – zapytał Schwartz, przytrzymując szklaneczkę.

– Pani gospodyni.

– Kobieta! – warknął Schwartz tonem najwyższej pogardy. – Jak śmiecie pozwalać, żeby kurowała was kobieta, kiedy macie obok takiego medyka jak ja? Wstyd mi za was, Jacku!

Jack stanął w obronie swojego męskiego honoru.

– Och, nie dbam o jej zdanie! Gardzę nią, to wariatka. Chyba nie myślicie, że to ona sporządziła to lekarstwo? Gdyby tak było, nie tknąłbym go. Nie, nie! Sporządził je jej mąż, wspaniały człowiek! Najwspanialszy człowiek w całych Niemczech!

Sięgnąwszy przez stół, chwycił swoją szklaneczkę z winem i błyskawicznie przelał do niej całą zawartość flakonika. Już unosił ją do ust, kiedy władca dłoń Schwartza dotarła do jego nadgarstka. Zastępca strażnika darzył wina dobrego gatunku zdecydowanie zbyt dużym szacunkiem, żeby pozwolić komukolwiek tak je bezcześcić.

– Odłóżcie to! – fuknął gniewnie. – Jesteście moim gościem, prawda? Myślicie, że będę spokojnie patrzył, jak pijecie tę rzadziwą waszej gospodyni przy moim stole? Spójrzcie na to!

Uniósł w górę swoją piersiówkę, z której uprzednio odkręcił metalowy kieliszek. Widoczny przez szkło płyn w kolorze głębokiego bursztynu oczarował Jacka.

– Co to jest? – zapytał z przejęciem, odkładając na stół szklaneczkę z winem.

– Pitne złoto, Jacku! Moje lekarstwo. Brandy!

Wlał odrobinę złotego trunku do metalowego kieliszka.

– Skosztujcie sobie – powiedział. – I żebym już nie słyszał słowa na temat lekarstwa gospodyni.

Jack uniósł kieliszek do ust. W jego oczach stanęły łzy. Chwytnąjąc się za gardło, wykrztusił słabo:

– Ogień!

– Zaczekajcie chwilę! – powiedział Schwartz.

Jack czekał. Brandy wypuściła go ze swojego ognistego uścisku; po całym ciele rozeszło się przyjemne, odprężające ciepło. Pociągnął następny łyk. Jego oczy poczęły błyszczeć.

– Cóż za niebiańska istota to sporządziła? – zapytał. Nie czekając na odpowiedź, wziął następny łyk i opróżnił kieliszek do dna. – Jeszcze! – zawołał. –

Nigdy nie czułem się taki duży, nigdy nie czułem się taki silny, nigdy nie czułem się taki mądry jak teraz!

Schwartz, popijając wino bezpośrednio z butelki, odzyskał swój dobry humor, i to z nawiązką. Klepiąc Jacka w ramię, zapytał wesoło:

– Kto tu jest teraz prawdziwym doktorem? Ten kocmołuch gospodyni? Czy ojczulek Schwartz? Wasze zdrowie, chłopcze! Kiedy opróżnię butelkę, pomogę wam uporać się do końca z piersiówką. Pijcie! I niech piekło pochłonie wszelkie niedopitki!

Następna porcja brandy rozpałała w pobudliwym umyśle Jacka nowy pomysł. Padając na kolana przy stole, splótł dłonie w nagłym przypiływie pobożności.

– Cisza! – rozkazał srogo. – Wasze wino to ledwie godny pożałowania diabeł. Wasze pitne złoto to bóg. Zdejmijcie czapkę, Schwartz, oddaję cześć pitnemu złotu!

Schwartz, niezwykle rozbawiony, podrzucił swoją czapkę w górę.

– Pitne złoto, *ora pro nobis!*[5] – zawołał bluźnierczo, dostrajając się do poczucia humoru Jacka. – Będziecie papieżem, mój chłopcze, a ja będę sługą papieża. Wasza Świątobliwość pozwoli, że pomogę wam wrócić na krzesło.

Odpowiedź Jacka odzwierciedliła kolejną zaszłą w nim zmianę. Jego głos był podniosły; wyraz jego twarzy nieobecny.

– Wolę podłogę – powiedział. – Podajcie mi moją brandy. – Kiedy po nią sięgał, jego wzrok padł na dzwonek alarmowy nad drzwiami. Mimo stanu upodlenia, w jaki wpędziła go moc trunku, szlachetna siła jego niezniszczalnej miłości do jego pani zdołała przebić się przez gęste opary kłębiące się w jego umyśle.

– Zaczekajcie! – zawołał. – Muszę znajdować się w miejscu, z którego widać dzwonek. Muszę być gotowy do pomocy, jak tylko zadzwoni.

Przeczołgał się po podłodze i usiadł, opierając plecami o ścianę jednej z pustych cel po lewej stronie pomieszczenia. Schwartz, trzęsąc się na całym ciele ze śmiechu, wyciągnął do swojego gościa kieliszek. Jack nie zwrócił na niego uwagi. Jego poczerwieniałe już od brandy oczy utkwione były w znajdującym się naprzeciw niego dzwonku.

– Ciekawy jestem – powiedział – co to jest to stalowe coś pod tym mosiężnym kapturkiem?

– Po co pytacie o takie rzeczy? – zapytał Schwartz, wracając do swojej butelki.

– Bo jestem ciekawy!

– Cierpliwości, Jacku, cierpliwości. Obserwujcie mój palec. Ręka trochę mi się trzęsie, ale to wciąż porządna ręka. To stalowe coś to młoteczek dzwonka... i jego kluczowa część, wierzcie mi. Bóg jeden wie, ile coś takiego kosztuje.

Wzniesmy następny toast, mój synu. Wypijmy za niezawodność dzwonka!

Jackowi ponownie zmienił się nastrój.

– Za długo już śpi tam na tej leżance – rzekł, zanosząc się płaczem. – Chcę, żeby się do mnie odezwała. Chcę, żeby mnie zbeształa za to, że piję w tym okropnym miejscu. Moje serce znów jest zimne. Gdzie mój kieliszeczek? – Znalazł go, ledwo wymówił te słowa. Ogień brandy kolejny raz przeszedł przez jego gardło i wprowadził go w dziką wesołość. – Sięgam chmur! – wykrzyknął. – Niesie mnie wir powietrza! Śpiewajcie, Schwartz! Ha! Przez świetlik w dachu widać gwiazdy migoczące na niebie. Sprowadźcie je pieśnią na ziemię!

Schwartz opróżnił do dna butelkę, rezygnując z ceremoniału użycia szklanki.

– Teraz jesteśmy odpowiednio przygotowani! – powiedział. – Przyszła pora na pieśń szalonego strażnika!

Chwycił kartkę ze stołu i wyrzucił chrypliwie pierwszą zwrotkę:

Księżyc lał z góry zimnego światła moc
Na dom umarłych w tę noworoczną noc,
Gdym został na straży niczym palec sam,
A wszyscy inni poszli w tan.
Zazdroszcząc im, kląłem swój los –
Nieszczęsny ja!

– Chórem, Jacku! „Takiego już w życiu pecha mam...”

Ostatnie słowa zwrotki zagłuszył pijacki wrzask grozy. Schwartz poderwał się z miejsca i ogarnięty panicznym strachem wskazał palcem w kierunku drugiego końca pomieszczenia.

– Duch! – zawył. – Czarny duch przy drzwiach!

Jack odwrócił głowę i wybuchnął śmiechem.

– Siadajcie, stary głupcze – powiedział. – To tylko pani gospodyni. Śpiewamy sobie, pani gospodyni! Nie słyszała pani jeszcze mojego głosu, a jestem najwyśmienitszym śpiewakiem w Niemczech.

Madame Fontaine zbliżyła się do niego pokornie.

– Masz dobre serce, Jacku. Jestem pewna, że mi pomożesz – rzekła. – Pokaż mi, jak wyjść z tego upiornego miejsca.

– Do licha! – warknął Schwartz. – Jak się tu pani dostała?

– To czarownica! – zawołał Jack. – Przyleciała na miotle i przecisnęła się przez dziurkę od klucza. Gdzie macie piec? Sprowadźmy ją na dół i spalmy!

Schwartz wziął w obroty swoją piersiówkę, dzięki czemu znów wrócił mu dobry humor.

– Lepszego kompana od Jacka nie można by sobie wymarzyć – rzekł nader przymilnym tonem. – Nie da pani rady stąd wyjść dzisiejszej nocy, pani czarownico. Brama jest zamknięta, a nie zostawiają mi klucza. Zapraszamy, madame. Znajdzie pani dla siebie mnóstwo miejsca po drugiej stronie ściany, pod

którą siedzi Jack. Nie mamy dzisiaj zbyt wielu martwych gości. Proszę wejść do środka.

Madame Fontaine znów poczęła błagać:

– Oddam panu wszystkie pieniądze, jakie mam przy sobie! Do kogo mogłabym się udać po klucz? Jacku! Jacku! Wstaw się za mną!

– Śpiewajcie dalej! – zawołał Jack.

W swojej rozpaczy ponownie zwróciła się do Schwartza:

– Och, sir, proszę mieć dla mnie litość! Zemdlałam tam, na dworze, i kiedy się ocknęłam, spróbowałam otworzyć bramę. A potem wołałam, wołałam i wołałam, ale na próżno.

Jej słowa rozbawiły Schwartza.

– Nawet gdyby ryczała pani jak byk, nikt by pani nie usłyszał. Proszę sobie usiąść, madame.

– Śpiewajcie dalej! – powtórzył Jack. – Mam dosyć czekania.

Madame Fontaine spoglądała załęcznionym wzrokiem to na jednego, to na drugiego. „Mój Boże, utknęłam tutaj z idiotą i pijakiem!” Owa myśl, pojawiwszy się w jej głowie, przeraziła ją. Madame zerwała się i ponownie wybiegła na zewnątrz. Jeszcze raz poczęła wołać pośród ciemności o pomoc.

Schwartz zbliżył się chwiejnie do drzwi, ciągnąc za sobą puste krzesło Jacka.

– Być może łatwiej będzie pani popiskiwać, madame, jeśli wróci pani tutaj i sobie usiądzie? A teraz czas na dalszy ciąg pieśni, Jacku!

Wychrypiał następną zwrotkę:

Tam i z powrotem pod drzwiami umarłych

Stąpałem cicho, pełniąc swą wartę.

Gdy wszyscy szczęśliwcy tańcowali z werwą,

Jam biadał pod nosem: „Tak mi tu ciężko

Samemu ze strachem, zimnem i śmiercią –

Nieszczęsny ja!”

– Chórem, Jacku! Chórem, pani gospodyni! Ho, ho! Patrzcie na nią! Nie zdołała oprzeć się tej melodii, już do nas wróciła. Co możemy dla pani zrobić, madame? Nie osuszyliśmy jeszcze całej piersiówki. Może napije się pani?

Wdowa wróciła do środka, przerażona panującymi na zewnątrz ciemnościami i ciszą, znów ogarnięta przyprawiającą o zawroty głowy i mdłości słabością. Kiedy Schwartz skończył mówić, ruszyła ku niemu, słaniając się na nogach.

– Wody! – wykrzyknęła, z trudem łapiąc oddech. – Jest mi słabo, wody! Wody!

– Nie znajdzie pani tutaj ani kropelki. Może brandy?

– Zabraniam! – zawołał Jack, czyniąc władczy gest dłonią. – Pitne złoto jest dla nas, nie dla niej!

Jego uwagę zwróciła szklaneczka z winem, którego wcześniej Schwartz nie pozwolił mu wypić. Nakłonienie gospodyni podstępem do tego, żeby posmakowała swojego własnego „lekarstwa” wykradzonego z jej własnego pokoju, wydało się Jackowi w jego obecnym stanie ducha wyśmienitym kawałem. Pokazując palcem na szklaneczkę, mrugnął do strażnika. Po dłuższej chwili otumaniony umysł Schwartza pochwycił sens nowego pomysłu.

– Została nam jeszcze kapka wina, madame – powiedział strażnik. – Może zechciałaby pani skosztować?

Madame Fontaine wsparła się jedną ręką na stole. Serce zapadało się coraz głębiej w jej piersi, jej twarz zrosił zimny pot.

– Szybko! Szybko! – wyszeptała słabo. Chwyciła szklaneczkę i opróżniła ją zachłannie do dna.

Schwartz z Jackiem patrzyli na nią ze złośliwym zaciekawieniem. Ciągle jeszcze nie opuszczała jej myśl o ucieczce.

– Teraz chyba dam radę utrzymać się na nogach – powiedziała. – Na litość boską, proszę mnie stąd wypuścić!

– Nie słyszała pani, co mówiłem? Sam też nie mogę stąd wyjść.

Na te okrutne słowa wdowa cofnęła się i powoli osunęła na krzesło.

– Głowa do góry, madame! – zawołał Schwartz. – Muzyka pomoże się pani rozchmurzyć, zaraz usłyszysz pani, w jaki sposób szalony strażnik postradał zmysły. Jeszcze po odrobinie pitnego złota, Jacku, łyeczek dla was i łyeczek dla mnie. Uwaga, zaczynam!

Wyryczał ostatnie zwrotki pieśni:

„Lepsze niż żadne – rzekłem – takie towarzystwo,
Żywe czy martwe – już mi jedno wszystko!”

W następnej pełnej grozy chwili

Nad każdą z trupich cel dzwonek zakwilił,

Promienie księżyca na podłodze drzeniem zatańczyły –
Nieszczęsny ja!

Rozstały się zasłony i biały niczym śniegu puch
Na każdym progu ukazał się duch.

„Wzywałeś nas – zawyły – a więc przybywamy,
Pójdź ze swoimi gośćmi w noworoczne tany!”

Płasałem, aż z nóg padłem śmiertelnie omdlały –
Nieszczęsny ja!

Teraz niezmiennie od tamtej nocy

Szaleńczy dygot ma mnie w swojej mocy.

Zmroziło mnie bowiem do samego szpiku kości,

Gdym pośród noworocznej, księżycowej światłości

Pełnił swą upiorną wartę w samotności –

Nieszczęsny ja!

Och, kiedy już złożycie moje ciało do grobu,

Grubą warstwę ziemi połóżcie mi nad głową!

Inaczej wrócę, by zatańczyć znów

W domu umarłych, drżąc od stóp do głów.

A w każdej celi partnerował mi będzie inny duch –

Nieszczęsny ja!

Noc się wypogodziła. Podczas gdy Schwartz wyśpiewywał ostatnie wersy, ponad świetlikiem w dachu na niebie ukazał się księżyc. Na twarz Jacka spłynął strumień ciepłego żółtego światła. Brandy rozgrzała go gwałtownym płomieniem, zapalając w nim poryw dawnego szaleństwa. Zrywając się jak oparzony na równe nogi, począł krzyżeć:

– Księżyc! Księżyc szalonego strażnika! Szalony strażnik wraca! Widzicie, jak zjeżdża po tym ukośnym promieniu światła? Widzicie tę osypującą się z niego brązową ziemię jego grobu i sznur zwisający z jego szyi? Ha! Jakże podskakuje, wygina się i wiruje! Znowu tańczy z umarłymi. Zróbcie mi miejsce! Ja też chcę z nimi zatańczyć. Dalejże, szalony strażniku, dalejże! Jestem tak samo szalony jak wy!

Kręcił się i kręcił z partnerującym mu w tańcu wyimaginowanym duchem. Na ów okropny widok z piersi Schwartza znów dobył się rubaszny śmiech. W pijackim triumfie zawołał do madame Fontaine:

– Proszę popatrzeć na Jacka, madame. To się nazywa dobry tancerz! To się nazywa dobry kompan na nudną zimową noc!

Wdowa ani nie popatrzyła, ani nie poruszyła się – siedziała tylko skulona na krześle, zmrożona przerażeniem. Jack wyrzucił ramiona w górę, raz czy dwa obrócił się szybko wokół własnej osi i padł wyczerpany na podłogę.

– Zimno jego rąk przechodzi na moje – powiedział, wciąż owładnięty wizją szalonego strażnika. – Mrozi moje oczy, unieruchamia moje serce, paraliżuje moją głowę. Umieram, umieram, umieram, wracam razem z nim do grobu. Nieszczęsny ja! Nieszczęsny ja!

Zamilkł, zastygając w dziwnym bezruchu i wpatrując się szeroko otwartymi oczami w księżyc. Schwartz wysączył z piersiówki ostatnią kroplę brandy.

– Jack powinien nosić imię Salomon – orzekł z senną powagą. – Salomon był mądry i Jack też jest mądry: kiedy wszystko już wypite, układa się do snu. Zabierzcie stąd tę butelkę, zanim przyjdzie nadzorca. Niech jaki podły kłamca spróbuje zarzucić mi, że jestem pijany... Reńskie wino lubi szumieć człowiekowi w głowie. To wszystko, panie nadzorco, to wszystko. Czyżby przez świetlik w dachu było widać wschodzące słońce? Dobranoc. Dobra... noc.

Złożył swoje ciężkie ramiona na stole, opuścił na nie głowę i już spał.

Czas mijał. Nocnej ciszy nie zakłócał żaden dźwięk poza ciężkim

chrapaniem Schwartza. Jeżeli chodzi o Jacka, nic się nie zmieniło: leżał tak, jak leżał, wpatrując się w księżyc.

Gdzieś na terenie budynku zegar wybił pierwszą nad ranem.

Madame Fontaine drgnęła. Ów dźwięk napełnił ją nowym lękiem – który wyraził się w ukradkowym spojrzeniu, jakie posłała ku celi zajmowanej przez zmarłą kobietę. Gdyby odezwał się jej dzwonek, czy brzmiałby podobnie do tego pojedynczego bicia zegara?

– Jacku! – wyszeptała. – Słyszałeś to? Och, Jacku, ta cisza jest okropna, odezwij się do mnie!

Jack podniósł się powoli, ożywiony być może odgłosem bicia zegara albo jakimś wewnętrznym impulsem. Nie odpowiadając madame Fontaine ani nawet na nią nie patrząc, siadł na podłodze niczym człowiek pierwotny, z ramionami oplecionymi wokół kolan. Jego oczy, do niedawna zapatrzone w księżyc, teraz wpatrywały się tym samym nieruchomym, szklistym wzrokiem w dzwonek alarmowy nad wejściem do celi.

Czas płynął. Panująca wokół nieznośna cisza znów poczęła straszliwie ciążyć madame Fontaine.

– Na co patrzysz? – zapytała, podejmując kolejną próbę nakłonienia Jacka do odezwania się. – Na co czekasz? Czyżby... – reszta pytania zamarła na jej ustach: słowa, którymi musiałaby ją wyrazić, były zbyt przerażające, by mogła je wypowiedzieć.

Dźwięk jej głosu nie wywołał w Jacku żadnej zewnętrznej reakcji. Być może wpłynął na niego w jakiś niedostrzegalny sposób? Coś z pewnością wyrwało go z owego dziwnego odrętwienia, w którym do tej pory trwał. Odezwał się. Przemówił powoli i mechanicznie – jak gdyby z trudem przeszukiwał swoją pamięć i recytował pojedyncze wspomnienia, które był w stanie w sobie odnaleźć.

– Kiedy się poruszy – wymamrotał – jej dłonie naciągną sznurek i prześlą dzwonekowi wiadomość. W górę po sznurku i do dzwonka. – Urwał, pokazując palcem na wejście do celi.

Jego gest przeraził swoją sugestywnością nieszczęsną grzesznicę, która go obserwowała.

– Nie rób tego! – zawołała. – Opuść rękę!

Jego ręka nawet nie drgnęła; był zbyt zaabsorbowany wspomnieniem słów wygłoszonych wcześniej przez doktora.

– W górę po sznurku i do dzwonka – powtórzył. – Dzwonek odbierze wiadomość. Stalowy młoteczek się poruszy. Dzwonek się odezwie. Dobry dzwonek! Niezawodny dzwonek!

Zegar wybił wpół do drugiej. Madame Fontaine pisnęła, jej zmysły nie odróżniały dźwięku zegara od dźwięku dzwonka.

Zobaczyła, jak ręka Jacka z powrotem opada i splata się wraz z jego drugą

ręką wokół kolan. Jego usta poczęły mówić – teraz cicho i czule – do zmarłej: „Waszmość pani, proszę powstać! Moja najdroższa, czas dłuży się w nieskończoność, a biedny Jack ciągle czeka!”

Wydało jej się, że zasunięte zasłony się poruszyły. Uznając owo złudzenie za rzeczywistość, madame Fontaine spróbowała obudzić Schwartza.

– Strażniku, strażniku! Proszę się ocknąć!

Ten jednak dalej spał twardym snem.

Poczęła się podnosić – stała już prawie na nogach, kiedy osunęła się z powrotem na krzesło. Jack podźwignął się na kolana.

– Moja pani mnie słyszy! – powiedział. W jego pustych dotychczas oczach zajaśniał blask ożywienia. Patrząc wyczekująco na wejście do celi, poderwał się na nogi i przycisnął sobie obie ręce do piersi. – Proszę do mnie przyjść! – zawołał. – Och, waszmość pani, proszę do mnie przyjść!

Coś zaszeleściło – delikatnie i ostrzegawczo – nad drzwiami.

Stalowy młoteczek poruszył się – podniósł – i uderzył w metalowy kloszyk. Dzwonek zadzwieczał.

Jack stał niczym przykuty do podłogi, szlochając histerycznie. Niezwykle napięcie, które odczuwał, nie chciało wypuścić go ze swojego żelaznego uścisku.

Z ust madame Fontaine nie wydobył się tym razem nawet pisk, jej ciało nawet nie drgnęło. Wraz z odezwaniem się dzwonka jak gdyby uszło z niej całe życie. Schwartz obudził się, ale poza tym, że podniósł wzrok, również się nie poruszył: on też jakby zamienił się w kamień.

Minęła minuta.

Zasłony zakołysały się delikatnie i rozsunęły pod dotknięciem drżących palców. Powoli, na tle czarnej powierzchni tkaniny, ukazało się nagie, białe ramię.

Z celi wynurzyła się postać spowita w czarny całun. Jej blada twarz wciąż była zastygła w letargicznym bezruchu. Jedynie oczy zdradzały budzącą się świadomość. Rozglądały się po pomieszczeniu z dezorientacją i w delikatnym zaskoczeniu – ale nic ponadto. Pani Wagner spojrzała w dół i na jej wargach zdrztał czuły uśmiech. Zobaczyła Jacka klęczącego w uniesieniu u jej stóp.

*

W pomieszczeniu znów wszystko zastygło w bezruchu. Niewypowiedziana radość i niewypowiedziana groza trwały obok siebie w tej samej ciszy.

Pierwszy dźwięk, który ją zakłócił, dotarł z opustoszałego, zewnętrznego holu. Na dziedzińcu rozległy się nagle spieszne kroki. Błyski światła zalały ciemne przejście między skrzydłami budynku. Zmieszane ze sobą męskie i kobiece głosy wdarły się potokiem do izby strażnika.

[5] *Ora pro nobis* (łac.) – Módl się za nami.

Rozdział 19

I

Dwunastego grudnia otrzymałem od pani Wagner list z wiadomością, że ślub Fritza i Minny został przełożony na dzień trzynastego stycznia. Wkrótce potem wyruszyłem w podróż do Frankfurtu.

Mój wyjazd z Londynu nastąpił z tak dużym wyprzedzeniem ze względu na spotkania, które miałem odbyć po drodze z kilkoma naszymi kontrahentami z Francji i północnych Niemiec. Pan Hartrey, kierownik zarządzający londyńskim biurem pod nieobecność pani Wagner, był zwolennikiem starej zasady, według której niczego nie należy wykonywać w pośpiechu, i uparł się, żebym zostawił sobie na sprawy służbowe dużo więcej czasu, niż było mi prawdopodobnie potrzebne. Zacny dżentelmen nawet się nie domyślał, dlaczego tak łatwo podporządkowałem się jego życzeniom. Nie mogąc doczekać się ponownego spotkania z ciotką i uroczą Minną, szybko wywiązałem się (za cenę okazjonalnej konieczności podróżowania nocą) ze swoich służbowych zadań i zdołałem dotrzeć do Frankfurtu tydzień wcześniej, niż się mnie spodziewano – to jest przed południem czwartego dnia stycznia.

II

Kiedy Joseph otworzył mi drzwi, z wyrazu jego twarzy od razu wyczytałem, że w domu miały miejsce jakieś niezwykle wydarzenia.

– Czy coś się stało? – zapytałem.

Joseph spojrział na mnie oszołomionym wzrokiem.

– Proszę lepiej porozmawiać z doktorem.

– Z doktorem? Kto jest chory? Moja ciotka? Pan Keller? No kto?

Chwyciłem go w zniecierpliwieniu za kołnierz i potrząsałem. Nie udało mi się jednak wydobyć z niego niczego ponad to, co już mi powiedział:

– Proszę porozmawiać z doktorem.

Tuż obok znajdowały się drzwi prowadzące do biura. Przeszedłszy przez nie, zapytałem jednego z pracowników, czy pan Keller przebywa w swoim gabinecie – na co usłyszałem, że pan Keller jest na górze z lekarzem. Doprowadzony już prawie na skraj nerwowej wytrzymałości, ponowiłem pytanie o zdrowie ciotki. Człowiek otworzył szeroko oczy.

– Nie słyszał pan? – zapytał.

– Żyje czy umarła? – wybuchnąłem, tracąc wszelką cierpliwość.

– Jedno i drugie – odparł pracownik biura.

Począłem się zastanawiać – co, jak sędzę, było całkiem zrozumiałe – czy

znalazłem się w domu pana Kellera, czy w zakładzie dla obłąkanych. Wróciwszy do holu, jeszcze raz chwyciłem Josepha za kołnierz.

– Natychmiast zaprowadź mnie do doktora! – wykrzyknąłem.

Joseph ruszył schodami na górę, ale, ku mojej wielkiej uldze, nie do tej części domu, w której rezydowała ciotka. Na pierwszym półpiętrze wygłosił tajemniczy komunikat:

– Panie Davidzie, postanowiłem złożyć wypowiedzenie – rzekł. – Są rzeczy, których nie może tolerować żaden służący. Od żywych oczekuję, że będą żywi. Od zmarłych oczekuję, że będą martwi. W tak poważnej kwestii, jaką jest kwestia życia i śmierci, nie powinno być żadnych niejasności. Do nikogo nie mam pretensji: po prostu niczego z tego wszystkiego nie rozumiem i odchodzę. Może pan wziąć ze mnie przykład, sir.

Czyżby był pijany? Prowadząc mnie schodami na następne piętro, szedł prosto i pewnie. Zapukawszy cicho do drzwi pokoju madame Fontaine, zaanonsował:

– Pan Glenney do doktora Dormanna.

Na spotkanie wyszedł mi najpierw, zamykając za sobą drzwi, pan Keller. Uściskał mnie z niezwykłą jak na siebie wylewnością. Wyraz jego twarzy zdradzał wielkie poruszenie, jego głos, gdy kierował do mnie swoje pierwsze słowa, załamał się.

– Miło cię znowu widzieć, Davidzie, jeszcze milej niż kiedykolwiek!

– Mam nadzieję, że zastaję swoją ciotkę w dobrym zdrowiu?

Splatając żarliwie dłonie, pan Keller odpowiedział:

– Bóg jest litościwy. Niech mu będą dzięki!

– Czy madame Fontaine jest chora?

Zanim zdążył odpowiedzieć, drzwi znów się otworzyły i wyszedł z nich doktor Dormann.

– Oto ktoś, kogo mi właśnie potrzeba! – wykrzyknął. – Nie mógł pan zjawić się bardziej w porę. – Odwrócił się do pana Kellera. – Gdzie znajdę przybory do pisania? W bawialni? Zejdźmy na dół, panie Glenney. Zejdźmy na dół, panie Keller.

W bawialni doktor nakreślił prędko na kartce kilka zdań.

– Będzie pan świadkiem złożenia podpisów – powiedział do mnie.

Podpisawszy się jako pierwszy, wręczył pióro panu Kellerowi – a potem dał mi dokument do przeczytania.

Ku mojemu niewypowiedzianemu zdumieniu ten podawał do wiadomości, że „wstrzymane czynności życiowe pani Wagner powróciły na terenie domu umarłych we Frankfurcie o wpół do drugiej nad ranem czwartego dnia stycznia”, że doktor „osobiście nadzorował zabiegi reanimacyjne”, a „w związku z zaistniałą sytuacją niniejszym zwalniał urzędników sądowych od dalszego prowadzenia

śledztwa w sprawie”. Pod owym oświadczeniem widniał jeszcze krótki dopisek informujący, że pan Keller oficjalnie wycofuje swój wniosek o sądowe postępowanie.

Stałem z kartką w dłoni, spoglądając to na jednego, to na drugiego dżentelmena – tym samym oszołomionym wzrokiem, którym wcześniej patrzył na mnie Joseph.

– Nie mogę odejść teraz od madame Fontaine. Jej choroba stanowi zbyt ważny przypadek z mojego zawodowego punktu widzenia – rzekł doktor. – Gdyby nie to, złożyłbym swoje oświadczenie osobiście. Pan Keller przeżył ogromny wstrząs i pilnie potrzebuje odpocząć w ciszy i spokoju. Bylibyśmy panu ogromnie zobowiązani, gdyby udał się pan z tym pismem do ratusza i poświadczył przed sędziami, że zna nas osobiście i widział, jak składaliśmy na owym dokumencie podpisy. Po powrocie usłyszysz pan wszystkie konieczne wyjaśnienia i na własne oczy przekona się, że bynajmniej nie musi się pan niepokoić o swoją ciotkę.

Dotarłszy do ratusza, złożyłem zeznania, o których wspomniał doktor. Przy tej okazji zapytano mnie między innymi, czy jestem bezpośrednio związany ze sprawą – czy to przez panią Wagner, czy w jakikolwiek inny sposób. Kiedy odparłem, że jestem siostrzeńcem pani Wagner, poproszono mnie o zadeklarowanie na piśmie, że (jako jej krewny) w pełni popieram oświadczenie doktora Dormanna i decyzję pana Kellera o wycofaniu wniosku.

Wraz z dopełnieniem owej formalności postępowanie sądowe zostało oficjalnie zakończone i mogłem wrócić do domu.

III

Joseph został odpowiednio poinstruowany i tym razem zachował się jak istota rozumna, przekazując mi, że doktor czeka na mnie w pokoju madame Fontaine. Wyznaczone miejsce spotkania nieco mnie zaskoczyło.

Doktor otworzył drzwi, ale zanim wpuścił mnie do środka, zapytał:

– Chyba był pan pierwszą osobą, która widziała pana Kellera owego ranka, gdy zachorował?

– Byłem pierwszą osobą zaraz po świętej pamięci panu Engelmanie – odparłem.

– Proszę zatem wejść. Chcę, żeby zobaczył pan madame Fontaine.

Poprowadził mnie do jej łóżka. Jak tylko na nią spojrzałem, od razu dostrzegłem w niej każdy z objawów dawnej choroby pana Kellera. Leżała w tym samym stanie niemocy co on przedtem – z tym samym wyrazem wyczerpania na bladej twarzy, a przez jej ręce przechodziło to samo nieregularne drżenie. Kiedy ochłonąłem już z pierwszego wstrząsu, zauważyłem nieszczęsną Minnę klęczącą po drugiej stronie łóżka i szlochającą żałośnie.

– Och, moja kochana! Niech mama na mnie spojrzysz! – prosiła. – Niech

mama się do mnie odezwie!

Matka z wysiłkiem otworzyła oczy, żeby popatrzeć na córkę – i zaraz znów je zamknęła.

– Pozwól mi leżeć w spokoju – powiedziała tonem marudnej prośby.

Minna wstała i czule pochyliła się nad jej poduszkami.

– Biedne usta mamy są takie spierzchnięte – zauważyła. – Może podam mamie odrobinę lemoniady?

Madame Fontaine powtórzyła tylko swoje poprzednie słowa:

– Pozwól mi leżeć w spokoju.

Ta sama ociężałość powiek! Ta sama prośba o pozostawienie w spokoju, która tak zaniepokoiła mnie owego pamiętnego ranka w sypialni pana Kellera!

Doktor Dormann dał mi znak, żebym poszedł za nim. Gdy otwierał drzwi, pielęgniarka zapytała, czy nie ma dla niej dalszych poleceń.

– Proszę mnie wezwać, jak tylko dostrzeże pani jakąś zmianę – odrzekł. – Będę w bawialni z panem Glenneyem.

Zanim wyszedłem, w milczeniu ucisnąłem dłoń biednej Minny. Kto na moim miejscu ośmieliłby się w takiej chwili wyrazić swoje współczucie słowami?

Ruszyliśmy wraz z doktorem w dół schodów.

– Czy jej choroba coś panu przypomina? – zapytał po drodze.

– Przypomina mi chorobę pana Kellera – odparłem – dokładnie taką, jaką ją zapamiętałem.

Doktor przyjął moją odpowiedź w milczeniu. Po tym, jak znaleźliśmy się w bawialni, zapytałem, czy mógłbym zobaczyć się z ciotką.

– Musi pan uzbroić się w cierpliwość – powiedział. – Pani Wagner śpi, a im dłużej będzie spała, tym pełniejsze będzie jej ozdrowienie. Moim głównym zmartwieniem jest Jack. Teraz całkiem grzecznie waruje pod jej drzwiami, ale wcześniej sprawił mi nieco kłopotu. Żałuję, że nie znam lepiej historii jego choroby. Z tego, co udało mi się dowiedzieć, był jedynie – jak to się mówi – „niespełna rozumu”, kiedy przyjmowano go do londyńskiego zakładu dla obłąkanych. Okrutne, barbarzyńskie procedury leczenia obowiązujące w tej instytucji przekształciły jego nieszkodliwy niedorozwój umysłowy w obłąd objawiający się agresywnymi zachowaniami – a te mają zwyczaj nawracać. Wiążę jednak duże nadzieje z dodatnim wpływem, jaki ma na niego pani Wagner. Proszę usiąść i pozwolić, że spróbuję panu wyjaśnić, w jak dziwnym położeniu nas pan tutaj zastał.

IV

– Pamięta pan, w jaki sposób pan Keller został wyleczony? – zaczął doktor.

W tym miejscu natychmiast przypominałem sobie nie tylko o tajemniczych podejrzeniach doktora Dormanna z okresu choroby pana Kellera, ale też

o niezwykłym pytaniu, które Jack skierował do mnie owego ranka, gdy wyjeżdżałem z Frankfurtu. Doktor zauważył moje zakłopotanie.

– Umówmy się, że będziemy rozmawiali ze sobą zupełnie otwarcie – powiedział. – Moje słowa o czymś panu przypomniały. O czym?

Odpowiedziałem szczerze, niczego przed nim nie kryjąc. Doktor Dormann wykazał się taką samą szczerością i wyjawiał mi wszystko to, co wyjawiał wcześniej panu Kellerowi – jak zostało to przedstawione w Części Drugiej tej opowieści.

– Wie pan teraz – ciągnął – co w głębi ducha myślałem o niezwykłym ozdrowieniu pana Kellera i jakiego rodzaju obawy pojawiły się we mnie, kiedy stwierdziłem (w owym czasie ponad wszelką wątpliwość) zgon pani Wagner. Jeżeli doszło do otrucia, to ktoś musiał być trucicielem. Tajemniczy powrót do zdrowia pana Kellera za sprawą cudownego lekarstwa madame Fontaine skłonił mnie do skierowania podejrzeń na nią właśnie. Moja odmowa wystawienia świadectwa zgonu podyktowana była jedynie chęcią doprowadzenia do wszczęcia śledztwa – miałem pewność, że takowe nastąpi, jeżeli tylko poinformuję pana Kellera o swoich wątpliwościach co do tego, czy pańska ciotka zmarła śmiercią naturalną. W tamtej chwili nawet nie przeczuwałem, co się wydarzy. Jednak muszę przyznać, że przed przetransportowaniem zwłok do domu umarłych zaskoczyła mnie nieco – proszę przygotować się na niespodziankę – informacja, którą podzielił się ze mną na osobności Jack.

Doktor powtórzył to, co Jack powiedział mu na temat szafki w pokoju różowym i antidotum, które zaaplikował pani Wagner.

– Co chyba zrozumiałe – ciągnął doktor – za bardzo zdawałem sobie sprawę z odmiennego charakteru chorób pana Kellera i pani Wagner, żebym mógł nawet przez moment podejrzewać, że podano im tę samą truciznę. Stąd też w najmniejszym stopniu nie podzielałem ślepej wiary Jacka w to, że środek z buteleczki z niebieskiego szkła okaże się skuteczny w przypadku jego pani. Nie mogę jednak powiedzieć, że wyznanie Jacka nie dało mi do myślenia. Pod wieczór przypominałem sobie o nim za sprawą pewnego tajemniczego zdarzenia. Kiedy szliśmy wraz z panem Kellerem za karawanem do domu umarłych, zatrzymała mnie na ulicy madame Fontaine. Oto, co mi wówczas dała.

Doktor położył na stole skrawek grubego papieru pokrytego gęsto zaszyfrowanym pismem.

V

– Czyje to pismo? – zapytałem.

– Nieżyjącego męża madame Fontaine.

– I sama to panu dała!

– Tak, prosząc, żebym odczytał dla niej ten szyfr.

– To zwyczajnie niepojęte!

– Nic podobnego. Wiedziała, w jaki sposób Jack spożytkował jej antidotum i (nie mając żadnej wiedzy w dziedzinie chemii) chciała być przygotowana na ewentualne konsekwencje, które mogłyby z tego wynikać. Domyśla się pan, na co liczyłem, zgadzając się spróbować złamać ten szyfr?

– Na to, że być może powie on panu, jaką truciznę podała pani Wagner?

– Zgadł pan, panie Glenney!

– I zdołał pan rozszyfrować znaczenie tych tajemniczych znaków?

Doktor położył na stole drugą kartkę papieru.

– Istnieje tylko jeden rodzaj szyfru, którego nie można złamać – powiedział.

– Jeżeli pan i pański korespondent umówicie się na korzystanie z tego samego wydania tej samej książki i jeżeli pańskie albo jego zaszyfrowane pismo będzie odnosiło się do konkretnej jej strony i konkretnych wersów na owej stronie, to nawet najbliższy człowiek na świecie nie zdoła przejrzeć waszej tajemnicy, nie uzyskawszy uprzednio dostępu do owej książki. Wszelkie inne szyfry, o ile mi wiadomo, przy odrobinie pomysłowości i cierpliwości można złamać. W tym przypadku postanowiłem wypróbować najpierw (żeby zaoszczędzić sobie czasu i kłopotu) metodę stosowaną wobec najprostszego i najbardziej podstawowego ze wszystkich szyfrów, jakim jest ukrycie zwykłego języka korespondencji pod wybranymi na chybił trafił znakami. Ową metodę można opisać w kilku słowach. Przyglądając się szyfrowi, stwierdzi pan, że niektóre ze znaków powtarzają się częściej od innych. Liczy pan poszczególne znaki i ustala, który z nich pojawia się najczęściej, który jest na drugim miejscu, który na trzecim i tak dalej. Dokonawszy tych obliczeń, zadaje pan sobie pytanie, jaka samogłoska i jaka spółgłoska występuje najczęściej w języku użytym przez autora szyfru. Osiągnięcie właściwego rezultatu jest tylko kwestią czasu i cierpliwości.

– I to jest ten rezultat? – zapytałem, pokazując na drugą kartkę papieru.

– Proszę przeczytać – odrzekł – i samemu to ocenić.

Pierwsze zdania rozwikłanego szyfru miały najwyraźniej służyć w zamierzeniu doktora Fontaine'a jako przypomnienie i powtarzały instrukcje z etykietek załączonych do trucizny o nazwie Wino Aleksandra oraz do antidotum na nią.

Następna część notatki była już dalece bardziej interesująca. Nawiązywała do drugiej trucizny, zwanej Kroplami Lustrzanymi, i rezultatów jednego z najbardziej niezwykłych eksperymentów profesora w tych oto słowach:

VI

Krople Lustrzane. Dawka śmiertelna, jak ustalono w wyniku eksperymentów przeprowadzonych na zwierzętach, identyczna jak w przypadku Wina Aleksandra – z tą różnicą, że zgon następuje szybciej, a jego przyczyna w trakcie pośmiertnego badania jest bardziej nieuchwytna.

Pomimo wielu cierpliwych eksperymentów nie zdołałem odkryć niezawodnego antidotum na tę piekielną truciznę. W takich okolicznościach nie śmiałybym nawet próbować adaptować jej do użytku medycznego. Należałoby ją zniszczyć, ale nie potrafię pogodzić się z porażką. Jeśli dane mi będzie pożyć trochę dłużej, poświęcę się na jakiś czas innym badaniom, a potem wrócę do niej z odświeżonym umysłem.

Miesiąc po napisaniu powyższych słów (które z obawy przed jakimś nieszczęśliwym wypadkiem umieściłem potem również na buteleczce) podjąłem następną próbę – i znów poniosłem porażkę. Poirytowany kolejnym rozczarowaniem, uczyniłem rzecz całkowicie niegodną naukowca.

Otrułem jedno ze zwierząt laboratoryjnych Kroplami Lustrzanymi, a następnie podałem mu dawkę antidotum na Wino Aleksandra z buteleczki z niebieskiego szkła – doskonale wiedziałem, jak bardzo te dwie trucizny różnią się od siebie pod względem właściwości i nie spodziewałem się uzyskać w ten sposób żadnych istotnych wniosków naukowych.

Rezultat okazał się ze wszech miar zadziwiający. Nastąpiło kompletne ustanie – w pełnym znaczeniu tego słowa – wszystkich czynności życiowych na cały dzień, noc i część następnego dnia. Zorientowałem się, że zwierzę nie jest naprawdę martwe, dopiero rankiem drugiego dnia – kiedy nie dostrzegłem żadnych oznak rozkładu, mimo pełni lata i duchoty panującej w laboratorium.

Godzinę po tym, jak w nie lada zdumienie wprawiły mnie pierwsze symptomy ożycia, zwierzę przejawiało już tę samą ruchliwość co zawsze i odznaczało się dobrym apetytem. Teraz, po upływie dziesięciu dni, nadal cieszy się znakomitym zdrowiem. Ten niezwykły przypadek interakcji chemicznej między składnikami trucizny i składnikami antidotum zasługuje na szczególnie staranne przebadanie. Obym żył jeszcze na tyle długo, by móc doprowadzić swoje prace badawcze do szczęśliwego i pożytecznego końca – i być w stanie opisać ich rezultaty na następnej stronie!

Następnej strony już nie było. Ostatnia naukowa ambicja profesora pozostała niespełniona.

VII

– Było już po północy – rzekł doktor – kiedy dokonałem owego odkrycia. Natychmiast poszedłem do pana Kellera, który szczęśliwie jeszcze nie spał, i razem udaliśmy się do domu umarłych. Wiedząc, gdzie w budynku znajduje się boczne wejście do prywatnej kwatery nadzorcy, zdołałem bardzo szybko go obudzić. W swoim rozgorączkowaniu wspomniałem o możliwości ożycia w obecności służących. Do domu umarłych znajdującego się po drugiej stronie budynku wpadliśmy całą gromadą. Tego, co tam zobaczyliśmy, nie wyrażą żadne słowa. Przybyłem w samą porę, żeby zapewnić pani Wagner spokój i zorganizować

bezpieczne przewiezienie jej do domu pana Kellera. Wywiązawszy się pomyślnie z owego zadania, sądziłem, że to już koniec moich zmartwień. Kompletnie się myliłem.

– Chodzi panu o madame Fontaine, jak sądzę?

– Nie, chodzi mi o Jacka. Nieszczęśnik, kierując się ślełą wiarą, bez dwóch zdań uratował swojej pani życie. Sam nigdy bym się nie odważył (nawet gdybym wiedział wcześniej o rezultatach eksperymentu profesora) podjąć owego karkołomnego ryzyka, na które Jack zdecydował się bez chwili wahania. Wydarzenia tamtej nocy (w połączeniu z działaniem brandy, którą napoił go Schwartz) całkiem zachwiały jego słabym umysłem. Szalał bez mała tak, jak mógłby szaleć w Bedlam. Z wielkim trudem zdołałem go nakłonić do wypicia środka uspokajającego. Za nic nie chciał mi zaufać i nawet kiedy już począł się pod wpływem owego środka uspokajać, nie okazał mi żadnej wdzięczności i pogardliwie skomentował to, co dla niego zrobiłem. „Miałem dużo lepsze lekarstwo od tego pańskiego – powiedział – sporządzone przez człowieka, któremu nie dorasta pan nawet do pięt. Schwartz i ja byliśmy na tyle głupi, żeby dać je wczoraj pani gospodyni”. Puściłem owe słowa mimo uszu – uznając je za jeden z wielu wybryków, jakich należało się po nim spodziewać w jego obecnym stanie umysłu. Zostawiłem go śpiącego spokojnie i miałem właśnie pójść do domu, żeby samemu też trochę odpocząć – kiedy syn pana Kellera zatrzymał mnie w holu. „Proszę pójść do madame Fontaine – powiedział. – Minna tak się o nią martwi”. Natychmiast udałem się na piętro.

– Czy zauważył pan w zachowaniu madame Fontaine coś niezwykłego – zapytałem – zanim przyszedł do pana Fritz?

– W domu umarłych wyglądała na śmiertelnie przerażoną i zdziwiłem się – mając o niej do tej pory takie, a nie inne zdanie, że jest zdolna wykazać się taką słabością. Gdy wracaliśmy do domu, czuwał nad nią po drodze pan Keller. Byłem zupełnie nieprzygotowany na to, co zobaczyłem potem, kiedy na prośbę Fritza zajrzałem do jej pokoju.

– Czy stwierdził pan podobieństwo do choroby pana Kellera?

– Nie na początku. Odesłała swoją córkę z pokoju i wydało mi się, że dziwnie na mnie popatrzyła, gdy zostaliśmy sami. „Chcę, żeby zwrócił mi pan karteczkę, którą dałam panu wczoraj wieczorem na ulicy” – rzekła. Zapytałem, do czego jej potrzebna. Zachowała się tak, jakby nie wiedziała, co odpowiedzieć. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej i dezorientowanej. „Żeby mogła ją zniszczyć, rzecz jasna! – wybuchnęła nagle. – Każda z buteleczek mojego męża jest już rozbita – ich kawałki leżą rozsypane tu, tam i ówdzie na drodze prowadzącej do domu umarłych. Och, wiem, co pan o mnie myśli!” Jakby zapominając od razu, co właśnie powiedziała – odwróciła się, otworzyła szufladę i wyjęła z niej zeszyt zamykany na metalowe zatrzaski. Wydawało się, że

świadomość mojej obecności w pokoju zupełnie zatarła się w jej umyśle. Zatrząski zeszytu – na tyle, na ile zdołałem zaobserwować – otwierały się za dotknięciem jakiejś sprężynki. Zauważyłem, że jej ręce, gdy próbowały odnaleźć ową sprężynkę, drżały. Złożyłem to na karb przerażających wydarzeń, których była świadkiem minionej nocy, i zaproponowałem jej pomoc. „Proszę zostawić moje tajemnice w spokoju” – powiedziała i wsunęła zeszyt pod poduszkę. Moim obowiązkiem jako lekarza było postarać się jej pomóc. Chociaż nic sobie nie robiłem z tego, co powiedział mi Jack, uznałem, że zanim jej coś przepiszę, powinienem zapytać, czy nie przyjmowała wcześniej już jakichś lekarstw. Kiedy powtórzyłem jej to, co usłyszałem od Jacka, cofnęła się chwiejnie. „Jakie lekarstwo miał na myśli? Napiłam się jedynie wina ze szklanki. Proszę natychmiast po niego posłać – muszę z nim porozmawiać!” Powiedziałem jej, że to niemożliwe – nie mogłem pozwolić, żeby go obudzono. „Strażnik! – zawołała. – Ta pijana bestia! Proszę posłać po niego”. Doszedłem wreszcie do wniosku, że naprawdę stało się coś poważnego. Wezwałem jej córkę, żeby zaopiekowała się nią pod moją nieobecność i poszedłem rozmówić się z Fritzem. Jediną nadzieję na odnalezienie Schwartza (jako że jego nocny dyżur w domu umarłych do tego czasu musiał już dobiec końca) widziałem w zwróceniu się do pielęgniarki. Wiedziałem, gdzie mieszka, i Fritz w swojej uprzejmości zaproponował, że do niej pójdzie. Zanim Schwartz został odnaleziony i sprowadzony do domu, madame Fontaine miała już tylko tyle sił, żeby zrozumieć to, co powiedział – i nic ponadto. Począłem dostrzegać w niej objawy choroby pana Kellera. Ogarniała ją już owa znana panu apatia. „Proszę pozwolić mi umrzeć – powiedziała cicho. – Zasługuję na to”. Niemal zaraz potem jej rozproszony umysł podjął ostatni wysiłek, ożywiając na moment poddające się chorobie ciało. Podniosła się z poduszki i chwyciła mnie za ramię. „Proszę posłuchać! Minna ma wyjść za mąż trzynastego!” – mówiąc to, wbiła we mnie wzrok. Zaraz potem osunęła się z powrotem na łóżko i popadła w stan, w którym przed chwilą ją pan widział.

– Czy nie może jej pan w żaden sposób pomóc?

– Niestety nie. Trucizny wymyślone przez profesora Fontaine’a są całkowicie nieznanie współczesnej nauce. Rozumiemy proces powolnego zatrucia małymi, powtarzanymi dawkami trującej substancji. Natomiast powolne zatrucie wskutek przyjęcia jednorazowej dawki trucizny tak bardzo wykracza poza nasze doświadczenia, że większość lekarzy nie wierzy nawet w możliwość istnienia takiego zjawiska.

– Jest pan pewny, że to zatrucie? – zapytałem.

– Po tym, co Jack powiedział mi dziś rano, kiedy się obudził, jestem absolutnie pewny, że to zatrucie Winem Aleksandra. Wydaje się, że postanowiła podstępnie ofiarować mu tę truciznę, przedstawiając ją jako lekarstwo, i że w ostatniej chwili rozmyśliła się. Potem Jack, wierząc, że ma do czynienia

z lekarstwem, podsunął je jej za pośrednictwem Schwartza. Kiedy będziemy mieli więcej czasu, wszystko dokładniej panu wyjaśnię. Tymczasem powiem panu jedynie, że zemsta dokonała się w pełni. Być może madame Fontaine mogłaby zostać uratowana jeszcze i teraz, gdyby nie to, że Jack podał całą resztę antidotum pani Wagner.

– Czy nic nie przemawia przeciwko temu, żebym wypytał go o szczegóły?

– To wykluczone. Rzeczą najwyższej wagi jest zniechęcenie go do wracania do tego tematu. Już zdążył oznajmić pani Wagner, że uratował jej życie, a tuż przed pańskim przyjściem słyszałem, jak pocieszał Minnę: „Panienci mama zażyła swoje cudowne lekarstwo i niedługo wydobrzeje”. Byłem zmuszony – niech Bóg mi wybaczy! – powiedzieć pańskiej ciotce i Minnie, że przez Jacka przemawiają szalone złudzenia i że nie powinny wierzyć żadnemu jego słowu.

– Bez wątpienia kierowały panem ważne powody – zauważyłem, nie próbując na razie w owe powody wnikać.

– Zaraz pan wszystko zrozumie – odpowiedział. – Wierzę, że jest pan honorowym człowiekiem w każdych okolicznościach. Dlaczego w tych okolicznościach postanowiłem niczego przed panem nie zatajać? Z bardzo ważnej przyczyny, panie Davidzie. W przyszłości będzie pan blisko związany nie tylko ze swoją ciotką, ale też z panną Minną i liczę na to, że będzie pan kontynuował pozytywne działania, które rozpocząłem. Nie możemy pozwolić, żeby na dalszym życiu pani Wagner położyło się cieniem upiorne wspomnienie tego, co się wydarzyło, i żeby przyszłe szczęście młodej, uroczej Minny zatrąła świadomość tego, czego dopuściła się jej matka. Rozumie pan już, dlaczego byłem gotowy wyrzucić nieszczęsnemu Jackowi taką niesprawiedliwość?

W dowód swojego zrozumienia dla kierujących nim motywów obiecałem, że dochoвам tajemnicy.

Naszą poufną naradę przerwało wejście pielęgniarki, która zakomunikowała, że stan madame Fontaine począł się pogarszać.

Doktor do końca czuwał nad chorą. Ja także miałem okazję jeszcze kilka razy ją zobaczyć.

Chociaż działo się to wszystko w tak odległym czasie, nie zdołałbym się przemóc, żeby ze szczegółami opisać tutaj powolne, niszczyielskie działanie owej piekielnej trucizny Borgiów na ludzki organizm. Nerwowe drgawki osiągnęły swoje apogeum, a potem poczęły ustępować – tak samo stopniowo, jak wcześniej narastały. Ostatnie swoje godziny chora spędziła, leżąc w stanie absolutnej niemocy i wyczerpania. Kochająca córka, czuwająca niezłomnie przy jej łóżku, nie doczekała się już ani jednego słowa i ani jednego spojrzenia. Późnym popołudniem następnego dnia doktor Dormann delikatnie wyprowadził Minnę z pokoju. Pan Keller i ja spojrzeliśmy na siebie w milczeniu. Wiedzieliśmy, że madame Fontaine nie żyje.

VIII

Nie zapomniałem o zamykanym na zatrzaski zeszytcie, który bezskutecznie starała się otworzyć w obecności doktora Dormanna. Wyjąwszy go własnoręcznie spod poduszki, zapytałem pana Kellera i doktora, czy nie powinienem od razu oddać go Minnie.

– Absolutnie nie! – powiedział doktor.

– Dlaczego?

– Żeby nie dowiedziała się z niego tego, o czym nigdy nie powinna się dowiedzieć. Podejrzewam, że to prywatny dziennik.

Znalazłem sprężynkę i odpiąłem zatrzaski. To był prywatny dziennik.

– Jak się pan tego domyślił? Na podstawie wyglądu zeszytu?

– Bynajmniej. Na podstawie swoich doświadczeń z czasów, gdy byłem lekarzem zakładowym w tutejszym więzieniu. Prawie każdy obdarzony dużą inteligencją przestępca jest niepoprawnym egotykiem. Każdy człowiek wydaje się sobie ciekawy – ale im więcej w nas niegodziwości, tym bardziej jesteśmy sobą zaabsorbowani. Właśnie ci ludzie, którzy – z logicznego punktu widzenia – mają największy interes w tym, żeby ukryć swoje zbrodnie, najczęściej ulegają pokusie przyglądania się sobie na kartach prywatnego dziennika.

– Nie wątpię w pańskie doświadczenie, doktorze. Ale pańskie wnioski mnie zastanawiają.

– Proszę trochę pomyśleć, panie Davidzie, a rozwiązanie tej zagadki wyda się panu całkiem proste. Im jesteśmy lepsi, tym więcej bezinteresownej uwagi poświęcamy innym. Im jesteśmy gorsi, tym bardziej koncentrujemy się na sobie. Niech przykładem tutaj będzie pańska ciotka. Dziś rano czekało na nią kilka listów związanych z ową wspieraną przez nią tak niezłomnie sprawą wprowadzenia – i w tym kraju, i w Anglii – reform w metodach leczenia obłąkanych. Z wielkim trudem udało mi się ją przekonać, żeby nie próbowała jeszcze na nie odpisywać – innymi słowy: żeby pozwoliła swojemu umysłowi i systemowi nerwowemu odpocząć po koszmarze, którego dopiero co doświadczyła. Sądzi pan, że w przypadku jakiejś niegodziwej kobiety potrzebna byłaby z mojej strony tego rodzaju interwencja? Ależ skąd! Taka kobieta myślałaby tylko i wyłącznie o sobie i swoim własnym zdrowiu. Proszę otworzyć dziennik madame Fontaine na którejś z ostatnich stron. W każdym wpisie znajdzie pan dowód świadczący o jej winie.

Miał rację! Każda zawarta w tej opowieści wzmianka na temat najskrytszych przeżyć madame Fontaine pochodziła pierwotnie z jej prywatnego dziennika.

Dla przykładu: W dzienniku został opisany przez nią każdy szczegół owego piekielnie podstępного fortelu, z pomocą którego zdołała się wkraść w łaski pana Kellera jako „zbawczyni” jego życia. „Wystarczy tylko, że otruję go Winem Aleksandra – brzmiały jej własne słowa – a potem uzdrowię przy użyciu

antidotum. Dzięki temu matka Minny stanie się aniołem stróżem pana Kellera, a małżeństwo Minny rzeczą pewną”.

Na jednej z dalszych stron przedstawiła dokładnie przeciwne motywy, dla których postanowiła posłużyć się – w przypadku pani Wagner – Kroplami Lustrzanymi. „Nie tylko zabijają szybciej i pozostają zupełnie niewykrywalne w ludzkim organizmie – napisała. – Dzięki etykietce wiem na pewno, że mój mąż nigdy nie wynalazł na nie antidotum, więc nawet jeśli po fakcie opuści mnie odwaga, nie będzie już ratunku dla kobiety, której usta koniecznie muszę na zawsze zamknąć, żeby wszystkie moje poświęcenia nie poszły na marne i przyszłość mojego dziecka nie została zrujnowana”.

Bez wątpienia zamierzała zniszczyć te obciążające ją zapiski po powrocie do domu pana Kellera – i uczyniłaby to, gdyby nie przeszkodziły jej owe pierwsze objawy działania trucizny w postaci umyślowego rozkojarzenia i nieopanowanego drżenia rąk.

Ostatni wpis zamieszczony przez nią w dzienniku sam w sobie stanowi tak interesującą rzecz, że szkoda byłoby go tutaj nie zacytować. Ukazuje on oczyszczającą moc matczynego instynktu, który również w kobietach zepsutych do szpiku kości nie zanika aż do samego końca. Nawet madame Fontaine dopuszczała niekiedy do głosu jaśniejszą stronę swojej osobowości. To przez wzgląd na Minnę podczas owego pamiętnego spotkania z panem Kellerem w holu postąpiła tak nieopatrznie, jakby była najgłupszą kobietą chodzącą po ziemi. Nie zdecydowała się otruć bezbronnego Jacka dla ratowania własnej skóry. I odstąpiła nawet od pomysłu nakłonienia Minny do posłużenia się kłamstwem w chwili, w której ważyły się losy ich obydwu.

Czy tego rodzaju przejawy szlachetności w tak niegodziwej kobiecie wydają się dziwne? Pomyślcie o tkwiących w was samych sprzecznościach. Przeczytajcie ostatnie słowa tej grzesznicy – i podziękujcie Bogu, że nigdy nie byliście wodzeni na pokuszenie tak jak ona.

„...Kazałam Minnie wyjść z pokoju i okrutnie ją tym zraniłam. Tak się jej teraz boję! Czuję, że wraz ze swoim ostatnim występkiem na zawsze odsunęłam się od tej wrażliwej, czystej istotki – tym bardziej że dopuściłam się go z myślą o niej i jej dobru. Za każdym razem, gdy na mnie patrzy, obawiam się, że wyczyta z mojej twarzy, co dla niej zrobiłam. Och, jakbym chciała móc wziąć ją w ramiona i zasypać pocałunkami! Nie śmiałabym jednak – nie śmiałabym!”

*

Panie, okaż litość tej nieszczęsnej grzesznicy!

IX

Robi się coraz później i płomień lampy, przy której piszę, coraz bardziej

maleje.

Oddalam się myślami od Frankfurtu i tego wszystkiego, co kiedyś się tam wydarzyło.

Wspomnienie, które staje teraz przed moimi oczami, pochodzi z Anglii.

Znajduję się w siedzibie naszej firmy w Londynie. Czekają na mnie moi dwaj przyjaciele. Jeden z nich to Fritz. Drugi to najbardziej lubiana w okolicy osoba – wesoły, dobroduszny człowieczek znany wszystkim pod mało dystyngowanym przezwiskiem Słomiany Jack. Dzięki zabiegom mojej ciotki i zmianie otoczenia nie nastąpił już u niego po powrocie z Frankfurtu nawrót dawnej choroby. Jesteśmy spokojni o przyszłość naszego małego przyjaciela.

Jeżeli chodzi o jego przeszłe lata, nie udało nam się dokonać w tej kwestii żadnych romantycznych odkryć. Kim byli jego rodzice? Zmarli czy go porzucili? Jak żył i jakich cierpień doświadczył, zanim los uczynił go służącym profesora chemii w Würzburgu? Te i podobne pytania pozostają bez odpowiedzi. Samego Jacka w najmniejszym nawet stopniu nie interesują nasze dociekania. Albo nie jest w stanie, albo zwyczajnie nie ma ochoty wysilić swojego słabego umysłu, żeby nam pomóc. „Jakie to ma teraz znaczenie? – powiada. – Moje życie zaczęło się wtedy, kiedy moja pani po raz pierwszy do mnie przyszła. Nie pamiętam i nie chcę pamiętać niczego sprzed tamtej chwili”.

Zatem wspomnienia Jacka pozostają, z braku odpowiednich źródeł, niespisane – tak jak wspomnienia wielu innych podobnych mu znaj.

*

Dwaj moi przyjaciele czekają już w pokoju gościnnym. Wkładam najlepsze odzienie i idę do nich. Milczący i zdenerwowany Fritz niecierpliwie wyczekuje przyjazdu powozu. Jack przechadza się po pokoju z efektywnym bukietem wystającym z butonierki jego wspaniałego niebieskiego surduta. W rękach trzyma zegarek i spacerową laskę, jego dłonie obleczone są w białe rękawiczki, a na nogach ma obcisłe pantalone z nankinu. Wychodzi dumnym krokiem z domu jako pierwszy z nas, kiedy powóz wreszcie zatrzymuje się przed drzwiami.

– Fritz jest głównym bohaterem uroczystości, nie przeczę – mówi, kiedy odjeżdżamy – ale śmiem twierdzić, że beze mnie rzecz byłaby niekompletna. Jeżeli mój strój pod jakimkolwiek względem zawodzi, na litość boską, poinformujcie mnie o tym, zanim miniemy drzwi pracowni krawieckiej!

Odpowiadam mu, że pod każdym względem prezentuje się wyśmienicie. A on na to:

– Davidzie, masz swoje wady, ale twojemu gustowi nie można niczego zarzucić. Zrób mi trochę więcej miejsca, nie mogę stanąć przed moją panią w pomiętym surducie.

Docieramy do małej wioski pod Londynem i zatrzymujemy się przed bramą

starego kościoła. Zbliżywszy się do balustrady przed ołtarzem, czekamy. Wszystkie kobiety obecne na miejscu także czekają. Ledwo zauważają Fritza i mnie – cała ich uwaga koncentruje się na Jacku. Kiedy Jack odkrywa, że wzięły go za pana młodego, jego zadowolenie sięga zenitu.

Organista gra marsz weselny. Panna młoda – w skromnym, bezpretensjonalnym stroju, z błyszczącymi od emocji oczami i uroczymi rumieńcami na policzkach – wchodzi do kościoła prowadzona pod ramię przez pana Kellera.

Nasz zacny wspólnik wygląda młodziej niż zazwyczaj. Na jego własną prośbę frankfurckie biuro zostało sprzedane – na mocy umowy, w której właścicielka firmy zawarła warunek o przydzieleniu określonej liczby stanowisk młodym kobietom o nieposzlakowanej opinii. Wyprowadziwszy się z przepelnionego przykrymi wspomnieniami Frankfurtu, pan Keller buduje teraz dom w sąsiedztwie malowniczej rezydencji pani Wagner na jednym ze wzgórz otaczających wioskę. Tutaj zamierza spędzić w spokoju – w towarzystwie swojego syna i synowej – resztę życia.

Za kroczącymi ku ołtarzowi panem Kellerem i Minną idzie doktor Dormann (spędzający w tym roku swoje wakacje w Anglii). Doktor trzyma pod ramię najbardziej czczoną i kochaną przez Jacka spośród kobiet. Moja droga, dobra ciotka – ta emanująca jasnym światłem wierna przyjaciółka wszystkich samotnych stworzeń... Dlaczego spokój mnie opuszcza, gdy próbuję opisać, jak stoi u boku Minny jako jej druga matka w najważniejszym dniu jej życia?

Nie widzę już nawet tej kartki papieru. Od owego dnia ślubu minęło prawie pięćdziesiąt lat. Och, wy wszyscy moi rówieśnicy, którzy tak jak ja przeżyliście swoich bliskich – wy wiecie, co dolega moim oczom! Muszę odłożyć pióro i sięgnąć po chusteczkę – i pozwolić, by młodszy sami dopowiedzieli sobie dalszą historię małżonków.

* Izebel – pogańska królowa Izraela; biblijny symbol kobiecego zła, chciwości, rozwiązłości i okrucieństwa.

[2] Paracelsus (właśc. Phillippus Aureolus Theophrastus Bombastus von Hohenheim) – (1493-1541) szwajcarski alchemik, lekarz, filozof i astrolog; pionier toksykologii.

[3] Kamień filozoficzny – bezskutecznie poszukiwana przez średniowiecznych alchemików legendarna substancja zdolna rzekomo przemieniać metale nieszlachetne w złoto lub srebro.

[4] Marcobrunner – znana marka reńskiego wina.

[5] *Ora pro nobis* (łac.) – Módl się za nami.

